

Finder Joseph

POD KARĄ ŚMIERCI

Z angielskiego przełożyła Barbara Cendrowska

Tytuł oryginału HIGH CRIMES

Poświęcam Michele oraz Emmie i jej wielbicielom

Kto ma oczy do patrzenia i uszy do słuchania, może się przekonać, że żaden śmiertelnik nie potrafi dochować tajemnicy.

Jeśli jego usta milczą, przemawia palcami; zdrada wycieka zeń wszystkimi porami skóry.

Zygmunt Freud, Dora

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Dokładnie o dziewiątej rano Claire Heller Chapman wkroczyła do przepastnej, owianej tradycjami sali wykładowej wydziału prawa Uniwersytetu Harvarda, gdzie czatowała na nią grupka reporterów. Było ich czterech czy pięciu, jeden kamerzysta telewizyjny dzierżył w dłoni potężną kamerę wideo.

Spodziewała się tego. Kiedy przed dwoma dniami ogłoszono wyrok w sprawie Lamberta, nie mogła się opędzić przed telefonami od dziennikarzy. Większości z nich udało się jej jednak uniknąć. Teraz stali na przodzie starej sali, przy jej katedrze, i gdy ich mijała, wykrzykiwali skierowane do niej pytania.

Claire uśmiechała się ironicznie, dochodziły do niej tylko strzępy ich pokrzykiwań.

- ...Lambert? Może to pani jakoś skomentować?
- ...zadowolona z wyroku?

- ...nie przejmuję się pani tym, że gwałcieł będzie sobie hasał na wolności?

Gwar głosów studenckich się nasilił. Górując z katedry nad zgromadzonymi, zwróciła się do reporterów:

- Proszę państwa o opuszczenie sali wykładowej.

- Pani profesor, prosimy o krótki komentarz - odezwała się reporterka telewizyjna, ładna blondynka w ubraniu łososiowego koloru i ramionach wypchanych poduszkami niczym obrońca piłkarski.

- Niestety, teraz nic nowego nie mogę dodać - odparła Claire. - Mam zajęcia.

Jej studenci, bądź co bądź prawa karnego, siedzieli w długich

11

półkolach, rozchodzących się od przodu sali jak pierścienie Saturna. Na wydziale prawa Uniwersytetu Harvarda profesora uważa się za bóstwo. Dzisiejszego ranka bóstwo zostało znieważone.

- Ależ, pani profesor, króciutka...

- Weszliście, państwo, na cudzy teren. Proszę się stąd zabierać. Ale już!

Wydając z siebie niechętnie pomruki, zaczęli się odwracać i z hałasem rozchodzić po skrzypiącej podłodze ku głównemu przejściu, a stamtąd do drzwi.

Z uśmiechem zwróciła się ku studentom. Claire Heller, popularna w kręgach zawodowych, była po trzydziestce. Drobna i szczupła, miała piwne oczy, dołeczki w policzkach i kaskadę miedzianych włosów opadających na łabędzią szyję. Tweedowy, lecz modny żakiet w odcieniu czekoladowego brązu narzuciła na kremową, jedwabną bluzkę.

- No to zaczynamy - odezwała się do skupionego grona.

- Ostatnio ktoś mnie zapytał: „Kto to jest Regina! Kto to jest Rex!” - Upiła łyk wody. Rozległo się kilka chichotów. Parę głośniejszych rechotów. Humor wydziału prawa: trzeba się śmiać, żeby pokazać, że się rozumie, że jest się bystrza-kiem - nie dlatego, że dana kwestia jest szczególnie zabawna.

- To po łacinie, moi państwo. - Kolejny łyk wody. Wszystko obliczone było na efekt.

Śmiech stopniowo narastał.

- Proszę, wykład z prawa angielskiego. Regina oznacza królową, Rex - króla.

Donośny, pełen ulgi ryk mniej błyskotliwych studentów, do których wreszcie dotarło. Najlepsza publiczność widowisk komediowych na świecie.

Tylne drzwi sali zamknęły się z trzaskiem, oznajmiając wyjście ostatniego kamerzysty.

- Teraz już naprawdę zaczynamy. Terry przeciwko stanowi Ohio. Jedno z ostatnich postanowień sędziego Warrena. Prawdziwy kamień milowy w liberalnym prawodawstwie. - Rozejrzała się po sali z miną pokerzysty. Paru studentów zachichotało. Znali jej zagrywki. Podniosła głos o kilka decybeli. - Terry przeciwko stanowi Ohio. Ta brzemienne decyzja, która pozwoliła policji robić z ludźmi prawie wszystko, co jej się żywnie podobało. Przewodniczący składu sędziowskiego, pan Earl Warren,

12

oddał pałeczkę gliniarzom. - Obróciła się nagle wokół własnej osi. - Panno Harrington, gdyby jakiegoś wieczoru policja wpadła do pani mieszkania bez nakazu rewizji. I znaleźliby u pani działkę koki. Czy można by wytoczyć pani proces za posiadanie narkotyków? - Rozległo się kilka chichotów. Pozbawiona poczucia humoru, poświęcająca wiele czasu studiom panna Harrington, bardzo wysoka, blada młoda kobieta o długich, popielatych włosach z przedziałkiem pośrodku, raczej nie kojarzyła się z narkotycznymi odlotami.

- W żadnym wypadku - odparła panna Harrington. - Gdyby wpadli bez nakazu, ten dowód nie byłby ważny dla sądu. Z powodu zasady wyłączeniowej.

- A gdzie ją ustanowiono? - spytała Claire.

- W Czwartej Poprawce - odparła panna Harrington. Czerwone kręgi pod jej oczyma świadczyły, że niewiele jej pozostaje czasu na sen w ciągu tego przygnębiającego pierwszego roku na wydziale prawa. - Chroni nas ona przed nieuzasadnionymi przeszukaniem ze strony władz. Dlatego wszelki dowód uzyskany z pogwałceniem Czwartej Poprawki musi być wyłączony z rozprawy sądowej. Jest to tak zwany owoc zatrutego drzewa.

- Jak pani fiolka z koką - rzekła Claire.

Panna Harrington ponuro popatrzyła na nią oczami szopa okolonymi czerwonymi obwódkami i uśmiechnęła się z przekąsem.

- Zgadza się.

Studenci, w każdym razie ci bystrzejsi, zaczęli wyczuwać podteksty tej wymiany

zdań: dobre, stare, liberalne mądrości płynące z ust Claire Heller, weteranki ruchu liberalnego z lat sześćdziesiątych, aresztowanej w czasach studenckich. I tamte hasła: władza dla ludu, pierdol zastany porządek, czas ich wszystkich załatwić.

- Dobrze, teraz proszę mi powiedzieć, w którym miejscu Czwarta Poprawka mówi, że dowód uzyskany nielegalnie musi być wyłączony z rozprawy sądowej?

Cisza.

- Panno Zelinski? Panno Cartwright? Panno Williams? Panie Papoulis?

Zeszła z katedry i przespacerowała się po skrzypiącej podłodze krokiem modelki.

13

- Nigdzie, moi drodzy. Nigdzie.

Z końca sali dobiegł wąty baryton Chadwicka Lowella III, jasnego, lekko łysiejącego blondyna w okrągłych drucianych okularkach z ubezpieczalni. Pochodziły chyba jeszcze z czasów, kiedy był na stypendium.

- Rozumiem, że nie jest pani przesadną zwolenniczką zasady wyłączeniowej?

- Ma pan rację - odparła Claire. - Skorzystano z niej tylko raz, przed czterdziestoma laty, a Czwartą Poprawkę przyjęto sto siedemdziesiąt lat temu.

- Ale sięgnęła pani do tej zasady - ciągnął z pogardą w głosie Lowell - przy rozpatrywaniu apelacji Gary'ego Lamberta, prawda? Doprowadziła pani do uchYLENIA wyroku, nie dopuszczając jako dowodu tego, co znaleziono w jego śmieciach, zgadza się?! Więc w sumie nie jest pani taką jej nieprzejednaną przeciwniczką?!

Sala zamarła ze zdumienia. Claire z wolna obróciła się ku pytającemu. Po cichu musiała przyznać, że jej zaimponował. Lowell patrzył na nią bez zmużenia oczu.

- W sali wykładowej rozmawiamy o zasadach. W sądzie odkłada się wszystko, w co się wierzy, i walczy taką bronią, jaką się dysponuje. - Odwróciła się ku podium. - A teraz wracajmy do sprawy Terry przeciwko stanowi Ohio.

- Nadal państwo z tym walczą?

Kelner, wysoki i chudy jak patyk, na oko liczył niewiele ponad dwadzieścia lat i był nie do zniesienia. Wyglądał jak model od Ralphi Lauren. Miał krótko podstrzyżone włosy i przycięte baczki. Patykowate nogi odziane były w czarne dżinsy, nosił też czarny, bawełniany podkoszulek.

Claire, jej mąż Tom oraz sześciolatnia córeczka Annie wybrali się na kolację do

modnej restauracji w centrum handlowym w śródmieściu Bostonu. Podawano tam owoce morza i zapewniano rodzinną atmosferę. „Rodzinna atmosfera” zazwyczaj oznacza balony napełnione helem, kredki i bloki rysunkowe. Ten lokal prezentował się o oczko lub dwa lepiej, a i jedzenie było znośne.

Claire podchwyciła spojrzenie Toma i się uśmiechnęła.

Tom chętnie naśmiewał się z tego typowego kelnerskiego

14

zwrotu. Właściwie śmieszył ich oboje - od kiedy to zjedzenie kolacji miałyby być walką?

- Już skończyliśmy-zauważył Tom uprzejmie. Tom Chapman był już po czterdziestce, lecz zachował młodzieńczą sylwetkę. Wyglądał przystojnie i elegancko w granatowym garniturze od Armaniego. Właśnie wrócił z pracy. Krótko obcięte włosy przyprószała siwizna, a i czoło robiło mu się coraz wyższe. Oczy, okolone głębokimi zmarszczkami, szarobłękitne - bardziej szare niż błękitne - iskrzyły się z rozbawienia.

Claire potakująco skinęła głową.

- Wszyscy już przewalczyliśmy - odparła z poważną miną.

- Ja też skończyłam - rzekła Annie, która błyszczące kasztanowe włosy ujęła w mysie ogonki i miała na sobie swój ulubiony, blad różowy, wciągany przez głowę sweter.

- Annie-Banannie - zwrócił się do córki - nie zjadłaś nawet połowy swego hamburgera!

- Czy państwu smakowało? - zapytał zatroskany kelner.

- Wszystko było pyszne, dziękujemy - oznajmił Tom.

- Ale zjadłam frytki!

- Czy uda mi się namówić państwa na deser? - zapytał jeszcze kelner. - Marauise au chocolat w sosie pistacjowym jest bajeczna. Można umrzeć z wrażenia. A ciepłe ciasto w topionej czekoladzie naprawdę jest grzechu warte.

- Chcę ciasto czekoladowe! - zawołała Annie. Tom popatrzył na Claire. Potrząsnęła głową.

- Ja dziękuję - rzekła.

- Na pewno? - zapytał kelner przewrotnie, konspiracyjnym tonem. - Może podać trzy widelczyki?

- Dziękuję, nie. Może tylko kawę. A ona dostanie ciasto w czekoladzie pod warunkiem, że skończy hamburgera.

- Ale ja go skończę! - zarzekała się Annie, wierząc się na krześle.

- Słucham państwa - zwrócił się ponownie kelner. - Dwie kawy?

- Jedną - odparła Claire, widząc, że Tom potrząsa głową. Kelner zawahał się, wyciągając głowę w kierunku Claire.

- Proszę wybaczyć, czy mam przyjemność obsługiwać panią profesor Heller?

Claire skinęła potakująco.

15

- Owszem, to ja.

Kelner uśmiechnął się szeroko, jakby powierzono mu tajemnicę wagi państwowej.

- Widziałem panią w telewizji - rzekł, odwracając się.

- Człowiek nie istnieje, jeśli nie występuje w telewizji - zauważył Tom, gdy kelner odszedł. Uścisnął jej rękę pod lakierowanym blatem. - Brzemie sławy.

- Niezupełnie.

- W każdym razie w Bostonie. A jaki mają do tego stosunek twoi koledzy z wydziału prawa?

- Póki wypełniam swoje profesorskie obowiązki, zupełnie ich nie obchodzi, kogo bronię. Nawet gdybym reprezentowała Charlesa Mansona, pewnie szeptałoby po kątach, że gonię za reklamą, ale zostawiliby mnie w spokoju. - Objęła jego głowę i pocałowała w usta. - Dzięki - rzekła. - Wspaniale to uczciliśmy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Promień światła przemknął po czole Toma, brwiach, oczach okolonych głębokimi zmarszczkami. Uwielbiała patrzeć na rysy jego twarzy, wystające kości policzkowe, kwadratowy podbródek. Tom strzygł się bardzo krótko, niemal po wojskowemu, by zniwelować łysinę, ale w rezultacie wyglądał jak przerośnięty uczeń, wyszorowany do czysta i nadskakująco uprzejmy. Niebieskoszare oczy, dziś wieczór o silniejszym odcieniu błękitu, były przejrzyste i patrzyły niewinnie. Podchwycił jej spojrzenie i

uśmiechnął się.

- O co chodzi?

- O nic. Tak sobie myślałam.

- O czym? Wzruszyła ramionami.

- Wyglądasz na trochę przygaszoną. Czujesz się niewyraźnie z powodu uwolnienia Lamberta?

- Chyba tak. To znaczy, pewnie tak należało postąpić. To był naprawdę ważny przypadek. Tych dowodów bezwzględnie nie należało dopuszczać, całej tej historii „za wiedzą i zgodą”; a do tego jeszcze mamy bezprawne przeszukanie i zatrzymanie, nieuchronne odkrycie dowodów. Wszystko, o czym mówi Czwarta Poprawka.

- A jednak wypuściłaś gwałciciela - powiedział cicho, łagodnie. Widział, jak nieswojo się czuła, biorąc sprawę Lamberta.

16

Słynny dziedzic fortuny Lambertów, trzydziestoletni Gary Lambert, którego zdjęcia, zazwyczaj w ramionach jakiejś super-modelki, bez przerwy zamieszczał magazyn „People”, został oskarżony przez policję nowojorską o zgwałcenie piętnastoletniej dziewczynki.

Gdy wzięci adwokaci Lamberta poprosili Claire, by zajęła się sprawą jego apelacji, nie wahała się ani chwili. Wiedziała, dlaczego się do niej zwrócono - nie chodziło tylko o jej rosnącą renomę jako prawnika odnoszącego sukcesy w procesach rewizyjnych, lecz bardziej o to, że jest profesorem na wydziale prawa Uniwersytetu Harvarda. Jej wybitna pozycja w kręgach prawniczych mogła mieć znaczenie dla poprawy dość zszarganej reputacji Gary'ego Lamberta. Claire zafascynowały jednak związane z procesem kwestie prawne. Wiedziała, że wyniki przeszukania przez policję eleganckiego apartamentu Lamberta i grzebania w jego śmieciach nie będą się liczyły jako dowody. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że doprowadzi do uchylecia wyroku.

Nieoczekiwanie, w wyniku procesu, Claire stała się miejscową znakomitością. Regularnie występowała w programie telewizyjnym zajmującym się aktualnymi procesami oraz w wywiadach Geralda Rivery'ego, poświęconych sprawom prawniczym. „The New York Times” zaczął cytować jej artykuły na temat innych rozpraw i kontrowersji prawnych. Jeszcze nie oglądano się za nią na ulicy, ale znajdowała się w kręgu osób, do których zwracają się media.

- Słuchaj - odezwał się Tom - przecież zawsze mówiłaś, że im kto bardziej jest godny pogardy, tym bardziej potrzebuje rady. Zgadza się?
- Taak... - rzekła bez przekonania. - Teoretycznie.
- Myślę, że zrobiłaś wspaniałą robotę i naprawdę jestem z ciebie dumny.
- Może dasz wywiady ze mną do „Globe” - powiedziała.
- Ja już skończyłam - zwróciła się do nich Annie, pokazując okruszki z bułki. - Teraz chcę deser. - Ześlizgnęła się ze swego krzesła i wpełzła Tomowi na kolana.

Uśmiechnął się, uniósł pasierbicę w powietrze i z głośnym cmoknięciem pocałował ją w policzek.

- Uwielbiam cię, moja pucułko. Moja Annie-Banannie. Zaraz podadzą, skarbie.

17

- Zapomniałam ci powiedzieć - odezwała się Claire - magazyn „Boston” chce nas włączyć w poczet Pięćdziesięciu Potężnych Par czy czegoś w tym rodzaju.
- Mamo, mogę do tego jeszcze lody? - spytała Annie.
- Zgaduj-zgadula - odrzekł Tom. - To dlatego, że wydobyłaś z pudła Gary'ego Lamberta?
- Tak, Annie, możesz - odparła Claire. - Prawdę mówiąc, dzwonili przed paroma dniami.
- Mhm, nie bardzo nas w tym widzę, kochanie - rzekł Tom.
- Nie pasujemy do tych ludzi.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- A dlaczego tak uważasz? W każdym razie to byłaby dobra reklama dla twojej firmy. Przyciągnęłaby mnóstwo inwestorów do Chapmana i spółki.
- Po prostu uważam, że to w nie najlepszym guście, i tyle. Potężne Pary... - Potrząsnął głową. - Chyba się jeszcze nie zgodziłaś?
- Niczego im jeszcze nie obiecywałam.
- I lepiej niech już tak zostanie.
- Tatusiu - zapytała Annie, otaczając mu ramieniem szyję

- kiedy przyniosą moje ciastko?
- Za chwilę, kochanie.
- Czy muszą je najpierw upiec?
- Na to wygląda - odparł Tom. - Niezbyt szybko im to idzie.
- Policja mówi, że chyba znaleźli jeden ze skradzionych obrazów - odezwała się Claire.

Przed paroma dniami włamano się do ich mieszkania i wyniesiono dwa eksponaty z ich zbiorów - szkic nagiej kobiety Corota, który Claire niedawno dostała od Toma na urodziny, oraz olejną martwą naturę Williama Baileya. Tom ją uwielbiał, a Claire nie znosiła.

- Poważnie? A ja już miałem wypełniać wniosek o odszkodowanie.
- Nie mam pojęcia. Wiesz, że nie rozpaczałabym z powodu utraty Baileya.
- Wiem - odparł Tom. - Zbyt chłodny, precyzyjny i opanowany. Bardzo go lubiłem. No cóż, kochanie, to tylko płótna. Przedmioty, rzeczy. Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało.

Przybył kelner z tacą. Znajdowały się na niej, prócz ciastka w czekoladzie, kawa i dwa kieliszki szampana.

18

- Właściciel przekazuje wyrazy uszanowania - powiedział kelner. - I nasze gratulacje.

Gdy opuścili restaurację, Annie śmignęła do działu żywnościowego, krzycząc:

- Chcę się pobawić w statku kosmicznym!

Olbrzymi plastikowy statek kosmiczny znajdował się w pobliskim sklepie z zabawkami, który Annie bardzo lubiła odwiedzać. Stały przed nim dwa gigantyczne stwory, wykonane z jakiegoś syntetyku, przedstawiające popularne postaci z filmów rysunkowych.

W dziale żywnościowym znajdowało się mnóstwo eleganckich restauracyjek, gdzie można było zjeść szybki posiłek, siedząc przy małych, okrągłych stolikach na drewnianych ławach, w otoczeniu fikusów w mosiężnych donicach. Marmurowa posadzka była wypolerowana na błysk. Wokół olbrzymiej otwartej przestrzeni na wysokość trzech pięter wznosiły się balkoniki, sięgające aż do szklanego świetlika,

oblanego blaskiem reflektorów. Na końcu atrium znajdował się sztuczny wodospad, bijący wzdłuż poszczerbionego granitowego muru.

- Powoli, Annie-Banannie! - zawołał Tom i Annie zawróciła, po czym pociągnęła ojca za rękę. W tym momencie podeszło do nich dwu mężczyzn w garniturach.

- Panie Kubik, proszę z nami. Niech pan nie robi trudności - powiedział jeden z nich.

Zdumiony Tom odwrócił się do mężczyzny znajdującego się po jego lewej stronie.

- Co takiego?

- Ronald Kubik, zgadza się? Mamy nakaz aresztowania pana.

Tom uśmiechnął się, zmarszczył brwi.

- Złapałeś nie tego faceta, kolego - powiedział, po czym ujął rękę Claire i poszedł szybko do przodu.

- Panie Kubik, proszę nie stawiać oporu, a nikomu nic się nie stanie.

Zdumiona Claire roześmiała się z absurdalności tego żądania.

- Dajcie przejść, panowie.

- Pomyliliście się - oświadczył Tom głosem, w którym nie dźwięczało już rozbawienie.

19

Mężczyzna z prawej mocno chwycił Toma za ramię.

- Zdejmij łapę z mojego męża! - zaprotestowała Claire. Nagle Tom rzucił teczką w prawo, uderzając mężczyznę

w żołądek, aż się zatoczył i upadł, po czym błyskawicznie skoczył naprzód i ze zdumiewającą szybkością uciekał w głąb działu żywnościowego.

- Tom, dokąd idziesz? - krzyknęła za nim Claire.

- Tatusiu! - wrzasnęła Annie.

- Stać! - zadudnił jakiś głos.

Claire, wstrząśnięta, patrzyła, jak dwóch mężczyzn puściło się w pościg za Tomem, po czym całe atrium zawrzało gwałtownym ruchem. Dlaczego uciekał, jeśli rzeczywiście wzięto go za kogoś innego? Po lewej dwóch krótko ostrzyżonych mężczyzn pod trzydziestkę, którzy pili kawę przed małą cukierenką, skoczyło na

nogi.

- Tom! - krzyknęła Claire, ale on dobiegł już prawie do połowy działu żywnościowego.

Jeden z mężczyzn, ubrany w granatową kurtkę i krawat, wyszedł właśnie z kolejki przed pizzerią i gestykulując, zaczął wydawać polecenia innym. Był starszy i wyglądał na dowódcę.

- Nie strzelać! - krzyknął. - Żadnej strzelaniny!

Z prawej strony Claire inny krótko ostrzyżony mężczyzna, który wałęsał się w pobliżu miejsca, gdzie sporządzano sałatki z jogurtem, okręcił się na pięcie i dołączył do pościgu. Para turystów z aparatami fotograficznymi, zwisającymi im z szyi, oglądająca eksponaty na wystawie stoiska Williams-Sonoma, odwróciła się nagle i zaczęła biec w kierunku drugiego końca atrium.

- Tom! - wrzasnęła Claire. - Co się, u diabła, dzieje?! Teraz, w najrozmaitszych punktach, mężczyźni wstawali od

stolików, wyłaniali się z pobliskich sklepów. Turyści i spacerowicze zaczęli się nagle poruszać szybko, zwinnie, osaczając Toma ze wszystkich stron. Z głośnika rozległ się donośny, metalicznie wzmocniony głos:

- Stać! Policja federalna!

W atrium podniósł się nieopisany zgiełk. Ciekawscy tłoczyli się przy szklanych balkonikach na wyższych piętrach, z niedowierzaniem przypatrując się scenie, która rozgrywała się na dole.

20

Claire stała jak wryta, zdrewniała ze strachu, myśli kłębiły jej się w głowie. Co się dzieje? Kim są ci wszyscy mężczyźni polujący na Toma?! I dlaczego on ucieka?!

- Mamusiu! - zapiszczała Annie. - Dokąd pobiegł tato?

- Obsadzić wyjścia ewakuacyjne! - ryknął mężczyzna w granatowej kurtce, przekrzykując gorączkowy harmider.

Claire mocno tuliła Annie, gładząc ją po buzi.

- Wszystko dobrze, dziecinko - powiedziała. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. O co tu chodzi? Ze wszystkich stron strumień ludzi napływał do środka działu z żywnością. Mały chłopczyk z płaczem przylgnął do nogi ojca.

Wciąż miała Toma w polu widzenia na przeciwległym końcu atrium. Biegł jeszcze szybciej, przewracając po drodze krzesła i ławki. Nagle skręcił ku wykładanej białymi kafelkami ścianie obok kiosku, gdzie sprzedawano japońskie dania na wynos, i chwycił automat przeciwpożarowy. Rozległ się ogłuszający dźwięk dzwonka. Wrzaski dochodziły teraz ze wszystkich stron. Wszędzie biegali ludzie, wołając do siebie.

- Mamusiu! - zawołała przerażona Annie. - Co się stało?

- Tom! - wrzasnęła Claire, przytulając Annie jeszcze mocniej, lecz jej głos zginął w tym niewiarygodnym hałasie, wyjąłym alarmie, dochodzących zewsząd krzykach. Widziała, jak Tom podbiega do brzegu ruchomych schodów, prowadzących do sali kinowej znajdującej się piętro wyżej.

Jeden z członków pościgu, wysoki, szczupły Murzyn, zdołał dogonić Toma i rzucił się na niego. Claire wydała bezwiedny okrzyk. Ale wówczas, niespodziewanie, Tom obrócił się i na płask uderzył mężczyznę w kark, drugą ręką chwycił go pod pachę i cisnął nim o podłogę. Agent zawył z bólu i rozpląszczył się na posadzce. Leżał z zamkniętymi oczami, nogi mu podrygiwały, najwyraźniej sparaliżowało go.

Claire przyglądała się temu z niemym zdumieniem, z tępym, niemal odrętwiającym strachem i niedowierzaniem. Kompletnie nic z tego nie rozumiała. Przechodziła jej przez głowę tylko jedna myśl - przecież on nie potrafił robić żadnych takich rzeczy.

Gdy Tom przemykał obok stoiska, oznakowanego napisem PASTA PRIMO, inny człowiek rzucił się nań z za lady, ale Tom cisnął nim o ziemię, po czym zaczął uciekać. Ale mężczyzna zdołał się podnieść i nadal zmierzał w kierunku Toma, teraz

21

celując ku niemu z broni. Tom wyrwał ciężką teczkę z metalowymi okuciami z rąk przerażonego gapia i rzucił nią w napastnika. Broń wypadła mu z rąk i z trzaskiem potoczyła się po podłodze.

Tom obrócił się na pięcie i pomknął w kierunku sztucznego wodospadu, toczącego się po granitowej ścianie na drugim końcu atrium, akurat gdy dwu innych mężczyzn wychynęło z za drzwi wyjścia ewakuacyjnego obok włoskiej restauracji odległej o parę kroków.

Tom wspinał się po skałach i gładkich ścianach przed wodospadem. Nagle jednym wielkim susem - Claire ledwo wierzyła własnym oczom - wskoczył na nierówny mur, po którym zaczął się posuwać, chwytając za wystające krawędzie kamieni, wykorzystując je jako oparcie dla palców dłoni i nóg, podciągając się na rękach.

Sunął do góry, zwrócony twarzą ku ścianie, niczym doświadczony wspinacz.

- Stać! - krzyknął za nim jeden z mężczyzn, po czym wyciągnął broń i wycelował. Gdy wystrzelił, pocisk odbił kawałek granitu tuż obok głowy Toma.

- Tom! - krzyknęła. Do innych wrzasnęła: - Przestańcie! Co wy, do diabła, robicie?! - Nie mogła uwierzyć, że Tom, jej mąż od trzech lat, człowiek, którego kochała i tak dobrze poznała, może wyczyniać podobne rzeczy. Miała wrażenie, że na jego miejscu znalazł się inny mężczyzna, ktoś, kogo nie znała. Ten potrafił dokonywać sztuczek, które jej Tomowi w ogóle nie przyszłyby do głowy.

Na moment Tom istotnie zastygł i Claire zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę zamierza się zatrzymać w tym miejscu, niemal dziesięć stóp nad ziemią, uczepiony sztucznej skały.

Kolejny strzał trafił w szklaną ściankę balkonu tuż nad nim i roztrzaskał ją. Mimo to Tom nadal wspinał się po ścianie z imponującą energią, a Claire wpatrywała się z najwyższym zdumieniem, jak sięga do miedzianej bariery wokół galerii, chwytając się jej i zwinnie wskakuje pomiędzy oniemiały, podekscytowany tłum widzów, pragnących wejść na salę kinową lub opuszczających ją szerokim strumieniem. Chwila, i już go nie było.

- Niech to szlag! - krzyknął dowódca, gdy doszedł do ruchomych schodów. Wskazującym palcem przebiegał po swoich ludziach. - Wy dwaj do krytego parkingu! Ty w górę,

22

do kina. No już! - Odwrócił się w stronę reszty załogi. - Niech to diabli, zgubiliśmy skurwiela! - Po czym wyciągnął rękę wprost ku Claire i Annie. - Bierzemy je! - rozkazał. - I to

zaraz!

2

Claire i Annie wepchnięto do małego, pozbawionego okna pomieszczenia tuż obok atrium. Sądząc z jego wyglądu oraz stojących na zewnątrz ochroniarzy w jasnoniebieskich koszulach z ciemnoniebieskimi naramiennikami, był to pokój ochrony centrum. Agent specjalny FBI Howard Massie, mężczyzna w granatowej kurtce, o małych szarych oczkach i twarzy poznaczonej śladami ospy, był muskularny i ostrzyżony na jeża. Resztę zespołu stanowili funkcjonariusze policji sądowej.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytała Claire, trzymając w objęciach wiercąca się Annie. W jej żołądku ze zdenerwowania narastała gęsta, bluzką pod pachami miała mokra od potu.

Annie wysunęła się na podłogę, lecz trzymała się spódnicy Claire.

- Gdzie jest tatuś? - zakwiliła.

- Pani Chapman - odezwał się agent Massie - chyba lepiej będzie, jeżeli porozmawiamy na osobności. Pani córka może poczekać na zewnątrz, pod opieką któregoś z tych miłych panów. - Pochylił się i pogłaskał ją po głowie. W odpowiedzi Annie wykrzywiła buzię, szarpnęła głowę i odsunęła się od niego.

- Niech pan zabierze ręce od mojego dziecka! - poleciła Claire. - Proszę jej w ogóle nie dotykać. Mała zostaje ze mną!

Massie skinął i zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu.

- Rozumiem pani zaniepokojenie...

- Zaniepokojenie? - wydusiła z niedowierzaniem. - Przed dziesięcioma minutami jedliśmy z mężem kolację. Nagle wszyscy dookoła zaczynają go ścigać, używając broni palnej. Chce pan znać skalę mojego zaniepokojenia? Ma pan w perspektywie rozprawę z powództwa cywilnego o wielomilionowe odszkodowanie z powodu nieuzasadnionego użycia siły przez dwie agencje rządowe, lekkomyślny pościg i nieostrożne narażenie

23

życia niewinnych osób. Pan i pańscy kowboje rozpętaliście burzę jak cholera.

- Pani Chapman, mamy całkowicie prawomocny nakaz aresztowania pani męża. Co do użycia broni, nie mieliśmy zezwolenia, by go zabić, lecz w razie konieczności wolno nam było go zranić, a przecież do tego nie doszło.

Claire potrząsnęła głową, roześmiała się i wyjęła z torebki telefon komórkowy. Wyciągnęła antenę i zaczęła naciskać numery.

- Dla „Heralda” i „Globe” przygotujcie sobie lepszą historyjkę - zauważyła. - Szukacie nie tego człowieka i po prostu schrzaniście robotę.

- Jeśli nie tego człowieka szukamy - odparł cicho Massie

- to dlaczego uciekał?

- Bo tak się na niego rzuciliście... - zająknęła się, nacisnęła przycisk „Koniec”. - No

dobrze, więc o co chodzi?

- Widzi pani - rzekł Massie - wcale pani tego nie chce. Nie chce pani informować mediów.

- Naprawdę?

- Gdy raz to się nagłośni, trudno będzie sprawę wyciszyć. A może wcale nie będzie pani chciała, żeby to się rozniosło. Wszystkie raporty policyjne będą utajnione i zrobimy, co się da, żeby nic się nie przedostało do mediów. Lepiej niech się pani modli, by nikt pani nie rozpoznał.

- Mamo - powiedziała Annie wysokim, przerażonym głosem. - Chcę do domu.

- Jeszcze chwileczkę, kochanie - poprosiła Claire, obejmując ją jedną ręką. - A o co dokładnie wam chodzi? - warknęła do Massiego.

- Pani mąż, Ronald Kubik, jest poszukiwany za morderstwo. Na moment Claire odjęło mowę.

- Teraz wiem na pewno, że szukacie nie tego człowieka.

- odezwała się wreszcie. Uśmiechnęła się z ulgą. - Mój mąż nazywa się Tom Chapman.

- To nie jest jego prawdziwe nazwisko - odparł Massie. Wskazał na biały, tandetny stół konferencyjny. - Może usiądziemy?

Claire zajęła miejsce naprzeciw Massiego. Annie z początku siedziała obok Claire, a potem zsunęła się na podłogę i zaczęła oglądać blat stołu od spodu.

24

- A nawet jeżeli rzeczywiście chodzi panu o mojego męża, Toma - zaczęła znowu Claire - to niby kogo miałby zamordować?

- Niestety, tego nie wolno mi ujawnić. Pani Chapman, czy też profesor Heller, proszę mi wierzyć, wiemy, kim pani jest. Znamy pani reputację. Działamy w tej sprawie niezwykle ostrożnie. Ale co pani wiadomo o przeszłości męża? Co pani powiedział?

- Wiem wszystko - skwitowała. - Szukacie nie tego faceta. Massie skinął głową i uśmiechnął się współczująco.

- To, co pani wie, to bajeczka, którą sam ułożył, wymyślona biografia. Szczęśliwe dzieciństwo w południowej Kalifornii, studia w Claremont College, pracował jako makler, przeniósł się do Bostonu, założył tu własną firmę inwestycyjną. Zgadza się?

Zwężiła oczy, skinęła potakująco.

- To bajki?
- Sprawdzala pani kiedyś w Claremont College? - zapytał. Potrząsnęła głową.
- Co pan sugeruje?
- Niczego nie sugeruję. I, szczerze mówiąc, niewiele mogę pani powiedzieć. Ale pani mąż, Ron Kubik, od trzynastu lat ucieka przed sprawiedliwością.
- Wy go tak nazywacie - rzekła ochryplym głosem, czując, jak wali jej serce. - Ja nigdy nie słyszałam tego nazwiska.
- Nigdy nie opowiadał pani o swojej przeszłości?
- Albo to jest jakaś kolosalna pomyłka, albo go wrabiacie. Wiem, jak się u was pracuje. Tom nie jest mordercą.
- Przed trzema dniami w waszym domu w Cambridge dokonano włamania - powiedział agent FBI. - Miejskowa policja sprawdziła wszystkie odciski palców, co obecnie stanowi normalną procedurę, i wpuściła je w skomputeryzowany, automatyczny system identyfikacji odcisków palców. Odciski palców pani męża wyszły jak na dłoni. Figurowały w systemie od lat, czekając, by popełnił jakieś przestępstwo albo by z jakichkolwiek powodów zdjęto mu je. Mąż miał pecha. Dobrze się dla nas złożyło, że policja w Cambridge była taka dokładna.

Potrząsnęła głową.

- Mojego męża w ogóle nie było wtedy w domu - oświadczyła. - Nikt mu nie zdejmował odcisków palców.

25

- Policja sprawdziła wszystkie odciski palców w domu, by wyeliminować osoby znajdujące się poza podejrzeniami. Naturalnie pojawiły się odciski pani męża - rzekł Massie. - Tym razem już prawie go mieliśmy. Niestety, przed paroma minutami zgubiliśmy go gdzieś na parkingu. Pani mąż zniknął już wcześniej i będzie znowu próbował. Ale tym razem nie uda mu się. Złapiemy go.

W ustach jej zaschło. Czowała coraz szybsze bicie serca.

- Nie wiecie, z kim zaczynacie - rzuciła z bladym uśmiechem.
- Skontaktuje się z panią - zapewnił Massie. - Jest mu pani potrzebna. A my będziemy mieli oko na wszystko.

Claire zastała swój samochód tam, gdzie go zostawiła: na małym, krytym parkingu centrum handlowego. Podświadomie spodziewała się, że na tylnym siedzeniu znajdzie skulonego Toma, a przynajmniej jakiś znak od niego. Karteczkę na tablicy rozdzielczej czy skrawek papieru wsunięty za wycieraczkę. Ale nic z tego. Ich volvo combi było puste.

Przez parę minut siedziała nieruchomo, oddychając ciężko. Starła się odzyskać panowanie nad sobą. Dopiero zaczęła pojmować rzeczywistość - czy raczej nierzeczywistość - to, co się stało. Annie siedziała z tyłu, liżąc loda, najwyraźniej zdążyła już ochłonąć ze strachu, natomiast Claire miała zamęt w głowie. Czego właściwie była przed chwilą świadkiem? Jeżeli Massie ją okłamał, jak zakładała, dlaczego Tom uciekał? I gdzie zdążył osiągnąć takie umiejętności?

W volvo był telefon i wyjeżdżając z parkingu w kierunku Cambridge, Claire miała cichą nadzieję, że zadzwięczy, ale milczał przez cały czas.

Dokąd uciekł? I czy nic mu się nie stało?

Ich dom był ogromny, zbudowany w osiemnastowiecznym stylu, lecz przed przepychem chroniły go chaotyczne dobudówki, szereg dodatków bez ładu i składu, dorzucanych przez kolejnych właścicieli. Był położony w Gray Gardens East, najwytworniej-szej dzielnicy Cambridge. Nawet z dużej odległości, gdy tylko Claire skręciła za róg, dostrzegła błysk niebieskiego światła lampy stroboskopowej, usłyszała niezwykajny o tej porze nocy hałas

26

ożywionej krzątanim, który, jak się zorientowała, dochodził z ich podjazdu. Poczowała kurcz i gniesienie w dołku.

Frontowe drzwi były otwarte.

Przyjrząwszy się bliżej, dostrzegła, że zostały wyjęte z zawiasów. Strach ścisnął jej żołądek. Zaparkowała samochód, chwyciła Annie za rękę i podbiegła do drzwi.

Dom był pełen mężczyzn otwierających szuflady i ładujących papiery do tekturowych pudeł. Niektórzy ubrani byli w garnitury i płaszcze, inni mieli na sobie granatowe kurtki FBI.

Annie wybuchnęła płaczem.

- Co ci panowie tu robią? - wykrztusiła.

Claire pogłaskała ją po plecach, gdy wchodziły do hallu.

- Nic się nie martw, dziecinko. - Po czym ryknęła: - Kto tym wszystkim dowodzi?!

Z kuchni wyłonił się mężczyzna w szarym garniturze i płaszczu. Wysoki, miał grzywę kasztanowych włosów, z całą pewnością farbowanych, gdyż były o parę tonów za ciemne i harmonizowały z brązowym wąsem. Wyciągnął legitymację służbową w skórzanej okładce.

- Agent specjalny Crawford, Biuro Federalne - przedstawił się.

- Proszę mi pokazać nakaz rewizji - zażądała.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie, po czym niechętnie sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kilka kartek papieru, które jej podał.

Obejrzała je. Nakaz przeszukania ich domu nie budził zastrzeżeń. Nie dość, że podawał dokładny adres, to jeszcze opisywał wygląd budynku. Zawierał też bezsensownie dokładną listę przedmiotów, których szukali. Spis interesujących ich rzeczy był tak skrupulatny, szczegółowy i wszech-obejmujący, że chyba niczego nie przepuścili. Wydruki rozmów telefonicznych, bilety lotnicze, autobusowe i kolejowe, notatki dotyczące czasu przylotów samolotów i odjazdów Pociągów, gazety z innych stanów, ogłoszenia, wszelkie związane z tym notatki, jakie mogli znaleźć w śmieciach, w papierach Toma, pomiędzy jego osobistymi rzeczami... Ciągnęło S'C to bez końca.

Claire spojrzała na Crawforda.

- Mogę zobaczyć uzasadnienie nakazu?

- Jest utajnione.

27

- Ale gdzie się znajduje? Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie w pomieszczeniach sądu federalnego. Naprawdę nie mam pojęcia. Ale nakaz jest ważny.

Miał, naturalnie, rację.

- Chcę dostać dokładny spis tego, co zabieracie - oświadczyła.

- Oczywiście, prześlemy go pani.

Spojrzała na drugi nakaz, nakaz aresztowania, który wymieniał to samo dziwne

nazwisko: Ronald Kubik. Agent FBI, widząc, że dokładnie czyta nakaz, powiedział:

- Podane jest też przybrane nazwisko, Thomas Chapman. Wszystko jest w należytym porządku.

Słyszała, jak zespół agentów porozłaził się po całym mieszkaniu, dobiegł ją szurgot mebla przesuwanego po drewnianej podłodze w gabinecie Toma, znajdującego się tuż nad jej głową, zewsząd dochodziły pokrzykiwania. Zbiło się coś szklanego. Skuliła się bezwiednie. Wszystko to wydawało się jej takie niezwykle, przerażające, pełne skrytej groźby, nierealne.

- Słukli coś - rzekła Annie, spoglądając na matkę ze strachem.

- Wiem, kochanie - odparła.

- Mamo, chcę, żeby oni już sobie poszli.

- Ja też, dziecinko.

- Pani, hm, profesor Heller - odezwał się agent Crawford - jeżeli cokolwiek pani wiadomo o miejscu pobytu męża, a pani to zatai, możemy postawić zarzut o współudział, co w tym wypadku jest przestępstwem. Oraz o matactwo, co również jest przestępstwem.

- Niech pan tylko spróbuje - zachnęła się. - No, proszę bardzo, niech mnie pan oskarży. Nie mam nic przeciwko temu.

- Mają państwo dom letniskowy? - warknął Crawford.

- Mamy dom w Truro, na Cape Cod. Jeśli chce pan posłać tam swoich chłopców, to proszę uprzejmie, nie mogę pana powstrzymać. Ale czy naprawdę uważa pan, że jeśli z jakichś powodów on rzeczywiście ucieka, to ukryje się w miejscu, gdzie policja na pewno będzie go szukać? Niech się pan chwilę zastanowi.

- Czy może udać się do jakichś krewnych czy przyjaciół? Potrząsnęła głową.

- Sama pani rozumie, że będziemy śledzić każdy jej ruch,

28

na wypadek gdyby chciał się z panią skontaktować albo gdyby pani usiłowała skontaktować się z nim.

- W pełni zdaję sobie sprawę - odparła Claire - do jakich draństw zdolne jest państwo, jeżeli chce kogoś zdołować.

Crawford, z półśmieszkiem, przytaknął.

- Mój mąż też o tym świetnie wie. A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym położyć córkę spać.

4

Annie leżała już w łóżku od pół godziny, gdy przybyła siostra Claire, Jackie. Była wyższa niż Claire, szczuplejsza, ale nie taka ładna, o długich blond włosach farbowanych w pasemka. Dwa lata młodsza, wyglądała na starszą. Ubrana była w czarne dzinsy i takiż podkoszulek, na który narzuciła podniszczony żakiet. Paznokcie miała pomalowane, jednak nie na czarno, ale na jakiś kolor fioletowy, z serii Chanel Vamp.

Siedziały na oszklonej werandzie. Duszne, przegrzane pomieszczenie przywodziło na myśl cieplarnię. Szklane ściany, ciągnące się od podłogi do sufitu, były zaparowane, na zewnątrz pokrywały je krople wody.

- Wywrócili cały dom do góry nogami, tak? - powiedziała Jackie ochryłym głosem palaczki. Z białej kartonowej tacki zajadała pałeczkami kurczaka posypanego sezamem.

Claire skinęła potakująco.

- Możesz ich za to skarżyć? Zniszczenie mienia czy coś podobnego?

Claire z wolna potrząsnęła głową.

- Mamy poważniejsze sprawy na głowie, mała.

- O co, twoim zdaniem, w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem - przyznała drżącym głosem.

Jackie pociągnęła łyk dietetycznej pepsi, po czym wyjęła Papierosa z paczki salemów.

- Mogę zapalić?

- Nie.

Jackie, nie zrażona, pstryknęła plastikową zapalniczką. Koniuszek papierosa rozjarzył się na pomarańczowo. Zaciągnęła SLC i powiedziała niewyraźnie, z ustami pełnymi dymu:

- Oskarżają go o morderstwo? To jakaś bzdura. Papież Tom?

- Papież?
- Dobry katolik i chodząca doskonałość.
- Bardzo śmieszne, Jackie. Jeszcze to wszystko do ciebie nie dotarło?! Żarty sobie stroisz?!
- Przepraszam. Czy na nakazie było napisane, za co chcą go aresztować?

Claire znowu potrząsnęła głową.

- Utajnili to.
- Czy to dozwolone?
- Nie znasz rządu. Nie uwierzyłabyś, jakie rzeczy uchodzą im na sucho.
- A to nazwisko? Rubik czy jak to tam było?
- Kubik. Ronald Kubik. Nigdy go nie słyszałam.
- Może coś w tym być?
- Już nic nie wiem. Wyglądali na takich pewnych swego.
- Mówią, że są pewni. Kto wie, jak naprawdę sprawa wygląda.
- Racja. Też sobie zapalę. Muszę dojść do siebie.
- Akurat.
- Masz na mnie zły wpływ. - Wzięła od Jackie papierosa i zapalniczkę. Zapaliła go, zaciągnęła się i kaszlnęła. - Dawno nie paliłam.
- To jak z jazdą na rowerze - rzekła Jackie.
- O, mentolowy - powiedziała Claire. - Świństwo. Prawie tak samo paskudny jak perfumowany. Smakuje jak maść na przeziębienie.

Przez zaparowane szyby Jackie spojrzała na wytwornie urząA dzony dziedziniec.

- Więc gdzie on jest?
i wypuściła chmurę dymu. Na

I Claire potrząsnęła głową

werandzie było od niego aż mglisto.

- Mówią, że stracili go z oczu na krytym parkingu.

- Powiedział ci, że ma coś na sumieniu?
- Daj spokój! - warknęła Claire. - To jakieś bzdury. Tom w nic nie jest wplątany.
- Więc co chcesz zrobić?
- Zrobić? Oni mają rację, skontaktuje się ze mną. I wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi.
- A jeżeli rzeczywiście kogoś zamordował?
- Przecież go znasz, Jackie - rzekła cicho Claire, z napięciem i złością. - Co ty o tym sądzisz?

30

- Masz rację. Nie jest mordercą. Ale uciekał. To trochę daje do myślenia.

Claire jęknęła i potrząsnęła głową, jakby chciała odegnać tę myśl.

- Wiesz - odezwała się po chwili - kiedy ci faceci za nim biegli, jeden go dogonił i byłam pewna, że to koniec. Ale nagle Tom cisnął nim o ziemię. Obezwładnił go gołymi rękami. Unieruchomił, znokautował - mógł go nawet zabić.
- Jezu!
- Mam wrażenie, jakby... Nigdy nie widziałam, żeby wyczyniał podobne rzeczy. Nie wiedziałam, że w ogóle jest do tego zdolny. To było przerażające. A żebyś widziała, jak się wspinał po tej skale, po wodospadzie. Tak jakby zupełnie zmienił skórę.
- Nie wiedziałam, że potrafi się wspinać.
- Ja też nie.

Przez chwilę siedziały w milczeniu.

- Myślisz, że będzie coś na ten temat w gazetach? - spytała Jackie.
- Jak dotąd żaden dziennikarz do mnie nie dzwonił. Chyba nikt mnie nie rozpoznał, z wyjątkiem kelnera, który chyba nie widział tego wszystkiego.

Jackie wypuściła przez nos chmurę dymu, wysunęła podbródek do przodu.

- Tom wróci. Wytłumaczy całą tę historię. Claire przytaknęła.
- Jest fantastycznym ojczymem. Annie go uwielbia. Piesz-czoszka tatusia.
- Taak. - Poczowała, jak coś wzbiera w jej piersi. Już za nim tęskniła i bała się o niego.

- Annie powiedziała, że w zeszłym tygodniu przyszedł do jej szkoły na dzień matki.

Claire zmarszczyła brwi z niezadowoleniem.

- Wszystko tak sobie ułożyłam, żeby tam pójść, ale miałam w Nowym Jorku spotkanie z adwokatami Lamberta i nie zdołałam wrócić na czas.

- Och, i tak musiała być zachwycona.

- Ja się czułam okropnie.

- Jak to się dzieje, że mógł tak sobie wyjść w środku dnia, żeby pójść do niej do szkoły? Myślałam, że należy do typu A - wiesz, natręstwa myślowe, czynności przymusowe.

31

- Chyba posadził za swoim biurkiem swego głównego handlowca, Jeffa. Nie mam pojęcia. Niewielu facetów tak by się zachowało.

- Przynajmniej nie nazywa jej księżniczką. To dopiero byłoby upiorne.

- Czasami wydaje mi się, że Annie mnie uważa za macochę.

- Ile ona miała, co? Ze dwa lata, jak się pobraliście. Nie pamięta czasów, kiedy nie był jej tatusiem.

- Mimo wszystko - rzekła ponuro Claire - ja jestem jej rodzoną matką.

- Znajdzie się tu jakaś wódka? - zapytała Jackie.

Claire była przekonana, że szczęśliwe małżeństwo można docenić dopiero wtedy, gdy ma się za sobą zły związek. Swego pierwszego męża, Jaya, poznała na wydziale prawa Uniwersytetu Yale. Wtedy wydawało się jej, że będą do siebie dobrze pasowali. Jay był przystojny, pozornie pogodny (choć w istocie nakręcał się mocniej niż sprężyna zegarka), wysoki, jasnowłosy, szczupły. Okazywał jej tyle względów, jak żaden mężczyzna do tej pory, i już to samo wystarczyło, by całkiem ją oszołomić. Claire jako młodej kobiecie bardzo brakowało pewności siebie, a to dlatego, że jej ojciec porzucił rodzinę, gdy miała dziewięć lat (co wyjaśniono jej dokładnie podczas psychoterapii). Jay pragnął robić karierę, pracował równie ciężko jak Claire i dlatego, błędnie, wydawało się jej, że będą stanowić dobraną parę. Po stażu, gdy młodej narzeczonej zaproponowano prowadzenie zajęć na wydziale prawa Uniwersytetu Harvarda, Jay przeniósł się do Bostonu, by podjąć pracę w potężnej firmie w centrum miasta, a także by być bliżej Claire. Pobrali się. Pracowali i rozmawiali o pracy. W weekendy Jay rozpręzał się, upijając się hałaśliwie. Zaczynał też robić się agresywny.

Okazało się, że jest człowiekiem głęboko nieszczęśliwym.

Choć Claire zbliżała się już do trzydziestki, żadne z nich nie dojrzało do założenia rodziny. Dopiero później zdała sobie sprawę, że ta jej niechęć to był po prostu wczesny sygnał ostrzegawczy - instynkt podpowiadał jej, że tkwi w złym związku. Kiedy przypadkowo zaszła w ciążę, Jay zaczął upijać się regularnie, najpierw w weekendy, potem

32

w porze lunchu, a później mniej więcej o każdej porze. Cierpiała na tym, oczywiście, jego praca. Nie zrobili go współnikiem w firmie. Zaproponowali, by poszukał sobie zajęcia gdzie indziej.

Powiedział, że nie chce dziecka. Nie był nawet pewien, czy pragnie być jej mężem. Przyznawał, że przeraża go ten gejzer energii, który poślubił. Gdy Annie się urodziła, przeprowadził się do swoich rodziców, do Austin w Teksasie.

I oto została sama. Młoda gwiazda wydziału prawa wedle ogólnie przyjętych kryteriów odniosła wielki sukces, lecz jej życie prywatne legło w gruzach. Nie bardzo wiedziała, jak by sobie dała radę bez pomocy siostry, Jackie.

Jackie oraz Toma Chapmana, doradcy inwestycyjnego, któremu Jay powierzył zarządzanie ich małym, lecz rosnącym portfelem akcji. Tom został jej przyjacielem, wspierał ją, na jego piersi mogła się wyplakać. Gdy Annie miała pół roku, jej tatuś, którego w ogóle nie знаła, zginął w wypadku samochodowym. Naturalnie był pijany. Tom Chapman przychodził wówczas do domu Claire niemal codziennie, pomagając jej przebrnąć przez to wszystko, załatwiając formalności, służąc radą.

Pięć miesięcy później Claire i Tom zaczęli się spotykać. Pomógł się jej pozbierać emocjonalnie, zmusił ją do chodzenia na mecze Red Sox w Fenway Park i rozgrywki Celtics w starym Boston Garden. Wyjaśnił jej tajniki koszykówki, co to są krótkie przerwy i na czym polega dobre kozłowanie. Gdy wpadała w ponury nastrój, rozweselał ją żarcikami, przeważnie marnymi, tak długo, aż zaczynała się śmiać z ich kiczowatości. Jeździli na majówki do Lincoln, a raz, gdy padało, Tom urządził przekąskę na dywanie w salonie swego mieszkania na South End. Ustawił na nim koszyki wyładowane kanapkami, sałatką z makaronu i chipsami kartoflanymi. Tom wydawał się tyleż czuły, co Jay nieuchwytny i odległy. Był łagodny, troskliwy, a jednocześnie lubił się zabawić i miał nieco przewrotne poczucie humoru, które Claire uwielbiała.

I przepadał za Annie. W istocie miał bzika na jej punkcie. Potrafił zajmować się nią całymi godzinami: stawiali zamki z klocków, bawili się dużym drewnianym

domkiem dla lalek, który dla niej zrobił. Gdy Claire musiała pracować, zabierał ją na plac zabaw, do sklepu ze zwierzętami albo po prostu

33

spacerowali wokół Harvard Square. Annie, która nie rozumiała, co się stało z jej prawdziwym ojcem, początkowo coś do Toma ciągnęło, a zarazem instynktownie odpychało, lecz gdy Claire zakochała się w Tomie, Annie również obdarzyła go uczuciem. Półtora roku później Claire i Tom się pobrali. Trafiła w końcu na mężczyznę, w którym znalazła oparcie.

No dobrze, za pierwszym razem poślubiła niewłaściwego człowieka. Ale jak powiada rosyjskie przysłowie, które Claire kiedyś przeczytała i zapamiętała na całe życie: pierwszy naleśnik nigdy się nie udaje.

Dwukrotnie wyszczotkowała zęby nową pastą z dodatkiem sody i nadtlenu, lecz ciągle czuła się tak, jakby miała w ustach popielniczkę. Ciekawe, dlaczego nigdy jej to nie przeszkadzało, gdy wypalała dwadzieścia papierosów dziennie. Tom nie znoślił, gdy paliła, i zmusił ją do rzucenia nałogu.

Czując w głowie lekki zamęt od wódki, którą wypily wraz z Jackie, położyła się do łóżka i zaczęła rozmyślać.

Gdzie Tom może teraz być? Dokąd mógł się udać?

I dlaczego?

Podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Raya Devereaux, prywatnego detektywa, z którego usług często korzystała. Sygnał był urywany, co znaczyło, że coś się nagrało na automatycznej sekretarce. Nic w tym niezwykłego, ale może Tom zostawił wiadomość. To by miało sens: tylko ich dwoje znało tajny kod do poczty głosowej.

Ale, z kolei, jeśli FBI rzeczywiście założyło im podsłuch, usłyszą to wszystko, co i ona.

Wywołała pocztę głosową.

- Proszę podać hasło - poprosił automatyczny żeński głos, przyjazny i rzeczowy.

Nacisnęła dwa przyciski.

- Nagrały się dwie wiadomości. Uwaga: aby wysłuchać wiadomości, proszę nacisnąć jedynekę. Aby wysłać wiadomość...

Nacisnęła jedynekę.

- Pierwsza wiadomość. Nagrana dzisiaj, piętnaście po szóstej po południu. -
Usłyszała kobiecy głos: - Hej, Claire, zupełnie o mnie zapomniałaś. Mówi Jen. -
Jennifer Evans należała do jej najstarszych i najbliższych przyjaciółek, ale lubiła paplać,

34

a Claire nie miała teraz na to czasu. Nacisnęła jedynekę, by pozbyć się tego głosu, lecz wiadomość zaczęła płynąć od początku. Zniechęcona, słuchała jednym uchem długiej i zawilej opowieści przyjaciółki, aż wreszcie Jen skończyła. Wówczas sympatyczny żeński automat zapytał, czy chce przesłuchać wiadomość jeszcze raz, usunąć ją bądź wysłać swoją. Postanowiła ją usunąć, a wtedy przyszła kolej na następną.

- Otrzymana dzisiaj, dwadzieścia po siódmej wieczorem. - Rozległ się męski głos, głos Toma, i serce w jej piersi podskoczyło.

- Claire... kochanie... - mówił z jakiegoś miejsca na zewnątrz, gdyż słyszała głośny hałas ruchu ulicznego. - Nie wiem, kiedy otrzymasz tę wiadomość, ale nie chcę, żebyś się czymkolwiek martwiła. Ze mną wszystko w porządku. Tak się złożyło... Musiałem zniknąć. - Długa pauza. Usłyszała gardłowy ryk motocykla. - Nnie... nie jestem pewien, na ile można ufać zabezpieczeniu tej sekretarki, kochanie. Nie chcę mówić za wiele, ale nie wierz w nic, co ci będą opowiadali. Niebawem skontaktuję się z tobą, tak czy inaczej. Kocham cię, dziecinko. I tak mi strasznie, strasznie przykro. Uściskaj ode mnie mocno moje słoneczko. Powiedz jej, że tatuś musiał wyjechać na jakiś czas w interesach i przykro mu, że nie mógł ucałować jej na pożegnanie, ale wkrótce się zobaczymy. Kocham cię, skarbie.

I głos zamilkł. Przesłuchała wiadomość jeszcze raz, i jeszcze, po czym nacisnęła dwójkę, by ją zachować, i odwiesiła słuchawkę.

Samotna w małżeńskim łóżku, zaczęła płakać.

5

Obudziła się, wyciągnęła rękę, by dotknąć Toma, i wtedy Wszystko sobie przypomniała.

Czując lekkiego kaca po wczorajszej popijawie, przygotowała dla Annie i siebie śniadanie: omlet z czterech jaj, bez żadnego nadzienia czy dodatków, ale okazał się smaczny, co graniczyło z cudem. Tom był rodzinnym kucharzem, a przyrządzenie jajek stanowiło największy kulinarny wyczyn Claire. Zsunęła omlet na ulubiony talerz Annie, po czym zgrabnie przecięła go i połowę wzięła dla siebie.

35

- Nie chcę tego - kaprysiła Annie, gdy Claire postawiła przed nią śniadanie. Nadal była w pizamie. Nie chciała się ubrać. - Nie lubię takich jajek.

- To omlet, kochanie - powiedziała Claire.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam na niego ochoty. Lubię jajka tak, jak je przyrządza tatuś.

Claire powoli wzięła głęboki oddech.

- To chociaż spróbuj.

- Nie chcę tego próbować. W ogóle tego nie chcę.

- Zjemy go razem, ty i ja. - Claire wskazała na połówkę omleta na swoim talerzu. - Widzisz?

- Jest ohydny. Chcę takie jajka, jakie przyrządza tatuś.

Claire usiadła na krześle obok Annie i pogładziła jej niewiarygodnie miękkie policzki. Annie gwałtownie odwróciła głowę.

- Kochanie, nie mamy już więcej jajek, więc nie mogę ci zrobić takiej jajecznicy, jaką smaży tatuś.

- Chcę, żeby tatuś przygotował śniadanie.

- Mówiłam ci już, że tatuś musiał wyjechać na jakiś czas w interesach.

Usta Annie wygięły się w podkówkę.

- Ile to jest „na jakiś czas”?

- Parę dni, dziecinko. Może trochę dłużej. Ale to bardzo, bardzo ważna sprawa, bo tatuś nie odjechałby od ciebie, gdyby nie zaprzętały go tak ważne rzeczy. Dobrze o tym wiesz.

- Ale dlaczego uciekał ode mnie? Więc o to chodziło.

- Nie uciekał od ciebie, kochanie. Musiał... ukryć się przed pewnymi złymi ludźmi.

- Jakimi złymi ludźmi? Dobre pytanie.

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego?

- Dlaczego co? Dlaczego musiał uciekać?

Annie skinęła głową, przyglądając jej się bacznie. Zawisła jej wprost wzrokiem na ustach.

- Jeszcze nie wiem.
- Czy tata wróci?
- Oczywiście, że tak. Za parę dni.
- Chcę, żeby wrócił dzisiaj.

36

- Ja też, skarbie. Ja też. Ale nie może, bo ma bardzo ważne spotkania w interesach.

Twarz Annie pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Przez chwilę wydawało się, że burza minęła, że uśmierzyło to jej niepokój.

Lecz nagle, jednym rzutem rąk zmiotła talerz ze stołu na podłogę wykładaną terakotą. Talerz rozleciał się z głośnym trzaskiem, wszędzie pofrunęły odłamki. Żółty półksiężyc omletu trzepotał się na podłodze, usiany wyszczerbionymi kawałkami porcelany.

- Annie! - Claire zapało dech w piersiach. Annie posłała jej spojrzenie pełne buty i triumfu.

Claire z wolna opadła na podłogę, skrywając twarz w dłoniach. Czuła się jak sparaliżowana. To było już ponad jej siły.

Oczyrna zalanyimi łzami spojrzała na córkę. Annie wpatrywała się w nią, wstrząśnięta tym, co zrobiła.

- Mamusiu? - odezwała się Annie cieniutkim głosem.
- Nic się nie stało, dziecinko.
- Mamusiu, przepraszam.
- Już dobrze. To nie dlatego, kochanie.

Otworzyły się frontowe drzwi. Brzęk kluczy i pokasywanie oznajmiały przybycie Rosy.

- Czy to tatuś?
- To Rosa. Mówiłam ci, że tatusia nie będzie przez jakiś czas.
- Pani Chapman! - krzyknęła Rosa, podbiegając do Claire. Pomogła jej się z wolna

podnieść. - Nic się pani nie stało?

- Wszystko w porządku, Roso, dzięki, nic mi nie jest. Rosa rzuciła Claire szybkie, zmartwione spojrzenie, po czym

ucalała Annie w policzek, na co dziewczynka czekała, siedząc spokojnie.

- Querida.

Claire przyglądała włosy, nerwowo poprawiła bluzkę. Wiedziała, że wygląda żałośnie.

- Roso - rzekła. - Muszę pędzić do pracy. Możesz zrobić Annie śniadanie i odprowadzić ją do szkoły?

- Oczywiście, pani Chapman. Zjesz francuskie grzanki, qu-erida!

- Tak - odparła ponuro Annie. Spoglądała ukradkiem to na matkę, to na Rosę.

37

- Skończyły się nam jajka, Roso. Ostatnie zużyłam dziś rano. Na to. - Claire nieokreślonym gestem wskazała na bałagan na podłodze.

- Właściwie chcę gofry - rzekła Annie.

Rosa przyklękła na podłodze, ostrożnie zebrała odłamki porcelany i włożyła do papierowej torby na zakupy.

- W porządku - powiedziała Rosa. - Zrobimy gofry.

- Pocałuj mamusię. - Claire pochylila się, by dotknąć wargami małej.

Annie chwilkę siedziała nieruchomo, po czym odwzajemniła pocałunek.

Wychodząc, Claire podniosła słuchawkę kuchennego telefonu w nadziei, że usłyszy urywany dźwięk, sygnalizujący, że nadeszła nowa wiadomość.

Ale odpowiedziała jej głucha cisza.

6

- To jakiś koszmar - jęknęła Connie Gamache, jej długoletnia sekretarka. - Od dwu dni telefon dzwoni bez przerwy. Poczta głosowa jest zapchana do reszty, nie przyjmuje już nowych wiadomości. Czeka tu już jakaś pani i kilku dżentelmenów. - Zniżyła głos. - Tej ostatniej nazwy używam w znaczeniu bardzo ogólnym.

- Jak się masz, Connie - rzekła Claire, odwracając się, by zobaczyć na własne oczy,

komu będzie musiała stawić czoło. Poczekalnia, w której stały dwie twarde ławki i parę krzeseł, zazwyczaj była pusta. Z rzadka zaplątał się tu samotny student czy dwu. Dziś w ciasnym pomieszczeniu tłoczyli się reporterzy. Rozpoznała szefa bostońskiego biura „New York Timesa” oraz sympatyczną reporterkę z Channel-Four News. Ich dwoje powitała milcząco, uniesieniem podbródka. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była rozmowa o sprawie Lamberta z oburzonymi dziennikarzami.

- Potrzebna mi asystentka - perorowała Connie, której usta ani na chwilę się nie zamykały. - Ni z tego, ni z owego zostałam Miss Popularności.

- Za pół godziny mam zebranie rady wydziału - rzekła Claire, zdejmując płaszcz i jednocześnie otwierając drzwi ga-

38

binetu. Zdobiła je mosiężna tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem: CLAIRE M. HELLER, którym posługiwała się zawodowo.

Connie weszła za nią do gabinetu i zapaliła górne światło. Była barczysta, szeroka w biodrach, siwowłosa, przed laty uchodziła za piękność. Wyglądała znacznie starzej niż na pięćdziesiątkę.

- Przyszło mnóstwo reporterów, którzy chcą przeprowadzić z tobą wywiady - ostrzegła. - Odesłać ich wszystkich czy jak?

Claire zaczęła wypakowywać papiery z teczki i układać je w zgrabne stosiki na długim biurku z drzewa wiśniowego. Westchnęła przeciągle, bezradna i zniechęcona.

- Zapytaj tę - jak jej tam, z Channel-Four - Novak czy Nowicki - ile jej czasu potrzeba. I poproś tego faceta z „Ti-mesa”, żeby przyszedł później, może po południu.

Connie potrząsnęła głową z wyraźną dezaprobatą. Dobrze dawała sobie radę z przedstawicielami mediów, lecz uważała ich wszystkich za pijawki, które należy oderwać natychmiast, gdy się przyssą. Claire była wdzięczna sekretarce za jej troskę, gdyż zazwyczaj miała rację - reporterzy węższą za sensacją, przesadzają i robią z człowieka szmatę, jeśli tylko ujrzą po temu najmniejszą szansę. Przeważnie też nie przywiązują zbyt wiele wagi do faktów. Connie wróciła po minucie.

- Teraz się wściekli. Carol Novak powiada, że wystarczy jej pięć, dziesięć minut.

- Doskonale - odparła Claire. Z Carol Novak, o, tak się właśnie nazywała, zawsze dobrze się rozmawiało - była bystra, dość dokładna i okazywała mniej agresywnej niechęci wobec Harvardu niż większość miejscowych reporterów. - Przejrzę tylko

swoją pocztę elektroniczną, a potem możesz wpuścić Carol Novak.

Carol Novak z Channel-Four weszła w towarzystwie kamerzysty, który szybko ustawił światła, zmienił położenie lampy o a biurku i uplasował się naprzeciw obu pań. Tymczasem reporterka, drobna, śmiała rudowłosa dziewczyna - bardzo ładna, lecz zbyt mocno umalowana, co się często zdarza reporterkom na planie - gawędziła z Claire. Miała doskonale

39

podkreślone usta, a wydepilowane brwi układały się w idealne, drobne łuki. Zapytała o Annie, obie bowiem miały sześćioletnie córki. Opowiedziała Claire ploteczkę o innym znacznie sławniejszym juryście z wydziału prawa. Uśmieły się z najnowszego dowcipu. Carol powiedziała Claire kilka komplementów i położyła jej rękę na dłoni, jakby były najszczerzszymi przyjaciółkami. Wydawało się, że nie ma pojęcia o wydarzeniach w centrum handlowym. Kamerzysta zapytał, czy Claire mogłaby odsunąć krzesło od okna i ustawić je na tle półek z książkami, sięgającymi od podłogi do sufitu. Potem, gdy wszystko już było gotowe, Carol usiadła naprzeciw Claire, w tym samym kadrze i pochyliła się ku niej z wyrazem głębokiego zaniepokojenia.

- Ostatnio bardzo panią krytykowano za przyjęcie sprawy Gary'ego Lamberta - powiedziała. Jej głos stał się głębszy, lecz oddychała z pewnym trudem, przepełniona troską.

- Raczej za to, że ją wygrałam - odparła Claire. Carol Novak uśmiechnęła się zabójczo.

- Cóż, doprowadziła pani do zwolnienia skazanego już gwałciciela z powodów czysto formalnych.

Claire odwzajemniła jej uśmiech.

- Nie nazwałabym Czwartej Poprawki „formalnością”. Faktem jest, że jego prawa obywatelskie zostały naruszone podczas przeszukiwania jego mieszkania. Moim zadaniem była obrona tych praw.

- Nawet jeśli znaczy to, że skazany gwałciciel będzie mógł wyjść na wolność i gwałcić dalej?

Claire potrząsnęła głową.

- Lambert został skazany, ale rozprawa miała usterki proceduralne. Dowodem tego jest skuteczność naszej apelacji.

- Chce pani przez to powiedzieć, że on tego nie zrobił?

- Chcę powiedzieć, że podczas procesu dopuszczono się usterek proceduralnych. Jeżeli pozwolimy na to, by łamano prawo podczas procesów, wszyscy będziemy zagrożeni. - Ileż razy to powtarzała! Czy jej słowa zawsze brzmiały tak pusto i nieprzekonująco jak dziś?

Carol Novak odchyliła się na krześle. Wpatrzyła się w oczy Claire z przerażającą zawziętością.

- Co czuje pani jako kobieta, wypuszczając gwałciciela na wolność?

40

Claire odpowiedziała szybko, nie chcąc, by pauzę rozmówczyni uznała za oznakę wątpliwości.

- Jak już mówiłam, nie o to chodziło w tym procesie.

- Claire - rzekła Carol Novak z głębokim smutkiem, porażającym napięciem, zatrwającą troską gospodarza dziennego programu, który przeprowadza obszerny wywiad z mieszkańcem przyczepy w parku, wyrzutkiem, sypiającym z dzieckiem, które spłodził z własną córką - czy kiedykolwiek, choć czasem, czujesz - tu dotknęła swej piersi - że postępujesz niesłusznie?

Claire zrobiła dramatyczną pauzę.

- Gdybym kiedykolwiek tak czuła - odparła z wielką pewnością siebie - nie zrobiłabym tego - i uśmiechnęła się w sposób mówiący. „Już skończyliśmy”. Wiedziała, że tym uśmiechem Channel-Four zakończy rozmowę.

Ray Deveraeux stanął w drzwiach jej gabinetu. Prywatny detektyw sprawiał wrażenie niemal równie potężnego co owe drzwi, ważył dobre sto dwadzieścia kilogramów, ale nie wyglądał na grubasa. Był natomiast masywny. Głowa wydawała się nieproporcjonalnie mała w porównaniu z olbrzymim tułowiem, lecz biorąc pod uwagę jego ogromny wzrost, mogło to być tylko złudzenie optyczne.

Deveraeux miał dar do dramatycznych gestów. Nie wszedł ot, tak, po prostu do gabinetu - on do niego wkroczył. Teraz ustawił się w progu, skrzyżował ramiona na piersiach i czekał, co też ona mu zakomunikuje.

- Dzięki, że przyszedłeś, Ray - rzekła Claire.

- Proszę bardzo - odparł ponuro, jakby wykonał dla niej którąś z nadludzkich prac Herkulesa. - Gdzie wy tu, do diabła, parkujecie?

- Ja parkuję w garażu na wydziale. Ale powinno być mnóstwo miejsca na

Massachusetts Avenue.

- Musiałem zaparkować przy hydrancie - jęknął głucho. - Zostawiłem książeczkę z pustymi blankietami mandatowymi na tablicy rozdzielczej. - Nie pracował w policji już od jakichś dwunastu lat, ale wciąż używał wszelkich policyjnych sztuczek i akcesoriów, czerpiąc uboczne korzyści z tytułu dawnego zatrudnienia. Jego książeczka z blankietami mandatowymi

41

miała już chyba z dziesięć lat, ale strażnicy pilnujący par-kometrów, kierując się solidarnością zawodową, nie wlepią mu mandatu za pięćdziesiąt dolarów. - A przy okazji moje gratulacje.

- Z jakiej okazji?

- A jak myślisz? Za zgarnięcie całej puli w toto-lotku? Za Lamberta!

- Dzięki.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że zostałam wyklęta przez wszystkie organizacje kobiece? Nigdy cię do żadnej nie wpuszczą.

- I tak nie miałam zamiaru nigdzie wstępować. Wejdz, rozgość się. Usiądź.

Wszedł do jej gabinetu z ociąganiem, czując się w nim nieswojo. Devereaux nie lubił spotykać się z nią w jej miejscu pracy, na jej terytorium. Wolał, by odwiedzała go w jego mateczniku, w południowej dzielnicy Bostonu. Miał tam biuro, wyłożone płytkami ze sztucznego drewna, którego ściany zdobiły liczne dyplomy i zaświadczenia. Tam czuł się wszechwładny. Teraz przystanął przed jednym z krzeseł dla gości i obrzucił je wściekłym spojrzeniem, jakby nie był pewien, do czego służy ten sprzęt. Na tle jego postaci krzesło nagle zaczęło wydawać się niezwykle kruche. Wyciągnął palec w jego kierunku i się uśmiechnął. Z uśmiechem na twarzy wyglądał na dziesięcioletniego chłopca, nie zaś na czterdziestosiedmioletniego detektywa.

- Masz coś, co by się pode mną nie załamało?

- Weź moje. - Claire podniosła się ze swego skórzanego, biurowego fotela z wysokim oparciem i zamieniła się miejscami z Devereaux. Zajął jej siedzisko bez najmniejszych oporów, wygodnie teraz rozparty za jej biurkiem. Widocznie najdrobniejszy symbol władzy wprawiał go w dobre samopoczucie.

- A więc zadzwoniłaś - odezwał się Devereaux. Odchylił się w krześle i splótł ręce na brzuchu. Fotel zaskrzypiał złowieszczo.

- Owszem, ale nie zostawiłam wiadomości - rzekła, zdziwiona.
- Identyfikacja dzwoniących. Znalazłem twój numer w wykazie. Więc o co chodzi, znowu Lambert? Myślałem, że już skończyłaś z tym gnojkiem.

42

_ To coś zupełnie innego, Ray. Potrzebuję twojej pomocy. _ Opowiedziała mu o wydarzeniach ostatniego wieczoru: co się działo w centrum handlowym, o pościgu agentów za Tomem, ;eso zniknięciu, przeszukaniu domu.

Powoli Roy wychylił się zza biurka.

- Zalewasz - powiedział krótko. Potrząsnęła głową.

Zacisnął wargi, po czym wydał je niczym ryba najeżka. Zapadła długa, dramatyczna cisza. Podobno był wyśmientym śledczym.

- Znam pewnego faceta - odezwał się wreszcie. - Jeszcze z czasów, kiedy pracowałem u Federalnych. Zdaje się, że już ma dosyć tej roboty. Zaproponuję mu działkę u siebie.

- Chcesz kogoś wynająć?

- Powiedziałem, że mu to proponuję.

- Przeprowadź to wszystko po cichu. Uważaj, żeby cię nie namierzyli. Lepiej, żeby się nie zorientowali, dlaczego to ciebie interesuje.

Devereaux rzucił jej spojrzenie spode łba.

- Co ty powiesz? Chcesz mnie pouczać, jak mam wykonywać swoją robotę? Ja nie udzielam ci cennych instrukcji na temat wykroczeń przeciw prawu procesowemu - czy czego ty tam, do diabła, nauczasz.

- Słusznie dałeś mi po nosie. Przepraszam za ten wykład. Ale czy ta cała sprawa może być pomyłką, nieporozumieniem?

Devereaux długo wpatrywał się w sufit, by osiągnąć możliwie najsilniejszy efekt dramatyczny.

- To mało prawdopodobne - rzekł w końcu. - Głowę dam, że założyli ci podsłuch. A także zainstalowali ukryte kamery w biurze Toma, u ciebie w domu...

- I w moim gabinecie tutaj też?

- Jasne, dlaczego nie.

~ Obejrzyj wszystkie moje aparaty telefoniczne.

Devereaux uśmiechnął się sardonicznie.

~ Obejrzeć twoje aparaty? Jeżeli założyli podsłuch na centrali, a z pewnością tak zrobili, niczego nie znajdę. Jeśli chcesz, mogę je obejrzeć, ale praktycznie nie ma szans, żebym cokolwiek znalazł. A choćbym nawet na coś natrafił, nie mogę tego usunąć, jeśli mieli zezwolenie.

- To znaczy, że skoro do mnie zadzwoni, żeby mi dać znać,

43

co się z nim dzieje, wyłapią ten telefon i zorientują się, skąd dzwoni?

- Z pewnością o to im chodzi. Ale ostatnio znacznie łatwiej ich wykiwać. Jeśli używa się karty telefonicznej, telekomunikacja dokonuje połączenia za rozmówcę, tak że nie można go wykryć.

- Zostawił mi wiadomość w poczcie głosowej.

- Gdzie? Tu czy w domu?

- W domu.

- Idę o każdy zakład, że mają do niej dostęp. Nie muszą znać tajnego kodu. Jeżeli dostali zezwolenie, centrala telefoniczna udostępni im każdą wiadomość z twojej poczty głosowej.

- Więc znają wiadomość, którą Tom mi zostawił?

- Z całą pewnością. Ale on chyba też się z tym liczył.

- I prawdopodobnie mają odnotowany numer telefonu każdego, kto do nas dzwonił, do domu i do biura Toma, zgadza się? Wiedzą zatem, kto się chciał z nami połączyć.

- Jak najbardziej.

- Ale tylko w wypadku połączeń na dłuższe odległości, racja?

- Nie. Telekomunikacja zapisuje absolutnie każdą rozmowę telefoniczną: numer dzwoniącego, czas trwania rozmowy, wszystko. Na tej podstawie wystawiają rachunek. - Claire skinęła głową ze zrozumieniem. - Ale te zapisy biuro obsługi klienta przechowuje zazwyczaj przez jeden okres rozrachunkowy, czyli przeciętnie około miesiąca.

- A czy mimo wszystko Tom może się ze mną skontaktować bez ich wiedzy?

Devereaux milczał przez chwilę. Przykrył ręką usta.

- Chyba tak - wymamrotał.

- W jaki sposób?

- Musiałbym trochę pogłównkować. Oczywiście Tom też już się nad tym zastanawiał. Musimy również liczyć się z tym, że i w twoim gabinecie założyli podsłuch.

- Dowiedz się koniecznie, o co w tym wszystkim chodzi, Ray.

- Zobaczę, do czego uda mi się dokopać. - Uchwycił się oparcia fotela i wbił w Claire szelmowskie spojrzenie. - Czy to już wszystko, pani profesor? - zapytał afektowanym tonem pełnego szacunku studenta.

44

7

- Chcę oglądać Piękną i bestię przy kolacji - zawodziła Annie.

- Będziesz jadła przy stole - rzekła Claire z całą surowością, na jaką mogła się zdobyć. Jackie nałożyła Claire i sobie sałatkę z olbrzymiej misy, wyrzeźbionej gdzieś na toskańskiej prowincji. Sałatki stanowiły jedną ze specjalności jej kuchni. Obecnie Jackie była wegetarianką, wcześniej przeszła okres wiary w przykazania makrobiotyki, przez cały czas paląc jak smok.

- Nie. Chcę oglądać Piękną i bestię przy jedzeniu. Chcę jeść makaron z serem i oglądać Piękną i bestię na kanapie.

W jeden róg przestronnej kuchni Annie zwała całą swą ogromną kolekcję zabawek, w której skład wchodził wystrzępiony Elmo, podarta szmaciana żaba Kermit i pan Kartofel noszący ślady licznych bitewnych obrażeń. Na kupie walały się również dziesiątki innych gałgankowych kukiełek, których Annie całymi miesiącami nie tknęła ani nawet nie zauważała. Stał tam też duży telewizor, a naprzeciw niego poprzecierana, przykryta narzutą kanapa, na której widniały liczne pozostałości tysiąca mrożonych i odgrzanych w kuchence mikrofalowej porcji makaronu z serem, tyłuż małych, kartonowych opakowań soku winogronowego oraz nie mniejszej liczby czerwonych lodów sorbetowych (o smaku nie znanym rodzajowi ludzkiemu, po prostu czerwonych).

- Chodź, dziecinko - wdzięczyła się Jackie - zjedz kolację z mamusią i ze mną.

- Nie.

- Jesteśmy rodziną - rzekła poirytowana Claire. - Wspólnie spożywamy posiłki. Dzisiaj nie będziesz jadła makaronu z serem, bo Jackie przyrządziła pysznego kurczaka.

Annie podbiegła do kanapy i buńczucznie włożyła kasetę z Piękną i bestią do magnetowidu.

- Nie ma tego dzisiaj w karcie, skarbie - poinformowała ją Pogodnie Jackie. - Bardzo mi przykro. Co ty byś beze mnie Zrobiła, biedactwo? - użaliła się nad Claire.

~ Nie mam pojęcia - przyznała Claire, po czym, głośniej, °dezwała się do małej: - No dobrze, Annie. Chodź tu.

Córka posłusznie powróciła i teraz stała przed Claire sztywno Wyprostowana niczym żołnierz na inspekcji. Wiedziała, że wPakowała się w poważne tarapaty.

45

- Jeśli zjesz kurczaka, którego przyrządziła Jackie, pozwolę ci oglądać Piękną i bestię. Na kanapie.

- Fantastycznie! - zawołała Annie, biegnąc z powrotem do kanapy. - Cudownie! - Wcisnęła przycisk wideo i zanurkowała na kanapę, by napawać się długimi zwiastunami innych kaset z filmami Disneya oraz reklamówką Disney- > landu.

- Stwarzasz precedens - wymruczała Jackie pod nosem.

- Ty katonie w spódnicy.

- To ten jeden jedyny raz - tłumaczyła się kulawo Claire. Położyła na talerz pieczonego kurczaka, kartofle puree i przyniosła je Annie wraz z widelczykiem i serwetką. Gdy znów odwróciła się do stołu kuchennego, zauważyła coś za oknem

- jakiś ciemny kształt widoczny zza krzewów bzu.

Ciemnoniebieski samochód rządowy: crown victoria.

- Czy te bandziory przed domem nie doprowadzają cię do szału? - zapytała Jackie, widząc, że Claire wpatruje się w okno.

- Jeszcze jak! - odparła Claire. - Jeden jechał za mną do pracy i z powrotem.

- Nie możesz ich jakoś pogonić?

- Znajdują się na terenie ogólnie dostępnym. Nie naruszają obszaru gruntu przyległego do domu.

- Czego?
- Nie wolno wkraczać na teren, otaczający czyjeś domostwo A oni trzymają się w przepisowej odległości od mojej własność prywatnej. Mają prawo tam przebywać.
- A twoje prawo - no nie wiem, do ochrony na przykład przed terrorem psychicznym?

Na ustach Claire pojawił się lekki uśmiezek.

- Oczywiście, mogę zwrócić się do sądu o wydanie nakazu określonego zachowania się, Dwieście Dziewięć-A. Wtedy będą musieli trzymać się ode mnie na sto jardów z dala.

- No taak... - rzekła Jackie. - Namówić jakiegoś miejscowego sędziego, by wydał nakaz wycofania się agentom rządu federalnego, to by była ciężka sprawa. Coś mi się nie wydaje.

- Zadzwoiłam do biura do Toma - rzekła Claire. Wróciła do stołu i, czując ucisk w żołądku, usiłowała nabrać nieco apetytu na kolację, którą ugotowała Jackie. -
Najwyraźniej

46

Tom zostawił w poczcie elektronicznej swemu głównemu handlowcowi Jeffowi Rosenthalowi i swej asystentce Vivian wiadomości, że musiał nagle wyjechać z kraju w interesach, wymagających absolutnej dyskrecji. Stwierdził, że nie będzie go przez tydzień, a może dłużej. Zastanawiali się, co jest grane, bo wszystkich pracowników Chapman Company przesłuchiwali potem w domach agenci Biura Federalnego. Wypytywali ich o Toma i miejsce jego ewentualnego pobytu.

- To musiało wzbudzić ich podejrzenia.
- Mówiąc najogólniej, Tom zawiadomił ich w poczcie elektronicznej, że Federalni mogą ich przesłuchiwać w sprawach dotyczących bezpieczeństwa transakcji. Chyba ich nie przekonał.
- Jasne, że nie - przytaknęła Jackie. - Założę się, że zastanawiają się, o co w tym wszystkich chodzi, tak samo jak my.

Annie dała się położyć spać bez większego ociągania, a Claire i Jackie usadowiły się na werandzie, obie z papierosami w ustach. Jackie pociągała szkocką, Claire, w zbyt dużym podkoszulku z rozcięciem z przodu i spodniach od dresu, piła wodę sodową.

- Annie najwyraźniej jakoś się trzyma, mimo że tatuś zniknął, i to w tak dziwny

sposób - zauważyła Jackie, wydmuchując z nozdrzy potężny kłęb dymu.

- Przeżywała też trudne chwile - odparła Claire.

- Nie dziwisz się, że czasami bywa niezdolna, co? Pamiętasz, że w ciąży czytałaś Dziecko Rosemary. A jeżeli to naprawdę szatańskie nasienie? - Claire uśmiechnęła się blado. - A ty jakoś się trzymasz? - pytała Jackie.

Claire skinęła potakująco.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Poprosiłam Raya Devereaux, żeby pogrzebał w tej sprawie, i zobaczymy, czego si? doszuka.

- Powiedzieli ci, że podaje się za kogoś innego, że kiedyś używał nie tego nazwiska, że zmienił tożsamość... Uważasz, że mówią prawdę?

~ Znasz go, Jackie - powiedziała Claire. - Wiesz, że nie niogłby być mordercą. - Rozgniotła niedopałek papierosa w Popielniczce.

47

- Nie znam go - odparła Jackie. - I ty najwyraźniej też go nie znasz.

- Daj spokój! - krzyknęła Claire. - Jesteś dobrym psychologiem i ja też. W ciągu ostatnich trzech lat spędziłyśmy z Tomem mnóstwo czasu. Jak możesz mówić, że go nie znasz?

- A jeśli to rzeczywiście Ron?

- Idź do diabła!

- Obie wiemy, że potrafi wyjść z siebie. Jest cholerykiem. Nieraz się o tym przekonałyśmy. Pamiętasz, że kiedy jechałyśmy na przylądek i jakiś samochód zajechał nam drogę, całkiem zasłaniając widoczność, Tom wpadł w szal?

- Nie wpadł.

- Och, nie opowiadaj, zrobił się czerwony, skłął faceta na czym świat stoi, zaczął za nim jechać. To było coś strasznego. Wrzeszczałaś na niego, żeby się uspokoił, i w końcu jakoś się pohamował, ale... Pamiętasz?

- Taak... - odparła Claire ze znużeniem. - No i co z tego? Ma porywczy temperament. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest mordercą. Zgoda, okłamał mnie co do swojej przeszłości, ale to też jeszcze nie świadczy, że kogokolwiek zamordował.

- Jezu, Claire, a co ty tak naprawdę o nim wiesz? Nie znasz nikogo z jego rodziny,

zgadza się?

- Nie zgadza się. Na ślubie poznałam jego ojca, Nelsona, a potem widziałam go jeszcze raz, kiedy odwiedziliśmy go w jego domu, na Jupiter Island, na Florydzie. A rodziców Jaya widziałam chyba tylko raz w życiu.

- Nie znasz żadnych jego przyjaciół.

- Przyjaciół? Nie zauważyłaś, że faceci po czterdziestce miewają najwyżej paru przyjaciół. Z nimi jest inaczej niż z kobietami. Żenią się, tkwią po uszy w sprawach zawodowych i do niczego więcej nie mają głowy. Każdy facet uważa drugiego faceta za potencjalnego rywala. Mężczyźni w jego wieku mają nie tyle kolegów, ile przede wszystkim kontakty. Mają znajomych, z którymi uprawiają sport albo chodzą na mecze koszykówki czy futbolu. Tom ma mnóstwo znajomych - wszyscy go lubią. Ale, jeśli się orientuję, nie ma żadnych starych przyjaciół. Jay też nie miał żadnych starych przyjaciół.

- Claire, nigdy nie spotkałaś żadnego jego szkolnego kolegi,

żadnego znajomego ze studiów. Ani nikogo, kto znał go przed przyjazdem do Bostonu. Mam rację?

Claire westchnęła. Przesunęła palcem wskazującym po stróżce płynu, która ściekała na zewnątrz jej szklanki.

- Od czasu do czasu dzwonił do niego kolega ze studiów. Pamiętam, że kiedyś zadzwonił jakiś jego przyjaciel z Kalifornii. Nie, nie kontaktuje się ze swymi starymi przyjaciółmi, w każdym razie nie regularnie. Ale, Jackie, ty chyba wcale mnie nie słuchasz. Mówiłam ci, że nie ma w tym nic niezwykłego. Dlaczego, na miłość boską, miałabym zakładać, że mnie okłamywał?

- Więc w takim razie, gdzie się teraz podziewa? Jak myślisz, dokąd pojechał?

Claire potrząsnęła głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Przez dłuższy czas panowało między nimi milczenie.

- Pamiętasz, jak wyglądał tata? - zapytała niespodziewanie Claire. - Bo ja nie.

- O tak, jak najbardziej. Chociaż chętnie bym zapomniała. Był z niego cholerny dupek.

- Pamiętasz zapach jego płynu po goleniu?

- Pamiętam, że śmierdział jak francuska dziwka.
- Uwielbiałam ten zapach. Old Spice. Zawsze, kiedy go czuję, przypominają mi się dawne czasy.
- Przypomina ci się szczęśliwe dzieciństwo i nasz kochający tatuś - wymamrotała pod nosem Jackie. - Mam nadzieję, że Tom nie używa Old Spice'a.
- Tato był bardzo pokręconym facetem.
- Był samolubem i pechowcem. Wiesz, z jakim zapachem mi się kojarzy? - spytała Jackie. - Mówię śmiertelnie poważnie. Z zapachem benzyny, kiedy włączał silnik. Pamiętasz tę woń nie dopalanej benzyny? Stałam przed domem na zwirowanym podjeździe, żeby się z nim pożegnać, patrzyłam, jak odjeżdża, Czułam ten zapach. Uwielbiałam ten zapach. To znaczy, nie jest to dla mnie wspomnienie zbyt radosne, bo nigdy nie byłam pewna, czy tato wróci. Nigdy nie wiedziałam, czy tym razem nie odjeżdża na zawsze.

Claire skinęła głową. Znowu siedziały w milczeniu. Jackie zgasiła kolejnego papierosa, wypięła do dna swoją szkocką.

- Możesz mi podać tę butelkę? - Wlała do szklaneczki resztę whisky.

49

- Jest moim mężem i kocham go - powiedziała Claire bardzo cicho. - Jest wspaniałym ojcem i mężem i kocham go.
- Ja też dość lubię tego gościa. Nie masz już więcej whisky?

8

Od strony ulicy sklep „Pyszne Pączki” prezentował się niczym przybytek dla smakoszy, w którym po astronomicznych cenach sprzedaje się czterdzieści rodzajów balsamicznego octu, natomiast w ogóle nie ma sałaty lodowej. Jego fasada, koloru myśliwskiej zieleni, pokryta siateczką małych szybek, została niedawno odnowiona w ramach kolejnej próby sprowadzenia tu przedstawicieli klasy średniej. Central Square poddawano temu eksperymentowi co parę lat. Ale i tym razem, jak i poprzednio, entuzjazm szybko mijał, tak że znowu nie przeprowadzono gruntownego remontu i dzielnica nadal robiła obskurne wrażenie. Brzydki Central Square, siedziba tysiąca hinduskich restauracji, tanich sklepików, kancelarii prawniczych, gotowych poprowadzić wszelkie sprawy i sprawki, sklepów z przecenioną biżuterią, nigdy nie tracił swego tandetnego z dziada pradziada, proletariackiego ducha.

Ray Devereaux zadzwonił do niej wcześniej rano i poprosił, by do niego wpadła, gdy

odwiezie Annie do szkoły. Claire miała wtedy wolną godzinę przed wykładem na Harvardzie. Nie chciała odwoływać zajęć. Przychodziła na wszystkie umówione spotkania, planowe zajęcia ze studentami, zebrania - zachowywała wszelkie pozory, choć nie bardzo potrafiła skupić myśli na czymś innym.

Ray siedział już przy typowym, miniaturowym stoliku z kar-mazynowym blatem, na który wylewał się niezbyt estetycznie jego olbrzymi brzuch, musiał się bowiem wciskać na wąskie, na stałe przytwierdzone tu krzesło z oparciem z balasków. Drogę zagradzał mu pusty dziecięcy chodzik. Dziecko toczyło się niepewnie między stolikami, ubrane w żółto-brązowy kombinezon z różową kokardą na szyi. Matka, postawna czarnowłosa kobieta, siedziała obok, dzierżąc w dłoniach olbrzymią, szeleszczącą plastikową torbę. Nie zwracała szczególnej uwagi na malucha, pogrążona w ożywionej rozmowie po grecku z siwowłosym mężczyzną, ubranym w czarną skórzaną kurtkę.

Z głośników płynął rock w złagodzonej wersji (Rod Stewart chrapliwie wyjękiwał Reason to Believe). Jego głos szedł o lepsze z niemal ogłuszającym wyciem wywietrzników.

Ray ze smakiem wcinał czekoladowe faworki i pociągał kawę z plastikowego kubasa do wielokrotnego użytku. Był tu stałym gościem.

- Masz towarzystwo - powiedział bez emocji.
- Co takiego?
- Urósł ci ogon.

Claire odwróciła się ku frontowi kawiarni, obłożonemu lustrzanym szkłem. Ciemnoniebieska crown victoria właśnie odjeżdżała od krawężnika.

- A tak. Ciągną się za mną wszędzie. Do pracy i z pracy. Jakby mi chcieli wyrwać jaja.
- Może myślą, że masz jaja, skarbie. - Zachichotał. - Ale już sobie pojechali. Wszystkie miejsca do parkowania są zajęte, a nie mogą stanąć ot tak, na środku jezdni. - Odgryzł kolejny, potężny kęs faworka i wytarł ręce małymi serwetkami, by usunąć lepkie okruchy. - Wykonałem parę telefonów do kumpli z policji w Cambridge. Złapali faceta, który dokonał u was kradzieży z włamaniem. Obrazy będzie trudniej znaleźć.
- Ray, nie proszę mnie, żebym się tłukła aż do Central Square tylko po to...
- Daj sobie lodu, skarbie.

Mierzył ją wściekłym spojrzeniem tak długo, aż spuściła z tonu.

- Mów dalej - poprosiła.

- Zadzwoiłem do Krajowego Stowarzyszenia Maklerów, które zrzesza pośredników i doradców finansowych, no i proszę, przysłali życiorys i opis kariery zawodowej, złożone u nich przez Toma. Przeczytałem to. Urodzony w Kalifornii, ukończył szkołę średnią w Hawthorne, a potem, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, Męską Wyższą Uczelnię w Claremont. No to zadzwoniłem do Claremont, do Stowarzyszenia Absolwentów, żeby pomogli mi skontaktować się z Tomem Chapmanem, starym kolegą ze studiów. Zapytałem, czy wiedzą, gdzie teraz mieszka i co robi. Zdziwiłabyś się, jak szczegółowo siedzą kariery swoich absolwentów. Prawdziwa kopalnia faktów.

- No dobrze - rzekła, starając się, by jej głos nie zdradzał

51

żadnych emocji. Temperatura powietrza w lokalu była stanowczo zbyt wysoka, Claire zdjęła płaszcz i żakiet.

- Mam złe wieści, twoi znajomi z FBI nie pomylili się. Na Męskiej Uczelni w Claremont nie ma dokumentów żadnego Thomasa Chapmana. Nawiasem mówiąc, od tamtego czasu zmieniono jej nazwę.

Stara Chinka, siedząca parę stolików dalej, przycinała paznokcie. Ciemnowłosa matka zgarnęła wrzeszczące już teraz dziecko i włożyła je do wózka.

- To mnie zainteresowało - powiedział Devereaux. - Zacząłem dochodzić, co naprawdę dzieje się z twoim mężem. I wygrzebałem parę interesujących rzeczy na jego temat.

- Na przykład?

- Najpierw sprawdziłem w zakładzie ubezpieczeń, żeby się przekonać, czy tam nie trafię na jakieś nieprawidłowości. Co najdziwniejsze, wszystko jest w najlepszym porządku, idzie jak w zegarku, tyle że przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym rokiem na to konto nie wpływały żadne składki. Absolutnie nic. Trochę dziwne, jak na faceta, który... ile ma lat? Czterdzieści sześć czy coś koło tego. Chyba żeby w ogóle nie pracował przed trzydziestką, co niby jest możliwe. Potem sprawdziłem w towarzystwie kredytowym, gdzie też wszystko grało, żadnych zaległości, ale również ani razu nie wziął najmniejszego kredytu przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Też zastanawiające.

Claire poczuła ucisk w dołku. Zaszurała butami, które przywarły do podłogi z szaroczerwonych płytek, lepkich od porozlewanej kawy.

Teraz w radiu śpiewał Steely Dan. Co to takiego, Kalie zełgała! Katie skonała! Coś w tym guście. Zachwycony sobą saksofonista najpierw walczył w pojedynkę z uporczywym beczeniem kuchenki mikrofalowej, po czym dołączył do niego z rozmachem aranżowany chórek, zawodząc: Diakon zasmucony... diakon zasmucony.

- W życiorysie wymienił kilka przedsiębiorstw, w których pracował po ukończeniu uczelni. Były to dobre, poważne posady w firmach, biurach maklerskich i tym podobnych. Więc zadałem sobie pytanie, dlaczego nie ma śladu, że płacił składki ubezpieczeniowe, skoro cały czas pracował? Wykonałem parę telefonów i znowu wyszła dziwna rzecz: wszystkie przedsię-

52

biorstwa, w których pracował przed założeniem własnej firmy, padły.

- Może przynosił im pecha - wydusiła z siebie Claire.

- No dobrze, założmy, że to możliwe w wypadku jednej firmy. Ale trzech? Trzy biura inwestycyjne i domy maklerskie, w których pracował, już nie istnieją. Co znaczy, że nie ma żadnych dokumentów. Niczego nie da się sprawdzić.

Claire słuchała jak oniemiała. Patrzyła, jak do kawiarni zamaszystym krokiem wchodzi wyraźnie podenerwowana krótko ostrzyżona kobieta w okularach. Z ramienia zwisały jej dwie torby, w dłoniach dzierżyła skoroszyt. Zamówiła dużą kawę, niezbyt mocną, i dwie porcje cukru.

- Więc co to oznacza? - ciągnął Devereaux. - Przed rokiem osiemdziesiątym piątym - kiedy był już, zaraz... po trzydziestce, nie miał kart kredytowych - ani American Express, ani Visy, ani Mastercard. Jeszcze trochę pogrzebałem i okazało się, że przed tym rokiem nie składał też zeznań podatkowych. A więc wymienia posady w firmach, które już nie istnieją, nie płacił na ubezpieczenie, nie rozliczał się z urzędem podatkowym.

- Więc jak mam to wszystko rozumieć? - spytała Claire. Nie potrafiła myśleć. Siedziała tylko i patrzyła tępo przed siebie. W głowie jej się kręciło.

- Mam kumpla, który pracuje pod Los Angeles, więc poprosiłem go, żeby wybrał się na wycieczkę do Hawthorne. Tuż obok skrzyżowania na Los Angeles...

- Nie chodził do szkoły średniej w Hawthorne - przerwała Claire. - Nie musisz mi tego mówić. Sama się domyśliłam.

- W szkole nie ma żadnych dokumentów na jego nazwisko. Nie pamięta go żaden z długoletnich nauczycieli. Nie przypomina go sobie nikt z rocznika siedemdziesiątego trzeciego. Nie ma go w corocznej księdze absolwentów. A oprócz tego w żadnej starej książce telefonicznej nie figurują jego rodzice. Ani jeden Nelson Chapman nigdy tam nie mieszkał. FBI to z pewnością kupa gówna. Nie twierdzę, że twój mąż popełnił jakąś zbrodnię. Powiadam ci tylko, Claire, że Tom Chapman nie istnieje. Niezależnie od tego, kim naprawdę jest, czym się rzeczywiście zajmuje i co zrobił, na pewno nie przypomina człowieka, za jakiego go uważasz.

53

Po zajęciach Claire wróciła do swego gabinetu, porozmawiała z kilkoma spanikowanymi studentami - semestr już się kończył i nad ich głowami wisiały nieuchronne egzaminy - po czym przejrzała pocztę elektroniczną, która do niej nadeszła.

Niestety, dziekan niedawno odkrył zalety poczty elektronicznej i za jej pośrednictwem przysyłał wszystkie zawiadomienia, a także przelotne refleksje, które przysły mu do głowy. Tym razem zostawił kilka nie mających większego sensu notatek. Było też parę pytań od prasy - w ten sposób próbowali dotrzeć do niej tylnymi drzwiami - ale wiedziała, jak sobie z nimi poradzić: kompletnie i absolutnie zignorować. Żadnej odpowiedzi. A potem rozwlekły, plotkarski monolog przyjaciółki z Paryża.

I jeszcze przesyłka, której adres zwrotny nic jej nie mówił - przyszła skądś z Finlandii. Nadeszła na nazwisko profesor Chapman, co wydało jej się dziwne, gdyż powszechnie znana była jako profesor Heller. Przeczytała ją raz, potem drugi i serce zaczęło walić jej jak młotem.

Szanowna Pani Profesor Chapman,

Zwracam się z gorącą prośbą, by zechciała Pani reprezentować mnie w sprawie niezwykle pilnej i dla mnie osobiście bardzo ważnej. Choć sytuacja nie pozwala mi na bezpośredni kontakt, niebawem znowu się z Panią skomunikuję. Telefon, a także poczta głosowa nie zapewniają pełnej dyskrecji. Proszę nie polegać na niewłaściwej wersji mojego przypadku, którą zapewne Pani podano. Wyjaśnię wszystko podczas spotkania.

Serdeczne pozdrowienia dla Pani i dziecka.

R. LENEHAN

Od razu zorientowała się, że R. Lenehan odnosi się do ich ulubionej restauracyjki na

Boston South End, „U Rosę Lenehan", gdzie umówili się na pierwszą randkę.

Nacisnęła przycisk odpowiedzi i szybko napisała:

Chętnie spotkam się jak najprędzej.

54

9

Pośrodku nocy Claire usiadła nagle, zlana potem. Jej serce waliło jak oszalałe, gdy obchodziła pogrążoną w mroku sypialnię, którą oświetlał jedynie padający z okien blask lamp ulicznych. Zatrzymała się przy komodzie, gdzie przechowywali rodzinne fotografie. Nie przyciągnęły szczególnej uwagi zespołu FBI, który dokonywał rewizji. Bardziej interesowały ich rzeczy, z których można wyciągnąć więcej informacji, a ponadto sprawy bardziej aktualne: jak trasy i daty podróży służbowych, numery lotów, coś w tym rodzaju.

W komodzie znalazła niezliczone fotografie Annie, album za albumem wypełniony jej zdjęciami od narodzin po ostatnie migawki ze szkoły. Życie jej było chyba najpełniej udokumentowane na świecie. Był też album zdjęć Claire, mnóstwo obrazków z dzieciństwa: Claire z Jackie, Jackie wlokąca się za Claire, Claire ze smutną miną. Szereg zdjęć rodzinnych: Claire, Jackie i ich matki, która zawsze wyglądała na zmęczoną. Mnóstwo zdjęć z wakacji w Wyoming, które Claire spędziła z przyjaciółmi ze studiów. Migawki z uroczystości wręczania dyplomów (była wówczas obsypana pryszczami, a podczas letniego semestru na ostatnim roku mocno przytyła, toteż nigdy nie chciała ich oglądać).

A zdjęcia Toma?

Jedno jako niemowlaka, mała, biało-czarna fotka z ząbkowanym obrzeżeniem. Mogła przedstawiać jakiegokolwiek niemowlę, w najmniejszej mierze bowiem nie przypominało Toma, ale u małych dzieci z rzadka daje się rozpoznać późniejsze rysy już dorosłego człowieka.

Jego zdjęcia jako chłopca? - Żadnego.

Ze szkoły średniej? - Ani jednego.

Z wyższej uczelni? - Również nic.

Nie znalazła żadnych zdjęć Toma, z wyjątkiem tego jednego, przedstawiającego typowego niemowlaka. Nie było rocznika absolwentów, który miałby karty upstrzone długimi notkami Pożegnalnymi, pełnymi zawijasów, od dziewcząt, które płonęły do Toma nie odwzajemnionym uczuciem.

Jaki osobnik nie przechowywałby żadnego zdjęcia z młodych lat?

55

Dlaczego nigdy nie zadała sobie pytania, gdzie się podziały wszystkie jego fotografie?

Tego przedpołudnia późno skończyła zajęcia. Dwie natarczywe studentki, które przyczepiły się do niej jak pijawki i podążyły za nią aż do jej gabinetu, poprosiła uprzejmie, by przyszły później. Powiedziała im, że jest umówiona. Rozumie, że denerwują się przed egzaminami końcowymi, toteż za parę godzin chętnie poświęci im czas.

Connie siedziała przy biurku, załatwiając korespondencję. Uniosła wzrok i zaczęła coś mówić.

Claire przesłała swej sekretarce uśmiech i pomachała do niej ręką, starając się dać tym starej pomocnicy do zrozumienia, że miło jest jej ją widzieć, ale w tej chwili jest zbyt zajęta, by przystanąć i pogadać. Weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

W jej fotelu siedział Ray Devereaux.

- Gówno rozprysnęło się już wszędzie - powiedział. Ubrany był w szary garnitur, zadziwiająco dobrze skrojony, białą koszulę, bladoturkusowy krawat.

- Mów dalej.

Usiadła na jednym z krzeseł dla gości, postawiła teczkę na podłodze.

- Masz dobre źródła?

- Nieszczególnie. Rozpytywałem się trochę, ale nikt nie chce puścić pary. Tak gładko nam nie pójdzie. To duża sprawa.

- Jak duża?

Devereaux odchylił się w fotelu, który alarmująco zatrzeszczał. Nie byłaby zaskoczona, gdyby wywrócił się do tyłu.

- Nasilili inwigilację. Wiedzą, że zostawił dla ciebie wiadomość w poczcie głosowej w domu i dostali zezwolenie na przesłuchiwanie twojej poczty głosowej tu, na Harvardzie. Nie mają pojęcia, gdzie on teraz przebywa, ale czekają, aż się z tobą skontaktuje. Tajniacy obserwują jego biuro w mieście. Paru facetów stoi przed tym budynkiem. Jeżdżą za tobą wszędzie, na wypadek gdybyś udała się na spotkanie z nim.

- Jak w tej piosence grupy Police, co? - uśmiechnęła się ponuro Claire. - Pójdę za tobą krok w krok.

56

Twarz Devereaux pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

- Przejdźmy się kawałek - zaproponował.

Poszli spacerkiem wokół czworokątnego budynku, w którym mieścił się wydział prawa. Zauważyła dwóch agentów po cywilnemu, którzy podążali za nimi, specjalnie się z tym nie kryjąc.

- Ładny dzień, co? - powiedział Devereaux. - Prawdziwa wiosna w pełni.

- Ray...

- Jeszcze nie w tej chwili, skarbie. Nigdy nie miałem zbyt wysokiego mniemania o tych długodystansowych mikrofonach kierunkowych, a już na zatłoczonej ulicy nie są warte funta kłaków. Ale wolę nie ryzykować. Niby możemy przejść się po Massachusetts Avenue. Wpadną w szal, kiedy będą usiłowali odróżnić nasze głosy od setki innych gaduł, ale lepiej działać na pewniaka. Przejedźmy się moim samochodem. Odebrałem go dziś rano i wiem na pewno, że nikt za mną nie jechał, więc chyba nie założyli mi podsłuchu. Na razie.

Devereaux miał nowego lincolna. Jeden z jego klientów prowadził agencję wynajmu samochodów i wypożyczał mu samochody bezpłatnie, jako rekompensatę za usługi. Claire zagłębiła się w wygodnym, dobrze wyściełanym fotelu, a Devereaux krążył bez celu.

- Wspominałaś o jego ojcu - odezwał się detektyw. - O Nelsonie Chapmanie. Mówiłaś, że mieszka na Florydzie.

- Rozmawiałaś z nim? Devereaux z wolna potrząsnął głową.

- Nikt taki nie istnieje.

- Spotkałam się z nim. Odwiedziliśmy go w jego mieszkaniu na Jupiter Island.

- Spotkałaś człowieka, który sam siebie nazwał Nelsonem Chapmanem. Właściciel mieszkania, w którym wtedy byłaś, nigdy nie słyszał o Nelsonie Chapmanie. Podobnie jak sąsiedzi, nawet ci, którzy mieszkają tam od dawna. Możesz tam sama zajrzeć, jeśli mi nie wierzysz.

~ Więc powiadasz, że Tom umówił się z kimś, żeby odgrywał rolę jego ojca?

~ Na to wygląda. Ta operacja jest niesamowicie utajniona. "" Prowadził kierownicę samym tylko palcem wskazującym.

57

- Potwornie trudno cokolwiek wyciągnąć. Moje kontakty w tym wypadku są głównie warte, a ci, którzy coś wiedzą, trzymają gębę na kłódkę. Ale jednego się dowiedziałem: mówią, że Tom był tajnym agentem Pentagonu.

- Daj spokój! - zachnęła się.

- Dlaczego tak ci trudno w to uwierzyć?

- Jego interesują pieniądze.

- To teraz. Ale powiedzieli mi, że był w wojsku i samowolnie je opuścił ponad dziesięć lat temu, a teraz ucieka z powodu czegoś naprawdę paskudnego. To jakaś grubsza historia. Wredna kupa gówna.

- Co ty opowiadasz?

- Mówią, że jest poszukiwany za morderstwo.

- Mnie też tak powiedzieli.

- Że jako tajny agent rządu amerykańskiego popełnił jakąś ohydłą zbrodnię, a potem dał nogę.

Potrząsnęła głową, obgryzając paznokieć. To stary zwyczaj z czasów szkolnych, który, jak sądziła, udało jej się już dawno wykorzenić.

- To niemożliwe.

- Jesteś jego żoną - odezwał się Devereaux bezbarwnym głosem. - Powinnaś wiedzieć. - Zerknął na nią, po czym znowu wrócił spojrzeniem na drogę.

jjf

Na usta Claire wypłynął dziwny, gorzki uśmiech. iii

- W jakim stopniu i czy w ogóle można poznać osobni-z którą się żyje w małżeństwie?

- Nie pytaj mnie. Kiedy żeniłem się z Margaret, nie wiedziałem, że jest taką jędzą. To wyszło dopiero później. Czy Tom mógł pracować dla rządu w jakichś tajnych służbach specjalnych? Jasne. Faktem jest, że wymyślił sobie całą przeszłość, nowy życiorys. Sprawa z uczelnią to tylko wierzchołek góry lodowej. Ukrywa coś, przed

czymś ucieka. To wiem na pewno.

- Możliwe, żeby chodziło tu o jakąś błahostkę?
- Na przykład, że nabierał rekordową liczbę mandatów za nieprawidłowe parkowanie w Dubuque? Bardzo wątpię.

Claire nie uśmiechnęła się.

- Prawdę mówiąc - rzekł z powagą Devereaux - zawsze uważałem, że Tom jest nieco zbyt gładki, żeby mu całkiem ufać, ale to twój mąż, więc musisz trzymać jego stronę. Z kolei

58

kiedy rząd puszcza w ruch całą potężną maszynę, żeby dorwać jednego faceta, to znaczy, że oni też coś ukrywają.

Tego wieczoru, gdy usiłowała przekonać Annie, że już pora iść spać, zadzwonił telefon.

Natychmiast rozpoznała głos: należał do Julii Margolis, żony jednego z jej najbliższych przyjaciół na wydziale prawa, Abego Margolisa, który wykładał prawo konstytucyjne.

- Claire? - spytała swym głębokim kontraltem. - Gdzie jesteście? Spóźniliście się już półtorej godziny, czy coś się stało?
- Półtorej... o Boże. Zaprosiliście nas dzisiaj na kolację. O kurczę, Julio, strasznie mi przykro. Na śmierć zapomniałam.
- Na pewno wszystko u was w porządku? To do ciebie zupełnie niepodobne. - Julia Margolis, mająca pod sześćdziesiątkę, była postawną, nadal bardzo piękną kobietą, wspaniałą kucharką i przeuroczą gospodynią.
- Wpadłam w straszny kołowrót - tłumaczyła się Claire, po czym postanowiła ująć to inaczej: - Tom musiał niespodziewanie wyjechać z miasta w interesach, a ja mam wrażenie, jakby wszystko nagle zaczęło się walić.
- W każdym razie od dwóch dni marynuję miecznika i naprawdę żal by mi było go wyrzucać. A może teraz wpadniesz?
- Bardzo mi przykro, Julio, naprawdę. Ale Rosa poszła do domu, nie mam z kim zostawić Annie i po prostu wszystko rozsypuje mi się w rękach. Wybaczysz mi?
- Oczywiście, kochanie. Ale jak już sprawy się ułożą, zadzwonisz do mnie? Bardzo

chcielibyśmy się z wami zobaczyć.

10

Później tego wieczoru Claire i Jackie siedziały w gabinecie na dole, w jednakowych, nieco podniszczonych francuskich fote-lach klubowych. Tom przez dwa miesiące szukał tych foteli, idealnie pasujących do gabinetu Claire. Kiedyś zachwyciła się nimi na reklamowym zdjęciu Ralpa Laurena. W końcu znalazł w Nowym Jorku kupca, który sprowadzał je z pchłego targu w Paryżu. W latach dwudziestych naszego wieku stanowiły

59

część umeblowania nocnego paryskiego klubu. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych przetransportowano je do Cambridge i nadal były niesłychanie wygodne.

Jackie znowu ubrała się w czarne dżinsy i czarny podkoszulek. Koszulę i ramiona upstrzone miała plamami farby - była malarką, zarabiającą na życie jako kreślarka. Claire nadal tkwiła w niebieskim kostiumie, podróbce Chanel, ale bardzo udanej. Nie znalazła nawet chwili, by się przebrać. Czuła się wyczerpana, bolała ją głowa; kark i ramiona zeszywniały. Pragnęła teraz tylko zanurzyć się w gorącej kąpieli i pławić się tak przez godzinę.

Zachodzące słońce oblało pokój bursztynowym blaskiem.

- Ray Devereaux powiada, że Tom był agentem wojskowych służb specjalnych i w coś się wplątał - powiedziała.

- Jezu! Myślisz, że informacje Raya są wiarygodne?

- Dotychczas zawsze można było na nim polegać.

- Więc jak to było, zrobił coś na zlecenie rządu, Pentagonu, coś poufnego i wpadł w kabałę? A potem... na własną rękę zwalnia się z wojska, po prostu znika, ukrywa się, zmienia nazwisko, przenosi się do Bostonu, zaczyna zajmować się interesami i ma nadzieję, że nigdy go nie złapią? I nagle, któregoś dnia, ni z tego, ni z owego, włamują się do twojego domu, policja sprawdza jego odciski palców, i trach! Pentagon go odnajduje? Tak to się odbyło?

- Zasadniczo, tak. - Claire spojrzała na nią, by się przekonać, czy Jackie mówi z ironią, czy po prostu nastawiona jest sceptycznie, ale okazało się, że ani jedno, ani drugie. Myślała tylko głośno, co często jej się zdarzało.

- Trudno jest znaleźć dobrą pracę bez jakichkolwiek listów polecających czy referencji - ciągnęła Jackie - więc zakłada własną firmę i w ten sposób nikt mu nie

grzebie zbyt głęboko w przeszłości. - Claire znowu skinęła głową, przymknąwszy oczy. - Więc wszystko, co wiesz o Tomie, to kłamstwo - zakończyła Jackie, starając się, by zabrzmiało to możliwie łagodnie.

- Może nie wszystko. Ale mnóstwo. Straszliwe mnóstwo.
- I czujesz się zdradzona. Jakby nożem rytualnym wypruł ci serce.

Łzy napłynęły do oczu Claire, wywołane bardziej bezradnością i zmęczeniem niż smutkiem.

- Czy to zdrada, że ucieka i ukrywa się?

60

_ Okłamał cię, Claire. Nigdy ci o tym nie mówił. Nie jest ta osobą, za jaką uchodził. Człowiek, który podaje fałszywy życiorys, fabrykuje całą swoją przeszłość, może okłamać cię we wszystkim.

- Znowu się ze mną skontaktował, Jackie. _ W jaki sposób?
- Nie mam zielonego pojęcia, czy tu wsadzono pluskwy _ rzekła Claire, wskazując na sufit, choć kto wie, gdzie zainstalowano podsłuch?
- Więc co masz zamiar zrobić? - spytała Jackie, lecz w tej chwili zadzwieczał dzwonek do drzwi. Popatrzyły na siebie. Kto to może być? Claire z ociąganiem podniosła się i poszła otworzyć drzwi.

Był to młody chłopak, ledwie po dwudziestce, z rzadką kocią bródką i mosiężnym kolczykiem w lewym uchu. Miał obcisłe krótkie spodenki, jakie noszą rowerzyści, i skórzaną kurtkę.

- Bostońscy posłańcy - oznajmił.

Claire popatrzyła na dwie crown victorie zaparkowane tuż przy krawężniku ich domu. Pasażerowie obu pojazdów wpatrywali się w przybysza.

- Pani Claire Chapman? Claire przytaknęła, cała spięta.
- O Jezus, proszę pani, ci faceci z tamtych samochodów zatrzymali mnie i zadali milion pytań, jak się nazywam, gdzie pracuję i co tu w ogóle robię. Czy coś się stało? Ma pani jakieś kłopoty? Bo ja się nie chcę w nic wplątać.
- A co pan tu robi? - zapytała Claire.
- Mam przesyłkę dla pani Claire Chapman. Muszę zobaczyć tylko jakiś dokument

potwierdzający tożsamość.

- Niech pan chwilę zaczeka - rzekła Claire. Zamknęła drzwi, wzięła torebkę ze stolika w hallu i wyciągnęła prawo jazdy z portfela.

Z powrotem otworzyła drzwi i wręczyła chłopakowi prawo

Jazdy.

Posłaniec obejrzał je, porównując jej twarz ze zdjęciem, skinął głową.

Muszę poprosić też panią o legitymację służbową z Harvardu.

~ Od kogo jest ta paczka?

61

- Nie mam pojęcia. - Zerknął na nadawcę. - Od jakiegoś Lenehana.

Claire poczuła niewysłowioną ulgę, potem podniecenie.

- Proszę - rzekła, wręczając mu swoją legitymację uniwersytecką.

Obejrzał ją, ponownie porównując zdjęcia.

- W porządku - powiedział, ciągle mając się na baczności. - Proszę tu podpisać.

Podpisała, wzięła przesyłkę - płaską, sztywną kartonową kopertę wymiarów dziewięć na dwanaście cali - dała posłańcowi napiwek i zamknęła drzwi.

- Od kogo to? - zapytała Jackie.

Claire uśmiechnęła się i nie odpowiedziała. Tom zdawał sobie sprawę, że telefony będą na podsłuchu, to znaczy, że ani poczta głosowa, ani faks nie są bezpiecznymi środkami porozumiewania się. Wiedział, że będą sprawdzać pocztę. Nagłe pojawienie się kuriera może zadziałać tylko raz, ale nie mogą przejąć przesyłki bez nakazu sądowego.

W środku znajdował się ręcznie napisany list. Gdy go przeczytała, oczy napełniły jej się łzami. Lecz zawierał on także plan, dzięki któremu po raz pierwszy poczuła iskierkę nadziei.

11

Księżyc w pełni. Ciepła noc. Wywiadowcy na swych stanowiskach w rządowych wozach zmożeni nudą. Załedwie po półgodzinie zadzwieczał dzwonek u drzwi i

Claire poszła otworzyć. Nie była zdziwiona widokiem dwóch agentów FBI, Howarda Massiego i Johna Crawforda, którzy stali u wejścia w niemal identycznych płaszczach. Bez wątpienia przybyli niezwłocznie, wezwani przez tajniaków w samochodach.

Gdy weszli, pierwszy odezwał się Massie.

- Gdzie koperta? - zapytał.

Był to postawny mężczyzna, roślejszy, niż zapamiętała z koszmarnej sceny w centrum handlowym i „rozmowy”, do której potem doszło.

- Najpierw porozmawiamy - rzekła Claire, prowadząc ich do pomieszczenia tuż obok hallu, gdzie można było spokojnie pogadać. Znajdowała się tam kanapa, kilka wygodnych, wy

62

ściełanych krzeseł, ustawionych na sizalowym dywanie wokół otomany nakrytej gobelinem o gruzełkowatej fakturze. Cały ten mebel zajmowały egzemplarze „New Yorkera”, starannie ułożone w stosy. Rzadko używali tej części domu, toteż bez śladów czyjejkolwiek obecności wyglądała niczym wystawa w sklepie meblowym.

- Jeżeli zamierza pani coś przed nami ukrywać... - zaczął Crawford z groźbą w głosie.

- Potrzebna nam jest pani współpraca - przerwał mu Massie - więc jeśli pani mąż usiłuje zorganizować spotkanie z panią...

- Czy możecie mi udowodnić, że człowiek, którego szukacie, ten Ronald Kubik, naprawdę jest tą samą osobą co mój mąż, Tom Chapman? - wtrąciła ostro Claire.

Massie spojrział na Crawforda, który rzekł:

- Owszem, na podstawie odcisków palców, proszę pani. Odcisków palców nie można zmienić - one nie kłamią. Możemy pokazać pani fotografie, ale twarz na nich jest inna.

Claire miała wrażenie, że żołądek przewraca jej się na drugą stronę.

- Jak to twarz jest inna?

- Istnieje tylko nieznaczne, przelotne podobieństwo między fotografiami pani męża, którymi dysponujemy, a zdjęciami Ronalda Kubika - wyjaśnił Massie. - Jeśli nałoży

się te fotografie na sobie, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to ten sam człowiek, ale nigdy by to pani nie przyszło do głowy, biorąc pod uwagę, ile operacji plastycznych przeszedł. Sierżant Kubik jest niezwykle inteligentny i bardzo pomysłowy. Gdyby nie dokonano włamania do państwa domu, a policja z Cambridge była mniej drobiazgowa i nie zebrała wszystkich odcisków palców, może nigdy by go nie złapano.

~ Sierżant?

~ Tak, proszę pani - odparł Crawford. - Jesteśmy tylko agencją pośredniczącą. Naprawdę pracujemy na zlecenie armii amerykańskiej. Wydział Śledczy do spraw Kryminalnych. ~ Massie z zainteresowaniem przyglądał się jej spod ciężkich Powiek.

. ~ A dlaczego, do diabła, wojskowe służby śledcze interesują SI? Tomem?

" Wiem, że jest pani profesorem prawa na Harvardzie

63

- odezwał się Massie. - Ale nie wiem, jak dalece orientuje się pani w sprawach wojskowych. Pani mężowi, Ronaldowi Kubikowi, postawiono szereg zarzutów na podstawie wojskowego kodeksu karnego, między innymi z paragrafów osiemdziesiąt pięć, za dezercję, i sto osiemnaście - morderstwo z premedytacją.

- A kogo on rzekomo zabił?

- Nie mamy dostępu do takich informacji - szybko odparł Crawford.

Claire spojrzała na Massiego, który potrząsnął głową, po czym rzekł:

- Wiemy, że mąż się z panią skontaktował. Musimy się dowiedzieć, gdzie się obecnie znajduje. Dlatego chcielibyśmy obejrzeć tę przesyłkę.

- Właśnie o tym chciałam z panami porozmawiać - rzekła Claire.

- Rozumiem - odparł Massie, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem.

- Nasze cele są rozbieżne - powiedziała. - Ja pragnę tylko jego dobra. Cokolwiek zrobił, nie oczyści się z zarzutów, uciekając. Prędzej czy później dopadnie go ministerstwo niesprawiedliwości.

- Tak myśleliśmy, że prędzej czy później sama pani to zrozumie.

Claire rzuciła mu spojrzenie, pełne miazdzącej pogardy, po czym wymieniła swoje warunki:

- Chcę, aby to wszystko załatwiono po cichu. Nie ma mowy o efektownym aresztowaniu w miejscu publicznym, prowadzeniu go w kajdankach, wyciągniętych pistoletach. Żadnych pęt ani okowów.

- To się da zrobić.

- Ponieważ umówił się ze mną na lotnisku Logan, odda się w wasze ręce na parking Logan, naprzeciwko budynku dworca. Dopilnuję, aby był nieuzbrojony albo wyrzucił broń, tak żebyście to widzieli.

Massie skinął głową.

- Ale zanim się podda, chcę się z nim spotkać sam na sam, co będzie trwało najmniej godzinę. - Massie uniósł brwi. - W jakimś ustronnym miejscu, bo muszę porozmawiać z mężem. Możecie nas starannie pilnować, powziąć

64

wszelkie środki, żeby nie uciekł, ale chcę z nim pogadać w cztery oczy.

- Z tym będzie kłopot - rzekł Crawford.

- Jeżeli rzeczywiście tak się sprawy mają, to nawet nie myślcie, że go dostaniecie. Albo że zobaczycie list.

- To się chyba jakoś da załatwić - nagle doszedł do wniosku Massie.

- Dobrze. Następnie, chcę od was zapewnienia, że nie zamrozicie jego aktywów.

- Pani profesor - rzekł Crawford - nie wydaje mi się, żeby...

- Musicie to uzyskać, panowie. Ta kwestia nie podlega dyskusji.

- Musimy skontaktować się z Waszyngtonem.

- Nie chcę też, żeby FBI wносиło przeciw niemu oskarżenie o naruszenie Ustawy o fałszywej tożsamości. W sumie chodzi mi o to, żeby zrezygnowano z wszelkich zarzutów podlegających kodeksowi cywilnemu. - Crawford spojrział na Massiego ze zdumieniem. - I domagam się tych wszystkich zapewnień na piśmie, podpisanym przez zastępcę dyrektora FBI. Nie przez byle urzędniczynę. To musi być człowiek w pełni odpowiedzialny. Nie dopuszczę, żeby ktoś się potem wykręcił z tych zobowiązań, zasłaniając się brakiem kompetencji.

- Wszystko się chyba da załatwić - powiedział Massie - ale wymaga to trochę czasu.

- Otworzyły się przed wami duże możliwości. Jeżeli będziecie zwlekać, zatrzasną się

i jeszcze przytną wam palce - ostrzegła Claire. - Chcę otrzymać podpisane dokumenty do jutra do południa. Jestem umówiona z mężem wczesnym wieczorem.

- Jutro? Do południa? - prychnął Crawford. - To... to absolutnie niemożliwe.

- Zróbcie, co w waszej mocy. - Claire wzruszyła ramionami. ~ Kiedy dojdziemy do porozumienia, będziecie mogli przeczytać list Toma. A potem go aresztować.

Claire wyszła z domu wcześniej następnego ranka, ubrana w jaskrawy, fioletowoniebieski płaszcz, który kupiła kiedyś w modnym magazynie w chwili zaćmienia. Podwiozła Annie do szkoły, weszła z nią do budynku i zaprowadziła do klasy,

65

po czym wróciła do swego volva i pojechała na wydział. Dwie crown victorie podążały za nią niczym wierne owczarki.

Za piętnaście dwunasta tegoż przedpołudnia kurier przyniósł przesyłkę z bostońskiego oddziału FBI. Zawierała ona list, o który prosiła Claire, podpisany przez zastępcę dyrektora FBI. Jego podpis był nie do odcyfrowania - przypominał poszarpany wykres elektrokardiogramu.

Pół godziny później przybył posłaniec po list, który miał zanieść Massiemu do biura FBI w centrum miasta.

Gdy parę minut po pierwszej Connie wychodziła na lunch, Claire dała jej torbę na zakupy, która zawierała jaskrawo-niebieski płaszcz, i poprosiła, by sekretarka zostawiła pakunek u kelnera popularnego baru i zarazem restauracji, gdzie Connie nieodmiennie jadła lunch w stałym towarzystwie dwu innych urzędniczek z harwardzkiego wydziału prawa.

Następnie Claire odbyła zajęcia ze studentami i odwołała kilka umówionych na popołudnie spotkań.

O pół do piątej wpakowała potrzebne rzeczy do teczki, zamknęła biuro, pożegnała się z Connie i poszła do windy. Nie zauważyła, by ktoś ją obserwował z głębi hallu. Zjechała do podziemi i wędrowała tunelami pod budynkami wydziału prawa dopóty, dopóki nie nabrała pewności, że nikt jej nie śledzi. Agenci mieli swoje sztuczki, wiedzieli, jak śledzić i ścigać, ale ona znała wszelkie zakamarki wydziału prawa.

Dokładnie o piątej, tak jak obiecała agentom FBI, jej volvo powoli wyjechało z wydziałowego parkingu. Przyglądając mu się z pewnej odległości, Claire ujrzała za kierownicą ciemnowłosą postać w niebieskofioletowym płaszczu i ogromnych

okularach słonecznych, dość przypominającą Claire, w każdym razie w takim stopniu, w jakim Jackie zdołała się do niej upodobnić za pomocą peruki, którą pospiesznie kupiła w śródmieściu. Volvo włączyło się w popołudniowy ruch na Massachusetts Avenue, wlokąc za sobą ogon w postaci nie oznakowanej crown victorii, po czym zniknęło Claire z oczu. Jackie pojedzie do Logan - do którego dojazd o tej porze stanowił trudną przeprawę z powodu tłoku i licznych korków - i będzie krążyć od jednego dworca do drugiego, jakby niepewna celu swej podróży; agenci zaś, bez wątpienia, nie opuszczą jej aż do końca.

List, który Claire przesłała przez kuriera Massiemu - o po-

66

jedynczej spacji, wydrukowany na drukarce laserowej w gabinecie Toma w domu, a napisany na papierze formatu listowego, pochodził ze specjalnie do tego celu rozpieczętowanej paczki, a zatem nie było na nim żadnych odcisków palców. Według zawartej w nim, nie podpisanej instrukcji, Claire miała spotkać się z Tomem na dworcu linii Delta w Logan, dokąd przyleci samolotem z Nowego Jorku o wpół do szóstej. Taj-niacy będą czekać przy stanowisku przylotów, ale ponieważ agenci są podejrzliwi, bez wątpienia pojedą za jej volvem, by się przekonać, czy rzeczywiście zmierza tam, gdzie im powiedziała.

Następnie Claire leniwym krokiem przeszła na Oxford Street, znajdującą się za budynkiem wydziału prawa, gdzie na płatnym parkingu znalazła lexusa Toma. Jackie zaparkowała go tu przed paroma godzinami i opłata parkometru dawno już wygasła, toteż Claire wcale nie zdziwił widok kwitu mandatowego, wciśniętego za wycieraczkę.

* * *

Weź przenośne radio z sypialni - pisał Tom w liście, który do niej przysłał, nie tym, jaki przygotowała na użytek FBI. - Nastaw je na stację wysoko na skali, koło 108 megaherców. Upewnij się, czy sygnał jest głośny i wyraźny. Następnie zabierz je do garażu i przyłóż antenę możliwie jak najbliżej każdej powierzchni w samochodzie.

Zwracaj uwagę na wszelkie zakłócenia, skrzeki, gwałtowną zmianę jakości odbioru.

Jeżeli wykryjesz obecność przekaźnika w samochodzie albo nie będziesz absolutnie pewna, że go nie ma, nie jedź.

Jeżeli uznasz, że wóz jest czysty, możesz jechać.

Ale zaczekaj na godziny największego natężenia ruchu. Trudniej im będzie jechać za tobą, gdy na szosie jest gęsto od samochodów. Albo jedź nocą, wtedy nie tak łatwo

będzie można Przykleić się do ciebie, bo światła widoczne są z dużej odległości.

Polecił też, by jechała okrężną drogą, co łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Jeżeli masz ogon, żadna droga nie wydaje się dość okrężna. ^anim dojedziesz do autostrady Massachusetts, objeżdż miasto aokoła. Skręć cztery razy w prawo, raz za razem, by pozbyć

67

się wszystkich jadących z tyłu, bo jeśli potem ktoś jeszcze będzie za tobą jechał, to musi być ogon.

Często skręcaj w lewo, gdyż przy skręcie w lewo łatwiej zauważysz, czy ktoś cię śledzi. Przejeżdżaj na żółtych światłach, jeśli to tylko możliwe. Staraj się jechać, gdy światło zmienia się na czerwone, tak długo, póki nie będzie ci groził wypadek.

Jeżeli nie śledzą cię otwarcie, nie będą jechać tuż za tobą. Mogą was oddzielać jeden czy dwa samochody. Niewykluczone, że będą za tobą jechać aż cztery wozy. Albo żaden.

Uważaj na prawy tylny zderzak, którego normalnie nie widać. Ogony uwielbiają go.

Jedź z różną prędkością. Przyspieszaj, potem zwalnij. Jedź bardzo wolno, tak powoli, by zmusić wszystkich, by cię minęli. Zatrzymaj się na parkingu przydrożnym i zaparkuj jak najdalej z tyłu. Zjedz obiad. Wałęsaj się przez parę godzin. Weź coś ciężkiego i stłucz prawe tylne światło. Potem wróć na autostradę.

Przynajmniej raz na autostradzie zakręć o sto osiemdziesiąt stopni, gdziekolwiek tam jest zakręt.

Gdy miniesz zjazd dziewiąty na autostradzie - za Sturbridge, w daleko wysuniętej na zachód części stanu - zwolnij, jedź prawym pasem, z włączonymi migaczami.

Z początku podziwiała znajomość rzeczy, jaką przejawiał Tom, znawstwo wszelkich tajników sztuki śledzenia. Nie знаła go od tej strony.

Potem przypomniała sobie, kim jest wedle agentów FBI, i uznała, że przynajmniej część z tego musi być prawdą.

Tuż po dziesiątej wieczorem, gdy było już za późno, by zadzwonić do Annie, nawet gdyby się na ten telefon odważyła, jechała autostradą w Berkshire, w pobliżu Lee, w Massachusetts. Nie było dużego ruchu. Myślała o Annie, śpiącej w łóżeczku, oraz o Jackie, która na dole paliła papierosa za papierosem.

Droga stawała się tu pagórkowata. Przecinała parowy, potem znowu wychodziła na otwartą przestrzeń, po stromym zboczu na szczyt wzgórza. Jechała powoli podniszczoną szosą, zapalając światła awaryjne. Była pewna, że nikt jej nie śledzi. Gdy zaczęła zjeżdżać ze stromej zbocza, zauważyła w tylnym

68

lusterku, że z okolonej drzewami bocznej drogi wyjeżdża samochód z wygaszonymi światłami. Przyspieszył na tyle, że znalazł się tuż za nią, a wówczas dwukrotnie mignął długimi światłami.

Skręciła z szosy w następny zjazd, ocieniony gęstym zagajnikiem, i zgasła wszystkie światła.

Serce waliło jej jak młotem.

Patrzyła wprost przed siebie, nie odważając się odwrócić głowy, by spojrzeć, co się dookoła dzieje.

Ten drugi samochód podjechał tuż za nią i zatrzymał się. Usłyszała, że drzwi się otwierają, potem doszedł ją szelest kroków na chodniku.

Odwróciła się, by wyjrzeć przez podkręcone do góry okno, i ujrzała Toma. Z kilkudniowym zarostem wyglądał, jakby pobrudził się węglem, z jego szyi zwisała lornetka, zawieszona na pasku. Uśmiechnął się do Claire, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

Do oczu napłynęły jej łzy. Zarzuciła mu ręce na szyję.

12

Posuwała się za nim lexusem krętą trasą, zjechała z autostrady na boczne drogi, a potem wiejskie gościńce, aż zupełnie straciła orientację. Tom prowadził starego jeepa wranglera, lecz nie wyjaśnił, skąd go wziął. Minęli małe miasteczko, jakby zastygłe w latach pięćdziesiątych. Ujrzała starą, pomarańczową reklamę leku, którego już nikt nie używał, dom towarowy Woolwortha liczący z pięćdziesiąt lat, starodawny znak stacji benzynowej Gulf. Miasto było ciemne, wszystkie okna przesłonięto okiennicami. Przy nie oświetlonej wiejskiej drodze ujrzała niski, nowoczesny budynek szkoły podstawowej, postawiony z cegły, potem przejechali przez skrzyżowanie, a później długo przez jakieś pustkowia. Wreszcie Tom dał znak, by się zatrzymała.

Zaparkowała lexusa i dosiadła się do Toma w jeepie.

~ Dokąd jedziemy? - zapytała.

Pokręcił głową.

~ Wszystko ci opowiem. Już niebawem.

Gwałtownie wjechał w nie oznakowany boczny zjazd, wio-

69

dący w gęsty las. Droga pogarszała się stopniowo: z nawierzchni tłuczniowej przeszła w mocno ubity żużel, na którym koła zgrzytały przez dobre pięć minut, jeszcze dłużej tłukli się po wybojach, aż jazda zakończyła się gwałtownie na skalnym występie, z którego sterczały łupki, iłołupki i niekształtne otoczaki. Tom zgasił światła, potem silnik i jechał na wolnym biegu, póki samochód się nie zatrzymał. Wtedy podniósł z podłogi dużą, czarną latarkę i skinął na Claire, by wysiadła wraz z nim.

Oświetlając sobie drogę potężnym, skoncentrowanym promieniem, weszli w gęszcz dużych sosen, niekształtnych z braku światła w lesie gęsto porastającym brzegi małego jeziora. Prowadził ją krętym szlakiem po ścieżce, która w gruncie rzeczy była ledwo ubitą dróżką między wyniosłymi drzewami. Claire szła za nim, kilka razy się potykając. Miała na sobie wyjściowe buty o śliskiej podeszwie. Poza stożkiem światła, padającego z latarki Toma, nie widziała nic. Dookoła panowała ciemność, choć oko wykol. Tej nocy księżyc chyba nie wzeszedł.

- Trzymaj się blisko mnie - powiedział Tom. - Uważaj.

- Dlaczego?

- Trzymaj się blisko mnie - powtórzył.

W końcu zatrzymał się przy małym, byle jak zbitym z desek domku - a właściwie chatynce - o stromym dachu z asfaltowych płytek, których tu i ówdzie brakowało. Chałupa wyglądała obskurnie. Małe okienko przysłaniała żaluzja z żółtawego papieru, skutecznie skrywając wnętrze przed niepożądanym okiem. Dach schodził tak nisko, że Claire mogła dotknąć okapu. Kiedyś, chyba przed paroma dziesiątkami lat, chatkę pomalowano na biało, zachowane pasemka białej farby na oszalowaniu rozwalających się bocznych ścian przypominały grudki śniegu.

- Witaj - rzekł Tom.

- Co to jest? - Ale Claire wiedziała, że nie na tak sformułowane pytanie pragnęła odpowiedzi. O co w tym wszystkim chodzi? Bo że jest to niby porzucona, lecz przecież zamieszkana chałupa na brzegu jeziora na odludziu w zachodnim Massachusetts, widać było gołym okiem. Nie ulegało też najmniejszej wątpliwości,

że to kryjówka Toma, którą znalazł jakimś cudem, by się w niej zamelinować.

Podeszła do niego bliżej. Prócz kilkudniowego zarostu miał

70

I

pod oczami ciemne kręgi. Zmarszczki na czole się pogłębiły. Wygadał na wykończonego, ledwie żywego ze zmęczenia. Uniósł kąciki ust w nieśmiałym uśmiechu.

- Jestem szalonym poetą z Nowego Jorku, który potrzebuje kilku tygodni samotności. To miejsce należy do właściciela stacji benzynowej w miasteczku. Przedtem było własnością jego ojca, który zmarł dwadzieścia lat temu, ale nikt z rodziny nie chciał chałupy na takim zadupiu. Wypatrzyłem to miejsce przed paroma laty, na wypadek gdybym musiał błyskawicznie zapaść się pod ziemię. Kiedy przed paroma dniami zajrzałem do właściciela, był wniebowzięty, że chcę wynająć tę kurną chatę za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

- Przed paroma laty? Spodziewałeś się, że dojdzie do czegoś takiego?

- Tak i nie. Z jednej strony myślałem, że to się nigdy nie zdarzy, a z drugiej zawsze byłem przygotowany na taką wpadkę.

- A pomyślałeś, co stanie się z Annie i ze mną, jeżeli ciebie to spotka?

- Claire, gdybym miał najlżejsze podejrzenie, że jednak mnie dostaną, zmyłbym się natychmiast. Uwierz mi. - Otworzył ciężkie drzwi, bez zamka, skrzypiące w zawiasach. - Wejdz.

W środku podłoga ułożona była z szerokich, nie heblowanych desek, wyglądających tak, jakby zaraz się miały porozłupywać. Na piecyku na drewno leżało pudełko zapalek. Powietrze miało przyjemny, dymny zapach, jak przy leśnym ognisku. Tom wyraźnie się tu zadomowił. Przy jednej ścianie stało niewielkie łóżko, przykryte starym, ciemnozielonym wełnianym kocem. Na małym, rozklekotanym stole piętrzyły się zapasy żywności: karton jajek, pół bochenka chleba, kilka puszek tuńczyka. Obok leżały jakieś mechaniczne przyrządy, których przeznaczenie było Claire nie znane. Wzięła jeden z nich, jasnobrązowe Podłużne pudełko wielkości lornetki z wizjerem na jednym końcu.

- Taka zabawka. Kupiłem ją w sklepie ze sprzętem wojskowym.

~ Ale co to jest?

~ Obrona. Zabezpieczenie.

Nie drażyła dalej tego tematu.

71

Ciszę przerwał huk małego samolotu lecącego wysoko nad nimi.

- Przypomnij mi, żebym nie kupowała działki przy tym jeziorze.
- Gdzieś tu niedaleko jest prywatne lotnisko. Znajdujemy się chyba nad torem ich lotów. No i tak... - Otoczył ją ramionami i przytulił tak mocno, że aż zabolalo. Znowu przypomniła sobie, jak wielka siła kryje się w tych gibkich członkach.
- Dzięki, że przyjechałaś - wyszeptał i mocno ucałował ją w usta.

Wyrwała mu się.

- Kim ty jesteś, Tom - zapytała cicho, jadowicie. - A może Ron? W końcu który z nich?
- Od tak dawna nie jestem Ronem... - powiedział. - Gdy byłem Ronem, nigdy nie czułem się szczęśliwy. Przy tobie zawsze byłem Tomem. Mów do mnie Tom.
- A więc, Tom. - W jej głosie dzwięczała teraz nuta niesmaku. - Kim naprawdę jesteś? Bo nie wiem, ile z ciebie zostaje po usunięciu tych wszystkich kłamstw. Czy to prawda, co mówią?
- Nie wiem, co ci powiedzieli. Podniosła głos.
- Nie wiesz... Powiedzieli mi, Tom, znacznie więcej, niż kiedykolwiek dowiedziałam się od ciebie.
- Claire...
- Więc powiedz mi wreszcie tę cholerną prawdę.
- Chroniłem cię, Claire.

Roześmiała się gorzkim śmiechem, który zabrzmiał niczym ochryple warknięcie.

- Niezły kawał. Okłamywałeś mnie od pierwszej chwili, kiedy się spotkaliśmy, i to ty chroniłeś mnie! Oczywiście, dlaczego nie przyszło mi to do głowy! Co za dżentelmen z ciebie, co za rycerski facet! Jakiego mamy w tobie obrońcę! Dzięki, że przez trzy lata chroniłeś mnie i moją córkę za pomocą kłamstw! Nie, co ja mówię - to było pięć lat kłamstw. Serdeczne dzięki!
- Claire, kochanie - rzekł Tom, znowu wyciągając do niej ramiona, a gdy zaczął ją obejmować, szybko, celnie i, jak się okazało, bardzo skutecznie, kopnęła go w

pachwinę.

- Kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem, byłem samotny, przygnębiony i zarabiałem całkiem przyzwoicie jako doradca finansowy. Musiałem działać na własną rękę, prowadzić swoją firmę, bo każdy, kto chciałby zbyt dokładnie sprawdzić historię mego zatrudnienia, zorientowałby się, że wszyscy moi pracodawcy wycofali się z interesu. A kto chciałby mieć w swoim gronie pechowca? - Uśmiechnął się smutno. - Od czasu mojego zniknięcia minęło wtedy już prawie sześć lat, zostałem Tomem Chapmanem, ale ciągle jeszcze rozglądałem się dookoła, kiedy szedłem ulicą. Nadal byłem przekonany, że mnie wytropią, bo to dobrzy fachmani, Claire. Naprawdę dobrzy. To bezlitośni mordercy. W tym, co robią, są rzeczywiście nie do pobicia.

- A kim oni są?

- Pracowałem dla ściśle tajnej, zakonspirowanej jednostki Pentagonu. Nigdzie nie ujawniona grupa wsparcia do spraw operacyjnych. Oddział służb specjalnych.

- Możesz to przetłumaczyć?

- Specjalna grupa operacyjna - zespół dwunastu wysoko wyszkolonych, niezwykle sprawnych członków służb specjalnych, wykorzystywanych do tajnych operacji Pentagonu. Wysyłali nas zwykle tam, gdzie z jakichś względów wspomagali tajne, często nielegalne, ściśle zakonspirowane operacje, a Pentagon, Agencja albo Departament Stanu nie chcieli, by ktokolwiek wiedział, że maczali w tym palce.

Tom siedział na brzegu łóżka. Obok niego Claire ze skrzyżowanymi nogami.

- Tom, musisz trochę zwolnić.

Ale Tom jakoś nie chciał zwolnić. Ciągnął dalej dziwnie monotonnym głosem, nieprzerwanie jak maszynka.

- Oficjalnie grupa w ogóle nie powstała. Nie było jej na żadnych schematach organizacyjnych czy w spisie telefonów.

Jej

istnienie nigdzie nie zostało publicznie odnotowane. Ale

byliśmy doskonale finansowani z tajnego budżetu Pentagonu, 2 ich olbrzymiego funduszu dyskrecjonalnego. Oficjalnie nosiliś-my nazwę oddziału dwudziestego siódmego, ale czasami sami siebie nazywaliśmy Płonącym Drzewem. Dowodził nami prawdziwy zapaleniec, a przy tym skończony łajdak, pułkownik Bill ^arks. William O. Marks.

~ Chyba słyszałam to nazwisko. - Czuła się tym wszystkim Przytłoczona. Kręciło jej się w głowie.

73

Tom prychnął z niesmakiem.

- Teraz ma stopień generała, dowodzi armią. Jest szefem sztabu armii, kandydatem na przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, kiedy rząd Reagana prowadził tajną wojnę w Ameryce Środkowej...

- Tom, cofnij taśmę. Zaczynaj od początku. To wszystko jest zbyt zaskakujące, zbyt dziwaczne, żebym cokolwiek zrozumiała. Powiedz mi, co jest prawdą, a co zmyśliłeś. Skończyłeś studia czy nie? Pracowałeś w biurach maklerskich?... Czy to wszystko bujdy?

Skinął głową.

- To, co ci opowiadałem o Claremont College, częściowo się zgadza. Tyle że urodziłem się i wychowałem na północnym przedmieściu Chicago. Ale prawdą jest, że moi rodzice się rozwiedli i ojciec nie chciał opłacać mi studiów. A pamiętaj, że to był rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty. Jeżeli mężczyzna nie był żonaty, nie uczył się i nie miał jakiejś wady fizycznej, brali go do wojska i wysyłali do Wietnamu. Mnie też zmobilizowali. Ale z jakichś powodów wzięli mnie do służb specjalnych, a gdy wróciłem z wycieczki do Wietnamu, sprowadzili mnie do Fort Bragg i włączyli do Płonącego Drzewa. Byłem w tym dobry i - teraz ze wstydem to przyznaję - wierzyłem w to, co mi mówili. Łączyła nas prawdziwa więź, wszyscy byliśmy zapaleńcami. Wierzyliśmy, że odwalamy brudną robotę, którą trzeba wykonać dla dobra Ameryki, tyle że jej strachliwy rząd boi się działać otwarcie.

Przyjrzała mu się dziwnie, a on uśmiechnął się.

- W latach osiemdziesiątych Centralna Agencja Wywiadowcza i Departament Obrony ugrzęźli po same uszy w Ameryce Środkowej. Agencja wydawała podręczniki, instruujące agentów, których tam miała, jak stosować tortury.

Przytaknęła. O podręcznikach CIA słyszeli wszyscy.

- Rząd Reagana miał kota na punkcie zlikwidowania tam komunistów. Ale Kongres nie wypowiedział wojny, więc oficjalnie nie mogliśmy z tym walczyć. Tylko „doradzać”. Więc wysłano nasz oddział, w mundurach polowych bez odznak, tak że w razie gdyby nas złapali, nikogo nie dałoby się zidentyfikować. Mieliśmy pomagać w szkoleniu nikaraguańskich powstańców w Hondurasie i służyć wsparciem rządowi

w Sal-

74

wadorze. Departament Stanu za prezydentury Reagana zajął sprytne, legalistyczne stanowisko, że nie muszą zawiadamiać Kongresu o obecności tajnych oddziałów w tamtym rejonie, gdyż Ustawa o siłach zbrojnych nie obejmuje jednostek antyterrorystycznych. Czyli nas. A więc pewnego dnia - dziewiętnastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, w ładnej dzielnicy San Salvador, zwanej Różową Strefą, czyli Zona Rosa, grupa amerykańskich komandosów, po służbie, w cywilnych ubraniach, jadła kolację w jednej z tych ulicznych restauracyjek. Nagle podjechała półciężarówka, z której wyskoczyła kupa facetów z pistoletami półautomatycznymi, i otworzyła ogień. Ci miejscy bojownicy - lewicowi powstańcy, walczący z rządem - zabili czterech komandosów, dwóch amerykańskich biznesmenów i siedmiu Salwadorczyków, po czym odjechali. Prawdziwa krwawa łaźnia. Coś niewiarygodnego. Reagan i Biały Dom wpadli w szal. Mieliśmy umowę, że lewaccy powstańcy w Salwadorze nie będą napadać na Amerykanów, a tu taka historia. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w bazie lotniczej Andrews, dokąd przetransportowano ciała czterech komandosów. Reagan był wściekły. Poprzysiągł, że poruszymy wszystkie góry, przepawimy się przez wszystkie rzeki - pamiętasz to jego poetyckie zadęcie - żeby znaleźć tych szakali i postawić ich przed oblicze sprawiedliwości.

Claire przytaknęła z przymkniętymi oczyma.

- Nie ujawnił tylko, że rozkazy zostały już wydane. Złapać tych sukinsynów. Złapać morderców. „Robimy kocioł” - powiedzieli - co, jak powszechnie wiadomo, znaczy, że zabija się każdego, mającego z tamtą masakrą choćby luźny związek. Płonące Drzewo ruszyło więc na poszukiwanie morderców. Dostaliśmy cynk, że komandosi, odłam lewackiej organizacji zwanej FMLN, mają bazę w wiosce pod San Salvador. To była maleńka wioseczka, Claire, domy z trawy, coś takiego. Nasz informator podał nam błędne dane. Nie stacjonowali tam żadni komandosi. Wioskę zamieszkiwali sami cywile, starcy, kobiety, dzieci, niemowlaki, na pierwszy rzut oka było *idać, że nie jest to kryjówka miejskich komandosów, ale *idzisz, chcieliśmy krwi.

Teraz Claire wpatrywała się przeszywającym, rozgorączkowanym spojrzeniem prosto w jego oczy.

~ Był środek nocy, dwudziestego drugiego czerwca. Cała

75

wioska spała, ale nam kazano obudzić wszystkich, wyciągnąć z łóżek, z chat i szukać broni. Akurat sprawdzałem, czy w odległym końcu wioski nie ma skrzynek z ukrytą amunicją, kiedy usłyszałem strzały.

Teraz z oczu Toma popłynęły łzy. Głowę miał spuszczonej, zacisnął pięści.

- Tom - powiedziała Claire, nie odrywając od niego wzroku.

- Kiedy tam doszedłem, wszyscy już nie żyli.

- Kto?

- Kobiety, dzieci, starcy...

- Jak ich zabito?

- Z karabinów maszynowych... - Głowę nadal trzymał po chyloną, twarz wykrzywił konwulsyjny grymas, oczy miał nadal zamknięte, lecz łzy ciągle spadały na szorstki koc. - Wszędzie porozciągane, pokrwawione ciała...

- Kto to zrobił?

- Nie wiem. Nikt nie chciał puścić pary z gęby.

- Ilu ludzi tam zginęło, Tom?

- Osiemdziesięciu siedmiu - wykrztusił. Teraz Claire przymknęła oczy.

- O Jezu - wyszeptala. Kiwała się w przód i w tył, mamrocząc: - O Jezu, o Jezu.

Tom, zaciskając pięści, czerwony na twarzy jak dziecko, szlochał w milczeniu.

I

13

Przez długi czas żadne z nich się nie odzywało.

W końcu Tom podjął opowieść na nowo.

- Jednostkę wezwano z powrotem do Fort Bragg na odprawę. Sprawa się rozniosła. Kogoś trzeba było ukarać. - Otarł twarz ręką, po czym mocno przycisnął oczy kciukiem i palcem wskazującym. - Pułkownik zaprzeczył, że wydał taki rozkaz, i kazał to samo mówić swoim ludziom podczas przesłuchań przez Wojskowe Biuro Śledcze. Zrzucili winę na mnie. Powiedzieli, że straciłem głowę, że puściły mi nerwy. Pułkownik Marks zląkł się, że ponieważ mnie tam nie było i nie chciałem popierać jego kłamstw, będę słabym ogniwem i powiem prawdę. Więc zrobił akurat na

odwyrtkę. Kazał im wszystkim

76

zrzucić winę na mnie. Byłem naiwny. Nie miałem pojęcia, co się dzieje.

- Jak to?

- Marksowi wszystko uszło na sucho. Ja zostałem kozłem ofiarnym - oskarżono mnie o morderstwo pierwszego stopnia. Osiemdziesiąt siedem ofiar. A ci, którzy nie chcieli współpracować przy tuszowaniu całej sprawy, umierali jeden za drugim - popełniali samobójstwo w celach, ginęli w wypadkach samochodowych - do wyboru, do koloru. Wiedziałem, że jestem następny w kolejce. Bo Pentagon chciał zatrzeć każdy, najmniejszy nawet ślad po tej aferze. Znasz powód - każdy z nich mógłby próbować szantażu wobec kierownictwa Pentagonu, bo wiedzieli, że dowódca współuczestniczył w masakrze.

- A więc uciekłeś?

- To nic trudnego. Wsunąłem łapówkę jednemu z żandarmów, który mnie pilnował, poprosiłem, żeby wyszedł kupić mi kolę, i zniknąłem.

- Jak zniknąłeś?

- Boże, Claire, nauczono mnie tych wszystkich sztuczek. Niektóre z nich to takie same zagrywki, jakie stosuje się w Federalnym Programie Bezpieczeństwa Świadka. Pojechałem autobusem do Montany, dostałem kartę ubezpieczenia społecznego, którą uzyskać jest śmiesznie łatwo, jeśli znasz daty urodzenia i śmierci, a te dane są publicznie dostępne. Na tej podstawie otrzymujesz wszystkie inne dokumenty tożsamości i możesz wziąć kredyt. Prowadziłem swój własny program ochrony świadka. Zniknąłem, a potem znowu się pojawiłem jako zupełnie inna osoba. Ale wierz mi, że przez cały czas byłem przerażony. Chwytałem się różnych gównianych zajęć - zmywałem naczyta, gotowałem szybkie dania, byłem mechanikiem samochodowym, co tylko chcesz. I zrobiłem sobie operację plastyczną. Zmieniłem kształt nosa i podbródka, mam wkładki w policzkach. Chirurdzy nie mogą sprokurować całkiem nowej twarzy, ale tak wymodelują starą, że praktycznie nie daje się człowieka rozpoznać. Powoli i ostrożnie zacząłem też montować sobie nowy życiorys. Najłatwiej jest zdobyć sfalszowaną kartę zdrowia. Wręczasz ją potem po prostu swemu doktorowi i nikt Cię o nic nie pyta. Najtrudniej idzie ze świadectwami szkolnymi

dyplomami. Rząd amerykański ma specjalnego urzędnika do a«szowania świadectw szkolnych, ze względu na dobro kraju

i tak dalej, ale ja nie miałem takich dojsć. Mimo wszystko moja nowa tożsamość musiała być naprawdę solidna, bo po jakimś czasie dowiedziałem się, że wyznaczili dwa miliony dolarów za moją głowę.

- Kto wyznaczył? Pentagon?

- No nie, tak to się nie odbywa. Przynajmniej nieoficjalnie. Ale inni członkowie Płonącego Drzewa - ci, którzy przeżyli.

- W tym pułkownik Bill Marks?

- Teraz generał Marks - powiedział, potakująco kiwając głową. - Generał z czterema gwiazdkami. Ja jeden wiem o masakrze. Jeżeli się rozniesie...

- A jeśli nawet, to co z tego?! Przecież ta historia wydarzyła się, zaraz, trzynaście lat temu!

- ...że obecny szef sztabu armii, członek Kolegium Szefów Sztabów, przeprowadził masakrę dokonaną na osiemdziesięciu siedmiu salwadorskich cywilach, mężczyznach, kobietach i dzieciach, a potem to wszystko zatuszował?!
Skinęła głową.

- Dlatego właśnie moje odciski palców znajdują się w krajowej sieci kryminalnej bazy danych. A zatem jeżeli gdziekolwiek mnie aresztują albo choćby zdejmą odciski, dopadną mnie. Miejscowa policja nie wiedziała, co robi, biorąc moje odciski, ale skoro już raz wzięli, zostałem załatwiony. Zaalarmowano Pentagon i dlatego nasłali na mnie FBI i policję. Gdybym wiedział, że wzięli moje odciski, uciekłbym od razu, by chronić ciebie i Annie. Głowę dam, że Pentagon chce mnie zamknąć na zawsze, a mnóstwu ludzi byłoby bardzo na rękę, gdybym nie żył.

- Więc kim był Nelson Chapman?

- Przyjacielem. Tak naprawdę ojcem starego kumpla z wojska. Kiedyś uratowałem życie jego synowi, więc chętnie mi pomógł. Pożyczył mi też trochę pieniędzy na rozkręcenie firmy inwestycyjnej. Podwoiłem jego kapitał w ciągu czterech miesięcy.

- Jak długo masz zamiar się tu ukrywać?

- Nie mam pojęcia. Niedługo, żeby nie zaczął wzbudzać podejrzeń.

- Nie zauważyłam, żeby ktoś mnie śledził po drodze.

- Fantastycznie udało ci się ich wykiwać. Zupełnie jakbyś była zawodowcem.

- Robiłam tylko to, co mi kazałeś, i tyle. A co z tą wiadomością, którą mi przysłałeś w poczcie elektronicznej - mogą ją przejąć?

_ Nie ma mowy. Przesłałem ją przez anonimowego przekaziciela w Finlandii. Mam konto poczty elektronicznej w małej, niezależnej sieci, którą opłacam przekazami pieniężnymi. Włączyłem się do niej poprzez używany laptop, który kupiłem tutaj, i publiczny telefon z łącznikiem akustycznym. Wiedziałem, że sztuczka z kurierem zadziała tylko

raz...

Głos mu zamarł, a Claire obróciła lekko głowę, położyła ręce na jego kolanach i znowu spojrzała mu głęboko w oczy.

- Okłamywałeś mnie przez sześć lat, a może dłużej. Sama już nie wiem, w co wierzyć.

- A jak myślisz, Claire, dlaczego cię, do cholery, okłamywałem? - zapytał, mierząc ją nagle roziskrzonym wzrokiem. - Naprawdę uważasz, że mógłbym ci o tym wszystkim opowiedzieć?! „A, a tak przy okazji, Claire, to wcale nie jestem Tomem Chapmanem z Kalifornii, tylko Ronem Kubikiem z Illinois i, aha, przez te wszystkie lata nie byłem doradcą inwestycyjnym, tylko tajnym agentem, a obecnie się ukrywam. I jeszcze jedno: poddałem się operacji plastycznej, więc urodziłem się z trochę inną twarzą”. Przyznaj uczciwie, uważasz, że powinienem był ci coś takiego wyznać?! A ty, naturalnie, rzekłabyś: „Ach tak, to ciekawe, o której będzie kolacja?”

- Może nie na początku, ale potem, jak się pobraliśmy, po jakimś czasie powinienem być ze mną szczery, przyznać się do tego wszystkiego.

- Może powinienem był! - krzyknął prawie. - Może i tak. Skąd miałem wiedzieć? Jesteśmy małżeństwem dopiero od trzech lat. Wedle normalnego biegu rzeczy to nie jest zbyt długo. Pewnie powiedziałbym ci, gdyby nadeszła właściwa P^ora. Ale patrzyłem na ciebie i naszą małą córeczkę - moją córeczkę - i myślałem: „Najważniejsza rzecz na świecie, jaką m^ogę teraz zrobić, to zapewnić im bezpieczeństwo. Chronić Je • Bo wiedziałem, że gdybym ci powiedział, naraziłbym cię na ogromne ryzyko. Gdybyś wiedziała, ani przez chwilę nie byłbym o ciebie spokojny. Różne rzeczy się zdarzają, ludzie Zaczynają coś mówić, sprawa się rozchodzi. A tego chciałem Uniknąć. Moje zadanie polegało na tym, żeby was chronić!

ją ramionami i przysunął się, by ją pocałować, ale oc'siinęła się od niego. - Co miałem robić? - zapytał.

" Nie wiem, co powiedzieć.

Wsunął rękę pod jej bluzkę i ujął lewą pierś, ale Claire P°trząsnęła przecząco głową.

"~ Kochanie - powiedział błagalnie, wycofując dłoń.

'drgały nią najrozmaitsze, sprzeczne uczucia. Ledwo mogła mu się oprzeć, zarazem rozpaczliwie pragnąc mu się oprzeć. w końcu przymknęła oczy i pocałowała go, a on delikatnie zac^j ca}ować jej kark, nabrzmiące piersi, sutki, miejsca pod Piersiami.

~ Umieram z głodu - powiedziała. - Nie jadłam kolacji.

leżeli nadzy, spleceni ze sobą na wąskim łóżku.

spojrzał na zegarek.

~ Jest trzecia rano. Miałabyś ochotę na wczesne śniadanie?

~ Z przyjemnością.

^olejny samolot z hukiem przeleciał nad ich głowami.

~ Możesz do trzech razy zgadywać, dlaczego nikt tu nie zamjeszkał

~ Po jakimś czasie przestaje się zwracać na nie uwagę r?-ekł. Podniósł się i podszedł do piecyka. - Mamy jajka

1 Sitaki.

Francuskie? ~ Hiestety, żytnie. - Przyklął, podpałił drewno w piecyku

1 CZekał, aż się zajmie. - W końcu kiedyś się rozpali. - No

1 Pr°Sizę. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - To mamy załat-wion(;

_ Limno tu - wzdrygnęła się. - Podniosła się z łóżka i włożyła jedną z jeg0 grubyCri flanelowych koszul.

_ 'obry pomysł - uznał, po czym włożył dzinsy i pod-K_0S2Ulek. Wrócił do piecyka, wsunął cztery kromki chleba do siatkj opiekacza, wrzucił kawałek masła na rozgrzaną patelni? 1 rozhił na tym parę jajek. Jajka trzaskały i skwierczały, wypełniaJ^t chałupę najcudowniejszymi zapachami.

~ Ujdzie tu się można umyć? zgadnij. W tym lodowatym jeziorze?

Skinął przytakująco. Nagle obrócił głowę.

- Claire.
- Co takiego?
- Słyszałaś coś?
- Nie mów mi tylko, że podchodzą tu jeszcze zwierzęta.
- Ciii... Słuchaj.
- Co ty wyprawiasz? - wyszeptała, gdy podszedł do drzwi i zaczął je z wolna otwierać. - Tom?
- Cii. - Wyrzwał na zewnątrz, rozejrzał się na wszystkie strony. Potrząsnął głową. - Wydawało mi się, że coś słyszałem.

Włożył na nogi parę zniszczonych reeboków, których nigdy u niego nie widziała, i wyszedł na dwór. Poszła jego śladem.

Przystanął i spojrzał na niebo. Teraz również i Claire wychwyciła hałas z góry, różniący się od huku zwykłych samolotów: był to monotony, wysoki, natarczywy dźwięk, który stawał się coraz głośniejszy. Wyraźnie też było słychać inny odgłos: uderzenia łopat helikoptera. Tom ciągle spoglądał w górę.

- W lexusie musiał być nadajnik - powiedział.
- Ale sprawdziłam wszystko, tak jak mi mówiłeś! Potrząsnął głową.
- Nie powinienem był cię tutaj ściągać. Ani nawet zatrzymywać lexusa parę mil stąd. Od czasów, kiedy służyłem w wojsku, nadajniki znacznie udoskonalili - nie dałabyś rady ich znaleźć. Samoloty, które słyszeliśmy, to pewnie te małe, jednosilnikowe...

Nagle, gdzieś na ziemi, rozległa się seria ostrych wybuchów, które zabrzmiały niczym wystrzeliwane zimne ognie.

- O Boże, Tom, co to takiego?
- Moje pułapki. Wracaj do środka!
- Co?!

Uderzenia łopat wirnika stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak helikopter się zbliżał, a potem krążył dokładnie nad ich głowami. Nagle z nieba popłynął strumień

oślepiająco jasnego światła. Claire spojrzała w górę. Blask reflektorów pochodził z helikoptera, oświetlając cały obszar. Zamrugła, usiłując przyzwyczaić wzrok do nagłej jasności.

- Uciekaj! - krzyknął, a ona obróciła się pospiesznie i pobiegła z powrotem do chaty. Tom popędził za nią.

81

Zamknął drzwi i chwycił ją.

- Połóż się na podłodze.

- Tom!...

- Ale już!

Osunęła się na ziemię i rozpląszczyła na nie heblowanych deskach.

- Zainstalowałem wszędzie dookoła system zasadzek. Po-przybijałem do drzew druty z wyłącznikami samoczynnymi. Nie spodziewali się tego. To mój prymitywny system anty-włamaniowy.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, z nieba zadudnił przez megafon donośny głos:

- Agenci federalni! Wychodź i rzucić wszelką broń!

- Tom, co zrobimy?! - krzyknęła stłumionym głosem, gdyż twarzą niemal dotykała podłogi.

Nie odpowiedział. Szukał czegoś.

- Tom?

- Nie zaatakują, skoro ty tu jesteś - uspokoił ją. - Nie wiedzą też, co ja tu mam. Otoczyli nas, ale nie podejną bliżej.

- Co zrobimy? - spytała z rozpaczą.

- Claire, pozwól, że ja to załatwię.

Gdy się obróciła i spojrzała na niego, zobaczyła, że wygląda na dwór przez celownik długiego, podłużnego pudła, które widziała już wcześniej. Nastawiał go na niebo.

- Tom, co ty robisz?

- To laserowy dalmierz z czołgu - wyjaśnił. - Stara szuczka oddziałów specjalnych.

- Skąd ty to, do diabła, wytrzasnąłeś?! - Odwróciła głowę, tak by móc popatrzeć przez któreś z okien.

Głos znowu dudnił przez megafon:

- Jesteśmy policją sądową Stanów Zjednoczonych. Mamy nakaz aresztowania pana. Wyjdźcie spokojnie, a nikomu nic się nie stanie.

- Kupiłem w Albany z demobilu - ciągnął Tom. - Dałem za niego tysiąc dolców. Dzięki niemu czasowo osłepię pilota, dam mu po oczach. Nie mamy wyboru. Na niebie mają punkt obserwacyjny. Tym zajmę się najpierw.

- Wychodźcie z rękami do góry!

Przycisnął guzik na pudełku.

- Mam go - powiedział.

Spojrzała na helikopter, hałas nagle stał się głośniejszy. Helikopter przechylił się, przeważając bokiem na jedną stronę, po czym równie nagle odleciał, zabierając ze sobą jaskrawe światło.

W chacie znowu zapanowała ciemność i prawie zupełna cisza.

- Załatwiłem pilota laserem. Pilot nic nie widzi, musiało go to wykończyć. Stery pewnie przejął drugi pilot. Nie są idiotami, już nie wrócą. Teraz musimy się zająć naszymi przyjaciółmi na ziemi, którzy chyba też trochę się wystraszyli. Są jakieś pięćdziesiąt jardów stąd.

Teraz inny głos zadudnił przez megafon przed chatą. Mówił monotonią i mechanicznie:

- Jesteście otoczeni. Wychodźcie z rękami w górze.

- Nie ruszaj się z podłogi, Claire.

Odwróciła głowę, by spojrzeć do góry. Stał w ciemności, wyglądając przez otwarte okno.

- I co teraz? - zapytała.

- Ja się tym zajmę. Według normalnego trybu postępowania powinni teraz zacząć negocjacje. Pozwólmy im się wygadać.

- Macie dziesięć sekund - powiedział głos, donośnie, powoli i stanowczo. -

Wyjdźcie spokojnie, a nic wam się nie stanie. Nie macie wyboru. Jesteście otoczeni.

Zostało wam sześć sekund.

- Jezus, Tom, co zrobimy?!
- Nie będą do nas strzelać, dziecinko.
- Trzy sekundy. Wychodźcie albo zaczynamy strzelać!
- Tom!
- Błefują.

Nagle rozległa się seria przytłumionych strzałów, phump, phump, phump. Przeżona Claire uniosła się z podłogi, podpełzła do jednego z otwartych okien i ujrzała, że w ich kierunku wystrzelono kilka jakichś przedmiotów...

- Granaty - powiedział cicho Tom.
- O mój Boże! - wrzasnęła.

Dojrzała, że z każdego granatu uchodzi chmurka białego dymu.

~ Gaz - poinformował Tom. - Nie wybuchowy. Obezwładniający. A niech to szlag.

I nagle Claire poczuła senność i niehumanne, śmiertelne znużenie, którego nie miała siły zwalczać, a potem straciła świadomość.

83

<

o

Pi

O

ISI

-i«p(... ^LJ.JJłJWHWM

14

Baza marynarki wojennej Quantico, Wirginia

Brama, wykonana ze stalowych sztab i pomalowana na przepisowy szary kolor, otwierała się powoli, poruszana urządzeniem elektronicznym. Strażnik z piechoty morskiej stanął na baczność. Betonowe podłogi przykrywało bladozielone linoleum. Gdy stąpała po nim, jej kroki rozbrzmiewały echem po korytarzu. Brama zamknęła

się, napęliając ją przerażeniem. Czerwony znak na ścianie wskazywał skrzydło B. Ściany z płyt żużlowych w tej sekcji więzienia Quantico, Oddziału Specjalnego nr 1, pomalowane były na biało. W tym skrzydle przetrzymywano gwałcicieli i morderców. Wszędzie znajdowały się kamery strażnicze. Towarzyszący jej oficer dyżurny zaprowadził ją do drzwi, oznakowanych jako CELE BLOKU B, i otworzył je. Było wpół do dziewiątej rano.

Kolejny strażnik poderwał się na baczność. Wprowadzono JĄ do pokoju odwiedzin, opatrzonego oknem, tuż za blokiem cel. Wskazano jej niebieskie krzesło przy drewnianym stole konferencyjnym. Usiadła i czekała. W pokoju było zimno.

Parę minut później pobrzękiwanie i łoskot kajdan oznajmił Jego przybycie.

Tom stanął przed nią z dwoma postawnymi strażnikami po bokach. Był nagi, z wyjątkiem szarych, wojskowych slipów. Miał skute ręce i nogi, a łączący obie pary kajdanków łańcuch opasywał mu talię. Głowę mu ogolono. Trząś się.

87

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedział. Zaczęła szlochać i podniosła się.
- Co to ma znaczyć, do cholery?! - wrzasnęła na jednego ze strażników, którzy przyglądali się jej z kamiennymi twarzami. - Gdzie jest jego ubranie?!
- Zabezpieczenie przed próbą samobójstwa - odrzekł strażnik.
- Żądam, żeby natychmiast się ubrał!
- Z tym należy się zwrócić do oficera dyżurnego, proszę pani - wyjaśnił drugi strażnik.
- Niech go pan natychmiast zawiadomi. Temu człowiekowi przysługują określone prawa - oświadczyła Claire.

Przyprowadzili Toma z powrotem, tym razem odzianego w jasnoniebieski więzienny dres. Nadal był skuty, przez co dreptał ku niej drobnym kroczkiem, dźwięcząc kajdanami. Objęła go, wciąż szlochając. Ręce nadal miał skute, tak że nie mógł odwzajemnić uścisku.

- Chcę, żeby mu zdjęto kajdanki - powiedziała.
- Można rozkuć tylko jedną rękę, proszę pani - poinformował strażnik. - Rozkaz oficera dyżurnego.

Tom usiadł przy stole konferencyjnym naprzeciw Claire. Strażnik stał na zewnątrz, tuż przy drzwiach. Kamera strażnicza była zamontowana w jednym rogu pokoju, tam gdzie ściana stykała się z sufitem. Strażnicy obserwowali ich przez szklaną ścianę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Tom miał przyczepioną brązową plakietkę identyfikacyjną, która zawierała jego lekko zamazane białoczarne zdjęcie, nazwisko - Ronald M. Kubik, numer ubezpieczenia oraz datę aresztowania, czyli dzisiejszy dzień. Czarny pasek głosił: ZATRZYMANY, czerwony: MAKS, co oznacza areszt o maksymalnym stopniu zabezpieczenia.

- To wszystko moja wina - odezwała się Claire.

- Co?

- To. - Wskazała gestem otoczenie. - Ta cała historia. No wiesz - samochód.

- Nigdy byś nie odnalazła nadajnika. Mam pretensje do siebie. Powinienem był cię trzymać z dala od jeziora.

88

i

_ Nie tracą czasu - rzekła Claire. Przytaknął.

- Znowu jesteś w wojsku, Tom.

Ponownie przytaknął. Wolną ręką sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

- Poważnie - powiedziała. - Zostałeś wcielony do kompanii obsługującej kwaterę główną, przynajmniej tak jest w dokumentach. Po trzynastu latach znowu zmobilizowali cię do służby czynnej. Ma to tę zaletę, że znowu dostajesz żołd. - Zdobyła się na sztuczny uśmiech.

- Jak się ma moja dziewczynka? - zapytał.

- Dobrze. Tęskni za tobą. Pożegnałam się z nią dzisiaj rano. Jackie zawiozła ją do szkoły. To już ostatni dzień. Koniec roku szkolnego.

- Bardzo wcześnie jak na Jackie, co? - uśmiechnął się ponuro.

- Jackie to równa babka. Poleciałam pierwszym samolotem z Logan. Gonię już tylko nerwami.

- Wracasz dziś do Bostonu?

- Raczej nie.

- A gdzie się zatrzymałaś?
- Na razie w jakimś zajeździe tuż za bramą Quantico.
- O co jestem oskarżony?

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Toma o niczym nie poinformowano. Przetransportowano go bezpośrednio do bazy marynarki wojennej w Quantico jednym z samolotów DC-9, będących w dyspozycji żandarmerii wojskowej; „Linia Skazańców” -jak nazywają tę flotę powietrzną. Wrzucili go do ściśle strzeżonej celi, rozebrali do naga, zabrali wszystko, co do niego należało, znowu zdjęli odciski palców, zrobili zdjęcie i ogolili do gołej skóry. Wsadzili go do celi trzeciej w bloku B, nie dali mu żadnego ubrania prócz wojskowych slipów. Nie udzielili też żadnych informacji. Policjanci powiedzieli jej tylko, że użyto Przeciw nim nowego, bardzo skomplikowanego i precyzyjnie działającego gazu obezwładniającego, który opracowano po nieudanych akcjach FBI w Wasco i Ruby Ridge. Granaty skonstruowano tak, że zawierają jednocześnie antidotum, gdy

tylko

zatem stracili przytomność, pod wpływem odpowiedniego

Srodka chemicznego po chwili zaczęli się budzić. Po godzinie

Uzyskali świadomość, choć czuli się rozbici i mieli mdłości.

89

Wysunęli przeciw niej różnego rodzaju oskarżenia - byli wściekli, że ich wykiwała, i z początku nie pozwalali jej zobaczyć się z Tomem. W końcu jednak FBI ustąpiło. Z prawnego punktu widzenia nie mogli jej nic zrobić. Miała prawo zobaczyć się z mężem - tak po prostu. Następnego dnia poleciała do Waszyngtonu wynajęła samochód i pojechała do Quantico w Wirginii

- Nie wiem - odparła Claire - oficjalnie nie postawiono ci

nSth™0W-Na to maja Jeszcze czas- ^y S^>

- Kazali mi podpisać nakaz aresztowania.
- Niczego nie podpisuj - jęknęła.
- Musiałem Po prostu potwierdzić, że go przeczytałem
- A co tam było napisane?

- Tylko „charakter przestępstwa”
- Czyli?
- Dezercja. Nic więcej. Artykuł osiemdziesiąty piąty wojskowego kodeksu karnego. Przypuszczam, że sformułowali oskarżenia przed laty, po moim zniknięciu

Skinęła głową.

- Będzie ich więcej. Przeczytali ci, jakie masz prawa?
- Do diabła. Teraz musimy znaleźć adwokata
- A ty?
- Ja? Nie znam się na prawodawstwie wojskowym
- Adwokata wojskowego przydzielą mi z urzędu.' On się będzie orientował we wszystkim, co dotyczy wojska

Powoli potrząsnęła głową.

na_rzfczvmpyro;naleŻĆ ^ Z ICWDątrż' kt° naPrawd? zna si? na rzeczy. Prócz tego, którego ci przydzielą.

- W jaki sposób?
- Wynajdę kogoś. Ty się tym nie przejmuj.

Claire nie widzisz, o co w tym wszystkim chodzi'? Nie

rademJwni!!Ca ^ ^^ ZamierzaJa Postawić mnie przed

tono c,S P°7m! T° Cyrk' a niC Żaden Sad! Pewnie ^obią

tenworth ^Ihn T^ ""™ Wimeg0 f ZaPud}uJa w L^

™rt \S° W JaklmŚ innyffl ^hociemnym kryminale Pen-

Sa żvcia CYm mkt ""^ niC SłySZa! ' b?d? tam siedzie^ do Końca zyca Co nie potrwa długo, bo niebawem znajdą w celi

Srć. ' " Prawd°P°dobna P-y-y" a będzie samotójSa 90

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Chcesz zobaczyć moją celę, Claire? Widać ją stąd. Popatrz. Wszedł strażnik.
- Czas minął - powiedział.

- Jeszcze nie skończyliśmy - odrzekła Claire.
- Niestety - nie ustępował strażnik. - Rozkaz komendanta. Tom wskazał jej swoją celę wolną ręką. Przez otwarte drzwi

ujrzała materac ciśnięty na metalową półkę oraz stalową toaletę i umywalkę.

- Claire - odezwał się Tom. - Potrzebuję cię.

15

Zrozpaczona i wściekła, ze straszliwym zamętem w głowie, Claire długo jeszcze po opuszczeniu więzienia siedziała w wynajętym samochodzie. Czowała się zagubiona i bezradna, nie wiedziała, do kogo zwrócić się po pomoc, aż w końcu wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do starego przyjaciela.

Arthur Iselin, wybitny waszyngtoński adwokat, a przy tym dawny szef Claire i jej zaufany przyjaciel, zgodził się spotkać z nią na wczesnym lunchu w Hay-Adams. Iselin był współnikiem w jednej z największych i najpotężniejszych firm prawniczych w Waszyngtonie. Tuż po ukończeniu wydziału prawa Claire pracowała u niego, gdy był wysokim urzędnikiem w biurze prokuratora generalnego. Uważała go wówczas, i tak było nadal, za jednego z najmądrzejszych ludzi, jakich spotkała w życiu.

Bez pytania, jako stałemu gościowi, kelner przyniósł mu omlęt po wiejsku z gorącymi herbatnikami, na które nałożył gorącą masła. Nie można powiedzieć, by fanatycznie przestrzegał zasad zdrowego odżywiania się. Obok siedział szef personelu Białego Domu z republikańskim senatorem. Iselin, który znał Orju polityków, przywitał ich skinieniem głowy.

- Wiesz, jest takie stare powiedzenie - rzekł. Miał szeroko rozstawione szare oczy, mocno podkrążone, szerokie usta o wydatnych wargach - dolna, zdaje się, była pęknięta. - Sąd wojskowy tak się ma do sprawiedliwości jak...

~ Jak muzyka wojskowa do muzyki - dokończyła Claire.

91

-Wiem, wiem. Ale wydawało mi się, że sprawy uległy znacznej poprawie od czasu Wietnamu.

- Dokładnie od momentu, kiedy postawiono Calleya przed sądem wojskowym. Gdy byłem w wojsku, panowała powszechna opinia, że wojskowy wymiar sprawiedliwości znacznie przewyższa nasz, cywilny, bo przynajmniej armia traktuje go poważnie. Ale ja nigdy w to nie wierzyłem. I nadal nie wierzę. Uważam, że jeżeli

wojsko chce kogoś zamknąć i wyrzucić klucz, zrobi to. A nie ulega dla mnie wątpliwości, że zamierzają zamknąć twojego męża.

- Prawdopodobnie tak - przyznała Claire.
- A skoro powiadasz, że jest niewinny, to znaczy, że jest niewinny.
- Dziękuję.

Skubnęła trochę sałatki. Od czasu aresztowania Toma straciła apetyt.

- Po pierwsze musisz zdecydować, czy masz zamiar całą sprawę rozdmuchać. To poważna decyzja. Sama historia Toma stanowi wiadomość na pierwszą stronę. Jeśli Pentagon zdecyduje się na rozprawę, wszystkie gazety będą o tym krzyczały.
- A dlaczego jej nie nagłośnić?
- Bo to twój as w rękawie. Pentagon boi się jak diabli wszelkiego publicznego wglądu w jego poczynania. Nadanie sprawie rozgłosu to potężna broń. Użyj jej w razie potrzeby. Ale na razie utrzymuj wszystko w tajemnicy.

Przytaknęła na znak zgody.

- Powiem ci coś jeszcze. Jeżeli dojdzie do jakiegoś przecieku, to nawet jeśli twego męża uniewinnią, na zawsze przyłgnie do niego opinia specjalisty od masowych mordów. To zniszczy twoją rodzinę. Gdybym ja był na twoim miejscu, siedziałbym cicho.
- To brzmi rozsądnie.
- Mam wrażenie, że postanowiłaś nie angażować się w obronę osobiście, jako oficjalnie zarejestrowana adwokatka. - Wzruszyła ramionami. - Ja bym to jeszcze przemyślał. Jesteś ostatnią osobą, którą chcieliby widzieć jako przedstawiciela oskarżonego w tym procesie. W oczach wojskowych prawnicy cywilni są zupełnie nieobliczalni. Jeżeli w coś się wdają, zaraz organizują przesłuchanie w Kongresie. A przede wszystkim jesteś Claire

92

Heller Chapman - słynną, przerażającą znakomitością z har-wardzkiego wydziału prawa. Wystraszysz ich na śmierć. Będą robić w portki. Naprawdę powinnaś wziąć tę sprawę. - Spojrzał na nią, dostrzegł jej ponurą minę, po czym ze smakiem odgryzł kęs herbatnika. - Jeśli się jednak nie zdecydujesz, jest jeszcze to. - Przesunął po stole w jej kierunku arkusz papieru, zapisanego maszynowym pismem.

- Lista cywilnych prawników, którzy występują przed sądami wojskowymi?
- Zgadza się. Jak widzisz, nie jest to lista długa. Dobrych specjalistów od prawa karnego, którzy nie tylko występują przed sądami wojskowymi, ale rzeczywiście specjalizują się w prawie wojskowym, znajdziesz może garstkę w całym kraju. Najlepiej byłoby, gdybyś wzięła kogoś, kto mieszka i pracuje w Wirginii, co jeszcze bardziej skraca tę listę. Każdy z wymienionych na tej liście był funkcjonariuszem w jakiejś sekcji WBS - Wojskowego Biura Śledczego.
- Wiem, co to znaczy WBS.
- To dobrze. Widzisz, wojskowi używają innego języka, a im szybciej się go nauczysz, tym lepiej. Z tym że w okolicy znajdziesz niewielu przyzwoitych cywilnych prawników, specjalizujących się w sprawach wojskowych. Nie bardzo jest z czego wybierać.

Przełądała listę z konsternacją.

- To ciężki kawałek chleba - ciągnął Iselin. - W dawnych czasach, kiedy służba wojskowa była obowiązkowa, do armii przychodzili synkowie bogatych rodziców, gotowych zapłacić duże pieniądze za cywilnego adwokata. Nowe wojsko raczej nie siedzi na pieniądzach. Na twoim miejscu wybrałbym Gri-wesa. Prowadzi własną praktykę w Manassas.

- Dlaczego?

~ Jest niesamowicie inteligentny, a do tego zna na wylot stosunki panujące w wojskowym wymiarze sprawiedliwości. ' Przy tym nienawidzi ich jak zarazy. Potrzebny ci właśnie ktoś taki, rzeczywiście napalony. Bo będziesz miała ciężki orzech do zgryzienia i czeka was zacięta walka.

Spojrzała na krótki opis kariery Grimesa.

~ Pracował kiedyś w Wojskowym Biurze Śledczym i nienawidzi wojska?
Dlaczego?

" Pięć czy sześć lat temu zmusili go do przejścia na emeryturę.

93

w~Nieni^PoWodu?

Sam tQ^?Mu I ^C'a' ^osz*° ^° jakiegoś skandalu czy coś w k- ^° ?9pvta' St C2arny'
wi?c m°ze w grę wchodził rasizm.

7nd7inrnv nip Ha soKia

lchWła!f>chaći

'odzi o to, że jest zadziorny, nie da sobie ma kota na tym punkcie, żeby ich pobić

- A|e ^ bronią.

skie u/^si być;av , | <| |

y b ł wzięty adwokat w firmie waszyngton-

n,»~ , "e- //. y,Wojskowym Biurze Śledczym. e chces> est ^ki

- N

JS2.

Cłft

Prawnik w jednej z dużych firm, ale ty go

nie

~Nie-Jes

tę?

^^^ja-:

Potr ~"asU " "Ja _ zawalony sprawami po uszy, na nic ' trio C Wt
wszystko na swojego współnika. Tobie

się t 6 Po^iec.°r2a^na papuga, która zna system na wylot Mord n'e ?ał U
Procesowi mnóstwo czasu, bo szybko

na n'. ITlasoWv '| ^°^e s'e' że oskarżą go o morderstwo.

•basów C/d flizanV'ak t0 tam woJskowi nazywaJa- - Spojrzał -> y to wj - • kawy. -
Choć wydaje mi się, że mord

I D ^ W* iCh ZaWÓd-

- IM0'11^ ma dom ^° wynaJCcia?

^miesyi. ^| umehi

aftl u • , wany. Wygląda na to, że nieprędko znowu u siebie

'°żko n!!'ę?'enia n° SWe8° Pokoju w zajeździe, naprzeciwno

Wróo

'uzko n' r*"eriia o " ~&v" yy^ju. ., ^j^^.^, .^p^^i...--Wyja<s .!e zOstał ntico' ze
zdziwieniem zauważyła, że jej

:~- lc- doty- ^ P0s^ane. Gdy zadzwoniła do recepcji, by tn

JeJ drzv.' a°Wied7tr.Tiane' Udy zadzwomła do recepcji, by to Si?yła d '^ Widni-ł
Się' Że przez wi?kszość popołudnia na *aciagm° Wu|i?ki i wywieszka: „Nie
przeszkadzać". Pospie-°Padł?ty tak :1,0czywiście okazało się, że zamek nie był
Pr?,

!estraj.

i*

§o zostawiła.

;^°n^ 2ac P.0słane łozko i bardziej przygnębiona niż ?ła telefonować.

-R

16

i • Kanv

"iilorii:"-Panią to dla mnie prawdziwy zaszczyt - po-94 zł°Wiek.
Nazywał się kapitan Terence Embry.

miął dwadzieścia siedem lat i został wyznaczony z urzędu na obrońcę Toma. (Claire nadal nie potrafiła nazywać swego męża Ronaldem, myśleć o nim jako o kimś innym niż o Tomie). Uśmiechnęła się, uprzejmie skinęła głową i przemieszała zabielaacz w filiżance kawy. Był wczesny ranek, spotkali się na śniadaniu w McDonalddie w bazie. Na jego zaproszenie: zadzwonił poprzedniego wieczoru do zajazdu, powiedział, że właśnie został odkomenderowany do tej sprawy, i zapytał, czy w związku z tym nie zechciałaby się z nim spotkać.

- Chodzi mi o to, że uczyliśmy się z pani książki Zbrodnia i prawo na zajęciach z prawa karnego - ciągnął. - Przykro mi tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach, i w ogóle... - zawiesił głos i spuścił wzrok na leżącą przed nim bułkę z jajkiem. Zaczerwienił się.

Terry Embry miał rudawe włosy, krótko obcięte, jak Claire zaczęła się już orientować, w sposób regulaminowy, duże mięsiste uszy, nerwowe bladoniebieskie oczy. Łatwo się czerwienił. Długie, smukłe palce ścisnęły jej dłoń mocno i zdecydowanie. Na lewej ręce błyszczała duża, doskonale wypolerowana złota

obrączka, najwyraźniej nowiuteńka. Na prawej ręce nosił ciężki pierścień z West Point, na którym widniała czarna gwiazda z syntetycznego szafiru. Ukończył West Point, jak powiedział, po czym wojsko skierowało go na wydział prawa uniwersytetu Wirginia, a potem do szkoły WBS, tu, w Charlottesville. Claire od razu zauważyła, że jest młodzieńcem inteligentnym, acz całkowicie pozbawionym doświadczenia.

Apetyt wciąż jej nie wracał. Upiła łyk kawy.

- Ma pan coś przeciw temu, że zapalę, kapitanie Embry? ~ zapytała.

Oczy Embry'ego rozszerzyły się. Niespokojnie potoczył wzrokiem dookoła.

~ Nie, proszę pani, ja...

~ Niech się pan nie denerwuje, siedzimy w strefie dla palących - powiedziała, rozpakowując paczkę cameli lights. Wy-CI3gnęła jednego i zapaliła plastikową zapalniczką bica. Pogardzała sobą za to, że znowu zaczęła palić - sama kupiła Paczkę papierosów, choć zazwyczaj wyciągała je od Jackie. •^aczynajo to wyglądać na powrót do nałogu, ale nie mogła SI? Powstrzymać.

95

Wydmuchnęła dym. Niewiele rzeczy uważała za bardziej obrzydliwe niż palenie papierosów przy śniadaniu.

- Niech pan mi powie jedną rzecz, kapitanie...

- Terry.

- No dobrze, Terry. Powiedz mi, czy kiedykolwiek prowadziłeś obronę na sali sądowej?

Zaczerwienił się. To jej starczyło za odpowiedź.

- No więc, proszę pani, kilka razy prowadziłem sprawy, w których oskarżony przyznawał się do winy w zamian za łagodniejszy wyrok. Głównie chodziło o narkotyki, nieusprawiedliwione nieobecności, takie rzeczy...

- Ale nigdy nie występowałeś w procesie sądowym.

- Nie, proszę pani - przyznał cicho.

- No tak. A czy wyznaczyli już prokuratora? Czy na to jest jeszcze za wcześnie?

- Rzeczywiście jest wcześnie, ale już kogoś przydzielili, co znaczy, że prawdopodobnie ma to być sąd wojskowy.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Co za niespodzianka. A kogo wyznaczyli?

- Majora Waldrona, proszę pani. Majora Lucasa Waldrona. - Odgryzł spory kęs swojej bułki z jajkiem.

- Znasz go może? Dobry jest?

Oczy mu się rozszerzyły. Zaczął żuć szybciej, potem usiłował mówić z ustami pełnymi jedzenia, po czym ograniczył się do energicznego kiwania głową.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się wreszcie. - Major Wal-dron... tak, proszę pani, jest dobry. Naprawdę dobry. Chyba najlepszy ze wszystkich.

- Istotnie? - zapytała zaczepnie.

- Przepraszam za mocne słowo, ale wydaje się trochę upierdliwy. Jest najbardziej doświadczonym oskarżycielem wojskowym w całym korpusie Wojskowego Biura Śledczego. To naprawdę agresywny facet. I ma idealny stosunek spraw wygranych do przegranych. Nigdy nie uzyskano wyroku uniewinniającego w procesach, w których był prokuratorem.

- Co nie znaczy chyba, że bierze tylko łatwe sprawy, żeby utrzymać tak znakomitą opinię, zgadza się?

- Nic takiego nie słyszałem, proszę pani. Jest naprawdę dobry.

- Z mojego męża chcą zrobić kozła ofiarnego.

96

_ Tak, proszę pani - powiedział uprzejmie.

- Sam się o tym przekonasz, kiedy zapoznasz się z dokumentami, jakiegokolwiek one są. To spisek. Dasz sobie z tym radę?

_ Jeżeli to prawda, to tak, dam sobie radę, proszę pani. _ Odkrywanie ciemnych sprawek, które wojsko chce zatuszować, nie pomoże ci w karierze, Terry. _ Nie zastanawiałem się nad tym, proszę pani.

- Chyba już wystarczy tej „pani”, co?

- Przepraszam.

- Terry, muszę ci powiedzieć, że zamierzam wynająć cywilnego adwokata.

Wpatrzył się w swoją bułkę.

- Masz do tego absolutne prawo, Claire. Chcesz, żebym wycofał się ze sprawy?

- Nie.

- No więc jeden z nas będzie asystentem adwokata - stwierdził. - Gdy Claire nie odpowiadała, dorzucił: - To pewnie wypadnie na mnie. I bardzo dobrze.

- Jeszcze o coś chciałam cię zapytać, Terry. Czy domyślasz się, dlaczego ciebie, kompletnego żółtodzioba, przydzielono do sprawy, w której występujesz przeciwko majorowi Waldronowi, najlepszemu prokuratorowi w wojsku? Nie przychodzi ci coś do głowy?

- Nie mam pojęcia, dlaczego powzięto taką decyzję - przyznał z rozbrajającą szczerością. - Ale nie wygląda to dla nas najlepiej.

Prychnęła lekko.

- To nie ty wybrałaś sobie tę sprawę, co?

- W wojsku panuje inny system. Idziesz, dokąd cię poślą.

- Wolałbyś raczej być oskarżycielem, co?

- W tej sprawie? - Zaczerwienił się. - Wygląda na to, że Piłka tylko czeka, żeby ją wkopać do bramki! Aż się prosi! Gol jak w banku!

- Dla prokuratora?

~ Z tego, co słyszałem, ale jeszcze się w to nie wgryzłem.

~ Sam chciałeś być obrońcą czy po prostu cię przydzielili?

~ Przydzielili mnie. Prawdę mówiąc, wszyscy po szkole Wojskowego Biura Śledczego chcą być oskarżycielami, nie obrońcami. Obrona tych drani to nie najlepsza przepustka do kariery.

97

Oczy Claire rozbłysły.

- Muszę ci coś powiedzieć, Terry - rzekła chłodno. Wydmuchnęła kłęb dymu niczym jakiś smok, a może femme fatale. - Mój mąż nie jest draniem.

- No tak, ale w każdym razie myślę, że powinna pani rzucić okiem na to. - Wyjął z teczki jakieś papiery i nawet na nie nie patrząc, podał jej spięty plik druków.

- Co to jest? - spytała Claire.

- Akt oskarżenia. Szybko działają. Artykuł osiemdziesiąty piąty, dezercja. Artykuł dziewięćdziesiąty, znieważenie, czyli świadome niewykonanie rozkazów wyższego stopniem oficera. Artykuł sto osiemnasty, morderstwo pierwszego stopnia. Osiedziesiąt siedem przypadków. - Spojrzał na Claire i potrząsnął głową.

Po raz pierwszy uderzyła ją powaga sytuacji, nieuchronność nadchodzących zdarzeń. Naprawdę chcieli dorwać Toma. Mogli go nawet skazać na śmierć. W wojsku nadal utrzymywano karę śmierci.

Musi się zdecydować.

- Właśnie zmieniłam zdanie - powiedziała głosem twardym jak stal. - Gdzie, do cholery, muszę się zgłosić, żebyśmy mogła być przedstawicielką męża w sądzie?!

17

Po dwudziestu minutach jazdy od Quantico dwupasmową Dumfries Road w Manassas, w Wirginii, Claire zjechała wypożyczonym, lśniącym oldsmobilem na pobocze i jeszcze raz sprawdziła numer domu. Wszystko się zgadzało, to był ten numer. Dokładnie ten sam adres widniał na krótkiej liście, którą wręczył jej Arthur Iselin, a ani Arthur, ani jego sekretarka na ogół nie mylili się. Ponadto Claire rozmawiała z prawnikiem przez telefon i zapisała numer, który jej podał. Nie jest zatem możliwe, by pomyliła adres.

Ale to nie mogło być biuro.

Znajdowała się przed malutką, zbitą z desek chałupką, przywodzącą na myśl domek dla lalek. To był dom mieszkalny, nie budynek, w którym mieściłby się jakiś urząd. To dom z powieści Droga tytoniowa, brakuje tylko ciężarówka z rzepą i wraku

98

samochoodu, opartego na blokach z żużlu. To nie mogło być biuro Charlesa O. Grimesa III.

Przejechała koło domu trzy czy cztery razy, aż wreszcie wjechała na podjazd, wysiadła i nacisnęła dzwonek.

Po kilku długich minutach drzwi się otworzyły. Przystojny Murzyn pod pięćdziesiątkę, o siwiejących włosach, przyprószonym siwizną wąsami i dużych oczach, w których błyszczało rozbawienie, wpatrywał się w nią, aż poczuła się zupełnie wytrącona z równowagi.

- Zgubiła się pani, pani profesor? - odezwał się wreszcie. - Widziałem, jak przejeżdża pani obok chyba ze cztery razy.
- Myślałam, że może pomyliłam adres.
- Wejdzmy. Jestem Charles. - Wyciągnął dłoń.
- Claire.
- Pozwól, że zgadnę - zaczął bezceremonialnie, prowadząc ją przez mały, zapchany sprzętami salonik, w którym naczelne miejsce zajmował ogromny telewizor. - Na pewno zadajesz sobie pytanie, dlaczego ten facet pracuje w tej samej gównianej wygodce, w której mieszka? - Claire, która szła za nim od drzwi do gabinetu, wyłożonego boazerią ze sztucznego drewna, nie odpowiedziała. - Widzi pani, pani profesor - przeszedł na oficjalniejszy ton - moja żona nie była zbytnio uszczęśliwiona, kiedy zacząłem dmuchać moją sekretarkę, która i tak nie była zbyt dobrą sekretarką, a zresztą już u mnie nie pracuje. Nie wiem nawet, gdzie się podziewa. No i żona rzuciła mnie, wystąpiła o alimenty na dziecko, zabrała wszystkie moje pieniądze i sama pani widzi, jak ja teraz wyglądam. Kiedyś miałem jaguara. Szczwany lis w jaguarze. Teraz mam przerdzewiałego mercedesa z trzeciej ręki- - Opadł na krzesło wyściełane tanim pomarańczowym winylem. - Proszę, niech pani siada. Witamy u Grimesa i Wspólników.

Podniosła stos papierów z jedyne go stojącego tam krzesła i usiadła. Było to najbardziej obskurne biuro, jakie widziała w życiu. Całą podłogę pokrywała ohydna, zmechacona pomarańczowa wykładzina. Wszędzie wały się stosy papierów, Jedne poupychane w kartonowe pudła, inne piętrzyły się na Podłodze, grożąc w każdej chwili zwaleniem się na dół; część *ładowano w tandetne brązowe szafki, składające się z czterech szuflad. W jednym rogu pokoju stał przenośny wentylator,

99

obok niego czerwono-czarny stojak do polerowania butów. Na ścianach wisało kilka dyplomów, których nie zdołała odcyf. rować. Na jedną z szafek zwalono liczne trofea, zdobyte w grze w kręgle. Drewniana tabliczka, wzorowana na dawnych szyldach, głosiła pismem o starodawnym wykroju: UCZONY, UCZCIWY WIEJSKI PRAWNIK do Państwa usług - Testamenty - Sporządzanie dokumentów - Załatwianie spraw spornych - Poręczenia - Opiniowanie patentów - Konsultacje od 25 centów - Twój prawnik twoim przyjacielem. Pod nim wisił kolejny szyld, w formie drewnianego prostokąta: JW CO. Grimes III.

- Grimes i Wspólnicy? - zapytała Claire. - Ma pan wspólników?

- Na razie w planach. Człowiek może sobie pomarzyć, prawda? - Ubrany był w sweter ze sztucznego włókna, model z lat siedemdziesiątych, na którym psychodelicznie rozpasane brązy, żółcie i odcienie pomarańczowego walczyły ze sobą o lepsze. Od tego wytworu konfekcyjnej fantazji zionął odór kulek przeciwmolowych.
- Niech pan posłucha - powiedziała. - Proszę mnie źle nie zrozumieć. Cieszy się pan znakomitą opinią. I to samego Arthura Iselina.
- Jak się miewa Artie?
- Świetnie. Powiada, że jest pan cywilną gwiazdą w dziedzinie prawa wojskowego. Zakładam, że wygrywa pan mnóstwo spraw. Odnosi pan sukcesy. Zazwyczaj, jeżeli osiąga się wybitną pozycję...
- ...jest się wielkim, dyndającym kutasem i zajmuje się narożny gabinet w wieżowcu, o to pani chodzi?
- Zgadza się.
- Niektórym moim kolegom z branży rzeczywiście dobrze się powodzi, ale zajmują się też innymi dziedzinami prawa: pracują dla wielkich korporacji albo występują w głośnych procesach kryminalnych. Na prawie wojskowym majątku się nie robi. Ja dorabiam sobie, występując też w sprawach z powództwa cywilnego i zajmuję się ubezpieczeniami. Ale nie pojawiłaby się pani tutaj, gdyby nie rozmawiała z innymi prawnikami cywilnymi i nie sprawdziła, jak wygląda moja zawodowa karta, a skoro pani to zrobiła, musi pani wiedzieć, że lubię wygrywać. Nie zawsze mi się to udaje, ale naprawdę... bardzo się staram.

100

- Dlaczego odszedł pan z wojska? Grimes zawahał się na ułamek sekundy.
- Przeszedłem na emeryturę. _ Dlaczego?
- Zmęczyło mnie to.
- Coś się stało?
- Zmęczyło mnie to wszystko - rzekł z nutką irytacji w głosie.
- To się stało. Pozwoli pani, że ja zadam teraz kilka pytań.
- Niech pan strzela.
- Arthur zadzwonił do mnie i opowiedział mi całą historię. Wygląda na to, że facet

wpadł w poważne tarapaty. Przedstawiono mu już zarzuty?

Wręczyła Grimesowi akt oskarżenia. Przejrzał go, od czasu do czasu unosił brwi, nucił po nosie. Przy lekturze drugiej strony zaczął nucić głośniej i wyżej, mniej więcej o oktawę.

- Ktoś tu zdrowo narozrabiał - zauważył ironicznie.

- Chyba pan żartuje.

- Oczywiście, nie zrobił tego - powiedział Grimes z iskierką ironii w oku. - Lubię powtarzać ludziom, że wszyscy moi klienci są niewinni albo nie chcą przyznać się do winy.

Claire stłumiła irytację.

- Czy jest dezerterem? Bez wątplenia. Ale nie dokonał masowego mordu. Przed trzynastoma laty usiłowano go zrobić w odpowiedzialność za tę masakrę, ale był na tyle sprytny, że zdołał ująć z ich łap. Generał William Marks - zgadza się, ten czterogwiazdkowy generał Marks, szef sztabu armii - dowodził tym plutonem w osiemdziesiątym piątym roku, kiedy był jeszcze pułkownikiem. Oddział sił specjalnych został wysłany do Salwadoru, by pomścić zabójstwo kilku amerykańskich komandosów. General Marks osobiście kazał im zabić osiemdziesięciu siedmiu cywilów z jednego tylko powodu: by z zimną krwią wyrzucić zemstę. Tom nie brał w tym udziału - nawet go tam nie było.

- Grimes kiwał głową, przypatrując się jej uważnie. - Generał Marks zainicjował i nadzorował operację, której celem było zatuszowanie całej sprawy.

Odpowiedzialność usiłował zrzucić na mojego męża. Tak więc adwokat, biorący tę sprawę na warsztat, musi wziąć pod lupę jego osobę i zdemaskować próby ukrycia tego zajścia. Bo ja mam zamiar zaatakować cały ten skorumpowany system. Cały cholerny wojskowy system...

- O nie, co to, to nie - przerwał Grimes. - Nie ma mowy.

101

To gruby błąd. Wybij to sobie z głowy, siostrzo. Będziesz grać zgodnie z regułami. Twardo, agresywnie, ale to ich gra, doi diabła, to ich pieprzony stadion. Ich pieprzony klub piłkarski.! Droga pani, niech się pani nauczy jednego. Każdy cywil, który,] stanąwszy przed sądem wojskowym, usiłuje podważyć podstawy' wojska, jest na przegranej pozycji. Od tego nie ma wyjątków. Wojsko to ściśle, zamknięte bractwo. Niech pani weźmie to sobie do serca. Wojskowy wymiar sprawiedliwości to sprawa śmiertelnie poważna. Zdziwi się pani, jak bardzo przypomina jurysdykcję

cywilną - z tą myślą został stworzony. Wzorowano go na amerykańskim systemie prawa karnego. Zawiera mnóstwo tych samych praw. Chce pani bronić męża? To bierze pani oskarżenie pod światło i wykazuje, że nie trzyma się kupy - tak, jak to pani robi w normalnym sądzie. Jeśli uważa pani, że sprawę zatuszowano, niech pani dopadnie generała Marksa. Niech pani dorwie generała Pattona, generała pieprzonego MacArthura, generała Dwighta pieprzonego Eisenhowera, jeśli tylko ma pani ochotę. Ale niech pani nie atakuje systemu. Wie pani, ciągnie mnie do tej sprawy, ale nie będę pani okłamywał. Jeżeli mnie pani wynajmie, będę grał według ich reguł. Jestem paskudnym przeciwnikiem, ale gram w ich grę. Po prostu wychodzi mi to lepiej niż im. Claire przytaknęła z uśmiechem.

- Poznała już pani obrońcę z urzędu? - spytał Grimes.

- Tak. Niejaki Terry Embry. Świeżo po studiach prawniczych.

- Hm. Nigdy o nim nie słyszałem. Nadaje się do czegoś?

- Nie ma najmniejszego doświadczenia. Ale jest bystry. Chyba życzliwie nastawiony. Miły dzieciak. Tyle że bardzo juniorwerytecki.

- Każdy kiedyś zaczynał. Dlaczego Pentagon miałby dawać pani swoich najlepszych ludzi? A oskarżyciel? Wyznaczyli go już?

- Lucas Waldron!

Grimes odchylił się w krześle i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak głośno i tak serdecznie, że aż się rozkaszał.

- Lucas Waldron! - wykrztusił wreszcie.

- Rozumiem, że słyszał pan o nim?

- O, jak najbardziej - powiedział Grimes, gdy wreszcie przestał kaszleć. - To kawał absolutnie bezwzględnego sukinsyna.

102

_ Występował pan kiedyś przeciwko niemu?

- Parę razy. Udało mi się uzyskać łagodniejszy wyrok, ale nigdy z nim nie wygrałem. Nie rozumiem tylko, dlaczego w ogóle wytaczają pani mężowi proces.

- A co innego mogą zrobić? To znaczy, legalnie?

- O Boże, gdyby chcieli, mogliby obejść się z nim o wiele gorzej. Wystarczy, że trzech psychiatrów wojskowych stwierdzi, że ma świra. Zamykają go wtedy w jakimś

wojskowym szpitalu dla psychicznie chorych i wyrzucają klucz. Naprawdę nie rozumiem, po co im te zabawy w sąd wojskowy.

- Pewnie z tych powodów, o których pan mówił. Chcą, żeby wszystko szło zgodnie z regułami gry.

Z wolna skinął głową.

- Możliwe. Ale to i tak nie ma sensu.

- Będzie pan drugim obrońcą, wie pan. Jeżeli pana wynajmę.

- Drugim po szczeniaku?

- Po mnie. Szczeniak będzie trzeci. Jeśli go zatrzymam. Nie wiem, czy mogę mieć zaufanie do wojskowego.

- Niech pani zatrzyma przydzielonego obrońcę. Ma on prawo powoływania wojskowych świadków, by zeznawali przed sądem, my nie. Poza tym przyda się do załatwiania wszystkich tych biurokratycznych mówien. Powiadam pani, w regulaminie armii ujęte jest wszystko - nawet jak podcierać tyłek.

- Niech będzie.

- Bez urazy, pani profesor - jeżeli chce pani być głównym obrońcą w tym procesie, proszę bardzo - to pani pieniądze, Pani mąż, pani sprawa. Pani tu rządzi. Ale mam wrażenie, że nie bardzo orientuje się pani w procedurze sądów wojskowych.

- Powiedział pan przed chwilą, że jest bardzo zbliżona do Procedury cywilnej.

- Zamierza pani prowadzić studia porównawcze w sytuacji, kiedy pani mężowi grozi kara śmierci?

~ Liczę, że będzie mi pan podpowiadał na egzaminie.

Wzruszył ramionami.

~ W porządku, pani jest Claire Heller Chapman. Jeżeli chce to pani rozegrać w ten sposób, to ja nie mam nic przeciwko emu. Ma pani dostęp do tajnych akt?

- Jak to?

103

- Mogę panią zapewnić, że będzie to rozprawa przy drzwiach zamkniętych i mocno zaryglowanych. Do tego większość zeznań i dowodów zaklasyfikują jako ściśle tajne. Tak to rozegrają.

- Załatwię ten dostęp. Myśli pan, że będzie z tym kłopot?
- Raczej nie. Musi pani wypełnić kupę papierów. Podstawowy kwestionariusz osiemdziesiąt sześć. Sprawdzą panią w Krajowej Agencji Bezpieczeństwa. Do tego prześwietli panią jeszcze Biuro Federalne i Śledcze Służby Obronne. Jako „czystą” dopuszczą panią do tajemnic służbowych.
- A jeśli nie?
- Muszą. Skoro podjęła się pani obrony. Muszą udostępnić pani wszystkie akta dotyczące męża, bo inaczej on będzie mógł odmówić zeznań.
- Jak szybko to idzie?
- Mogą to załatwić w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeżeli będą chcieli. Teraz potrzebny nam dobry detektyw.
- Znam naprawdę pierwszorzędnego.
- Był w wojsku? Może kryminalny wydział śledczy?
- Policja bostońska i Federalni.
- Jak dla mnie, może być.
- Mieszka w Bostonie, ale wart jest dodatkowych pieniędzy. Naprawdę dobrzy detektywi to rzadkość.
- Co też pani powie! W tej sprawie odegrają zasadniczą rolę. To będzie brutalny proces. Więc jak się umawiamy? Wynajmuje mnie pani czy nie?

18

Po drodze z lotniska Claire zatrzymała się najpierw w firmie prawniczej Arthura Iselina, tuż obok Dupont Circle, by wziąć klucze. Annie i Jackie czekały w wynajętym oldsmobilu. Dorn znajdował się na ulicy Trzydziestej Czwartej, w pobliżu Massachusetts Avenue, tuż obok Obserwatorium Morskiego. Był to budynek w stylu federalnym, wyrażającym tęsknotę za klasycznym Rzymem. Zbudowany z cegły pomalowanej na kremowo, z czarnymi żaluzjami, prezentował się całkiem elegancyjnie. Należał do jednego ze starszych wspólników w firmie Iselina, który ostatnio odszedł na emeryturę i przeniósł się na

104

pół roku do Toskanii. Zażądał furę pieniędzy za krótki wynajem, ale wchodząc po frontowych schodach, Claire zdecydowała, że dom jest tego wart.

- Będę miała własny pokój? - zapytała Annie.
- Oczywiście, że tak - odparła Claire.
- A ja? - upewniała się Jackie.
- Ty będziesz miała własne skrzydło - uspokoiła ją Claire. Gdy tylko Claire otworzyła drzwi, Annie wbiegła do domu.
- Mamo, jest fajowy! - piszczała, przebiegając przez pokoje. Claire obejrzała przestronny i elegancki hall, piękne, stare perskie dywany, antyczne meble, tynkowane na śnieżną biel ściany.
- Będziemy miały kłopot - odezwała się do Jackie. - Ona to wszystko porozwala.

Powietrze było stęchłe. Czuło się, że dom stał pusty od miesięcy, lecz w powietrzu unosiła się też lekka woń pasty do czyszczenia mebli. Claire doszła do wniosku, że widocznie, z grubsza raz na tydzień, ktoś tu musi przychodzić i sprzątać.

Jackie odłożyła torbę z wełnianej bai i się rozejrzała. Zauważyła ładnie zaprojektowane schody, które wily się wdzięcznie do góry od lewej strony hallu, rozkładając się jak wachlarz białych balasków.

- Szykownie tu - powiedziała. - Dobrze, że go wynajęłaś.

Skończyła ostatnie zajęcia i poprosiła Connie, by odprawiła z kwitkiem wszelkich potencjalnych interesantów. Będzie jeszcze musiała przeprowadzić egzaminy końcowe, ale każe przesłać wypełnione formularze tutaj. Powiedziała studentom, że w pilnych sprawach mogą do niej dzwonić, i podała swój numer w Waszyngtonie. Dwie sprawy w toku przekazała znajomemu z firmy w śródmieściu Bostonu. Została jej tylko do załatwienia ostatnia apelacja przed Sądem Najwyższym, co wymagało krótkiego lotu do Bostonu i z powrotem. Ich dom będzie pusty, 'ecz Rosa - która ma własne dzieci i z pewnością nie może Pojechać do Waszyngtonu do pracy - zobowiązała się do niego schodzić, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Jackie, która zarabiała na życie „nudnym, cholernym kreślarstwem", jttogła wykonywać swą pracę tutaj i jako „święta" z natury kobieta, obiecała zajmować się też Annie.

105

ich, że na pewlen i U ^^ W B°St0nie' P°wiadomiła «C do Wasz™''', TZeKn7et na kllk* miesięcy, przenoSl dyskrecjona rąspan''iHZie ^ Pr°WadziĆ SPrawe bardzo sie rozpakoJytZ? § h ^ gdy Claire 1 Ja<*ie jeszcze P°k°je i kryjówki ÓHTWlaiy' Annie Zaś obrywała nowe

Kuner woiskow 7! Się dzW0nek u drzwi. tyfikacyJnążJTMm[^]dy Murzyn noszący plakietkę iden,

Musi Pani podrS v^f f' ymał W rękach duże Pudło-] Pam prawo jazdy f^ormularzy> ale najpierw poprosz!

k[^]PTtL[^]Km oczeki[^]ania połączonego z niepoj

dzeniu dokumentZ V16 ^{^^} JCJ przy STM*! [^]yły Toma ?'e?n Sądowych- Lecz te świadectwa doty-przeszłości. ZyCla' Zanim J3 Poznał - jego skrytej

Znajdowały sie h.TM i borowych: kwestia *opi* "P[^]TM dotyczących oceny po-

łychjużPewmepanTnUSZ K f^otokoPie starych> P^ożóL zynowanych SwT' W,ygrZebany[^] z ton teczek, zмага-specjalnych, 4oW [^]ar^oFlmiteDPó!noc[^]J (należących do sił

Plami TYLKO Do yużYTKI [^] °PatrZ^one były stem" PANEADMINISTRArvTS SŁUZH^oWEGO , zawierały SCI - WYSZKOip[^]pJNEoraz °CENĘ PRZYDATNO-Z OBOWIĄZKÓW [^]wp[^] WYWIĄZYWANIE SIĘ

Usiadła w pokoju H' ^{^^}ALNĄ PRZYDATNOŚĆ Wblioteki L pS^{^^^} na [^]net - wygodną *3.; i zagłęblła S1 [^]kPu[^]n0ddaloną od części mieszkal-służby Toma Wieki raPo"ow, opisujących przebieg

rutynowo, lecz znił,Z}SC Z "i była nudna ' Przygotowana Znalazła zdjęcie dni [^] h UważneS^o ich Przeczytania, osobowego, które 7r,,k-CZ^one °, kopii Je8^o kwestionariusza B[^] na nim praw ' [^]I10 Przf d wysłaniem go do Wietnamu, chłopak. Twarz Ioh Y CSC1 kt młodszy- Dziewiętnastoletni

ka*y "os, zapadnTete TMv T[^] ale teŻ ZUPełnie inna ~ W wiedziała, żePm7[^]eppol'czkl'cofni?ty podbródek. Gdyby nie

na tej fotografii L?d soba. zdJec'e Toma, nie rozpoznałaby go

tylko zaSadniC20 dmTMia ° «' f dzi?kl chlTMrgn plastycznej nie

stojniał. Zmienił wygląd, lecz także bardzo wyprzy-

przeczytała coś, od czego krew zastygła jej w żyłach.

106

Charles Grimes spotkał się z nią przy wejściu do więzienia nuantico. Tym razem miał na sobie źle leżącą marynarkę j krawat. Prócz teczki niósł też duże przenośne radio.

- Po co to? - zapytała Claire.
- Żeby posłuchać muzyki - powiedział krótko. - Mam złe wiadomości.
- Jakie? - zapytała niezdecydowanie. Nic już jej nie dziwiło. Zatrzymali się przy budce strażnika, gdzie otworzyli teczki.
- Dowódca batalionu zarządził śledztwo i przesłuchanie z artykułu trzydziestego drugiego - odparł Grimes. - Zostanie wniesione do rejestru za tydzień. Normalny okres między sformułowaniem oskarżenia a przesłuchaniem z artykułu trzydziestego drugiego wynosi trzydzieści dni, ale widzę, że tu nie marnują ani chwili.
- Możesz to ująć dokładniej?
- Jest to śledztwo poprzedzające rozprawę. Wymagane z artykułu trzydziestego drugiego wojskowego kodeksu karnego. Aby rozważyć wszelkie fakty i kwestie zawarte w akcie oskarżenia. I by zdecydować, czy wszcząć rozprawę przed sądem wojskowym.
- To tak jak w prawdziwym świecie sąd stanowiący o oddaniu sprawy do decyzji sądu przysięgłych?
- Tyle że jeszcze lepszy. Musimy tam być. Przesłuchać świadków, zakwestionować, co się da. Nie ma ławy przysięgłych i prowadzi je oficer śledczy, nie sędzia. To dobra okazja, żeby się czegoś dowiedzieć - jakimi dowodami dysponują, jakie wytoczą argumenty.
- Ale tak naprawdę nie mają zamiaru zrzec się oskarżenia, zgadza się? Chcą postawić Toma przed sądem wojskowym.
- Wiesz, mamy prawo zrezygnować z przesłuchania. Ale wykorzystamy je do oceny ich sposobu dowodzenia racji.
- Przesłuchanie odbędzie się za tydzień?

Skinął głową. Eskortowani przez strażnika, szli korytarzem, który dudnił echem ich kroków.

~ Nie zostawili nam wiele czasu. Oni mieli całe lata, żeby to wszystko przygotować. Dostałaś dokumenty?

~ Przeczytałam je.

Rozmawiali krótko. Grimes opowiedział Claire o krótkim spotkaniu z Tomem wczoraj w więzieniu. Tom przysłał na wynajęcie Grimesa.

Zatrzymali się przy długiej sali konferencyjnej przed wejście^ dBo bloku B.

- Tu się spotkamy - zwrócił się Grimes do strażnika. - Monecie przyprowadzić więźnia? - I obróciwszy się do niej, p0. v«>wiedział, jak wiele godzin spędził nad lekturą dokumentów l—>rocesowych. dotyczących Toma. - Twój mąż miał burzliwe zrycie. Ciekawe doświadczenia.

Zapadła chwila ciszy. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. ;Samiast tego zaczęła mówić o przesłuchaniu z artykułu trzy-ć3ziesiątego drugiego. Skoncentruj się na procedurze prawnej — tłumaczyła sobie - to potrafisz zrobić.

- Chcesz doprowadzić do tego, żeby zrezygnowali z po-s. tawienia go przed sądem wojskowym? - zapytała.

- Czy chcę? - Postawił radio przed drzwiami pokoju konferencyjnego i włączył jakąś raperską stację. - Notorious E.J.I.G. - powiedział. - Life After Death. Nie znoszę tego śmiecia. Taak, pewnie, że chcę do tego doprowadzić. Nic z: tego nie wyjdzie, ale przynajmniej będę próbował. Póki mi p>łacisz.

- Mówiłeś poważnie o słuchaniu muzyki? Uśmiechnął się. Miał urzekający uśmiech, który ukazywał

idealnie białe zęby.

- Nie, chodzi o to, żeby nie podsłuchiwali. Stara sztuczka vv Quantico. - Wszedł, postawił teczkę, usiadł na szczycie ćfugiego, pokrytego laminatem stołu. Rozejrzała się po kisz-kowatym pokoju, nigdzie nie widząc kamery. - Widzisz - rzeki Cirimes - mówiłem, że uzyskasz dostęp do tajnych akt. Dziwię się tylko, że przystałaś na takie warunki.

- Dlaczego?

- Prawniczka, słynna z walki o swobody obywatelskie? Myślałem, że odmówisz. Prześwietlają cię, musiałaś podpisać ten nakaz, który knebluje ci usta. Nie możesz teraz wypowiadać się na temat tajnych materiałów w sprawie. Jakbyś sprzedała duszę.

Miał rację.

- Nie dali mi wyboru - odparła. - Musiałam to podpisać-Chcę bronić Toma. - Usiadła obok niego.

- To prawda, ale mimo wszystko. Nadal nazywasz go Tomem, tak? Jego przybranym

imieniem?

- Pod takim go poznałam. Nie znałam go jako Rona.

108

_ Nadal uważasz, że jest niewinny, co? Po całej tej lekturze?

Obróciła się ku niemu gniewnie, lecz nim zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły. Pojawił się w nich Tom, w błękitnym dresie, nadal zakuty w kajdany. Przy obu jego bokach stali strażnicy. Zauważyła, że miał na nogach czarne buty.

_ No dobra, chcę, żebyście mu to zdjęli - odezwał się Grimes do strażników, machając w kierunku Toma. - Wszystko. Nie tam jedne kajdanki. Powiedźcie swojemu dowódcy, że chcemy, żeby był całkowicie rozkuty, bo inaczej wyślemy zażalenie do każdego cholernego członka Komitetu Sił Zbrojnych w senacie, a ponadto do senatorów z Massachusetts i Wirginii, a potem podejmiemy akcję „O godność więźnia” i wasz dowódca oślepie od papierkowej roboty.

Tom nadal stał na baczność, dziwnie przypatrując się Gri-mesowi.

- Tak jest - odparł jeden ze strażników. Odwrócili się i odprowadzili Toma.

Grimes roześmiał się, nieomal zachichotał.

- Lubię postraszyć tych facetów. Z drugiej strony, dokąd, na miłość boską, ucieknie ten gość? Zwieje im z sali konferencyjnej z cholernego więzienia, w którym wszędzie są stalowe kraty?!

Po paru minutach sprowadzili z powrotem rozkutego Toma. Claire ucałowała go i uściskała, on zaś po raz pierwszy mógł odwzajemnić jej uścisk. Był wymizerowany i wynędzniały.

- Charles Grimes - powiedziała. - Poznałeś już swojego nowego adwokata.

~ Charles - poprawił Grimes i uściśnął Tomowi rękę. ~ A gdzie jest ten dzieciak? - zapytał Tom, gdy już usiedli wraz z Claire. - Jak on się nazywa, Embrion? ~ Dzisiaj spotykamy się bez niego - poinformował Grimes. ~ A jak ty się miewasz? - zapytała.

- Głównie się nudzę - odparł. Głos miał ochryply, jakby od a*na się nie odzywał. - Jako nowy więzień przechodzę pranie

^°zgu. Przywożą mi kupę gównianych śmieci do czytania.

y°gę oglądać telewizję trzy razy w tygodniu przez godzinę,

e żaden program mnie nie interesuje. Codziennie mam „sł-
eczny apel”, przez godzinę na tym ohydny cementowym
p°dwórzu. Skuty od góry do dołu. Sam jeden.

109

- Niem^ tu gabinetu odnowy biologicznej?- zapytał Grimes
 - Sauna, pL»-*"owka' basen> Piękne masażystki. Ne z tych rzecz-
 - Jakos ^ie zauważyłem - odparł Tom. - W sumie chyba nie mogę s;i<? uskarżać.
Tylko tęsknię za tobą - powiedział zwracając ^i<? do Claire.
 - Ja też za tot>ą tęsknię. Wszystkie tęsknimy. Wiesz, że możesz do ****
zadzwoić.
 - Właśni^ też na to wPadłem. Przywożą telefon na drew-nianym w<S»^ku 1
włączają. Na koszt rozmówcy, maksimum trzydzieści rr^mut.
 - Taak -^ potwierdził Grimes. - I podsłuchują rozmowy, więc uważLij -
 - Będę d^broiuć, Tom - oznajmiła mu. - Już to zgłosiłam Napisałam oświadczenie
Wszystko jest oficjalnie załatwione.'
 - D^iękii ^°SU _ rzekł T°m.
 - Jej pocJ^iCkuJ - Powiedział Grimes. - Założę się, że w ten sposób chce wam
zaoszczędzić trochę pieniędzy
 - Wiesz, ze w ^ Procesie może ci grozić kara śmierci
 - rzekła, ni^ .zwracając uwagi na żarcik Grimesa. - A ja od lat nie prowad^1™
porządnego procesu w sprawie kryminalnej. To cię nie ^faza-
 - W twoi*11 wypadku? - zdziwił się Tom. - Absolutnie nie. Dzięki, kochanie.
 - M ogę ^iapalić? - zapytała Grimesa
 - W tym ^kładzie się nie pali - oświadczył Grimes, stanowczo potrząsaj 3° gł°waw
 - Daleko Posunięta poprawność polityczna - stwierdziła.
 - Tom, mulimy wiedzieć wszystko. Niczego więcej już przed nami nie uK^1
Absolutnie niczego. Zrozumiałeś?!
- Skinął pC,takująco.

- To może być dla ciebie nieprzyjemne. _ Grimes podniósł głos. - Ale Jezdl Jedziesz trzymał coś przed namJ w sekrecie, mogą nam 1° wyciągnąć Atakują cię z całej broni, jaką tylko mają, i jeżeU ukryjesz jakiś szczegół, zwłaszcza coś dla ciebie uwłaczające° - załatwią nas na cacy. Kapujeszl?

- Kapuję - odParł Tom.

- No dobf^ w porządku - rzekł Grimes

- Tom - <?dezws*ła się teraz Claire - nie powiedziałaś na* o swojej słxxźbie w Wietnamie.

- Poxvie<5^iałem' że wydali mnie...

110

_ Nie o to chodzi. Nie mówiłeś mi, że brałeś udział w Programie Eliminacji Zdrajców.

_ O czym ty mówisz? - zdziwił się Tom.

_ O czym mówimy? - powtórzył gniewnie Grimes. - O amerykańskich oddziałach szybkiego reagowania, o tym mówimy. 0 specjalnych operacjach „wytrop i zabij”, w których oddziały armii amerykańskiej i strzelców wyborowych piechoty morskiej wysyłano w głąb terytorium wroga, by zgładzić Amerykanów. By zlikwidować amerykańskich „zdrajców”, dezertów. To oficjalnie usankcjonowane zabójstwo amerykańskich żołnierzy. Brałeś udział w tych patrolach rozpoznawczo-bojowych. Byłeś mordercą na usługach rządu amerykańskiego. Taki drobiazg, o którym nam nie wspomniałeś.

- To bujdy! - wybuchnął Tom. - Wymyślili to, żeby mnie jeszcze bardziej wrobić.

- Wszystko jest w twojej teczce - rzekła Claire, rozpaczliwie pragnąc, by mówił prawdę. - Napisano tam, że zgłosiłeś się do tego zadania na ochotnika. Że byłeś jednym z najlepszych strzelców wyborowych, strzelałeś z niesamowitą precyzją. Dlatego cię wzięli do tej operacji, mimo że byłeś taki młody.

- To kłamstwo! - obruszył się. - Służyłem, jak wszyscy, wypełniałem normalne zadania, potem posłano mnie do ośrodka szkolenia sił specjalnych w Fort Bragg. Słyszałem o tych oddziałach, krążyły o nich pogłoski, ale nie miałem z nimi niczego wspólnego. Nie likwidowałem żołnierzy amerykańskich. Sfalszowali dokumenty albo wykręcili jakiś numer, żeby zrobić ze mnie sadystycznego mordercę. Nie wierz w takie zagrywy, Claire!

- Sama już nie wiem, w co mam wierzyć.

- Nie możesz wierzyć w takie rzeczy!
- Możemy to wyłączyć ze sprawy - rzekł Grimes. - Ten wątek nie musi wyjść na sędzie wojskowym.
- Ale to parszywe, wredne kłamstwo! Te patrole zabójców to był cholernie pilnie strzeżony sekret, nikt o tym nie wiedział, ^dyby coś na ten temat napisano, czy nie byłoby to ściśle

aJne?! Znalazłoby się w moich dokumentach, dostępnych dla Wu osób?!

Uaire westchnęła, skonsternowana. To prawda. Takie materiały byłyby utajnione. spojrziała na Grimesa, który wzruszył ramionami.

111

- Wszystko jedno, jak tam było. Wyłączymy to. Oczywiście i tak nie będą chcieli, żeby wyciągać te rzeczy - to skandal kompromitujący rząd, jeden z najbardziej haniebnych sekretów wojny wietnamskiej.
- Co wam opowiedzieli na temat wydarzeń w Salwadorze?
- Jeszcze nie czytaliśmy dokumentów na ten temat - odparła Claire. - Ale Charles powiada, że już się do nich dogrzebali, więc niebawem się dowiemy.
- Dobrze się składa, że sprawa wkrótce stanie na wokandzie. Wojsko obowiązuje warunek szybkiego procesu. Muszą rozpocząć postępowanie przed sądem wojskowym w ciągu stu dwudziestu dni od czasu, kiedy cię tu zamknęli.
- Ale my nie chcemy pospiesznej rozprawy - rzekła Claire. - Potrzebujemy tyle czasu, ile się tylko da wykroić, żeby dokładnie przejrzeć dowody, przesłuchać świadków. Wyłowić wszelkie wątpliwe kwestie. Nie możemy przygotować się do tego na pół gwizdka. Założę się, że oni preparowali te materiały przez całe lata.
- Nie unoś się tak, teraz jesteś w wojsku - uspokajał Gri-mes. - Mają prawo zmusić nas do stawienia się na rozprawę, jeżeli będą chcieli i kiedy będą chcieli. Jak dobrze pójdzie, Tom czy Ron, to za mniej niż cztery miesiące wyjdiesz stąd...
- ...albo wyląduję w Leavenworth — powiedział Tom zgryźliwie. - Mogę też pójść do piachu.
- Zgadza się - przyznał pogodnie Grimes, co zabrzmiało jak dysonans. - A więc zaczęło się odliczanie.

mk

Stojący na baczność żandarm był wysoki i prezentował się nienagannie w mundurze bez jednej fałdki. Na głowie miał biały hełm. Buty lśniły jak lustro. Wyglądał, jakby przed

chwilą został poddany inspekcji i oceniony „na medal”. „

Odpicowany” - stwierdził Grimes, co w wojskowym żargonie oznaczało sztywniaka, nieskazitelnie odzianego, na który! *1 każdy szczegół oporządzenia odpowiada najsurowszym wojskowym wymaganiom.

Trzymał straż przed pozbawionym okna pomieszczenie!” w podziemiach budynku w Quantico, zwanym Hockmuth Hal”

112

dzie wykorzystując najnowocześniejsze systemy zabezpieczeń, rzechowywano wszelkie tajne materiały, dotyczące sprawy

Ronalda Kubika. Na zewnątrz czekała Claire w towarzystwie

Ernbry'ego i Grimesa. _ Nazywamy to SZUM - poinformował Claire kapitan

Embry. Wymawiał to jak „sz”.

- Znam to słowo, ale u was chyba jak zwykle znaczy co innego? - zauważyła sucho Claire.

Embry zawahał się przez chwilę.

- Specjalny Zakład Uwięzionych Materiałów - wyjaśnił Grimes. - Coś w tym rodzaju.

- Raczej Specjalny Zakład Utajnionych Materiałów - sprostował Embry.

- Jak go zwał, tak go zwał — zgodził się Grimes.

- Poprosiłem o dalsze dokumenty z paragrafu trzydziestego drugiego - informował ich Embry - ale oficer śledczy odmówił.

- Mówiłem, że chodzi o „uwięzione” materiały - przypomniał Grimes. - A tak nawiasem, jak on się nazywa?

- Podpułkownik Robert Holt. Miły facet.

- Oni wszyscy są mili - używał sobie Grimes. - W wojsku trzeba bardzo uważać na miłych facetów.

Embry pominął to milczeniem.

- Poinstruował mnie, że w tym wypadku w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe, dlatego wszelkie rozmowy muszą być przeprowadzane w SZUM-ie.

- Cokolwiek by to miało znaczyć - rzekła Claire. Grimes rzucił jej spojrzenie, mówiące: „Nie zwracaj uwagi na ich instrukcje”.

- Kiedy następnym razem będziemy rozmawiać z twoim Wężem - powiedział Grimes - chcę, żebyśmy wyszli poza więzienie. Nie wierzę tym facetom. Różni tu mogą podsłuchiwać. ~ Nie wolno podsłuchiwać rozmów między adwokatem i klientem - oświadczył Embry.

Naprawdę? - zdziwił się Grimes. - Pan im to powie, czy sam mam się tym zająć?

Grimes i Embry poznali się dopiero dziś rano i Grimes już używał cierpliwości Embry'ego. Lecz młody oficer był zbyt niecierpliwy, by okazać zniecierpliwienie. W każdym razie, nim Embry zdążył odpowiedzieć, strażnik otworzył drzwi SZUM-u. To było zwykłe pomieszczenie, o podłodze wyłożonej

113

linoleum, na której stały urzędowe stoły z metalu pomalowanego na zielono oraz szare metalowe krzesła. Znajdował się tam jednak szereg dużych sejfów firmy Sargent & Greenleaf oficjalnie zatwierdzonych jako sejfy rządowe, zamykanych tajnymi szyfrowanymi zamkami. W środku były szuflady, zamykane oddzielnie, każda na własny zamek szyfrowany. Adwokatom przydzielono szuflady, do których mieli schować wszelkie zrobione notatki. Nie wolno ich było wynosić z tego pomieszczenia. Przynieśli ze sobą duże, żółte notatniki. Grimes powiedział jej, że nie warto brać laptopu, bo nawet notatki, które porobią własnoręcznie, będą musieli zostawić tutaj, w zamkniętych szufladach. Wszelkie zapiski na temat tajnych dokumentów stają się częścią dokumentacji rządowej, podlegającej kontroli rządu.

Claire uznała tę procedurę za niepokojącą, a nawet złowróżbną. Nie mogą zabrać ze sobą własnych notatek? To jak mają pracować gdziekolwiek poza tym ohydnyim pokojem? Oficjalną siedzibą obrońcy Ronalda Kubika była biblioteka w domu, który Claire wynajmowała przy ulicy Trzydziestej Czwartej. W niej trzymali wszystkie swoje materiały, jak zatem mogą tam pracować bez notatek na temat

tajnych dokumentów? Nie uzyskała zadowolającej odpowiedzi. Ani Embry'emu, ani Grimesowi nie przeszkadzał ten absurdalny środek ostrożności.

Pokazano jej przepis zapewniający, że nikt nie będzie miał wglądu do jej notatek. Wszelkie papiery, które chce zostawić, będą umieszczone w specjalnej kopercie, zaklejonej brązową taśmą o szerokości dwu i pół cala, którą trzeba zwilżyć gąbką przed przyłożeniem. Taśmę przyklei strażnik, po czym Claire podpisze się na niej. Następnie tę kopertę włoży się do drugiej, zaklei tą samą taśmą, na której Claire ponownie złoży swój podpis. Kopertę, opatrzoną napisem TAJNE-PO-UFNE-PRAWNIE ZASTRZEŻONE umieści się w kolejnej kopercie, z adnotacją: WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU...

Cały rytuał wymyślono po to, by uspokoić właściciela notatek i rzeczywiście wydawało się, że niezmiernie trudno byłoby niepostrzeżenie dotrzeć do prywatnych zapisków, ale Claire uznała, że ci ludzie zdolni są do wszystkiego. Ktoś, kto wymyślił tak skomplikowany i cudaczny system zabezpieczeń, prawdopodobnie znalazł też sposób, by go złamać.

114

_ Jezus! - wykrzyknął Grimes, siedzący przy stoliku obok.

Albo twój mąż to naprawdę kawał pokręconego kutasa, albo hłopy z Biura Śledczego mają fantazję.

_ O czym ty mówisz? - spytała Claire.

Grimes pomachał plikiem papierów.

_ O oświadczeniu wydziału kryminalnego, spisany w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Sierżant Kubik stacjonował wówczas w Fort Bragg, gdzie przechodził szkolenie. Mieszkał w Fayetteville, poza terenem bazy. Sąsiad, cywil, wniósł na niego skargę.

Claire podeszła, usiłując czytać przez ramię Grimesa.

- Wygląda na to, że pies sąsiada systematycznie obsikiwał różane krzewy Kubika. Kubik skarżył się sąsiadowi kilka razy, aż któregoś ranka chwycił psa, poderżnął mu gardło, po czym powiesił za tylne łapy na skrzynce pocztowej sąsiada. O rany!

Claire, oniemiała, potrząsnęła głową.

- To... to niemożliwe. Tom by tego nie zrobił.

- Chryste Panie - jęknął Grimes. Embry rozejrzał się nerwowo, potem powrócił do

swojej lektury. - Coś takiego. Nie lubi zwierzątek. Nie przywitamy tego niegrzecznego chłopca z otwartymi ramionami.

- To musi być fałszerstwo - upierała się Claire. - Nie mogli tego podrobić? Przecież to zaledwie kilka kartek niechlujnego maszynopisu.

- Jest tu nazwisko agenta, który przyjął skargę. I nazwisko sąsiada. Roswell jakiś tam.

Ponownie potrząsnęła głową.

- Tom nie mógłby tego zrobić - powtórzyła.

- Nie, pani profesor - rozległ się głos u wejścia do pomieszczenia. - To sprawa Ronalda Kubika. A ja jestem major Waldron.

Major Lucas Waldron był wysokim, szczupłym mężczyzną o brązowych włosach, pod czterdziestkę. Dominującym rysem Jego twarzy był orli nos. Waldron nie sprawiał wrażenia ani człowieka przystojnego, ani brzydkiego. Miał regularne, mocno zarysowane brwi i wąskie, miękkie usta - ale bez wątpienia dębiły się w nim emocje. Nie uśmiechnął się, ściskając rękę Claire. Prawniczka poczuła ucisk w dołku, jak zawsze, gdy sPotykała się z potężnym przeciwnikiem.

- Może wreszcie zrozumie pani, pani profesor, dlaczego tylu

115

ludzi uważa pani męża za plamę na honorze armii - powiedział Waldron.

Claire przyglądała mu się przez chwilę.

- Jest pan dumny z tego, że będzie pan oskarżycielem w tej farsie?

Waldron uśmiechnął się lodowato. ,

- Zważywszy, kim jest pani mąż - co to za typ - osobiście uważam, że w ogóle nie jest godny występowania na rozprawie sądowej...

- Chciał pan powiedzieć, parodii rozprawy sądowej - przerwała mu Claire. - Dziwię się, że zgodził się pan wziąć to zlecenie. Może popsuć pański wspaniały bilans stosunku wygranych do przegranych.

- Chciałbym, żeby wiedziała pani, pani profesor, że tego procesu wojsko nie przegra. Zrozumie to pani, gdy spojrzy na zgromadzone dowody. Zakładam, że nie ma pani najmniejszego pojęcia, co to za potwór, jakiego zwyrodnialca pani poślubiła.

- Musi pan być straszliwie naiwny, jeżeli uważa pan materiały, które panu dają, za prawdziwe - odparła. - Jeśli nie czuje pan, że śmierdzi tu fałszywką.
 - Wystarczy, że sprawdzi pani te dowody.
 - Niech mi pan wierzy, że mam zamiar to zrobić.
 - Niech pani po prostu sprawdzi. Sama się pani przekona. A co do mojego wspaniałego bilansu wygranych i przegranych, częściowo zawdzięczam go szczęściu. I dokładności. Ale głównie chodzi o to, że ludzie, których oskarżam, są winni.
 - I na pewno jest pan dobrym prokuratorem - rzekła Claire. - Każdy uzyska wyrok skazujący winnego, ale trzeba naprawdę dużych umiejętności, by doprowadzić do skazania niewinnego.
 - Mój ojciec został wzięty do niewoli w Wietnamie - rzekł Waldron. - Noszę mundur oficerski i jestem z tego dumny. Mam zamiar aż do emerytury pracować w wojsku. Ale gdybym musiał złamać sobie karierę, by taki degenerat, jak pani mąż, został skazany, nie zawahałbym się ani chwili. Miło mi było panią poznać, pani profesor.
- Odwrócił się i wyszedł z pokoju.
- Miły facet, co? - powiedział Grimes.
 - Chodźcie tutaj! - zawołał Embry. - Wydział śledczy ma tu siedem oświadczeń, od siedmiu członków oddziału Kubika z Sal-

116

wadoru, z jednostki sił specjalnych numer dwadzieścia siedem. Zebrano je dwudziestego siódmego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. W pięć dni po incydencie z dwudziestego drugiego czerwca, po odprawie w Fort Bragg. Są prawie identyczne. Robią potworne wrażenie. - Embry spojrzął z takim niepokojem na Claire, że aż się skrzywił. Obliznął wargi. Grimes zerwał się z krzesła.

- Przy śledztwie z paragrafu trzydziestego drugiego chcą wezwać tylko jednego świadka. Jakiegoś pułkownika Jim-my'ego Hernandeza, obecnie wysokiego urzędnika w Pentagonie. Czy on przypadkiem nie jest jednym z tej siódemki?

Embry przerzucił leżący przed nim stos papierów.

- Major James Hernandez, zastępca dowódcy. Owszem, mamy go tu.

Claire poczuła, że ściska ją w dołku.

- Chciałabym to przeczytać - rzekła.

Embry wręczył jej zeznanie, mrugając mimo woli.

Serce jej waliło, gdy początkowo przejrzała, a potem zaczęła, bardzo powoli, wgłębiać się w treść dokumentu. W ustach czuła suchość. Ogarnęły ją mdłości.

Pierwsza strona stanowiła formularz kryminalnego wydziału śledczego armii Stanów Zjednoczonych. Oświadczenie złożone w Fort Bragg, dwudziestego siódmego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Godzina. HERNANDEZ, James Jerome. Jego numer ubezpieczenia. Stopień. Następnie kilka długich kolumn tekstu, opatrzonych podpisem Hernandeza na początku i na końcu każdego akapitu. Potem kilka stron pytań i odpowiedzi.

Ja, mjr James J. HERNANDEZ - brzmiały pierwsze słowa tekstu — z własnej i nieprzymuszonej woli składam to oświadczenie na ręce JOHNA F. DA WKINSA, oficera śledczego armii Stanów Zjednoczonych. Składam to oświadczenie dobrowolnie, nie grożono mi ani niczego nie obiecywano.

22 czerwca 85 mój oddział, dwudziesta siódma jednostka sił specjalnych, ściśle tajna grupa bojowa, stacjonował w Ilopango, w Salwadorze. Jestem zastępcą dowódcy jednostki. Naszym zadaniem było przeprowadzanie operacji dotyczących sił antyrządowych w Salwadorze. Nasz dowódca, pułkownik William

117

Marks, otrzymał informację z wiarygodnego źródła, że grupą lewackiego odłamu antyrządowej organizacji powstańczej FMLN która przed paroma dniami w Zona Rosa w San Sahador zabiła kilku amerykańskich komandosów, będących po służbie, oraz dwu amerykańskich biznesmenów, kwateruje w małej wiosce tuż pod San Sahador. Wioska, o nazwie La Colina, była miejscem urodzenia kilku powstańców. Mieli się tam ukrywać.

Pośrodku nocy, 22 czerwca 85, dotarliśmy do wioski. Nasz oddział podzielił się na połowę, by okrążyć wioskę z dwu stron. Mieliśmy tłumiki na karabinach, żeby wydłużyć moment zaskoczenia, zabijając psy, gęsi czy jakiegokolwiek zwierzęta, które znaj dci sk na naszej drodze. Oba zespoły weszły i zajęły wioskę. Chodziliśmy od domu do domu, budząc mieszkańców i wypędzając ich z chat. Postępowaliśmy w ten sposób, by się upewnić, że mieszkańcy nie mają broni palnej.

Wszystkich mieszkańców, w liczbie osiemdziesięciu siedmiu osób, zgromadzono na otwartej przestrzeni, która przypuszczalnie pełniła rolę wioskowego rynku. Zebrani byli co do jednego cywilami: starcy, kobiety, dzieci i niemowlęta. Wypytywano ich po hiszpańku, lecz stwierdzili, że nie wiedzą, gdzie znajdują się partyzanci. Pułkownik Marks został poinformowany przez radio o naszym przekonaniu, że

informacja wywiadu była błędna i że w La Colina nie ukrywają się obecnie żadni komandosi. Wobec tego pułkownik Marks polecił nam się wycofać. Doszło do krótkiej wymiany zdań między kilkoma wieśniakami i sierżantem KUBIKIEM. Nagle sierżant KUBIK wycelował swój karabin maszynowy M-60 w wieśniaków. Zauważyłem, że połączył na ramieniu dwie taśmy z amunicją, tak że miał dwieście naboju. Sierżant KUBIK zaczął strzelać bezpośrednio do mieszkańców, zabijając ich wszystkich w ciągu paru minut.

J.F. DA WKINS zadał mi następujące pytania, na które odpowiedziałem osobiście.

P.: Czy próbowano powstrzymać KUBIKA?

O.: Tak, ale nikt nie mógł się do niego zbliżyć, bo strzelał jak oszalały.

P.: Czy szukano broni u cywilów?

O.: Nie, gdyż pułkownik Marks uznał, że straciliśmy panowanie nad sytuacją, i kazał nam natychmiast opuścić wioskę.

P.: Czy sierżant KUBIK mówił coś po zabiciu osiemdziesięciu siedmiu cywilów?

O.: Nie, powiedział tylko: „No, i po sprawie”.

118

Claire odłożyła stronę, którą czytała, i poczuła zawrót głowy. przeprosiła i poszukała damskiej toalety w korytarzu na ze-wnątrz. „Latryna”. Chwiejnym krokiem dojrzała do sedesu : wymiotowała. Potem umyła twarz w umywalce kawałkiem brązowego wojskowego mydła.

20

Czekając, by wpuszczono ją do więzienia, zatopiła się w myślach.

Było to tuż po ślubie, podczas ich miodowego miesiąca. Meldowali się w hotelu Hassler w Rzymie, u szczytu Schodów Hiszpańskich, na Piazza Trinita dei Monte. Chciała zatrzymać się w skromniejszym pensjonacie w pobliżu, w Scalinata di Spagna, ale Tom nalegał, by pozwolili sobie na coś naprawdę luksusowego. Jednakże rezerwacja przepadła. Ktoś coś zawalił. Apartament, który zamówili, wynajął już inny gość. Kajając się gorąco, zaproponowali „apartament młodzieżowy”. Tom zrobił się czerwony i zaczął walić pięścią w blat recepcji. „Do diabła, zarezerwowaliśmy go!” - ryczał na cały głos. Wszyscy w recepcji odwrócili się, przerażeni i zszokowani. Recepcjonista przeproszał, jak mógł, gnąc się cały w ukłonach, zbesztany i upokorzony zupełnie stracił głowę, niemal przed nimi tańczył. Tom był straszliwie rozpieklony, lecz nagle, niemal równie szybko, jak wpadł w szewską pasję, wziął się

w garść. Kiwnął głową. „Niech pan sprawdzi, co się da zrobić” - powiedział.

Zacząła też sobie przypominać inne incydenty.

Pewnego razu asystentka Toma w firmie Chapman & Company pomyliła datę roboczego lunchu z potencjalnym poważnym inwestorem, tak że Tom nie stawiał się na spotkanie. Wpadł we wściekłość, wyrzucił asystentkę, ale po paru godzinach mu przeszło i przyjął ją z powrotem.

Kiedy indziej sąsiad niechcący wjechał swym rangę roverem na ich trawnik i wyłobił w nim koleinę. Tom wypadł z domu, Pociemniały na twarzy z gniewu, lecz gdy doszedł do samochodu ^siada, zdążył się opanować.

Innym razem, gdy spacerował z Annie po Harvard Square, dziewczynka wyciągnęła rękę, by pogłaskać pieska, który

119

warknął i wyszczerzył do niej zęby. Tom chwycił psa za kark, aż zaskomlał. Właściciel zaprotestował z oburzeniem, Tom uwolnił zwierzę, które chyłkiem umknęło, chowając ogon pod siebie. „Niczym się nie przejmuj” - powiedział do Annie.

Wydarzyły się dziesiątki takich incydentów, ale jaki wizerunek człowieka się z nich wyłaniał? Pana młodego, który nie chce, by zepsuto mu wymarzony miesiąc miodowy. Na pozór szalenie wymagającego szefa. Właściciela domu przywiązującego wagę do drobiazgów. Nadopiekuńczego ojca. W toku małżeństwa - a ich związek trwał stosunkowo krótko - partnerzy smucą się i złością. Widzi się najlepsze i najgorsze cechy współmałżonka. Tom o byle co wpadał w gniew, lecz nigdy nie wyładowywał go ani na niej, ani na Annie, i zawsze zdołał powściągnąć swój temperament.

Pozostawał jeszcze sposób, w jaki unieruchomił agenta, który ścigał go w centrum handlowym. Bez wątplenia wykorzystał tu swe umiejętności, nabyte podczas szkolenia w służbach specjalnych. Czy naprawdę był niepotrzebnie brutalny? Usiłowali go uwięzić za zbrodnię, której, jak twierdził, nie popełnił. W końcu jednak nie zabił tego agenta.

Nawet bezwzględna walka, jaką stoczył z policjantami w chatce nad jeziorem w Berkshires, nie była niczym więcej niż samoobroną, przejawem instynktu samozachowawczego.

Czy na podstawie tych wszystkich incydentów można uznać go za mordercę?

- Hej, a gdzie reszta mojej drużyny? - zapytał Tom. Od czasu do czasu zdarzało mu się sypnąć jakimś żarciem, co, nie wiedząc czemu, irytowało Claire. Znajdowali się w przyległym do celi, oszklonym pokoiku. Tym razem, pewnie na znak szacunku dla niej, zdjęli Tomowi wszystkie kajdany.

- Dzisiaj przyszedłem tylko ja - rzekła cicho Claire. - Chcę cię zapytać o La Colinę. Co tam się naprawdę zdarzyło.

Przechylił głowę na jedno ramię, zmrużył oczy.

- Mówiłem ci...

- Właśnie przeczytałam siedem oświadczeń. Są zasadniczo takie same.

- Są prawdopodobnie identyczne. Wojsko fałszuje dość nieporadnie.

120

_ Kto to jest Jimmy Hernandez?

_ Hernandez? Zastępca dowódcy mojego oddziału. Numer drugi po Marksie. Pochodzi z Florydy, jest synem kubańskiego emigranta...

- Czy jest uczciwy? Mówi prawdę?

- Claire - powiedział Tom z irytacją. - Uczciwość dla tych ludzi to pojęcie względne. Jak dowódca powie, żeby pierdnęli, to pierdną. A jeśli uzna, że bździny pachną jak gardenia, poczną zapach gardenii. Hernandez to stary kumpel Marksa. Powie, cokolwiek Marks mu każe.

- Prokurator chce powołać Hernandesa jako naocznego świadka zbrodni, którą rzekomo popełniłeś. Jeżeli jest równie wiarygodny jak te oświadczenia składane przed oficerem śledczym, będziemy mieli kłopoty. - Starła się przybierać neutralny, zawodowy ton.

- A co, on powiada, że ja to zrobiłem? Że dokonałem masowego mordu na osiemdziesięciu siedmiu cywilach?

- Właśnie.

- Mówiłem ci, że pułkownik Marks wydał rozkaz, by wykończyć całą wioskę. „Dać im nauczkę” - powiedział. Hernandez był zastępcą dowódcy, lojalnym numerem drugim po Marksie - nie zdziwiłbym się, gdyby on też strzelał. Nie chciałem brać udziału w zatuszowaniu sprawy, więc obrócili kota ogonem i zwalili wszystko na mnie. I to jest sedno całej sprawy. To się zdarzyło trzynaście lat temu, na miły Bóg,

dlaczego sobie po prostu tego nie odpuszczają?!

- Kryminalny wydział śledczy przesłuchał całą jednostkę. Musieli przesłuchać i ciebie.

- Oczywiście, że tak. Przesłuchiwali mnie długo. Naturalnie nie złożyłem oświadczenia.

- I nie powiadomiłeś o tym żadnych władz? Nikomu nie opowiedziałeś, jak to było naprawdę?

- Kogo miałem powiadomić? Nie znasz wojska. Trzymasz 8?bę na kłódkę, uszy po sobie i masz nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

~ Ale jacyś twoi koledzy z oddziału z pewnością cię dojrzeliby po drugiej stronie wioski. Ktoś musi wiedzieć, że ciebie tam nie było.

~ Ale nikt nie złożył takiego zeznania. Albo sami zabijali, a't>o brali udział w zacieraniu śladów. Prawdopodobnie mają z armią jakieś układy, zapewnienie nietykalności czy coś w tym

121

rodzaju. Nie możesz się tego dowiedzieć przy ujawnianiu dokumentów i faktów podczas rozprawy wstępnej?

- Są obowiązani do powiadomienia mnie o tym. Nie miałeś żadnych przyjaciół w jednostce? Jakiegoś kolegi, który nie poszedł na układy, ale zgodził się siedzieć cicho? Który zechciałby pomóc nam teraz?

- Lubiałem może trzech facetów w jednostce. Jednego czy dwóch mógłbym nazwać przyjaciółmi. Wiesz, że łatwo się nie zaprzyjaźniam. Ale skąd mam wiedzieć, czy strzelali do wieśniaków?

- Tom - zaczęła. - Ron.

- Możesz nazywać mnie Ronem, jeśli chcesz - powiedział cicho Tom. - Jeżeli tak ci przyjemniej.

- Znałam cię jako Toma. Ale to kamuflaż, prawda?

- To imię, które wybrałem, niejakie dali mi rodzice. Tomem stałem się przy tobie. Lubię być Tomem.

- Tom, dlaczego miałabym ci wierzyć? Tak naprawdę? Okłamywałeś mnie przez sześć lat, odkąd cię znam. Takie są fakty.

- Okłamywałem cię co do mojej przeszłości. Aby obronić cię przed świrami, którzy nie żartują. Gdyby usłyszeli najmniejszą pogłoskę, że żyję i mieszkam w Bostonie, wytropiliby mnie i wykończyli łącznie ze wszystkimi dookoła. Nie wolno mi było zakochać się w tobie, Claire. Nie powinienem był rujnować ci wspaniałego życia moją potworną przeszłością...

- Nie zrujnowałeś mi życia. - Łzy zaćmiły jej wzrok. Głęboko odetchnęła.

- Claire, zastanawiałem się długo, kto może znać prawdę. O tym, co się rzeczywiście stało. Jest taki facet. - Przygryzł dolną wargę. - Ktoś, kto wie, co tam się działo. Znajdzie dowód. Wie, że Pentagon stara się to zatuzszować. Założę się, że zdobędzie dla ciebie odpowiednie dokumenty.

- Kto to taki?

Wziął jej ołówek i napisał parę słów w notatniku.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć - wyszeptał. - Zniszcz ten papier. Spuść go w toalecie.

Zerknęła na notatkę. Uniosła brwi do góry.

- Tom - rzekła - muszę cię jeszcze o coś zapytać. - Opowiedziała mu o przerażającym incydencie z psem sąsiada, którego powiesił na skrzynce pocztowej w Fayetteville, w Karolinie Północnej.

122

Tom przymknął oczy, z wolna potrząsnął głową.

_ Daj spokój, rzeczywiście mieszkałem poza bazą, adres ^ją właściwy, ale założę się, że gdybyś chciała odnaleźć tego rzekomego „sąsiada”, okazałoby się, że nikt taki nie istnieje. _ Oczy mu zwilgotniały. - Claire, musimy porozmawiać.

- Dobrze - powiedziała ostrożnie.

- Posłuchaj mnie. Jesteś teraz moim oparciem. Kiedy Jay umarł, zostałem, bo ceniłem twoją przyjaźń. Usiłowałem cię wspierać, bo cię kocham. Ale teraz potrzebuję cię. Nie masz pojęcia, jakie to bolesne, kiedy osoba, którą kochasz najbardziej na świecie, nie ma do ciebie zaufania.

- Tom...

- Pozwól, że skończę. Jestem tu zupełnie sam. Absolutnie samotny. I gdyby nie ty, twoja wiara we mnie, chyba nie dałbym sobie z tym rady. Nie przetrzymałbym tego

wszystkiego.

- Co masz konkretnie na myśli? - zapytała cicho.

- Po prostu nie przeżyłbym tego, gdybym uważał, że mi nie wierzysz. Wiesz, że cię kocham. Głęboko. Gdy już będzie po wszystkim, gdy uda mi się z tego wyjść, wrócimy do naszego dawnego życia. Potrzebuję cię, kochanie.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu i mocno go uściśnęła. Czowała, jak z jego ramion paruje gorący pot.

- Kocham cię, Tom - tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić.

21

Biblioteka w wynajętym domu była prawdziwą biblioteką. Widać, że należała do starego zamożnego rodu. Półki na książki, pomalowane na śnieżnobiały kolor, zawierały nie tylko nieodzwonne, oprawne w skórę antykwaryczne tomy, w zestawach po dziesięć, dwadzieścia i pięćdziesiąt, lecz także 1 prawdziwe dzieła, wydane ostatnio, a także i wcześniej, w twardych okładkach. Były to przeważnie publikacje o tematyce politycznej i historycznej, powieści nigdzie nie zauważyła. Właściciel domu, przypuszczalnie popijający teraz un Caffè macchiato w sienneńskiej kawiarni, prawdopodobnie rzeczywiście je czytał. Jego biblioteka stanowiła liczący z setkę [at prototyp nowoczesnej pracowni Claire i Toma w Cambridge.

123

Kapitan Embry, ubrany po cywilnemu (w nowiuteńkie ciem. noniebieskie dzinsy i koszulę z krótkimi rękawami, wszystko starannie odprasowane), siedział na niewyściełanym krześle i robił notatki w dużym bloku, posługując się obgryzionym bikiem. Grimes (znowu w pomarańczowym, błyszczącym swet-rze z lat siedemdziesiątych), szeroko rozstawiwszy nogi, zagłębił się w fotelu, obitym kwiecistą tkaniną.

Claire, paląc papierosa, siedziała przy olbrzymim dębowym bibliotecznym stole, otoczona książkami prawniczymi: Zasady przedstawiania środków dowodowych w wojsku, Wojskowe prawodawstwo kryminalne: praktyka i postępowanie, Zasady postępowania przed sądem wojskowym.

- A więc wszystko, co prokurator ma przedstawić na przesłuchaniu z paragrafu trzydziestego drugiego - mówiła już jak wytrawna wyjadaczka - to tych siedem oświadczeń i jeden tak zwany naoczny świadek, który ma potwierdzić ich prawdziwość. Tylko tyle?

- Taak - potwierdził Grimes. - Rząd nie musi przedstawiać wszystkiego, czym dysponuje. Tylko tyle, ile potrzeba. Pamiętaj, że oni mają jedynie wykazać zasadność postawienia twojego męża przed sądem wojskowym. Nic dziwnego, że ograniczają dowody do minimum. Wystrzelanie całej amunicji od razu na samym początku byłoby z ich strony bardzo nierozsądne.

- A my mamy się starać, by obalić te dowody? - wtrącił się Embry.

- Do czego w żadnym razie nie dojdzie - zapewnił Grimes. - Żebyśmy stawali na głowie. Potraktujmy to przesłuchanie jako próbę ze strony rządu, demonstrację ich możliwości. Mamy szansę, by zawczasu zorientować się, jakie mają argumenty, czym nas chcą załatwić. Możemy ich też wziąć w krzyżowy ogień pytań, by wykazać wszystkie słabe punkty.

- A co z pozostałymi sześcioma członkami Płonącego Drzewa, którzy składali oświadczenia? - zapytała Claire. - Dlaczego ich nie wzywa się na świadków?

- Po pierwsze, nie muszą - odparł Grimes. - Świadców, którzy są „niedostępni dla sądu”, co znaczy, że mieszkają w odległości większej niż sto mil, nie trzeba powoływać. Po drugie, nie są rządowi potrzebni.

Claire skinęła przytakująco.

124

, Mogą nas czymś zaskoczyć? Wyciągnąć na przesłuchaniu | „kieróg królika z kapelusza?

_ Normalnie przekazują dowody, gdy tylko je otrzymają _ powiedział Embry.

- Taak - rzekł Grimes, wpatrując się w zdobny detal na sklepionym suficie - albo mogą dać je nam na dzień lub dwa przed przesłuchaniem. Ale wątpię, czy będą chcieli wyciąć nam jakiś numer. Wolą mieć opinię akuratnych, którzy wszystko przekazują zawczasu.

- Tak czy owak - podsumował Embry - jeżeli nas czymś zaskoczą, poprosimy o odroczenie, i tyle.

- Tak samo jak w sądzie cywilnym - zauważyła Claire. - Ale jak się ma do tego artykuł czterdziesty szósty kodeksu? Klauzula o równym dostępie do materiałów?

Grimes schylił głowę i obrócił się z wolna, by przyjrzeć się Claire.

- Ktoś tu trzyma wojskowy kodeks prawa karnego na nocnym stoliku.

- Mamy równą możliwość dostępu do świadków i innych środków dowodowych ple-ple-ple... zgadza się? - spytała Claire.

- Tak - odparł Grimes - ale tu nie ma mowy o dostępie w tym samym czasie, racja?

- Mamusiu? - dobiegł ich głos Annie, wysoki, słodki i niepewny. Miała na sobie niebieski kombinezon, a włosy związała w mysie ogonki. Stała w otwartych drzwiach, ukradkiem, z ciekawością przyglądając się obu mężczyznom.

- Tak, kochanie?

- Mamusiu, Jackie robi kolację. Zaraz będzie gotowa.

- Świetnie, kochanie. My też za chwilę kończymy. Ale teraz Pozwól nam jeszcze chwilkę popracować, dobrze, dziecinko?

- Dobrze. - Rozejrzała się nieśmiało. - Dobry wieczór.

- Dobry wieczór - odparli obaj mężczyźni. ~ Mamusiu, dlaczego palisz?

~ Annie - poprosiła Claire - zabieraj się stąd. Zobaczymy się przy kolacji.

~ Ale ja chcę się bawić tutaj - odparła Annie, wydymając Wargi.

~ Nie teraz, kochanie.

- Dlaczego nie?

~ Bo mamusia pracuje.

125

- Ty zawsze pracujesz! - rzekła Annie, wychodząc z ociąganiem.

- Rany - odezwał się Grimes - g}eboko wpadłaś w szpony tego ohydneho nałogu. Myślałem, że nikomu w Cambridge nie wolno palić poza określonymi strefami.

I

- No tak, rzucę papierosy, jak już to wszystko się skończy

- oświadczyła. - Miałam was zaprosić na kolację ale

- Bardzo chętnie - rzekł Grimes. - Zapach czuję aż tutaj. Poznać dobrą kucharkę. Uwielbiam czosnek

- Terry? - zapytała.

- Nie mogę - odparł Embry. .Natychmiast się zaczerwienił.

- Przykro mi, ale... mam umówione spotkanie

- Już zdradzasz żonę? - zapyta} Grimes

Embry uśmiechnął się nieśmiało, potrząsając głową.

- No dobrze - rzekła Claire. - \fuszę wiedzieć wszystko, co się tylko da wyciągnąć na temat Hernandeza. Terry, załóż teczkę z dokumentami dotyczącymi każdego świadka albo potencjalnego świadka, poczynając od Hernandeza i pozostałych sześciu, którzy złożyli oświadczenia przeciwko Tomowi. Chcę dostać ich, jak wy to nazywacie, oceny przydatności, przebieg służby, dokonania. Potem przesłucham Hernandeza.

- Uuu... przesłuchanie tego faceta lepiej pozostaw mnie albo Embry'emu - poradził Grimes.

- A to dlaczego?

- Bo obaj jesteśmy wojskowymi. Odслужиłem swoje. Obaj wiemy, jak się w tym gnoju poruszać.

- No dobrze, ale muszę być przy tym. Chcę widzieć jego twarz.

- Jasne - rzekł Grimes.

- Mam zamiar się też dowiedzieć, Czy temu facetowi proponowano coś w zamian za zeznanie. \[a przykład nietykalność. To samo dotyczy wszystkich, którzy zostaną wezwani na safltf rozprawę.

- Dowiemy się tego z dokumentów - odparł Embry. - M^o żerny złożyć wniosek o ujawnienie wszystkiego, czym dysponują.

- Nie, wcale niekoniecznie - zaproponował Grimes. - Trzeb3 złożyć konkretny wniosek. Zażądać, by podano określone dane> którzy świadkowie mają szczególne uprawnienia i dlaczego Możesz domagać się kopii wszystkich postanowień o nietykalo0'

126

ści, przyznanych każdemu ze świadków. Albo obietnic łagodniejszego wyroku. Zażądamy kopii wszelkich ugod z informatorami, w tym zapisów o wynagrodzeniach pieniężnych i rzeczowych.

- No dobrze - zgodziła się Claire, zapalając nowego papierosa. - Chcę znać nazwiska wszystkich członków tej jednostki, ich obecne nazwiska, adresy i numery telefonów. Powiem Rayowi Devereaux, żeby ich wytropił co do jednego.

- Wszystkich nie znajdziesz - zastrzegł się Grimes. - Ci faceci czasami znikają.
- Ray jest dobry.
- Oni są lepsi.
- Myślisz, że można im wierzyć? Że ujawnią wszystko? - spytała Claire. - Że podadzą nam to, o co poprosimy?

Embry się zawahał.

- Czy w ogóle możesz ufać przeciwnikowi w procesie ujawniania danych? - odpowiedział pytaniem Grimes. - Mam na myśli prawdziwy świat.
- Nie zawsze - przyznała. - Nigdy się nie ma pewności.
- A widzisz - powiedział Grimes.
- Ale zgodnie z przepisem Brady'ego są zobowiązani do przekazania nam wszelkich dowodów uniewinniających, wszystkiego, co mogłoby świadczyć o niewinności Toma.

Grimes zachichotał.

- Nie wierzysz im - rzekła Claire.

7 Dlatego mam robotę, skarbie - odparł Grimes. - Właśnie aaęki temu wpadają mi duże pieniądze.

- Jeżeli nie dostaniemy wszystkiego, czym dysponuje pro-urator - zastanawiała się Claire - wniesiemy o unieważnienie ozprawy z powodu matactw.

~ Jeżeli ich dowiedzimy - ostrzegł Grimes. kim' ry ~ ciągnęła dalej -chcę, żebyś zapoznał się ze wszyst-rw' Przesłuchaniami w sprawie Iran-contras oraz raportami tach na tCmat użycia Przemocy w Ameryce Środkowej w la-ft osiemdziesiątych. Zorientuj się, czy nie ma tam wzmianki Masakrze w La Colina. tmbry zrobił notatkę. 2a Porządku - rzekła. -Wniesiemy o oddalenie wszystkich d2j ,Utow- Będziemy dowodzić, że jurysdykcja państwowa nie tijL a t/1' gdyż znajdujemy się na obszarze, na który nie powin-y byli wkraczać. W rezultacie to rząd ma nieczyste ręce.

127

- A co z oskarżeniem o dezercję? - zapytał Embry. - Chyba nie będzie go pani podważać. Przecież zniszczył swój mundur i blaszkę identyfikacyjną. Najwyraźniej nie miał zamiaru wracać.

- To najmniejszy problem - odparła. - Będziemy dowodzili, że działał pod przymusem.
- Pod przymusem?
- Dezercja to przestępstwo celowościowe. Co znaczy, że liczą się intencje sprawcy, zgadza się? Obawiał się, że go zabiją. Nieważne, czy rzeczywiście by go zabili, czy nie, póki możemy udowodnić, że pozwany był przeświadczony, że zostanie zabity, i działał w dobrej wierze. Może uda się to zakwalifikować jako „nieusprawiedliwioną nieobecność”.
- Nie jest „pozwanym”, tylko „oskarżonym”. Nie mówi się też „prokurator”, tylko „oskarżenie”. Naucz się trochę tego żargonu.

Claire rzuciła Grimesowi gwałtowne, pełnie niepokoju spojrzenie.

- Dzięki. Zasadniczo będziemy udowadniać, że rząd Stanów Zjednoczonych usiłuje zrobić z Toma kozła ofiarnego, zrzucając na niego odpowiedzialność za potworną masakrę, dokonaną właśnie na polecenie tegoż rządu.
- Dziecinko, możesz udowadniać, co ci się żywnie podoba - zaczął Grimes, znowu z natężeniem wpatrując się w sufit.
- Powiedziałeś, że przesłuchanie z paragrafu trzydziestego drugiego pozwoli nam się zorientować, jakimi argumentami dysponuje rząd - rzekła Claire. - Powiem ci, jak to wykorzystamy. Pokażemy im, że potrafimy twardo grać, że zamierzamy twardo grać. To znaczy, że jeśli zdecydują się na ten cyrk z sądem wojskowym, wyciągniemy draństwa, które woleliby trzymać schowane głęboko pod korcem. Zrobimy z nich głupków. Zetrzemy ich na proch i pył. Wyciągniemy wszystkie informacje operacyjne, których woleliby nie wywlekać na światło dzienne-
- To jest postępowanie za zamkniętymi drzwiami - zgłosił zastrzeżenie Embry. - Zarówno to przesłuchanie, jak i są" wojskowy, do którego może dojść albo nie. Wszystko ściśle tajne.
- Za zamkniętymi drzwiami? - wycodziła Claire. - To Je trochę uchylimy. Zrobimy przeciek. Nie ma czegoś takiego j^ ściśle tajny proces.

128

- Przeciek? - zapytał z przerażeniem Embry. - Przecież podpisaliśmy umowę o niewyjawianiu. Jeśli zrobimy przeciek, przeprowadzą dochodzenie i oskarżą nas wszystkich o...
- Moment, chciałeś brać udział w tej rozprawie, tak?

- No cóż, proszę pani, jak już mówiłem...
- Claire.
- Słucham?
- Mów do mnie Claire. I nie przeżywaj tego tak strasznie za każdym razem. Przeciaki są prawie niemożliwe do udowodnienia, jeśli się uważa, skąd się dzwoni. A jeżeli nie zdołają niczego udowodnić, sprawy nie ma. W każdym razie zgłosimy sprzeciw wobec postanowienia o tym kretyństwie za zamkniętymi drzwiami. Powołamy się na Szóstą Poprawkę, która gwarantuje Tomowi prawo do publicznej rozprawy, a publiczności prawo do uczestnictwa w procesie.
- A oni będą się powoływać na kwestie bezpieczeństwa narodowego - rzucił Grimes, który wyprostował się teraz, czując, że wciąga go ta gra.
- Zgłosimy więc nadzwyczajny wniosek o otwartą rozprawę. Pójdziemy do federalnego sądu okręgowego.
- Powiedzą, że nie będą interweniować w sprawach wojskowych - oznajmił Grimes.
- Wystosujemy więc nadzwyczajny wniosek o rozprawę otwartą do Wojskowego Sądu Apelacyjnego do Spraw Kryminalnych. I do Głównego Wojskowego Sądu Apelacyjnego. A potem do cholernego Sądu Najwyższego. I niech tylko spróbują wyciągnąć argument o bezpieczeństwie narodowym - będę dowodzić, że operacja nie jest już w toku, że to sprawa sprzed lat. Że po prostu usiłują chronić reputację Pentagonu. W którym momencie miałyby być niby zagrożone bezpieczeństwo narodowe? Chcą załatwić dwie sprawy jednocześnie: chronić mteres bezpieczeństwa narodowego, a zarazem ścigać sędownie m^oJego klienta.

Grimes kiwał głową powoli, rytmicznie. Na jego usta wypełził uśmiech. Embry wpatrywał się w nią w panice.

~ A wtedy przekonamy się, czy władze rzeczywiście chcą r^ozprawy przed sądem wojskowym - rzekła Claire. - Założę "> że stracą cały entuzjazm.

. ~ Claire - odezwał się Grimes - naprawdę zależy ci na tym, 2er,y rozprawa była publiczna?

129

Zastanawiała się długą chwilę.

- Chyba raczej nie. W pewnym sensie jesteśmy w pułapce. Nie chcę, by nazwisko Toma obrzucano błotem. A gdy poda się zarzuty do publicznej wiadomości, tak się

stanie. Ludzie uznają, że to prawda. - Skinęła głową. - Może i masz rację, Grimes. Ale przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Wezwiemy generała Marksa do złożenia zeznań.

Grimes ryknął swym dudniącym śmiechem.

- Daj mi to, co ty palisz - poprosił.

- Camele lights - powiedziała. - Mówię śmiertelnie poważnie. Jeśli odmówi, wniosę, by stawiał się przed sądem pod karą.

- Jeśli chce pani dać kopa w tyłek, nic pani nie powstrzyma, co? - orzekł Grimes.

- Claire, proszę pani - zaczął zdesperowany Embry - generał William Marks jest szefem sztabu armii. Ma cztery gwiazdki. Nie możemy zmusić go do składania zeznań.

- Kto tak mówi? Gdzie to jest powiedziane? Nic podobnego nie przeczytałam w wojskowym kodeksie prawa karnego.

- To mi się podoba - rzekł Grimes. - Masz jaja.

- Dziękuję - rzekła Claire, po czym dodała: - Zakładam, że to komplement, tak?

22

- Dzwoniła do ciebie reporterka z „Washington Post”. Chyba z działu Sława i styl - odezwała się Jackie do Claire, gdy już zjedli kolację. - Słyszeli, że wynajęłaś dom w Waszyngtonie, i chcieli wiedzieć, z jakiego powodu. Jakby to był ich zafajdany interes.

- I co im powiedziałaś?

- Że nie mam pojęcia. Pytali, czy występujesz tu w jakiejś poważnej sprawie, czy może prowadzisz wykłady albo jeszcze co innego.

- Bez komentarza - rzekła Claire.

- Tak też myślałam.

- Może pójdziemy czegoś się napić - zaproponował Grimes-

- Mam alkohol w domu - odparła Claire.

130

- Chciałem pokazać ci jedno miejsce. W południowo-wschodniej dzielnicy.

- Możesz poczekać, aż powiem małej dobranoc?
- Posiedzę w bibliotece. Wypełnię jakiś wniosek albo coś w tym rodzaju.

Później Grimes powiózł ją swoim zdezelowanym mercedesem. Trzykrotnie okrążył blok, w którym znajdował się bar, lecz nie zwolniło się żadne miejsce do parkowania. W końcu zobaczył dużą wolną przestrzeń tuż przed barem, ale zanim zdążył tam wjechać, śmignął w nią volkswagen jetta. Grimes podjechał mercedesem tuż obok jetty, nacisnął klakson i elektrycznym przyciskiem uchylił okno.

- Przepraszam! - krzyknął. - Przepraszam bardzo.
- Daj spokój, Grimes - odezwała się Claire. - Ona tu była pierwsza.
- Przepraszam! - krzyknął znowu Grimes.

Kobieta za kierownicą pochyliła się w jego kierunku, uchylila lekko okno od strony pasażera i zapytała ostrożnie:

- O co chodzi?
- To nie mój interes, ale chyba nie zamierza pani tutaj parkować? To miejsce dla personelu i niech mi pani wierzy, odholowują obce samochody, w dzień i w nocy.
- Parking dla personelu? - rzekła zmieszana kobieta. - Ale nigdzie nie ma żadnego znaku!
- Znak się przewrócił, ale to ich nie powstrzyma. Dziesięć minut po zaparkowaniu odholują pani samochód w jakieś takie miejsce, w którym nigdy pani nie była i za nic nie chciałyby się znaleźć.

~ Boże, dzięki - wymamrotała kobieta. Z powrotem zakręciła okienko, wyjechała i włączyła się w falę samochodów.

~ Coś takiego, Grimes - rzekła Claire. - Najmocniej cię Przepraszam. To było wyjątkowo uprzejme z twojej strony.

Wjeżdżając na zwolnione miejsce, zadudnił swym zwykłym, tubalnym śmiechem.

~ Zawsze działa - oznajmił.

Z niesmakiem pokręciła głową, lecz nie mogła powstrzymać uśmiešku.

- Parking dla personelu - rzekła z dezaprobatą. - Niezłe. Bar okazał się mroczną, obskurną speluną, cuchnącą rozlanym

Piwem. Skrzypiąca podłoga lepila się do butów. Muzyka - stara

piosenka Parliament-Funkadelic z grającej szafy - ryczała na cały regulator.

- To ma być to? ^

- Ale koloryt lokalny, co?

- Oryginalne miejsce - stwierdziła bez zbytniego entuzjazmu. Gdy postawiono przed nimi plastikowy dzban spienionego

piwa z beczki wraz z dwoma dużymi plastikowymi kubkami oraz talerzem precli, Grimes odezwał się:

- A teraz chciałbym ci powiedzieć jedną rzecz. W imię uczciwości i pełnej jasności.

- Tak?

- Chcesz, żebym był twoim pomocnikiem w tej sprawie, i to jest w porządku. Ale jeśli mam wstać i przesłuchiwać świadka w twojej obecności - a ty jesteś jedną z najlepszych w tej branży - to chyba wyjdzie trochę głupio?

Roześmiała się.

- Już od jakiegoś czasu nikogo nie przesłuchiwałam i nie bardzo pamiętam, jak to się robi. A zresztą co ty o mnie wiesz?

Pociągnął długi łyk piwa.

- Po skończeniu wydziału prawa w Yale zajmowałaś się papierkową robotą. Dwa lata pracowałaś u Arthura Iselina w okręgowym sądzie apelacyjnym w Waszyngtonie. Tu przygotowywałaś opinie, wygłaszałaś mowy. Prowadziłaś postępowanie w sprawie o demencję, kilka spraw związanych z segregacją rasową, a także nieskuteczną pomocą prawną. Potem rok pracowałaś dla sędziego Marshalla w Sądzie Najwyższym, gdzie zajmowałaś się apelacjami od wyroków sądów niższej instancji.

- Zdziwiasz mnie - przyznała. - Skompletowałaś moje dossier?

Pociągnął następny łyk piwa.

- Po prawdzie, przeczytałem każdy artykuł, każdy wywiad z tobą. Jeszcze zanim się poznaliśmy. Uważam, że jesteś naprawdę dobra. - Uśmiechnął się z zażenowaniem i dodał pospiesznie: - A jaki jest ten sędzia Marshall? Jakiś równy gosc^

- Bardzo - odparła. - Niezwykle zabawny. I naprawo? niesłychanie sympatyczny, zdecydowanie najmiłszy facet w całym sądzie. Jedyne, który rzeczywiście poświęcał

uwagę urząd«5' kom. Jego ulubionym programem telewizyjnym był Sąd «'tf ludzi z sędzią Wapnerem.

132

Grimes ryknął śmiechem.

- Nie może być!
- A jednak. Pozwól, że teraz ja ciebie o coś zapytam. Dlatego odszedłeś z wojska?

Wpatrzył się w swoje piwo, pociągnął łyk.

- Jak ci mówiłem, poszedłem na emeryturę.
- Z własnej woli.
- Tak, do diabła - powiedział, podenerwowany.
- Bez urazy. Myślałam, że w jakiś sposób cię do tego zmusili.
- Co ci powiedział Iselin?
- Że doszło do jakiegoś, no, nie wiem, jak to ująć, skandalu.
- Naprawdę? Skandalu? Tak to określił?
- Coś w tym rodzaju.

Potrząsnął głową, znowu upił piwa. Zapadło długie milczenie.

- O co więc poszło, Grimes?
- Jeżeli się odслужи dwadzieścia lat w wojsku jako prawnik, emerytura wydaje się rozsądnym wyjściem. Zaliczyłem swoje.
- Nikt cię do niczego nie zmuszał, co?!
- Za nic nie odpuszczisz, jak już się przypniesz, mam rację? - We wzroku Grimesa czaiła się wrogość, w której krył się też cień rozpacz.
- Przepraszam - odezwała się pospiesznie. - Ale muszę coś o tobie wiedzieć.

Postawił piwo, rozprostował palce.

- Zaciągnąłem się do wojska, posłano mnie do Wietnamu i przeżyłem. W porządku?! Wróciłem, przez kilka lat byłem na studiach wieczorowych, zrobiłem dyplom, dostałem stopień oficerski. Gdy zostałem prawnikiem, miałem trzydzieści jeden lat. Wojsko zawsze powtarza, że jest jedynym pracodawcą dającym równe szanse,

białych traktuje się podobnie jak czarach i przez jakiś czas nawet w to wierzyłem. Nie awansowałem powyżej majora, ale też późno zacząłem. Nie miałem pretensji. ~ Grimes pochylił się do przodu. - Wtedy wyszła ta sprawa z chłopakiem z Karoliny Południowej. Fort Jackson. Czarny, Marszy szeregowiec, oskarżony o rabunek na białym facecie

oazy. Dostałem tę sprawę pewnie tylko dlatego, że jestem .army. Lecę tam, rozmawiam ze szczeniakiem. Dzieciak w życiu le zrobił nic złego. W szkole miał dyplom honorowy za godne Echowanie i pracę społeczną, uprawiał sport, nigdy nie miał

°P°tów z prawem. Zaciągnął się, bo armia miała go posłać

133

na studia, a jego rodzina jest biedna. A jakimi dowodami dysponował oskarżyciel? Bardzo wątpliwy wynik podczas próby rozpoznania - ofiara nie potrafiła odróżnić jednego czarnego od drugiego. Zdażyłem tę sprawę zapiąć na ostatni guzik. Tak się złożyło, że podczas rozboju ten chłopaczek był w domu, dwieście mil od miejsca zdarzenia, na przepustce, którą dostał na weekend. Co więcej, miał alibi na każdą sekundę tego czasu. Siedmiu różnych świadków, żaden nie karany. Sąsiedzi potwierdzili jego dobry charakter. Dosłownie „święty młodzianek”, i to nie są żadne jaja. Oskarżyciel kazał wprowadzić chłopca w kajdanach, czego nie powinien był robić, a zresztą nawet nie musiał, bo sąd przysięgłych, złożony z samych białych, załatwił sprawę w ciągu pięciu minut. Nie zdążyli nawet wypisać karteczek do tajnego głosowania. Skazali go na dziesięć lat w Leavenworth. - Grimes wreszcie uniósł wzrok. Jego rozplamione oczy lśniły od łez. Twarz wykrzywiła mu wściekłość. - Temu świętemu młodziankowi, który zaciągnął się do wojska, by pójść na studia, dziesięć lat w Leavenworth za rozbój z bronią w rękę. Wiedziałem, że ten wyrok się nie utrzyma, ale jestem prawnikiem, rozumiesz? Byłem gotów walczyć we wszystkich instancjach aż do Sądu Najwyższego. Tymczasem wszyscy w jego jednostce wiedzieli, że jest niewinny, więc po wyroku dali mu piętnaście dni odroczenia, żeby pojechał do domu i pożegnał się z mamą i rodzeństwem. - Grimes zacisnął pięść i lekko uderzył nią w stół. - Lepiej by było, gdyby go od razu zamknęli, do cholery. - Potrząsnął głową.

- Dlaczego? - zapytała Claire, wzruszona do łez.

- Bo jak wsadzają delikwenta do pudła, zabierają mu broń i pilnują, żeby nie popełnił samobójstwa. Wtedy nigdy by tego nie zrobił. A tak ten dzieciak się zabił. Strzelił sobie w głowę. Następnego dnia złożyłem podanie o przejście na emeryturę.

- Jezu, Grimes.
- Widzisz, dziecino, nie musisz mnie przekonywać, do jakich draństw zdolny jest wojskowy sąd przysięgłych. - Zapadło długie, kłopotliwe milczenie, po czym Grimes zaczął mówić głośniej, wojowniczym tonem: - Więc pozwól, że zadam ci osobiste pytanie. Naprawdę uważasz, że twój mąż jest niewinny-Co, oczywiście, nie ma znaczenia dla naszego postępowania.
- Oczywiście, że tak uważam - odparła. - Inaczej nie wzięła' bym tej sprawy.

134

- Jesteś w końcu jego żoną.
- Grimes, gdybym sądziła, że jest winny, wynajęłabym kogoś. Nie zajmowałabym się tym sama, zwłaszcza jeśli bym wierzyła, że naprawdę jest takim potworem, jakiego usiłują z niego zrobić.

Spojrzał na nią uważnie. Oczy miał przekrwione.

- Ale przecież broniłaś Gary'ego Lamberta, prawda?!
- To co innego, Grimes - rzekła, zdesperowana. - Tom jest moim mężem.
- Uważasz, że go wrobili.
- Oczywiście, że tak. Pułkownik Bill Marks wraca do Stanów po masakrze, dokonanej na jego rozkaz, i uświadamia sobie, że lepiej schować tyłek, więc zwała wszystko na jedyne go faceta w oddziale, który nie chce kłamać i odmawia udziału w zatuszowaniu całej sprawy. Tego jedyne go, który może zniszczyć mu karierę. Trzydzieści lat później, kiedy zostaje szefem sztabu armii i wkrótce ma dostać nominację na przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, uważa, że się wywinął. Ale sukinsyn się myli. Nie wziął pod uwagę mnie.
- A ja to niby kim jestem, siekaną wątróbką? - obruszył się Grimes.
- Nie, jesteś pasztecikiem. Hej! - wykrzyknęła nagle. - A może poddamy Toma badaniu na wykrywaczu prawdy? I wprowadzimy do niego wyniki przesłuchania z paragrafu trzydziestego drugiego? Chyba nic tak szybko nie wykluczy sądu wojskowego.
- Nie ma mowy. Nawet o tym nie myśl. Wybij sobie z głowy ten idiotyczny pomysł. Zresztą wyniki badań na wykrywaczu prawdy nie są dopuszczane jako dowód.
- Są dopuszczane, jak najbardziej. Nie jesteś z tym na bieżąco?

- Przepis siedemset siódmy wojskowych przepisów dowodowych twierdzi, że nie. Omawia przykłady spraw, opierając się na decyzjach Sądu Apelacyjnego do spraw Kryminalnych. Absolutnie wykluczone.

. - Grimes, kiedyś to nie był dowód dopuszczalny, ale teraz Jest. Wszystko zależy od sędziego. W sprawie Państwo przeciwko

Qhefferowi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku taką decyzję podjął Sąd Apelacyjny Sił Zbrojnych. Jest Prawomocny i jeżeli adwokat oskarżonego odpowiednio to

zasadni, może być dopuszczony.

135

- A jeśli się mylisz? Jeżeli rzeczywiście jest winny?

- Nie jest.

- Chcesz pójść na takie ryzyko? A poza tym może być niewinny i przecznie, bo jest nerwowy. Wtedy będziemy załatwieni, bo wiesz, że to się rozejdzie. Wszyscy się dowiedzą. Sędziowie przysięgli słyszą, co krąży w powietrzu. Zaraz się rozniesie, że miał negatywny wynik. Ci faceci, obsługujący poligrafy, nie należą do milczków.

- Sprawa będzie inaczej wyglądać, jeśli to my go wynajmiemy. Wtedy zostanie doradcą obrony. Będzie działał na rzecz klienta, związany tajemnicą zawodową, podobnie jak adwokat. Zapytam, co Tom o tym sądzi, ale czy znasz jakiegoś dobrego specjalistę?

Westchnął z rezygnacją.

- Znam jednego. Dużo pracuje dla wojska. Jeszcze jeden kufelek?

- Nie dam rady. Trzy to za dużo. Ty też już nie powinieneś więcej zamawiać, jeśli masz zamiar prowadzić.

Gdy wychodzili, Grimes niepewnie kroczył między barem i stolikami. Claire pomyślała sobie, że koniecznie musi odwiedzić go do domu. Podjedzie pod niego rano, lecz teraz nie pozwoli mu prowadzić w takim stanie. Przechodzili obok dużego, okrągłego stołu tuż koło wyjścia, gdy nagle usłyszeli gromki wybuch śmiechu. Claire odwróciła się odruchowo i ujrzała Embry'ego w grupie innych, krótko ostrzyżonych mężczyzn, ubranych po cywilnemu albo w mundurach polowych.

- Grimes - odezwała się.

Obrócił się z ogłupiałym od piwa uśmiechem, pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem i ujrzał, kto siedział tuż obok Emb-ry'ego.

- Proszę, proszę. Nasz drogi kapitan Terry Embry. Wychylający parę kufelków z naszym drogim oskarżycielem, majorem Lucasem Waldronem. Krzepiący obrazek męskiej przyjaźni.

CZEŚĆ TRZECIA

23

Nie było jeszcze czwartej rano, niebo miało barwę granatowoczną z lekkim poblaskiem różowego światła na horyzoncie. Rosa lśniła na trawie porastającej samotny pagórek przed „zakładem obrony”, niskim białym budyneczkiem, wyglądającym jak prowizorka. Tu właśnie mieściły się biura obrońców Wojskowego Biura Śledczego w Quantico. Robiło to wrażenie nieco ulepszanego baraku.

Grimes przyjechał pierwszy, ubrany w dżinsy, bluzę i czarną, skórzaną, markową marynarkę. Claire miała na sobie dżinsy, zielony sweter z szetlandzkiej wełny i zamszowy żakiet. Stali w milczeniu. Oddychając rytmicznie, przebiegło koło nich dwu mężczyzn w identycznych szarych dresach i wojskowych podkoszulkach. Nadjechał samochód, ciemnoszara honda civic. Wóz kapitana Terry'ego Embry'ego. Grimes i Claire wymienili spojrzenia. Nie widzieli go od owej nocy w barze, nie zamienili też z nim ani słowa.

Embry wysiadł i podbiegł do nich.

- Przepraszam - powiedział.

~ Nic nie szkodzi - odparła Claire. - I tak nikogo jeszcze nje ma.

~ Dzień dobry. - Skinął głową Grimesowi. Ubrany był w mundur, jak zwykle starannie odprasowany. Cerę miał czystą, lekko ogorzałą. Gdy się odezwał, poczuła zapach jego płynu do płukania ust.

~ Claire, proszę pani, mam złe wieści, jeśli idzie o generała.

139

Jego biuro w końcu odpowiedziało na nasze wezwanie. Poinformowali nas, że generał nie będzie mógł zeznawać ani nawet złożyć pisemnego oświadczenia. Musiał polecieć do Dowództwa Strefy Pacyfiku, do Camp Smith na Hawajach. Tak że nie uzyskamy z nim kontaktu od dziś przez cały czas trwania przesłuchania z paragrafu trzydziestego drugiego.

- Poproś o odroczenie, dopóki nie wróci.
- Taak - rzekł Grimes - ale go nie uzyskamy. Kutas złamany - mruknął pod nosem.
- A dobrą wiadomość mam taką, że dotarłem do Hernan-deza, który zgodził się na przesłuchanie.
- Dzięki, Terry - powiedziała Claire.
- Ale... - zająknął się Embry. - Pamięta pani, że on pracuje w Pentagonie?
- No i co z tego?

Embry otworzył frontowe drzwi i zapalił światła.

- Jest starszym oficerem administracyjnym generała Marksa.
- Co takiego? - rzuciła Claire.
- Taak. Wychodzi na to, że Hernandez jest jakby zastępcą generała. Zajmuje się sprawami personalnymi, układa jego rozkład zajęć, wszystko. Od roku osiemdziesiątego piątego praktycznie go nie odstępuje. Jest absolutnie lojalny.
- Z całą pewnością ani jedno kłamstwo nie wyjdzie z jego ust - odezwał się sardonicznie Grimes. - Nie będzie osłaniał generała, co to, to nie. Nie ktoś taki jak Hernandez.

Poszli za Embrym do pokoju konferencyjnego, gdzie młody kapitan również zapalił światła.

- Wolą państwo, żebym był obecny przy tej procedurze czy nie? - zapytał Embry.
- Lepiej nie - odparła krótko Claire.
- W porządku. W takim razie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, wrócę do swojego biura w Fort Belvoir.
- Doskonale - rzuciła Claire. - Dzięki.

* * *

Specjalista od poligrafu przybył piętnaście minut później-Był to krępy, przysadzisty, brodaty mężczyzna pod sześćdziesiątkę, w okularach w rogowej oprawie. Przyniósł ze sobą srebrzystą metalową teczkę. Gawędził, rozkładając swe przy'

południowym akcentem; powoli, wyraźnie, jakby zwracał się do dziecka. Pochodził z Raleigh, w Karolinie północnej. Szkołę obsługi poligrafu ukończył podczas służby ff biurze śledczym marynarki wojennej, pracował potem jako specjalista przy wykrywaczu kłamstw w marynarce wojennej w Newport, Rhode Island i San Diego.

_ Myślą państwo, że da się gdzieś tutaj znaleźć wygodniejsze krzesła? - zapytał. - Bardzo by się przydały, jeśli mają tu coś takiego.

Grimes wyszedł do hallu, skąd wrócił po minucie, taszcząc krzesła pod obiema pachami.

- Te się nadadzą?

- Będą doskonale - orzekł Givens. Przez chwilę krzątał się, zaaferowany. - Używam pięciokanałowego przyrządu - wyjaśniał. - To znaczy pięć pisaków porusza się po tym bębnie z papierem. Wykorzystuję trzy parametry: spirometryczny, kardiologiczny i galwaniczny. Rejestruję prędkość pulsu, szybkość oddechu oraz galwaniczną reakcję skóry.

- Możemy zostać w pokoju? - zapytał Grimes.

- Jeżeli państwo sobie życzą - odparł. - Ale musicie stać za więźniem. Poza jego polem widzenia.

- W porządku - rzekł Grimes.

- Badanie, które przeprowadzam - rzekł Givens, który stał teraz przed Grimesem, niezgrabnie machając krótkimi rękoma - jest wysoce specjalistyczne, a zarazem bardzo precyzyjne. Opiera się na niewzruszonych zasadach. Najpierw spotykam się z więźniem i rozmawiamy sobie, póki nie poczujemy się swobodnie w swoim towarzystwie. Kilkakrotnie z góry omawiam z nim pytania. Przed przystąpieniem do badania zapozna się dokładnie z każdym pytaniem. Nie będzie żadnych niespodzianek. Gdy uznam badanie za zakończone, Poproszę, byście wyszli, i państwo, i więzień. Potem zanalizuję wykresy. Następnie poproszę państwa z powrotem do siebie.

Claire skinęła głową. Siedziała na jednym z wygodnych krzesel.

~ Jeżeli dojdę do wniosku, że mamy do czynienia z fałszem 'Melektualnym - to znaczy, że moim zdaniem, badany kłamie " Powiadomię państwa o tym. Proszę pamiętać, że wyniki mo-

141

jego testu są ściśle tajne. Następnie wezwę więźnia i przekażę mu wyniki. Jeżeli nie

zdał egzaminu, powiem mu, że wyniki badania są dla niego niekorzystne. Później, jeśli będą sobie państwo tego życzyli, rozpocznę przesłuchanie. Żeby wydobyć wyznanie.

- Powiemy panu, czego sobie życzymy, we właściwym czasie - oznajmiła Claire.

Givens spojrzał na zegarek.

- Więzień zostanie przyprowadzony dopiero za jakieś pół godziny, zgadza się? Koło piątej?

- Owszem.

- Dobrze. Teraz chciałbym usłyszeć od państwa, czego dokładnie chcecie się dowiedzieć.

Claire i Grimes patrzyli, jak przywożą Toma - nadal był dla niej Tomem, bez względu na oficjalne nazwisko. Siedział w białym, okratowanym mikrobusie. Ubrany był w więzienny uniform khaki i skuty wszelkimi możliwymi kajdanami. Aresztanta eskortowało kilku uzbrojonych strażników więziennych. Przeprowadzili go, głośno dźwięczącego łańcuchami, przez hall. Jeden strażnik zajął posterunek na zewnątrz, przed oknem sali konferencyjnej. Drugi stanął w hallu, przed drzwiami. Jeszcze inny usunął Tomowi okowy i dołączył do wartownika trzymającego straż przed drzwiami.

- Tom, to jest Richard Givens - rzekła Claire, przedstawiając ich sobie niczym na przyjęciu towarzyskim. - Richardzie, to Ronald Kubik. - Mieli właśnie przeprowadzić badanie na wykrywaczu prawdy, toteż użyła jego prawdziwego nazwiska. Jednakże przyniosło to niezamierzony efekt uboczny, sprawiło bowiem wrażenie, jakby był inną osobą.

- Jak się masz, Ronaldzie - powiedział Givens, podając mu rękę. Potem usiadł na jednym z wygodnych krzeseł i gestem wskazał Tomowi, by poszedł w jego ślady. Rozmawiali dłuższy czas. Givens nagle stał się serdeczny i wylewny, zarzucając pouczający ton. Zmiana była zaskakująca. Na początku Tom

odpowiadał ostrożnie, lecz później jego rezerwa stopniała i

odzyskał zwykły, ujmujący sposób bycia.

- Ronaldzie, czy kiedykolwiek byłeś poddany badaniu na wykrywaczu kłamstw? - zapytał Givens.

142

_ Tak - odparł Tom.

- Kiedy to było?
- Kilkakrotnie, zanim przydzielono mnie do oddziału dwudziestego siódmego, a potem w trakcie służby.
- A więc przeprowadzono na tobie test, używany w wojsku. Nazywa się Testem Strefy Porównawczej. To bardzo prosty i bardzo dobry test. Właśnie mam zamiar go wykorzystać. Nie wiem, jak pracował specjalista, który dokonywał na tobie tego badania, ale gdy ja stosuję poligraf, nie ma żadnych niespodzianek. Nie zadaję zaskakujących pytań. Wypiszemy razem listę pytań, a potem omówimy je po kolei, zgoda?
- Zgoda.
- Niech się pan nie obawia podstępów ani pułapek. Pełna współpraca. Idzie pan na to?
- W porządku. Bardzo chętnie.
- A teraz, pani profesor Heller, panie Grimes, moglibyście państwo przejść tam? Chciałbym, żeby Ronald was nie widział. Nic nie może go rozpraszać.

Oboje przesunęli się do miejsca, gdzie stał Givens. Puls Claire zaczął uderzać szybciej - czy to skutek współczucia dla męża?

- Czy nazywa się pan Ronald Kubik? - zapytał Givens. Znow mówił powoli, z rozmysłem i monotonnie.
- Tak. - Głos Toma brzmiał silnie i wyraźnie.

Zapadła długa cisza. Claire doliczyła się co najmniej piętnastu sekund. Czyżby Givens zapomniał, jak miało brzmieć następne Pytanie?

- Czy odpowie mi pan zgodnie z prawdą na pytanie, dotyczące pańskiej obecności podczas wydarzeń w La Colina dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego Piątego roku?

~ Tak.

Kolejna długa pauza. Grimes spojrzał na Claire.

- ~ Jest pan pewien, że podczas tego testu nie będę zadawał Podchwytliwych pytań? - zapytał Givens.

~ Tak.

Claire znowu odliczyła piętnaście sekund. Długa cisza była ^mierzona.

143

- Czy przed wstąpieniem do wojska zranił pan kogoś celowo?

- Nie.

- Czy przyczynił się pan do czyjejkolwiek śmierci podczas strzelaniny dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku?

Claire wstrzymała oddech. Czuła, że cała zastyga. Nawet jej serce jakby przestało bić.

- Nie. - Odpowiedź Toma była głośna, wyraźna i zdecydowana. Claire odetchnęła cicho. Zmrużyła oczy, usiłując wyczytać coś z rozwijającego się papieru, lecz nic z tego nie wyszło.

- Czy po dezercji z wojska w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku świadomie spowodował pan u kogokolwiek uszczerbek na zdrowiu?

- Nie.

Tym razem upłynęło osiemnaście sekund.

- Czy brał pan udział w strzelaninie dwudziestego drugiego czerwca w wiosce La Colina w Salvadorze?

Teraz Tom odpowiedział szybciej •

- Nie.

Szesnaście sekund. Claire stwierdziła, że śledzi urywany ruch drugiej wskazówki zegarka.

- Czy nie obawia się pan, że zadam jakieś drażliwe pytanie, choć umówiliśmy się, że tego nie zrobię?

- Nie.

Dokładnie piętnaście sekund.

- Czy groził pan jakiejś bliskiej osobie uszkodzeniem ciała?

- Nie. Siedemnastosekundowa cisza

- Czy widział pan śmierć jakichkolwiek cywilów dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w wiosce La Colina?

- Nie.

Piętnaście sekund, potem dwadzieścia. Najdłuższa dotychczasowa pauza.

- Dziękuję, Ronaldzie - rzekł Givens. - Już skończyliśmy-Grimes zastukał do drzwi. Otworzyły się i weszło dwóch

strażników. Z powrotem nałożyli Tomowi kajdany. Wyprowadzili go na korytarz; w ślad za nimi wyszli Claire i Grimes-Grimes i Claire usiedli przed biurkiem stenografów. Tom stał

144

ze strażnikami po bokach. Wszyscy czekali w milczeniu pięć minut, które trwały całą wieczność. Givens otworzył drzwi.

- Pani profesor Heller, panie Grimes, czy mogę z państwem porozmawiać?

Weszli do pokoju. Serce waliło jej jak młotem. Za uszami czuła kropelki potu.

Zaczekał, aż oboje usiedli. Wyraźnie nie zależało mu na stwarzaniu nastroju napięcia, postępował chyba według jakiegoś scenariusza, pracowicie się go trzymając.

- No więc - zapytał Grimes - kłamie skurwysyn? Claire chciała go udusić.

Givens nie uśmiechnął się.

- Moim zdaniem, mówi prawdę. W raporcie napiszę, że nie zamierzał składać fałszywych zeznań.

- Aha - rzekła Claire, z pozoru spokojna i zawodowo opanowana. W istocie wpadła w ekstazę. Od czasu narodzin Annie nie doznała tak fizycznego, biologicznego uczucia uniesienia - nabrzmiała jej klatka piersiowa, a organy wewnętrzne, serce i płuca, podskoczyły o parę cali. Jednocześnie poczuła, jak uchodzi z niej napięcie.

- Dziękuję - rzekła. - Kiedy możemy spodziewać się pańskiego raportu?

24

Sala sądowa, w której miało się odbyć przesłuchanie, znajdowała się w podziemiu i pozbawiona była okien. Zbudowano niedawno pod jednym z budynków na terenie Quantico, nieopodal Akademii FBI. Miała służyć wszystkim czterem rodzajom wojsk do celów tajnych spotkań, posiedzeń sądów wojskowych i innych procesów. Dwaj żandarmi stali na posterunku przed stalową klatką schodową, która prowadziła do stalowych, podwójnych drzwi, otwieranych za pomocą szyfro-Wego zamka elektronicznego. Wykorzystano tu najnowsze systemy zabezpieczeń.

Tuż przed dziewiątą rano Claire i Grimes spotkali się Przed budynkiem z czerwonej cegły. Claire miała na sobie Sranatowy kostium, tradycyjny - żaden ostatni krzyk mody,

145

nic ekstrawaganckiego. Z zadowoleniem zauważyła, że Grimes włożył garnitur: dwurzędowy, w drobne prążki, elegancki.

- Nie chcę, żeby Embry występował - powiedziała.
- Ja też nie.
- I wolę, abyś zaczął od pierwszego świadka. Będę się przyglądać.
- Dobrze.
- Doskonale wyglądasz.
- Zdziwiło cię to?
- Owszem. Chodźmy.

Weszli do budynku i zeszli do podziemi, potem zaczekali, aż otworzą się stalowe drzwi, prowadzące na niższy poziom. Lśniący, nowoczesny pokój miał niski sufit, liczący jakieś dwadzieścia na trzydzieści stóp. Betonową podłogę pokrywało szare linoleum, ściany również były z lanego betonu. Pod innymi względami pomieszczenie to wyglądało dokładnie tak jak każda sala sądowa na świecie, na podwyższeniu znajdował się stół sędziowski i krzesło dla świadka, ława przysięgłych (licząca dziesięć miejsc zamiast dwunastu, lecz teraz była pusta, gdyż w tym przesłuchaniu przysięgli nie uczestniczyli), długi stół, przeznaczony dla obrońców, i drugi - dla oskarżycieli. Umeblowanie - krzesła świadków i sędziów przysięgłych, krzesła dla publiczności, stoły - było nowoczesne i gustowne: jasne drewno i szare obicia. Do stołu sędziowskiego przytwierdzono mosiężną oznakę sił zbrojnych, obok zwiślała z masztu amerykańska flaga. Na ścianie za stołem dla ławy przysięgłych znajdował się duży zegar. Jego tykanie wydawało się dziwnie przytłumione, sala była, naturalnie, dźwięko-szczelna.

Claire ze zdziwieniem zauważyła cztery czy pięć osób publiczności, siedzących już na miejscach z poważnymi minami-Mieli na sobie mundury i plakietki identyfikacyjne z białego plastiku, zawieszzone na szyi na łańcuszkach. Żadnego z nich nie rozpoznała. W jaki sposób się tu znaleźli i dlaczego wpuszczono ich na tak utajnioną rozprawę?

- Myślałam, że to przesłuchanie za zamkniętymi drzwiami - mruknęła Claire do

Grimesa.

- Dopuszcza się publiczność, która ma dostęp do tajnych dokumentów.
- Co to za ludzie?

146

Grimes wzruszył ramionami.

- Mnóstwo ludzi z Pentagonu bardzo uważnie śledzi to postępowanie.

Claire, która uczestniczyła w setkach rozpraw, a jeszcze więcej z nich obserwowała, nie mogła opanować nerwowości. W gardle jej wyschło. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś do picia. Oczywiście dzban z wodą stał już na stole, przy którym mieli zasiąść obrońcy. Nalała trochę sobie i Grimesowi, po czym postawiła teczkę, otworzyła ją i wyjęła starannie poukładane dokumenty. W środku znalazła puszystego Misia Puchatka koloru miodu - prezencik, życzenia od Annie. Uśmiechnęła się, omal nie zaśmiała się na głos z radości.

Parę minut później wszedł major Lucas Waldron, wysoki, szczupły i posępny, w towarzystwie swego pomocnika, którym był, jak powiedziano Claire, pułkownik Philip Hogan. Obaj byli w mundurach i nieśli ze sobą identyczne, wypchane skórzane teuczki. Waldron skinął Claire i Grimesowi, gdy dostrzegł ich, zbliżając się wraz z Hoganem do stołu dla oskarżycieli.

- Prawie cała paczka już się zebrała - powiedział Grimes. - A gdzie główny bohater?
- Powinien być za chwilę - odparła Claire. Zobaczyła, że stalowe drzwi otwierają się, i rzeczywiście, wyłonił się zza nich Tom w otoczeniu dwóch strażników. Miał na sobie zielony mundur o ostro zaprasowanych kantach. Zaskoczył ją ten widok: mundur pasował do niego doskonale. Tom wyglądał, jakby się w nim urodził. Kajdany na rękach, nogach i w pasie sprawiały wrażenie jakiejś dziwacznej, ekscentrycznej biżuterii. Koszulę miał nienagannie odprasowaną, ale kołnierzyk był stanowczo za duży. Widać schudł. Cerę miał bladą.

Rozglądał się niespokojnie po sali, póki nie zobaczył Claire, a wtedy uśmiechnął się do niej. Pomachała mu w odpowiedzi. Posadzono go na pustym krześle między Claire i Grimesem.

Trzy minuty przed dziewiątą pojawił się Embry w zielonym Wyjściowym mundurze i podszedł do nich pospiesznie.

- Przepraszam - powiedział, siadając obok Grimesa.

- Zabawa się przeciągnęła? - zapytał Grimes. Embry potrząsnął głową.

~ Miałem kłopoty z samochodem - oznajmił z miłym Uśmiechem.

147

- Przyjaźnisz się z oskarżycielem? - zapytał nagle Grimes, Claire skrzywiła się. Prosiła, by nie szedł na ostro z Embrym, Jeszcze nie teraz.

- Nieszczególnie. Dlaczego?

- Bo jeśli się dowiem, że im cokolwiek wypaplałeś, cokolwiek, choćby najmniejszy drobiazg, nieważne, jak głupi czy błahy, doprowadzę do tego, żeby pozbawiono cię praw adwokackich, a twoje jaja zamarynuję i będę je trzymał w słoiku w moim biurze obok nagród za grę w kręgle.

- O co panu chodzi? - zapytał urażony Embry.

Grimes rozejrzał się, zobaczył, że oficer śledczy przeszedł ze swych pomieszczeń do sali.

- Później o tym pogadamy. Zaczyna się przedstawienie.

- Rozpoczynamy przesłuchanie z artykułu trzydziestego drugiego. Nazywam się Robert T. Holt. Jestem podpułkownikiem. Jak państwu wiadomo, zostałem wyznaczony na oficera śledczego z paragrafu trzydziestego drugiego wojskowego kodeksu prawa karnego.

Podpułkownik Holt całe życie zawodowe spędził w wojsku, liczył sobie około pięćdziesiątki i był oficerem Wojskowego Biura Śledczego z prawem dostępu do tajnych akt. Nawet ze swego miejsca za stołem sędziowskim sprawiał wrażenie wysokiego - był szczupły, o rzadziejących czarnych włosach i wysokim czole, wieńczącym długą, wąską, wychudzoną twarz. Nosił okulary w kwadratowej, drucianej oprawie. Głos miał silny, wysoki, przemawiał rzeczowym tonem. Przed nim, przy niskim stoliku, siedziała protokolantka sądowa, krępa kobieta w średnim wieku, szepcząca do czarnej, gumowej maski stenotypu.

- Celem tego śledztwa jest zbadanie prawdziwości i formy aktu oskarżenia, skierowanego pod przysięgą przeciw sierżantowi pierwszej klasy Ronaldowi M. Kubikowi z armii Stanów Zjednoczonych. Kopie tego aktu oskarżenia oraz nakaz przeprowadzenia niniejszego przesłuchania zostały dostarczone oskarżonemu, jego obrońcom, oskarżycielom z ramienia Stanów Zjednoczonych oraz protokołującemu. Sierżancie pierwszej klasy Ronaldzie Kubiku, czy zapoznaliście się ze skierowanym przeciw wam aktem oskarżenia?

Siedział między Claire i Grimesem przy stole obrony. Zdjęto mU kajdany.

- Tak jest, panie pułkowniku.
- Rozumiecie, że zostaliście oskarżeni o zamordowanie osiemdziesięciu siedmiu osób, za co grozi wam kara śmierci?
- Tak jest.
- Oskarżony, informuję, że podczas tego przesłuchania macie prawo zadawać pytania każdemu świadkowi, który zostanie powołany do składania zeznań przeciwko wam. No dobrze, przechodzimy do pierwszego punktu. Czy oświadczenia o zachowaniu tajemnicy zostały podpisane przez przedstawicieli oskarżenia i obrony?
- Tak jest - potwierdził Waldron.
- Tak - odezwał się Grimes.
- Wszyscy rozumieją, że nic z tego, co zostanie powiedziane podczas tego przesłuchania, nic, co się tutaj zdarzy, nie może być ujawnione poza tą salą.
- Tak jest - powiedział Waldron. Podniósł się Grimes.
- Tak, ale chcemy stwierdzić, że podpisując oświadczenie o zachowaniu tajemnicy, w najmniejszej mierze nie zrzekamy się prawa do publicznej rozprawy, co gwarantuje Szósta Poprawka. Rząd absolutnie nie udowodnił, dlaczego to postępowanie winno być utajnione.

Podpułkownik Holt przypatrywał mu się przez parę sekund, po czym odchrząknął.

- Pańskie stwierdzenie zostanie wciągnięte do protokołu. Teraz podniósł się major Waldron.
- Panie oficerze śledczy, publiczna rozprawa nie musi być gwarancją uczciwego przesłuchania. Jak długo obrona ma pełny i całkowity dostęp do wszelkich dowodów, opinia publiczna nie musi o niczym wiedzieć.
- Dziękuję, majorze - powiedział Holt. Waldron stał nadal.
- Co więcej, to rozprawa podlegająca Ustawie o postępowaniu w sprawach objętych tajemnicą, dotycząca bezpieczeństwa narodowego i tajnych informacji.
- Co więcej - powtórzył Grimes szyderczym szeptem.
- Jednak oskarżenie ma podstawy do twierdzenia, że obrona może próbować

„wywierać nacisk” na rząd, który tu

149

reprezentuję - ciągnął Waldron - grożąc przeciekami tajnymi informacjami, aby uzyskać nieuzasadnioną przewagę w tym są. dzie. Mogą nawet próbować selektywnych przecieków, by przeciągnąć opinię publiczną na swoją stronę, co byłoby całkowitym pogwałceniem oświadczenia o zachowaniu tajemnicy, którego formularz właśnie podpisali. A zatem wnoszę, by w imię bezstronności tego postępowania, zabronił pan obronie dokonywania wszelkich przecieków do prasy.

Claire i Grimes popatrzyli po sobie ze zdumieniem. Skąd Waldron wiedział tyle o ich zamiarach? Czy to Embry o wszystkim mu opowiedział? A któżby inny?

- A, tak - powiedział podpułkownik Holt. - Przypominam obronie, że to postępowanie utajnione, i zalecam, by nie składała żadnych oświadczeń prasie.

Podniosła się Claire.

- Panie oficerze śledczy, doceniam wagę pańskiego ostrzeżenia, lecz jak się pan doskonale orientuje, zarówno mój współ-obrońca, pan Grimes, jak i ja, jako cywile, nie podlegamy pańskim rozkazom. Jestem pewna, że mój wojskowy współ-obrońca, kapitan Embry, wypełni pański rozkaz. Ale wszyscy podpisaliśmy formularz o nieujawnianiu tajnych informacji i zamierzamy dotrzymać tego postanowienia. Wszelkie inne zalecenia, dotyczące tej sprawy, których zamierzałby pan nam udzielić, będą miały dla nas charakter wyłącznie informacyjny.

Oficer śledczy obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Po znaczącej pauzie oznajmił:

- Przyjmuję do wiadomości. Czy oskarżenie może obecnie przedstawić listę świadków, których zamierza zawiadzać?

- Panie oficerze śledczy, w tej fazie rozprawy oskarżenie zamierza powołać na świadków pułkownika Jamesa Hernan-deza i starszego chorążego Stanleya Oshmana
- odparł kapitan Phil Hogan.

- Kim to jest ten ostatni? - wyszeptała Claire do Grimesa. Grimes wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - odparł.

- Dobrze, kapitanie Hogan, majorze Waldron, mogą panowie rozpocząć?

Podniósł się Waldron.

- Oskarżenie przedstawia środki dowodowe od numeru dwa do dwadzieścia jeden. Ich kopie zostały przekazane obronie

150

celu zapoznania się z nimi i zgłoszenia ewentualnych zastrzeżeń. Oskarżenie stawia wniosek, by rozpatrzył je oficer śledczy.

_ Obrona? - zapytał pułkownik Holt.

_ A tak, panie oficerze śledczy - powiedział Grimes. - Zgłaszamy sprzeciw wobec dopuszczenia środka dowodowego numer trzy, to znaczy oświadczenia Wydziału Śledczego do spraw Kryminalnych dotyczącego rzekomego niewłaściwego zachowania się mojego klienta wobec sąsiada w Karolinie Północnej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku.

- Na jakiej podstawie?

- Na tej podstawie, że dotyczy on niewłaściwego zachowania się, które nigdy nie zostało ujęte w akcie oskarżenia i nie ma nic wspólnego z obecną sprawą. Ponadto nie ma on właściwego charakteru dowodu. Z powodu tego rzekomego incydentu - którego prawdziwość i tak podważamy - nigdy nie postawiono oskarżonemu formalnego zarzutu, a poza tym i tak czyn ten uległ przedawnieniu. A zatem zgłaszamy sprzeciw zgodnie z Wojskowym regulaminem dowodowym - artykuły czterysta cztery „b” i czterysta trzy. Niewłaściwe zachowanie, o które nigdy mojego klienta nie oskarżono, nie ma najmniejszego związku z tym, czy zamordował on osiemdziesięciu siedmiu cywilów w Salwadorze. Próbując dopuścić ten sfabrykowany dowód, oskarżyciel po prostu i w sposób oczywisty ma na celu wyłącznie podważenie reputacji mojego klienta podczas tego przesłuchania.

- Oskarżenie, jak to się ma do sprawy? - zapytał Holt.

- Panie oficerze śledczy - odparł Waldron - przedstawiamy ten drugi akt zabójstwa, zabicia psa, nie po to, by wykazać skłonność oskarżonego...

- Chwileczkę - przerwał Holt. - Zabicia psa?

- Rzekomego - wyszeptał Tom. Rzeczywiście, Devereaux nie zdołał uzyskać żadnych informacji ani na temat tego incydentu, ani sąsiada.

- Tak, panie oficerze śledczy - ciągnął Waldron - nie po to, by wykazać skłonność oskarżonego do popełniania morderstw, lecz po to, by udowodnić, że zdolny jest do dokonania Morderstwa z premedytacją.

Cokolwiek by to miało znaczyć - pomyślała Claire. Zapadło długie milczenie.

- Podzielał stanowisko obrony - powiedział w końcu Hol. - Jest to akt niewłaściwego zachowania się, nie mający związku z żadnym z elementów rozpatrywanej sprawy i nie zamierza ^ brać go pod uwagę. Oskarżenie nie może przedstawić te^ dowodu. ∞

- Tak jest - oznajmił Waldron tonem pozbawionym emocji nie zdradzającym najmniejszego rozczarowania.

Grimes się uśmiechnął.

- Wysuwamy też zastrzeżenie co do dowodów od sześć do jedenaście - ciągnął. - Są to oświadczenia składane pod przysięgą przedstawione rzekomo kryminalnemu wydziałowi śledczemu przez sześciu innych członków dwudziestego siódmego oddziału jednostki sił specjalnych, do którego należał mój klient. Niełatwo jest wziąć w krzyżowy ogień pytań arkusze papieru. Gdzie jest sześciu pozostałych ludzi?

- Co na to oskarżenie? - padło pytanie Holta.

- Panie oficerze śledczy, kilku spośród nich już nie żyje. Co do innych, jesteśmy zobowiązani do wezwania tylko tych, którzy mieszkają w „rozsądnej odległości”, to jest stu mil od miejsca przesłuchania. Inni są w tej chwili nieosiągalni z powodów przewidzianych w przepisach o sędziwojskim cztery zero pięć „g”, jeden „a”.

Holt zawahał się.

- Dobrze. Jestem gotów rozpatrzyć same zaprzysiężone oświadczenia. Jeśli nie ma dalszych sprzeciwów, oskarżenie może wezwać swego pierwszego świadka.

- Rząd wzywa pułkownika Jamesa Hernandeza - zawołał, a właściwie śpiwnie zaintonował Waldron.

Pułkownik James Hernandez, zastępca generała, był niski, lecz potężnie zbudowany, miał krótkie, kręcone włosy, cienki wąsik i smagłą cerę. Pod prawym okiem widniała blizna. W jego głosie słychać było leciutki nalot akcentu kubańskiego. Podczas składania zeznań mocno przytrzymał oparcie balustradki otaczającej miejsce dla świadka.

_ Błagali o litość - zeznał. - Mówili, że nie są buntownikami- _ A co robił sierżant Kubik, gdy strzelał do nich z karabinu

maszynowego? _ Co robił?

- Czy wyrażał jakieś uczucia?

- No, tak jakby się śmiał.

- Śmiał się? Czyli że dobrze się bawił?

- Sprzeciw! - krzyknęła Claire. Czowała na ramieniu rękę Gri-mesa, który usiłował ją powstrzymać. - Świadek nie może stwierdzić, czy sierżant Kubik uważał to za dobrą zabawę.

- Hm, pani Chapman - powiedział podpułkownik Holt. - To nie jest rozprawa przed sądem wojskowym. Prowadzimy przesłuchanie z artykułu trzydziestego drugiego. To znaczy, że przepisy dotyczące składania zeznań nie mają tu zastosowania. Nasze postępowanie oparte jest wyłącznie na wojskowym regulaminie prowadzenia śledztwa poprzedzającego rozprawę z artykułu trzydziestego drugiego.

- Wysoki Sądzie...

- I nie jestem Wysokim Sądem, choć bardzo chciałbym nim być. Może pani zwracać się do mnie per „pan” albo „oficer śledczy”, lecz nie „Wysoki Sądzie”. A teraz, ma pani zamiar w stosownym czasie przesłuchać tego świadka?

- Ja go będę przesłuchiwał, panie oficerze śledczy - oświadczył Grimes.

- W takim razie, pani adwokat, zupełnie nie wiem, dlaczego zgłasza pani sprzeciw. Jedynym uprawnionym do tego jest pan Grimes. Stosujemy tu zasadę - jeden adwokat, jeden świadek. Nie uznajemy pracy zespołowej. Czy to jasne?

~ Jasne - oznajmiła Claire z uśmiechem. - Przepraszam ~ szepnęła do Grimesa.

~ Nie mam więcej pytań - rzekł Waldron.

Podniósł się Grimes. Stojąc tuż przed stołem obrony, zadał Pytanie:

~ Pułkownikowi Hernandez, gdy władze zwróciły się do pana w sprawie tego przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego, CZY grożono, że zostanie pan postawiony w stan oskarżenia, jeśli °drnówi pan zeznań?

- Nie - odparł Hernandez.

"~ Nie stosowano wobec pana żadnego przymusu?

153

- Nie. - Rzucił Grimesowi wojownicze spojrzenie prosto w oczy.

- Rozumiem - powiedział Grimes, jakby wyraźnie mu nie wierzył. - A gdy kryminalny wydział śledczy przesłuchiwał pana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku, w związku z wydarzeniami w La Colina, przesłuchujący wywierali na pana jakiś nacisk?
- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku?
- Zgadza się.
- Nie, nikt nie wywierał na mnie nacisku.
- Nikt nie groził panu, że jeśli nie będzie pan współpracował, postawią panu zarzuty o współudział, udział w popełnieniu rzekomych zbrodni, znowę w celu popełnienia morderstwa, a nawet samo morderstwo?
- Nikt mi nie groził.
- Najmniejszych gróźb?
- Ani jednej. - Wysunął podbródek, jakby chciał powiedzieć: No i co teraz?
- Więc było to oświadczenie absolutnie dobrowolne?
- Tak jest.
- Pracuje pan dla generała Williama Marksa, szefa sztabu armii, zgadza się?
- Tak. Jestem jego zastępcą.
- Czy generał prosił, by złożył pan oświadczenie?
- Nie. Zrobiłem to na własną rękę.
- W żaden sposób pana nie zmuszał?
- Nie.
- Nie boi się pan, że zaszkodzi pan sobie w karierze, jeśli wyrazi się pan krytycznie o generale?

Hernandez zawahał się.

- Zeznaję pod przysięgą. Gdybym miał coś krytycznego do powiedzenia, musiałbym to ujawnić. Ale on nie zrobił nic złego-
- Aha. A teraz proszę mi coś powiedzieć, pułkowniku. Gdy zobaczył pan, jak sierżant Kubik strzela do cywilów, czy usiłował go pan osobiście powstrzymać?

Hernandez zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem. Czy to jakaś prawnicza sztuczka?

- Nie - odparł w końcu.

- Nie?

- Nie.

154

- A kto próbował go powstrzymać?

Hernandez ponownie się zawahał. Pochylił się na krzesło. Spojrzał na Waldrona i jego towarzysza.

- Nie wiem. Nie widziałem, by ktoś próbował go powstrzymać.

- Hmm... - mruknął Grimes. Zbliżył się doń kilka kroków. Wzruszył ramionami i powiedział tonem człowieka, prowadzącego normalną rozmowę: - Więc nie zauważył pan, by ktokolwiek próbował go powstrzymać?

- Nie, niczego takiego nie widziałem.

- Pułkowniku, ponieważ generał Marks, wówczas pułkownik Marks, znajdował się wtedy w kwaterze głównej, pan dowodził akcją, zgadza się?

- Tak.

- Pułkowniku Hernandez, jak długo pracuje pan dla generała Marksa?

- Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

- To kawał czasu. Musi mieć do pana ogromne zaufanie.

- Mam taką nadzieję.

- W razie czego przyjąłby pan kulkę, przeznaczoną dla generała.

- Gdybym miał taką możliwość, tak, zrobiłbym to.

- I skłamałby pan dla niego, co?!

- Sprzeciw! - krzyknął Waldron.

- Wycofuję pytanie - powiedział Grimes. - A teraz, pułkowniku Hernandez, chciałbym prześledzić tamte wydarzenia krok po kroku. Bardzo dokładnie rozpatrzemy każdy szczegół, żebym niczego nie przeoczył, zgoda?

Hernandez wzruszył ramionami.

Z otępiającą dokładnością, zadając około dwustu pytań, Grimes wyjaśniał ze świadkiem każdy punkt, jaki tylko przyszedł mu do głowy. Tak jakby oglądali film klatka po klatce. Gdzie stał? Co robił starszy sierżant taki a taki?

Wtem, nagle, Grimes zboczył z tego kursu.

- Pułkownika Hernandez, czy uważał pan Ronalda Kubika Za przyjaciela?

Wzrok Hernandeza na moment prześlizgnął się ku Waldkowi. Zrobił ponurą minę. Otworzył usta, po czym je zamknął.

~ Może nam pan powiedzieć prawdę - namawiał Grimes,

155

odchodząc od miejsca dla świadków z powrotem do stołu dla obrony.

- Nie, nie uważałem go za swego przyjaciela.

- Nie lubił go pan specjalnie, co?

- Uważałem, że jest pokręcony. Grimes przystanął i obrócił się na pięcie.

- Pokręcony?

- Tak właśnie powiedziałem.

- Jakby miał pokręcone w głowie? Jakby był psychiczny?

- Właśnie. Psychiczny.

- Taak? - Grimes miał zaciekawioną minę. - A w czym to się przejawiało?

- Był sadystą. Uwielbiał zabijać.

- Znaczy, w walce?

Hernandez wyglądał na skonsternowanego.

- Tak, a gdzieżby indziej?

- Nie zabijacie ludzi poza polem walki?

- Nie. Poza wyznaczoną operacją, co niekoniecznie oznacza walkę.

- Rozumiem. Więc podczas wyznaczonej operacji uwielbiał zabijać.

- Zgadza się.

- Na czym polegała jego praca - pańska praca.

- Tylko w pewnej mierze...
- Pańska praca w pewnej mierze polegała na zabijaniu ludzi.
- Zgadza się.
- A on był w tym dobry. W istocie uwielbiał to.
- Tak jest.
- Czy pańskim zdaniem Ronald Kubik był dobrym żołnierzem?
- To, co zrobił, było nielegalne...
- Nie pytam o to, co stało się dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Pytam, czy aż do tego momentu, do tej nocy, mógłby pań powiedzieć, że Ron Kubik był chlubą sił specjalnych?

Hernandez wyglądał na człowieka schwytanego w pułapk?-Miał urażoną minę.

- Tak.
- Był naprawdę dobry.
- Taak - przyznał Hernandez. - Nie znał uczucia lęku, aZ przerażenie brało. Należał do naszych najlepszych ludzi.

156

- Skończyłem przesłuchiwać tego świadka - powiedział Grimes.
- Ponieważ nadeszła pora lunchu - ogłosił pułkownik Holt - przerywamy przesłuchanie na półtorej godziny, do czternastej.

Rozległ się szelest, dziwnie stłumiony przez urządzenia dźwiękociszczelne. Towarzyszył mu monotony szmer przytłumionych głosów. Kilku widzów podniosło się. Waldron skierował się do wyjścia, Hogan, współpracujący z nim oskarżyciel, ociągał się jeszcze, przewracając jakieś papiery przy swoim stole. Stalowe drzwi się otworzyły.

Tom uścisnął Claire.

- Świetnie nam idzie, nie uważasz? - zapytał.
- Idzie nam nieźle - odparła. - Tak mi się wydaje. Skąd mogę wiedzieć?

W tym momencie Hogan przechodził tuż koło stołu obrony. Mijając Toma, wyszeptał:

- Dopadniemy cię, ty chory kutasie, tak czy inaczej. W sądzie albo poza nim.

Oczy Toma rozszerzyły się, ale nic nie powiedział. Claire, która także to usłyszała, poczuła nagły przypływ adrenaliny, ale również się nie odezwała.

Tom wyciągnął przeguby, by skuto je kajdankami. Nałożono na niego pozostałe łańcuchy i odprowadzono do więzienia, gdzie miał otrzymać posiłek w celi.

Embry podszedł do stołu, wyciągając rękę do Grimesa, by mu pogratulować. Grimes jej nie ujął. Pochylił się i odezwał niskim głosem, w którym czaiła się groźba:

- Coś ty im, do diabła, naopowiadał na temat przecieków do Prasy?!

Ręka Embry'ego powoli opadła. Na jego twarz wypełził purpurowy rumieniec.

- Widzieliśmy cię, Embry. Widzieliśmy, jak popijasz piwo z Waldronem i spółką.

~ Taak? No i co z tego? Wypiliśmy tylko parę piw, i tyle. f° są moi koledzy. Muszę utrzymywać z nimi stosunki, będę Pracował z nimi jeszcze długo po waszym wyjeździe. . - I dlatego uważasz, że to cię upoważnia do przekazywania lrtl poufnych informacji? - spytała Claire.

"~ Aha, panią też przekabacił? Nie puściłem pary z ust, Claire.

157

Nie powiedziałem ani słówka. I nigdy bvm t, • u-, by świadczyło0brakuprofesjonalizmu,ado5? TMt" kT° *? w kłopoty. A na dodatek wyszedłbyś n°aoftPWfbym Dlaczego mlałbym lm powied 7, ż-^ ostatniego palanta, którzy chcą naruszyć zasade Jc^^ *TMm z ludźmi, w straszliwe tarapaty. wP'ątałbym się tylko

Odwrócił się z miną cz}owieka ciężko obra W | a m ~ Wierzysz mu? - zapytał Grimes. °brdZoneg° ' odszedł.

Juz sama nie wiem, komu wierzyć - rzpH, n • m. „, my na hanch. Samochód zaparkowałam ^vXv??f jest McDonald. obok- Niedaleko

7 CzY McDonald znajduje się w každei ko,-świecie? v
ueJ baae wojskowej na

- Albo Burger King.

Po drodze do samochodu, gdy Claire hvła | • jej nie usłyszy, odezwała się:

^JUZ pewna' ze nikt

Nie rozumiem, dlaczego nie wciągnąłeś „ a ,

Gnmes. W oświadczeniu stwierdził coś Trlf° W Z*f ?' staraliśmy się go powstrzymać". A kiedy L^T " rT" z tego. To poważna sprzeczność! Dlaczego f' ^^ ^ niekonsekwencji? 8 nie wyciągnąłeś tej

- Bo nie taki jest cel tego postępowania „,a x r | - Staramy się uwikłać JZdkL w ego^ Pfi-papierze Na razie nie kwestionujemy jego we "f MieC Je M

- Możesz to wytłumaczyć? § WerSJ1'

Nie wystrzelij wszystkich naboju „lr,r , , : Oboje wiemy, że dojdzie do rozprawy. C *rZydzisty dn^

Mo-pełną~

di , 1C-działa cięższego kalibru wvtnr™m »«p

Pokręła głową nad dziwacznością sy^m,7^ ? ^ 7 ^lesz - wyjaśniał Grimes - te> jestZU W0JskoweS°- = Pułapkami na m™™™ t a i i Jak z tym różnyml

i wije się żywcem"7tv™ ** P, *' mysz P^cra do nich potrząsk: steredo'^ kt™ * ^^ j W«- Ale są też - łamią mu ^ Tr H "T ^ StW°rzenie * P« sekundy

Świade\wsadtPtPurk^ «* ale żyje. ^^J^^S^ m "*

158

- No, ja chciałabym zmiążyć tego kutasa.

- Bo bronisz własnego męża. System nie działa w ten sposób. Zachowuj się rozsądnie.

Oblała się gorącym rumieńcem, uświadamiając sobie, że Grimes ma rację. Nie była obiektywna. Jakże uczucie, które żywi do Toma, może nie stać jej na zawadzie w prowadzeniu tej sprawy?

Otworzyła najpierw drzwi wynajętego samochodu od strony pasażera, po czym oboje wsiedli. Gdy tylko przekreśliła zapłon, uderzyła ich potężna fala dźwięków, dochodzących z samochodowego radia, które było nastawione na cały regulator.

- Jezus, co ty! Chcesz mnie wykończyć?! - wrzasnął Grimes. -Właśnie doznałem trwałego uszkodzenia słuchu. Nie wiedziałem, że tak lubisz muzykę.

Zgasła radio.

- Chryste panie, co to było?
- Chyba Marilyn Manson. Nie jestem pewien. Nie pytaj, też nie słucham takich kił.
- Ja tego nie nastawiłam - rzekła. - W ogóle nie słucham radia.
- Może otarłaś się o nie przypadkiem czy coś w tym rodzaju.
- Słyszałabym, że jest nastawione. Uwierz mi, że to nie ja włączyłam radio. Zrobił to ktoś inny.
- Ostrzegają cię - powiedział Grimes. - Mówią ci, że mogą się dostać do twojego samochodu albo do domu, kiedy im się tylko spodoba, więc uważaj.
- Koronkowa robótka - skomentowała.

26

~ Czy oskarżenie chce powołać ostatniego świadka? - za-Pytał Holt.

- Panie oficerze śledczy - powiedział Waldron - dysponuję Pewnym zeznaniem, które w tej chwili nie ma istotnego znaczenia dla sprawy. Przygotowałem je w odpowiedzi na to, co Prawdopodobnie zaprezentuje obrona. - Grimes spojrzał ze dziwieniem na Claire. - Zamiast więc trzymać starszego chorego Stanleya Oshmana przez następne półtora dnia, proponuję, żeby go teraz przesłuchać.

159

pokazać opinii publicznej, iż sprawiedliwości stało się zadość. Więc gdzie jest opinia publiczna? Pięciu anonimowych facetów z dostępem do najtajniejszych materiałów?

- O tym proszę porozmawiać z ministrem obrony narodowej - odparł Waldron.
- Zastanowię się nad tym - oświadczyła Claire. - AJe nie ulega dla mnie wątpliwości, że ta cała sprawa jest tak ściśle utajniona tylko dlatego, by oszczędzić pewnym osobom powodów do zażenowania. Względy bezpieczeństwa narodowego nie mogą tu wchodzić w rachubę, skoro wydarzenia, o których mówimy, rozegrały się przed trzynastoma laty.
- Bezpieczeństwo narodowe... - zaczął Waldron.
- To prywatna rozmowa - rzekła Claire. - Nie musimy popisywać się przed oficerem śledczym. Tylko my tu jesteśmy, więc porozmawiajmy uczciwie. Widzi pan, naprawdę nie rozumiem, dlaczego chcecie postawić mojego męża przed sądem wojskowym. Przecież możecie od razu zamknąć go w domu wariatów.

- Gdzie jest jego właściwe miejsce - odpalił Waldron. - Pani mąż jest socjopata, pokreconym, chorym sukinsynem. Pokazał to jako zabójca w Wietnamie. Był legendą, osławionym świrem w tym tajnym światku. Ale miał wspaniałe kwalifikacje, znakomicie mówił najróżniejszymi językami i dialektami oraz nie czuł najmniejszych oporów przed zabijaniem swoich bliźnich. Idealnie nadawał się do celów wojskowych. Tak jak ci naziści, których przekupił rząd amerykański pod koniec drugiej wojny światowej. Pentagon błędnie uważał, że utrzyma Kubika w garści. Ale jemu puściły nerwy.

- Niech pan sam zada sobie pytanie, czego grube ryby w wojsku naprawdę chcą. Może pan wygadywać wszelkie kłamstwa, jakie panu ślina na język przyniesie, ale w gruncie rzeczy tym facetom na górze chodzi o to, żeby całą sprawę trzymać pod korcem. Pragną mieć pewność, że opinia publiczna nigdy nie dowie się o masakrze, jakiej Amerykanie dopuścili się w Salwadorze. A my jesteśmy gotowi na to przystać. Pan zrezygnuje z oskarżenia, a my nie puścimy pary z ust. Możemy się do tego zobowiązać na piśmie, jeżeli panu na tym zależy. Nigdy nic nie wyjdzie na jaw. Ale jeśli doprowadzi pan do rozprawy przed sądem wojskowym, zniszczy pan szefa sztabu armii. To panu osobiście obiecuję. I wszystko

162

rozgłoszę - o tej historii dowie się cały świat. Niech pan się zastanowi, czy pan naprawdę tego chce? Bo jeżeli on poleci, to pociągnie pana za sobą.

Waldron uśmiechnął się. Był to nieprzyjemny, drapieżny uśmiech człowieka, który robi to rzadko.

- Gówno mnie obchodzi, kto chce ochronić tyłek. Albo kto poleci. Moje zadanie polega na tym, żeby oskarżyć zbrodniarza, który dokonał masowego mordu, i wsadzić go do Leavenworth na resztę jego bezcelowego życia. Ale będę się starał, żeby skazano go na śmierć. To jest moje zadanie. I wypełnię je z przyjemnością. Do zobaczenia na rozprawie.

27

Claire i Jackie rozmawiały, sprzątając w kuchni po kolacji. Annie czyściła zęby przed pójściem do łóżka. Claire, wyczerpana i zamyślona, spłukiwała naczynia, podczas gdy Jackie napełniała zmywarkę.

- Nie rozumiem, o co chodzi temu smętnemu dupkowi - rzekła Jackie. - Daj mu prozac albo coś. - Claire z uśmiechem skinęła głową. - I ta historia z Kubikiem. Nie mogę nazywać go Ronem - ciągnęła Jackie. - Jakie to wszystko popieprzone.

- Ja też nie. Nie wiem, jak go nazywać, i jest w tym coś symbolicznego. To tak, jakby był inną osobą, tyle że nie mam pojęcia, kim jest ani co to za człowiek. Widzę go na pięć minut przed przesłuchaniem, rozmawiamy o sprawach zawodowych. Przez cały czas o tym mówimy. Chwali, że dobrze mi poszło, albo zadaje jakieś pytanie o kwestie proceduralne. Odwiedzam go w więzieniu i rozmawiamy o procesie. Tylko o tej sprawie.

- A czy to nie tak właśnie powinno być? Bronisz go, jesteś jego adwokatką, jego życie wisi na włosku.

- Tak, masz rację. Ale cały czas mam wrażenie, jakby był nieobecny duchem.

- Każdy w takiej sytuacji byłby śmiertelnie przerażony. Mogę cię o coś zapytać - czy wyniki badania poligrafem zostały dopuszczone?

- Tak, oczywiście. Ale to felerny towar. Gdybym była oficerem śledczym, uważałabym, że wykiwał poligraf, bo był do tego szkolony.

163

- A jak ty uważasz? Ta zmywarka jest okropna.

- W związku z czym?

- No, czy „wykiwał pudełko”? Specjalista dał się nabrać?

- Skąd mogę wiedzieć? Mógł, przecież wie, jak to zrobić. Ale chyba me musiał - jest niewinny.

- Powiedzmy - rzekła ostrożnie Jackie

Oszaleć można od tego. Występowałam w wielu sprawach z oskarżenia publicznego, w których rząd kogoś prześladował albo chciał z pozwanego zrobić kozła ofiarnego - na przykład informatora który ujawniał niewygodne fakty - więc wiem do czego są zdolni. Jak są znieprawieni. Broniałam kiedyś pewnego gościa, którego wyrzucono z Agencji Ochrony Środowiska za podanie do publicznej wiadomości faktu o składowaniu odpadów toksycznych. W trakcie sprawy wyszło, że jego przełożony antydatował i fałszował dane personalne, tak by z faceta zrobić pijaka. W istocie był idealnym pracownikiem. Dobrze wiem, jakie numery potrafią wykrecać.

Jackie obróciła w ręce jeden z nje malowanych ceramicznych talerzy, na których jadły kolację.

- Są bardzo ładne - rzekła. - Dziwię się, że pozwalają nam ich używać. Myślisz, że można je włożyć do zmywarki?

- Nie mówili, że nie.
- Mogę być z tobą szczerą?
- A o co chodzi?
- Przypomnij sobie, jeszcze przed dwoma miesiącami obie uważaliśmy, że Tom Chapman to fantastyczny facet: męski, przystojny, wszystko świetnie mu szło. Prawdziwy macho. Zarabiał na dom, był wspaniałym ojcem i mężem, zgadza się?
- Tak? No i co z tego?
- A teraz wiemy, że się przed nami ukrywał. Inaczej się nazywa, ma tę tajną przeszłość, od której ciarki przecho-
- Jackie...
- Nie, zaczekaj. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście popełnił te morderstwa. Był członkiem ściśle tajnej jednostki wojskowej, która ląduje na spadochronach w najrozmaitszych miejscach, gdzie nie powinna się znajdować, z fałszywymi dowodami tożsamość, wystrzeliwuje wszystko dookoła, a potem się wycofuje. Chcesz mówić o symbolach? Spadł znikąd w twoje życie, zagarnął je, z fałszywym dowodem tożsamości.

164

- Bardzo sprytne. - Claire całą uwagę poświęciła szorowaniu resztek owsianki, przylepionych do miski Annie.
- I tak naprawdę nie wiemy, kim jest.
- Niezależnie od tego, jakimi oszczerstwami go obrzuca, nadal jest człowiekiem, w którym się zakochałam.

Jackie znieruchomiała, po czym odwróciła się i spojrzała wprost na Claire.

- Ale nie wiesz, kim jest ten człowiek. Nie jest tym, za kogo go uważałaś - nie jest mężczyzną, którego kochałaś.
- A niby co to ma znaczyć? Jak się nad tym dobrze zastanowić? Nie byłam głupia ani naiwna, kiedy powiedziałam, że to mężczyzna, w którym się zakochałam. Kimkolwiek by był, poznałam go takiego, jaki jest i kim jest. Pokochałam go - kocham go takiego, jaki jest, jakiego go znam. Każdy ma jakieś tajemnice, coś do ukrycia. Nikt nie jest absolutnie szczerzy co do swojej przeszłości, niezależnie od tego, czy przemilczają celowo, czy nie, gdy chodzi na przykład o jego przeżycia

seksualne albo...

- No i proszę, teraz to racjonalizujesz - Jackie podniosła głos. - W gruncie rzeczy nie wiesz, kim jest ani czy zrobił to, o co go oskarżają...

- Wiem, że na pewno nie popełnił tych morderstw!

- Nie wiesz o nim absolutnie nic, Claire. Jeżeli mógł okłamywać cię co do swoich rodziców, rodziny, dzieciństwa, studiów, praktycznie całego swojego cholernego życia, to dlaczego nie miałby cię okłamać co do tego?!

Annie stanęła w drzwiach kuchni w piżamce w misie pucha-tki, po raz pierwszy od lat ssąc kciuk.

- Annie! - zwróciła jej uwagę Claire.

Annie z mlaśnięciem wyjęła obśliniony palec. Patrzyła na matkę ponuro, podejrzliwie. ~ Dlaczego kłócicie się z ciocią Jackie?

- Nie kłócimy się, dziecinko. Rozmawiamy. Dyskutujemy.

- Ale sprawiacie takie wrażenie, jakbyście się kłóciły - powiedziała Annie oskarżycielskim tonem.

- Po prostu rozmawiamy, skarbie - uspokajała ją Jackie. ~ Zwróciła się do Claire: - Mam ochotę na papierosa.

- To proszę na dworze. Może do ciebie dołączę, jak Annie Pójdzie do łóżka - odparła Claire.

- Stworzyłam potwora - skwitowała to Jackie.

165

Nie, nie ty mnie położysz spać - zaproponowała Annie - Jackie mnie położy.

- A ja nie mogę? Rzadko kiedy cię widuję, tęsknię za tobą.

- Nie - rzekła stanowczo Annie. - Nie chcę, żebyś ty mnie kładła. Wolę Jackie.

Jackie się odwróciła.

- Skarbie, pozwól, żeby mama cię położyła.

- Kochanie, twoja mamusia... - zaczęła Claire.

- Nie! Idź do pracy! Jackie sobie poradzi! Idź sobie! - Wybiegła z kuchni, tupiąc po schodach aż na piętro.

Claire spojrzała na Jackie, która wzruszyła ramionami.

- Idź do niej - poradziła. - Nie możesz mieć do dziecka pretensji.

Tymczasowa sypialnia Annie znajdowała się w pokoju gościnnym. Jedynym akcentem wskazującym, że to pokój dziecienny, były porozrzucone na podłodze zabawki.

Annie weszła już do łóżka i wściekle ssąc kciuk, patrzyła na egzemplarz Króla lwa.

- Idź sobie! - krzyknął a na widok wchodzącej Claire.

- Dziecinko - powiedziała cicho Claire, podchodząc do łóżka i przyklękając przy nim.

Annie wyciągnęła kciuk.

- Idź sobie! Idź do pracy!

- Mogę ci poczytać? Naprawdę zrobię to z przyjemnością.

- Ale ja wcale nie chcę, więc możesz sobie iść.

Znowu włożyła kciuk do ust, wpatrując się w książkę z żalną miną.

- Możemy porozmawiać? Annie nie zwracała na nią uwagi.

- Proszę cię, dziecinko. Chcę z tobą porozmawiać. Annie nie spuszczała wzroku z książki.

Rozumiem, że jesteś na mnie zła. Doskonale wiem, że ostatnio wcale nie byłam dobrą mamusią. Bardzo cię przepraszam.

Oczy Annie złagodniały na chwilę, po czym zmarszczyła brwi, wykrzywiła się gniewnie i w dalszym ciągu się nie odzywała. Claire mówiła jej, że tatusia czeka proces sądowy, ale ile ona z tego naprawdę rozumiała?

Jestem bardzo zajęta, bo usiłuję wyciągnąć tatusia. Wcześniej wychodzę z domu, wracam późno, jestem wykończona

166

i dlatego nie robimy tych wszystkich rzeczy, które zawsze tak lubiliśmy. Ale chcę, żebyś wiedziała, że cię bardzo kocham, bardziej niż kogokolwiek na świecie. Naprawdę. A kiedy to wszystko się skończy, będziemy ciągle się razem bawić, pójdziemy do zoo, najemy się lodów, a przede wszystkim będziemy razem, tak jak przedtem.

Annie podciągnęła sobie kołdrę aż pod szyję. Nie odrywając oczu od książki, zapytała ponuro, niemal z pretensją:

- Kiedy tatuś wróci do domu?
- Myślę, że niedługo. Mam taką nadzieję. Zapadła chwila milczenia.
- Jackie powiada, że jest w więzieniu - odezwała się Annie z urazą w głosie.

Claire się zawahała. Nie chciała jej już więcej okłamywać. Co więcej, Annie, bystra i surowa obserwatorka, jak wszystkie małe dzieci, niemal prowokowała matkę, by powiedziała jej prawdę.

- Tak, ale to pomyłka. Annie znowu się zachmurzyła.
- Jak jest w więzieniu? - Domagała się szczegółów jako dowodów prawdomówności Claire.
- No cóż, trzymają tatusia w pokoju, tam mu podają kolację i pożyczają książki.
- Czy nie ma tam wszędzie krat i zamków? - spytała czujnie Annie.
- Owszem, są kraty.
- Czy jest smutny?
- Jest smutny, bo tęskni za tobą.
- Mogę go odwiedzić?
- Nie, kochanie, niestety.
- Dlaczego nie? Rzeczywiście, dlaczego nie?
- Nie wpuszczają tam dzieci - skłamała Claire, choć prawdopodobnie wolno im było wchodzić do pokoju odwiedzin.

Annie chyba przyjęła to do wiadomości.

- Boi się?
- Z początku się bał, ale teraz już nie. Wie, że niebawem go wypuszczą i znowu będziemy rodziną. Poczytam ci książkę.
- Nie, nie chcę - zaprotestowała Annie. Claire nie mogła się 2°rientować, czy zdołała małą ułagodzić. - Jestem zmęczona. ~~ Odwróciła się. - Dobranoc, mamó - rzekła.

Claire zasnęła na kanapie w salonie, otoczona książkami opisującymi rozmaite procesy toczące się wokół księżkami,

skowymi sądami oraz nieutajnionymi? &* Pmd W°> dotyczącymi sprawy Toma
J * n°Wymi mater'iałami

Koło dziewiątej gwałtownie wyrwał ją z miejsca, ka. Pobiegnęła, by otworzyć, nim
ilZn^Z ^ ^ i obudzi Annie. ^wonek rozlegnie się ponownie

Grimes miał poważną minę.

- Decyzja wróciła, tak? Grimes przytaknął.

- Kiedy początek rozprawy?"

:"Z0e8pCraW*?CZymanS«"Ć ~*

- Postawienie w stan oskarżenia ma mnw

- powiedział, zdejmując płaszcz S^ SZLSC d* go na wieszaku w hallu. - Co znac7v]

W'eSZajac musimy zgłosić wszystkie wnioski a w f-J° teg° CZasu winniśmy.

Rozprawa rozpocznie się w h ^ raae P°" miesiąc.

P ie Słę

Prawdopodobnie za

7 Dlaczego w ogóle robiłam sobie nadzieję ^n, | dojdzie?

"iiuieję, że do tego nie

- Bo pod tym całym błichtrem cynizmem, nW * | jesteś optymistką. Niepoprawna

op™tką "°'SWmt0W0Ści

ka^bo" c^eTośinnigo? * P°Watp—• - Napijesz się

- Niee. Nie w nocy.

^Z^^s^ ^redh na

- Jeżeli przegramy, jesteśmy załaS ^ZT^^

Rozprawa to druga bJt^^Jl^^ lacyjny do spraw Kryminalnych^? 7^ AL Zbrojnych.

Zdobyli pierwszą bazę T" a ądAPelacyJny Sł czona.

ę' e

gra Jeszcze nie skoń-

- Teraz ty jesteś niepoprawnym optymistą

- Mówię tylko, jakie są reguły gry Można „V H, u -

- Ale cały ten cyrkjestabsUlny Pozał g°br0nlC' skiem oficera śledczego każdy

oficer W?P°Znaniu s>? z wnl0'

168

!

jest winien. Po czymś takim nie ma mowy o uniewinnieniu. Co to jest? - Zauważyła, że Grimes trzyma jakiś papier.

- Rozkaz zwołania sądu - wyjaśnił, podnosząc się i podając jej dokument. - Spójrz tylko. Widzisz, kto nakazuje powołanie sądu wojskowego? - Grimes uważnie wpatrywał się w kruchą porcelanową wazę, stojącą na pomalowanym na biało drewnianym kolumnowym postumencie tuż obok biurka.

Na nagłówku widniał napis: Sekretarz Stanu do spraw Wojska. List osobiście podpisał sam sekretarz.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Dlaczego zwołuje go sekretarz? Myślałam, że należy to do kogoś stojącego niżej w hierarchii, na przykład komendanta Quantico czy kogoś w tym rodzaju.

- Zazwyczaj tak bywa. Dlatego to jest właśnie takie ciekawe. Jakby rozkaz przyszedł z samej góry, by dać nam do zrozumienia, że nie żartują i że to poważna sprawa.

- Nie - rzekła Claire.

- Co nie?

- Nie o to chodzi. Założę się, że istnieje jakiś powód prawny. I to naprawdę interesujący.

- Jaki mianowicie?

- Chodzi o to, że w sprawę wplątany jest generał Marks, szef sztabu armii. Z prawnego punktu widzenia on powinien być oskarżycielem Toma. A zgodnie z artykułem pierwszym wojskowego kodeksu prawnego oraz regulaminem sądu wojskowego, artykuł pięćset cztery „c”- dwa, sąd wojskowy może być powołany tylko przez kogoś wyższego stopniem niż oskarżony. Jedynym przełożonym generała...

- Jest sekretarz. Słusznie. - Przeciągnął palcem po wzorze na wazie, skinął potakująco. - Wszystko się zgadza.

- A to co za lista? - spytała Claire, nadal patrząc na pismo. " Czy to nazwiska sędziów przysięgłych?

~ Tak, tyle że w sądzie wojskowym nazywa się ich członkami.

~ Chcę ich wszystkich sprawdzić, czy nie mają jakichś haków w życiorysie. Jakichkolwiek uprzedzeń. Muszę znaleźć wszystko, cokolwiek moglibyśmy wykorzystać w przesłuchaniu wstępnym. Dlaczego tu są sami oficerowie? Tom był sierżantem, to niższy stopień. Nie przydałby się nam jakiś starszy podoficer na ławie przysięgłych?

~ Jeżeli chcemy starszych podoficerów, możemy o nich

169

Poprosić. Ale uważam * «•

szym okiem. WedługmSf?0Wie Mą patrzeć sprawiedli* ^ wagę d0 dowodów ^ doświadczenia przywi^, *' ~ Zakładam, że nakt.-

Zadzwomłd2Wonekudrzw.

^sycala.6"- ~ ^ Cla- ~ Annie mi się obudzi, a właśnie ~ ^odziewasz się kogoś"? ~ Raya Devereaux Ł P^m cię na ^ M°Jego prywatnego detektywa. Przemy stał w drzwiach „• ^dobnie mała ZZZZT^T^ Z ^^ garniturów. Mla} na sob,e jeden z elegantszych

Uobry wieczór - r7Pw , ~ Jak się masz, Rav A PI"Zesfdna dwornością. ^J> ?* "a tym;że cyis;L^eu f-^a g0 objęcaale skoń-ilZ**c. Sn?ła mu brzuch. Ray wszedł , roze-

c^lern°ym Taj Ca^aTw^f ~ Ty mi6S2kasz - ^ ~ Jo.me jest 2aplu8kL0^^aP^kwionyi,, motd«.

Jo jedyna rzecz, która mX^7^ ~ Z&Pytał DevereauX' drzwn wpuście światło dnfc yk°leiC ten eksPres. Otwórzcie

mus'ala żyć z tym J^^*0 m«rdu i moja córka ^ 170

- Ale jeśli zmienisz zdanie - dodał Grimes - nie używaj swego telefonu. Nie rozmawiaj nawet o tym przez telefon.

- Myślisz, że nielegalnie założyli mi podsłuch na telefonach?

Devereaux roześmiał się jak człowiek, który poznał to wszystko na wylot.

- Szanowna pani - powiedział Grimes. - Oni są zdolni nie tylko do tego.

- No dobra, raport polowy - oznajmił Devereaux. - Z ludzi, którzy wchodzili w skład

jednostki dwudziestej siódmej, udało mi się odnaleźć Hernandeza, który najprawdopodobniej saltuje ruchom kiszek generała Marksa. Dwaj działają w sektorze prywatnym. Po dwóch kolejnych ślad zginął. To wszyscy.

- Łącznie z Tomem to sześciu - rzekł Grimes. - W jednostce było ich dwunastu. A gdzie się podziała pozostała szóstka?

- Nie żyją.

- To samo powiedział mi Tom - przypomniała Claire.

- Wysoka śmiertelność panuje w tej jednostce, nie uważacie? Sześciu ludzi zmarło od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

- W jaki sposób? - zapytała Claire.

- Dwóch zginęło w walce, choć nic nie wiadomo o okolicznościach ich śmierci. Trzech w wypadkach samochodowych. Jeden, który mieszkał w Nowym Jorku i nie miał samochodu ani prawa jazdy, umarł na zawał.

~ Bo nie potrafili mu zorganizować prawdopodobnego wypadku samochodowego - skomentował Grimes, kiwając głową. 7 Ale zawał można spowodować za pomocą odpowiednich leków chemicznych.

. ~ Tom miał rację - odezwała się Claire. - Powiedział, że Jeśo też mieli dopaść.

~ Nie spodziewali się, że im się wymknie w ten sposób.

Claire usłyszała szmer przy drzwiach i ujrzała, że stoi w nich Annie, ssąc kciuk. Ciągnęła za sobą koc. Kolejny krok do tyłu.

"" Dlaczego nie jesteś w łóżku?

~ Dzwonek mnie obudził - rzekła Annie cichutkim głosem.

rugając, rozglądała się po bibliotece. . - Annie! - powiedział śpiwnie Devereaux. Podszedł do niej

ciągnął ramiona. - Chcesz się przejechać windą?

171

- Taak! - zawołała, podnosząc rączki do góry. Devereaux uniósł ją prawie pod sufit.

- Dziesiąte piętro! Zjeżdżamy. - Opuszczając ją powoli odliczał: - Ósme piętro! Szóste piętro! Trzecie piętro! Parter!

- Dziewczynka piszczała z zachwytu. Potem, podrzucając ja do góry, powiedział: - Hop! Na sam szczyt! Dziesiąte piętro'
- I stawiając małą na podłogę: - Zjeżdżamy! Ekspres! P0(j^ ziemie!
- Ray! - napominała go Claire. - Mała musi iść spać, a ty ją tylko rozbudzasz.
- Jeszcze! - chichotała Annie.
- Już więcej nie - odparł Devereaux. - Twoja mama mówi, że już pora spać.
- Mogę się tu chwilkę pobawić?
- Czas do łóżka, dziecinko - rzekła Claire.
- Ale jutro nie ma szkoły.

Claire wahała się tylko przez moment.

- Dobrze, ale tylko na parę minut. Nie macie nic przeciwko temu? Ostatnio prawie się nie widzimy.
- Czy jest zobowiązana do zachowania tajemnicy zawodowej? - zapytał Grimes.
- Ale będziesz się zachowywać cichutko jak myszka, dobrze?
- przyzwoliła Claire.
- Dobrze.

Annie zaczęła obchodzić bibliotekę, przyglądała się zgromadzonym tu bibelotom, bawiła się przyciskiem do papieru.

- Musimy znaleźć kogoś w zastępstwie Embry'ego. Albo, co bardziej prawdopodobne, oni przyślą zastępcę. Ale nie obejdziemy się bez prawnika, który siedzi u nich w środku.
- Naprawdę uważasz, że to on wygadał o naszych planach badania poligrafem?
- A masz innych kandydatów?
- Nie, ale sądząc z jego charakteru, jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Annie obiema rękami ujęła porcelanową wazę.

- Uważaj - ostrzegła ją Claire. - To nie jest nasz dom. - Ale Annie nie puszczała wazy. Patrzyła na matkę wojowniczym wzrokiem.
- Jesteś taką znawczynią charakterów? - naigrawał się D6' vereaux.

„Wojsko to inny świat - rzekł Grimes. - Inne reguły. Inne odczucie lojalności. Inne wartości. Inna moralność. Może mieć asady moralne, ale jest lojalny wobec systemu, przede wszystkim dba o interesy wojska. Nie nasze.

„Jeżeli naprawdę tak uważasz - rzekła Claire - dlaczego nie doprowadzisz do skreślenia go z listy adwokatów? Annie, skarbie, mówię poważnie. Chcę, żebyś już poszła do łóżka.

- Ach, bzdury plotłem. Jak ja to udowodnię? Nigdy do tego nie dojdzie.

Nastąpił nagły ruch i waza z przeraźliwym trzaskiem spadła na twardą podłogę.

- Annie! - krzyknęła Claire.

Annie rzuciła Claire wściekłe spojrzenie i wpatrzyła się w to, co zostało z wazy, która potłukła się na drobne kawałeczki pokrywając całą wyfroterowaną podłogę.

- O Boże! - Claire zerwała się na nogi. - Annie! natychmiast do łóżka!

- Nie, nie chcę iść do łóżka!

- Pora spać, moja panno. - Claire wzięła ją na ręce. Annie wiała się w jej uścisku, rzucała na wszystkie strony,

protestując gniewnie:

- Nie... chcę... iść... do łóżka!

- Rany! - syknął Devereaux.

- Co? - zapytała Claire, gdy Annie udało się wyrwać z jej objęć, po czym gładko wylądowała na podłodze. Wybiegła 1 Pokoju. - Annie, wróć tu, dziecinko!

- Obejrzyjcie to. - Wskazał na odłamki porcelany, porozrzucone na drewnianej podłodze.

Claire i Grimes podeszli bliżej.

- O czym pan mówi? - zapytał Grimes. ~ O tym - odparł Devereaux.

~ Rany boskie - wykrztusił Grimes. ~ Co to jest? - spytała Claire. Wpatrywała się w mały, czarny przedmiot, jakiego jeszcze nigdy nie widziała. Devereaux podniósł go. Był obły, mógł mieć najwyżej cal długości i pół cala szerokości. Przytwierdzono do niego długi, cienki drucik.

Nadajnik - oznajmił Grimes przytłumionym głosem. O mój Boże - rzekła Claire wysokim szeptem.

173

- A niech to szlag - odezwał się Grimes.

Claire chwyciła nagle chińskiego pieska z ceramiki, stojącego na zapchanym bibelotami stoliku, znajdującym się obok krzesła Grimesa. Gdy cisnęła kruchym przedmiocikiem o podłogę, pośród okruchów ujrzała kolejny mały, czarny nadajnik.

- O mój Boże - powtórzyła.

- Claire! - rzucił Grimes ostrzegawczym tonem. Uniosła kulistą, czarną lampę ze stojącego w bibliotece

stołu, którego używała jako biurka, i rzuciła nią o podłogę. Lampa rozpadła się na dwie poszczerbione połowy, ujawniając następny czarny nadajnik.

- Uspokój się, Claire - powiedział Grimes. - Będziesz musiała zapłacić za te wszystkie stłuczki.

- Dosyć, Claire - wtrącił się Devereaux. - Nie musisz tego robić. Poszukam reszty.

- W tym domu jest ich pełno - wydusiła z siebie Claire.

- Mówiłem ci - skonstatował Grimes, chwytając ją za ramiona, by zapobiec dalszym zniszczeniom. - Oni są zdolni do wszystkiego. Teraz rozumiesz, o co mi chodziło.

28

W domu roilo się od agentów FBI - z sekcji kryminalistycznej, zbierania odcisków palców i medycyny sądowej. Przybyli z zadziwiającą szybkością następnego ranka po telefonie Raya Devereaux, który kiedyś był jednym z nich. Zadzwoił do dawnych kolegów, kiedy osobiście dokonał pobieżnej inspekcji. Udało mu się odnaleźć jeszcze kilkanaście miniaturowych nadajników, w bibliotece, w sypialni Claire, w kuchni. A bez wątpienia było tam ich więcej. Na górnej ścianie pustej szafy w pokoju gościnnym, znajdującym się piętro wyżej nad biblioteką, Devereaux natrafił na duże, czarne pudło, które, jak wyjaśnił, miało zbierać sygnały, wzmacniać je i przesyłać całe mile stąd do centrali.

Na godzinę pierwszą tegoż dnia umówione było spotkanie z sędzią wojskowym, który został wyznaczony do przewodniczenia rozprawie przeciw Ronaldowi Kubikowi. Po drodze do Quantico Grimes powiedział:

_ Twoje zażalenie, Claire, z pewnością przyspieszyło bieg wydarzeń. - Miał na myśli skargę, którą złożyła w adwokaturze okręgu Wirginia, gdzie takie wykroczenia, jak bezprawne zagadanie urzędów inwigilacyjnych oraz naruszanie tajemnicy, otaczającej stosunki klienta z adwokatem, traktowano z najwyższą powagą. - To jedyny sposób, by powołano sędziego wojskowego. - Chcieli, by wyznaczono sędziego, który zająłby się sprawą podsłuchu. - Problem polega na tym, że jesteśmy ugotowani.

- Dlaczego? - zapytała i spojrzała na niego, by się przekonać, czy nie ironizuje.

- Jesteśmy ugotowani, ponieważ rozprawie będzie przewodniczył sędzia Warren Farrell, który jest faszystą.

- Jak to? - zdziwiła się Claire.

- Jest tak zwanym prawdziwym żelaznym pułkownikiem.

- Co takiego?!

- Tak nazywa się pułkownik dyplomowany, który doszedł już do szczytu kariery, co znaczy, że niedługo odchodzi na emeryturę i niczym nie da mu się przygrozić. Więc może sobie pozwolić na najgorsze siupy i totalnie nas olać, co chętnie robi wobec adwokatów, zwłaszcza cywilów. Na pewno nie będzie mowy o całkowitym uchyleniu.

- Rozumiem, że brałeś udział w rozprawach, którym przewodniczył?

- Nie miałem tej przyjemności. Ale wiele o nim słyszałem. Nie lubi ciemnozielonych chłopaków w wojsku, takich jak ja. - Grimes umilkł na chwilę, by upić kawy z jednorazowego kubka. - Wspaniałe okoliczności jak na pierwsze spotkanie z panem sędzią.

- Co ty opowiadasz? Oczywiście, że doskonale. Zmusimy go, by przeszedł do defensywy, na jego tle zrobimy kapitalne wrażenie.

- Nie znasz sędziego Farrella.

- Uważasz, że będzie do nas uprzedzony, bo mieliśmy takiego pecha, iż oskarżenie nielegalnie założyło podsłuch w naszym miejscu pracy?

- To niekoniecznie musiało zrobić oskarżenie.

- Naprawdę? Masz jakichś innych kandydatów?

~ Kurczę, to mógł być Pentagon. Wywiad departamentu obrony. Jedna z tych tajnych grup wywiadu wojskowego, które

175

jakaś prywatna osoba - Penetration - Albo nawet Jalnych/S" 1? If Wnych wanków służb sP* '

^2S; itaka h, stona me wydołała %

- A może to "acv1 '7v ! ^ meĆ Pf Wn°ŚĆ' Że TMaTM - Ale FBI na niTM Przyjaciele genefala - podsunęła Claire

P^wda?' Whow cv nie" Znajd21e ^^ °dcisków P*C G^es przlSTe f VTM* meP°mdnh
~ Takie hict ą J J Z roztargmeniem.

-wt0Jsk7iec, a8lesi?2darzaJa^

c^'nym prawnikom T f ^ S podsłuchach nakładanych c^lni Prawni twias" "T'6TM' Że W°Jsk° me Iubi>M

- bzdury, GmTlir uV°h P°dv/Órku-korzysta n0 " "cię H-ęZilelZ, mi mówił Że oskarżeTM

~ Nie, najpLrw te w ' Z<t°byh dzięki Posłuchowi. n^ależne Si l/r^ ^ tak S1?
dzieJe' Z^ że żartuję? JemU PrzyPisza całą swoją wiedzę. Myślisz,

rację^^ Tylk° nie chcC Pogodzić się z tym, że możesz mieć

strzeTon^rarSaTJSkT, m °dbył° Sle " camera> w silnie P^byH, Wad on^\ uY^
P°zi°mie podziem- Gdy jakieś papierv nZJ^u- ySZąC wściekłość>a- Przekładał
Hogana. Protokół^ Jf slCJednocześnie słowom kapitana i ^Wdzała spr°et ^T
Wkładała taśmy do dyktafonu siedz<ał na końcu stołu ?h ^ prZysi^łych W* P^ta.
Tom ° odpowiedn °ny' W mundurze.

sędziowskiego i zlw^Ta? "^^ Wył°nił się z pokoJU -Proszę wstać!

wa ^hZZI^^oT^' barczysty-CzczyznazgrZy-W jednej ręce trzlf h ^ t0gą miał na
sob»e mundur.

Wygadał nrczSS ctrLSk°rZaną ^ W dru*« ^l Pew«a, że nie doniZ ? Pf eg° na
"Jawność. Claire była

sędziowskiego I? ^ ?Um°r- Leniwie podszedł do stołu

umocnienia sweTn Ił Pa m W mikrofo»- Zadowolony *

swego głosu, powiedział gburowato i zgrzytliwie:

176

- Rozpoczynam sesję z artykułu trzydzieści dziewięć „a”. proszę usiąść.

Gdy prawnicy, reprezentujący oskarżenie i obronę, zajęli już miejsca, oznajmił:

- Jestem sędzią, nazywam się Farrell.

Włożył okulary w czarnej oprawie, wąskie, służące tylko do czytania, i przeglądał papiery na swoim podium. Przez parę minut zajmował się formalnościami wstępnymi.

Claire ogarnęło głębokie przygnębienie. Słyszała już takie głosy w Charlestown, w dzielnicach Bostonu, zamieszkanym wyłącznie przez białych: pewne siebie, zajadłe, tyrańskie, uznające tylko własną klikę. Z tego co wiedziała, sędzia na pewno okaże się sprawiedliwym człowiekiem i dobrym prawnikiem, lecz instynkt podpowiadał jej, że to typ, który w szkolnych czasach terroryzował młodszych kolegów.

Mówił tak, jakby już był głęboko znudzony tą rozprawą, zanim się jeszcze zaczęła, zanim pozwanego postawiono w stan oskarżenia.

- Jak wszystkim państwu wiadomo, celem tej sesji, poprzedzającej właściwą rozprawę, jest rozpatrzenie skargi złożonej przez obronę, dotyczącej rzekomych urządzeń podsłuchowych czy nadajników, czy czego tam jeszcze, rzekomo znalezionych w miejscu jej zamieszkania oraz w gabinecie.

Bujna siwa czupryna Warrena Farrella kontrastowała z rumianą cerą, pokrytą siecią popękanych żyłek, świadczących, że sędzia lubi wypić. Kiedyś zyskiwał liczne trofea bokserskie, zdobył nawet Złote Rękawice, co wyjaśniało, dlaczego ma złamany nos. Farrell ukończył wieczorowe studia prawnicze.

- Czy obrona ma coś do powiedzenia? - zapytał przeciągle. Claire podniosła się.

- Wysoki Sądzie, nazywam się Claire Heller Chapman i przewodniczę składowi obrony. - Podniosła plastikową, zapinaną na zamek błyskawiczny torbę, wyraźnie oznakowaną nazwą FBI i Dowody, która zawierała jeden z małych, czarnych nadajników. Miał wąski kadłub, długi, włóknisty ogon i rzeczywiście bardzo przypominał urządzenie do podsłuchu. Biuro Federalne użyczyło go jej bardzo niechętnie, po długich naleganiach ze strony Raya Devereaux.

- Wysoki Sądzie - ciągnęła dalej - otrzymałam pomoc techniczną ze strony Biura Federalnego, które obecnie bada tę

- Claire - rzekła, również nie wyciągając dłoni. Przez parę wieczorów z rzędu wydzwaniała pod numer, który wypisał jej Tom, ale nikt nie podnosił słuchawki. Był to telefon domowy, lecz nie miał ani automatycznej sekretarki, ani poczty głosowej. Po prostu dzwonił i dzwonił, aż wreszcie, zeszłej nocy, w końcu go odebrał.

- Kto wie, że tu jesteś? - zapytał Dennis. Miał na sobie przyzwoity szary garnitur, kosztowną białą koszulę, srebrzysty krawat i duże złote spinki u mankietów.

- Dlaczego? Masz zamiar mnie zabić? Nie uśmiechnął się.

- Mówiłaś o tym któremuś z twoich współbrońców albo jakiemuś wojskowemu?

- Nie. - Zamierzała opowiedzieć o wszystkim Grimesowi, ale nie widziała potrzeby, żeby się w to w tej chwili zagłębiać.

- Zakładam, że nie masz przy sobie magnetofonu?

- Nie.

- Trzymam cię za słowo. Mógłbym mieć masę kłopotów, więc bardzo proszę, żeby po tym spotkaniu nie został najmniejszy ślad. Żadnych zapisków, nikomu ani słowa. Znasz reguły.

Skinęła głową.

- Masz jakieś nazwisko, Dennisie?

- Zostawmy to na razie tak, jak jest.

- Gdzie poznałeś Ronalda Kubika?

- Znam go.

- W Wietnamie?

- Wolałbym w to nie wchodzić.

- Masz coś przeciwko temu, że zapalę?

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła. - Uśmiechnął się wesoło, lecz jego oczy nie wzięły w tym udziału.

- No dobrze. Przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy. Gdzie pracujesz?

- Langley - odparł, z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- Aha, w Agencji. Mogłam się domyślić. Chyba nie mani co liczyć na to, że mi powiesz, w którym oddziale?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Niewiele brakowało, by był to uroczy, chłopięcy uśmiech.

- Czy możemy przejść do rzeczy? - Szary garnitur był pomarszczony pod pachami, jakby chodził w nim cały dzień. To nie

180

jest człowiek, który pracuje w samej koszuli. Domyśliła się, że musi być dość wysokim funkcjonariuszem CIA. - Zakładam, że nie bardzo orientujesz się w działaniach wojskowych - powiedział.

- Uczę się.

Znowu się uśmiechnął.

- I podoba ci się to, co widzisz?

- Nie mam zamiaru się zaciągnąć, jeśli o to ci chodzi.

- Kiedy oddział wraca do bazy po akcji bojowej, dowódca winien wypełnić raport o jej przebiegu. W wojsku nazywa się to Raportem bojowym. Powiedz mi jedną rzecz: na pewno wypełniliście wniosek o udostępnienie wszelkich materiałów. Czy otrzymaliście kopię Raportu bojowego, który pułkownik Marks sporządził po masakrze w La Colina?

- Nie. Dostaliśmy całe skrzynie dokumentów, ale tego tam nie było.

- I nie będzie. Nic takiego nie istnieje. Po prostu byłem ciekaw, czy coś sfabrykowali. Chodzi o to, że gdy oddział dwudziesty siódmy powrócił na kwatery, pułkownik Marks - teraz generał Marks - wypełnił tak zwaną NDR, czyli notatkę do raportu, by opowiedzieć to z jego punktu widzenia, podać jego wersję wydarzeń. Trzy czy cztery linijki, pisane ręcznie. Widzisz, Marks to facet, który robi listę niezbędnych czynności i pisze tam: „wynieść śmieci”. Myśli o wszystkim. W wojsku mówi się, że NDR równa się CST. Znasz to wyrażenie - CST?

- Pewnie. Na wydziale prawa na Harvardzie też chronimy nasze tyłki.

Nie uśmiechnął się.

- Zdobądź tę NDR.

- W jaki sposób?

- Poproś o to jako o ważny materiał dowodowy.
- I myślisz, że go dostaniemy?
- Trudno powiedzieć. Pentagon lubi kłaść dokumenty nie na swoim miejscu. Kongres usiłował dotrzeć do materiałów Penta gonu na temat Gwatemali. Zajęło im to pięć lat. Pentagon °znajmiał, że leżały nie na swoim miejscu.
- Aha. Czyli że nie dostaniemy NDR. A zresztą do czego W nam to było potrzebne? Będzie zawierała te same bujdy na temat Toma - hm, Rona. Że zabił mnóstwo niewinnych ludzi.

181

- Możliwe.

Właśnie przyniesiono szkocką z wodą, którą zamówiła Claire, lecz Dennis już wkładał swój oliwkowy płaszcz.

- Musicie gdzieś mieć kopię - rzekła Claire.

Rzucił jej jeszcze jeden uśmiech, nienaganny z ortodontycznego punktu widzenia.

- Właściwie powinna gdzieś być. Ale nie masz pojęcia, jaki bałagan panuje w naszych papierach. Poproszę którąś z moich dziewczyn, żeby się rozejrzała. Dam ci znać, jeżeli na coś natrafi.

- A co mi to da?

- Może ewentualnie udowodnić, że Marks kłamie. Widzisz, nikt nie będzie zeznawał przeciw generałowi Marksowi. Ale wtedy może nie będzie to wcale potrzebne.

Jackie nie spała jeszcze, gdy Claire wróciła do domu. Poszły do małego, przylegającego do pralni pokoiku „wypoczynkowego”, by napić się szkockiej i zapalić. Tak dotrzymywała własnego zakazu palenia w domu. Cywilizacja chyba chyli się ku upadkowi.

- Ooo, szpiegowska historia - rzekła Jackie. - Kapitalnie. Facet przypomina mi tego, jak mu tam, G. Gordona Liddy'ego. No wiesz, tego gościa od Watergate, który trzymał palec nad zapaloną świecą, żeby pokazać, jaki z niego twardziel.

- Chyba wszyscy łysi tajniacy chcą przypominać G. Gordona Liddy'ego.

- Dlaczego ci pomaga?

- Oto jest pytanie. Chyba dlatego, że jest przyjacielem Toma.

- Skąd?
- Nie chciał powiedzieć.
- Myślisz, że mówi prawdę?
- Zobaczymy, czy z czymś wyjdzie.
- Ale to cię jeszcze bardziej upewnia, że Tom mówi prawdę-
- Przede wszystkim upewnia mnie o tym żarliwość Toma-Całkiem niezależnie od wszystkiego. Sprawia wrażenie człowieka zdesperowanego, który za wszelką cenę chce, by uwierzono w prawdziwość jego opowieści. I to mnie przekonuje-A do tego nie stracił wiary. Ostatnim razem, kiedy odwiedziłam go w więzieniu, powiedział, że chciał iść na mszę, ale nie pozwolili mu wyjść z celi. No i przyprowadzili księdza do niego-

182

- Coś podobnego. Z dostawą do domu. Wezwiesz Toma na świadka?
- Nie wiem - odpowiedziała Claire z głęboką ironią. - Operacja plastyczna, zmiana nazwiska, fałszywa tożsamość - wzięwszy to wszystko razem, byłby z niego wspaniały świadek.
- Racja.
- Nie tylko o to chodzi. Prawdę mówiąc, uważam, że jako świadek dobrze by wypadł. Ale jeśli go zawezwę, zostanie dopuszczonych wiele spraw z jego przeszłości, z biografii. Historie, które sami spreparowali, choć nie mogę tego dowieść. To, co robił w Wietnamie, gdzie z ramienia rządu zabijał amerykańskich dezertersów. I to sadystyczne pokrojenie psa.
- Psa?!

Claire zapaliła kolejnego papierosa.

- Czy to nie dziwne, że bardziej nas wzburza zabicie psa niż bliźniego swego?
- Chyba chodzi o to, że amerykańscy żołnierze w Wietnamie nie robili nic dobrego. Psy są niewinne. - Wypuściła z nozdrzy chmurę dymu. - Dzwoniła twoja sekretarka z Cambridge. Connie. Ma długą listę ludzi, którzy chcą cię wynająć.
- Chyba im powiedziała, że nic z tego? Jackie skinęła głową.
- Znowu dzwonili z „Post”. Chyba naprawdę się wściekają, że nie chcesz z nimi

porozmawiać.

- Nie muszę rozmawiać z reporterami.
- Uważają, że mają moralne prawo rozmawiać z tobą. Wręcz z bożego nadania.

Zapadło długie milczenie.

- Claire - odezwała się w końcu Jackie.
- Taak?
- Gdyby istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, choćby cień, że rzeczywiście jest winny, że jest takim potworem, jak o nim mówi prokurator, to chyba wolałabyś trzymać go z dala od Annie?
- Gdyby był winny, to oczywiście, że tak.
- Dobrze, że to mówisz - rzekła ponuro Jackie. - Bo przez ostatnich parę tygodni miałam wrażenie, że najpierw jesteś żoną, a potem matką. Długo, długo potem. Spójrz na Annie, Jak ona to trudno znosi. Jak nie zwracasz na nią uwagi.

183

Claire spojrzała na Jackie i dostrzegła na jej twarzy irytację. Jeszcze nigdy nie widziała swej siostry tak zagniewanej. Z drugiej strony, Jackie była niezwykle opiekuńcza wobec siostrzenicy.

- Robię, co mogę - rzekła Claire stłumionym głosem. - Pracuję dzień i noc...
- Daj spokój! - przerwała jej szorstko Jackie. - Kiedyś trzęśłaś się nad nią. Zanim się to wszystko zaczęło. Teraz ledwo się do niej odzywasz. Jezu Chryste, Claire, ona ma tylko ciebie, f bardzo cię potrzebuje. Bardziej niż twój mąż. Twój mąż może sobie wynająć innego adwokata. Annie nie ma skąd wziąć innej mamy.

Claire, oniemiała z wrażenia, nie mogła wydusić z siebie słowa.

Leżąc bezsennie całymi godzinami w łóżku, Claire miała głowę nabitą myślami, chaotycznymi i bezsensownymi. Płakała nad Annie, nad tym, że tak ją zaniedbuje. Usnęła dopiero dobrze po drugiej.

Trzydzieści siedem minut po trzeciej zadzwonił telefon.

Gwałtownie obudzona, w zamroczeniu szukała słuchawki, a serce waliło jej jak młotem.

- Tak? - powiedziała, wpatrując się w czerwone cyferki elektronicznego zegarka,

który stał na nocnej szafce.

W słuchawce panowała głucha cisza. Już ją miała odłożyć, gdy usłyszała głos.

Miał on dziwne, metaliczne brzmienie, metaliczne i puste. Z syntetyzatora.

- Zadaj sobie pytanie, komu naprawdę zależy, żeby się go pozbyć.

Głos był niski i elektronicznie zmieniony.

- Kto mówi? - zapytała Claire.

- Waldron to dopiero początek - powiedział głos. Po czym zapadła martwa, złowroga cisza.

- Kto mówi? - powtórzyła Claire. Połączenie zostało przerwane.

Nie mogła usnąć przez ponad godzinę.

184

30

W więziennym dresie, niebieskim jak ubranko niemowlaka, - w kajdanach Tom wyglądał rozczulająco bezbronne. Jego dozorczy, dwaj muskularni strażnicy więzienni, stali obok, uważnie przypatrując się, jak aresztant ogląda karabin maszynowy. Wszyscy znajdowali się w dużym, pustym pokoju, przylegającym do jednej ze zbrojowni w Quantico.

Karabin M-60 liczył czterdzieści cztery cale długości i był zapakowany w podłużną plastikową torbę, opatrzoną karteczką, że jest to dowód rzeczowy. Broń ta rzekomo należała do Toma, który używał jej, gdy służył w oddziale dwudziestym siódmym. To właśnie nią miał zabić osiemdziesięciu siedmiu cywilów. Claire nigdy nie widziała z bliska karabinu maszynowego, toteż ten wydawał się jej najzwyczajniejszy w świecie.

Siedzieli z Grimesem na metalowych krzesłach w zbrojowni, podczas gdy Tom obracał karabin i bacznie mu się przyglądał.

- Wiesz, że obóz w Quantico nazywają leśnym zakątkiem?

- A to czemu? - rzuciła Claire, nawet nie usiłując udawać zainteresowania.

- Bo jest takie ciche i zadrzewione.

- I takie spokojne - rzekła zjadliwie Claire. - Chcę, żeby Embry wrócił.

- Co takiego?
- Słyszałeś, co powiedziałam. Chcę, żeby Embry wrócił do naszego zespołu.
- Dlaczego uważasz, że będzie chciał wrócić?
- Bo pewnie dają mu takie sprawy, jak nielegalne posiadanie narkotyków i jazda po pijanemu. Będzie uważał, że złapał Pana Boga za nogi.
- Pamiętaj, że to on odszedł. Myśmy go nie wylali.
- Ale tak chłopakowi nawrzucaliśmy, że nic innego mu nie Pozostało. Zrobiliśmy mu też krzywdę. Oskarżyliśmy go o zrobienie przecieku, a teraz wiemy, że mieliśmy podsłuch w biurze. Jest nam potrzebny. Sam mówiłeś, że musimy mieć kogoś, kto działa wewnątrz tego systemu. Potrzebujemy jeszcze jednej osoby, która by przesłuchiwała świadków, zebrała o nich jak najwięcej danych i odwaliła całą czarną robotę, na którą ani ty, ani ja nie mamy czasu.

185

- Hej, nie musisz mnie przekonywać. Porozmawiaj z nim Głowę dam, że się nie zgodzi. - I, głośniej, zawołał do Toma-- Przypomina ci to coś?!
- Co ja mogę powiedzieć? - odparł Tom. - Karabin jak karabin. Skąd mam wiedzieć, że to mój? Poważnie. To jest M-sześćdziesiątka i rzeczywiście takich używaliśmy.
- Poprosimy niezależnego specjalistę, żeby obejrzał karabin, pociski i łuski - zdecydowała Claire. - Do tych wojskowych nie mam zaufania.
- Ciekawe dlaczego - mruknął Grimes. - Na komorze naboju jest wybity numer seryjny. Przypomina ci to coś, Tom?
- Grimes - odparł Tom - poważnie myślałeś, że po tylu latach będę pamiętał seryjny numer karabinu?
- Po prostu staram się ci pomóc. Sądziłem, że wy, faceci ze służb specjalnych, ścieracie numery seryjne, żeby nie można ich było zidentyfikować w razie wypadki.
- Opowieści wyssane z palca - skwitował Tom. - Byliśmy oddziałem wojskowym - numery seryjne były nam potrzebne tak jak innym służbom, żeby wiedzieć, co się dzieje z bronią. Po prostu byliśmy bardzo wybredni, jeśli chodzi o uzbrojenie. Używaliśmy sterylnej broni - nowych karabinów, zakupionych przez rządy Panamy czy Hondurasu, żeby nie było wiadomo, z jakich magazynów pochodzą.
- Chyba nie jest tak trudno ustalić, czy właśnie z tej broni zabito tych wszystkich

ludzi - dociekała Claire.

- Oczywiście, że nie - odparł Grimes. - Trzeba przeprowadzić próby balistyczne, porównać łuski i pociski z lufą karabinu maszynowego i sprawdzić, czy do siebie pasują.

- A jeśli pasują? - spytała Claire. - Jak mogą dowieść, że Tom z niej strzelał?

- Jeśli pasują - rzekł Tom zmęczonym głosem - to nie jest moja broń. - Nagle zaczął sprawiać wrażenie człowieka pokonanego.

- Ale zapisywano, kto jaką broń dostaje? Wzruszył ramionami, wbił wzrok w podłogę.

- Taak - potwierdził z wolna. - Każdemu z nas wydawań0 jeden karabin maszynowy, jeden zwykły, jeden pistolet. Z# każdym razem używaliśmy tej samej broni. Trzeba się by*0 podpisać.

- Więc istnieje jakaś dokumentacja?

186

- Dokumentacja zbrojowni - poinformował Grimes.

- Ale my jej nie otrzymaliśmy.

- Jeszcze nie nadeszła. Może oni też jej nie mają.

- Jeśli stanowiłaby dowód uniewinniający - rzekła - to założę się, że ją „zgubili”. Bez dokumentacji zbrojowni sprawa upada.

- To może być moja broń - powiedział Tom, jeszcze wolniej, przysłaniając dłonią oczy - lecz jeśli tak... to nie z niej wystrzelono tamte naboje. A jeśli z tej wystrzelono naboje... _ Z gardła wyrwało mu się nagłe czknięcie. - Claire?

Spojrzała na niego uważnie. To szloch, który usiłował zdusić. Płakał. Przeraził ją ten nagły wybuch rozpacz.

Rzucił się ku niej. Strażnicy skoczyli za nim, chwycili go i cisnęli nim o podłogę. Rozległ się głośny trzask: głową uderzył o podłogę. Dozorcom sprawiło to widoczną satysfakcję. Tom zawył z bólu.

- Jezus - jęknął Grimes.

- Co wy wyprawiacie! - krzyknęła Claire.

- Jest moją żoną, na miłość boską! - perswadował Tom. - Nie mam prawa jej

dotknąć? - Strażnicy milczeli. - Claire, chcę z tobą porozmawiać! Sam na sam!

- To niedozwolone, proszę pani - powiedział jeden z nich.

- Odwiedzam go jako jego adwokatka - rzekła. - Mamy prawo rozmawiać bez waszej obecności.

Przeprowadzili Toma do baraku, gdzie mieściły się biura obrony, i zczekali przed jednym z pustych gabinetów wraz z Grimesem, podczas gdy Claire i Tom rozmawiali.

Tom zdołał już odzyskać panowanie nad sobą.

~ Przepraszam za to, co się stało. Po prostu coraz bardziej zaczyna to do mnie docierać.

~ Co takiego?

~ To, co się ze mną dzieje. Stany Zjednoczone przeciwko Donaldowi Kubikowi. Nie dopuszczałem tego do siebie. Ale teraz widzę, że to mi się przytrafiło naprawdę. Rzeczywiście nie zamknęli. I nigdy nie wypuszczą. Teraz to sobie uświa-

Olśniłem. Jestem załatwiony, jak amen w pacierzu.

"~ Wiem, co czujesz - rzekła łagodnie. Ból ścisnął jej serce.

"ciała wypłakać się na jego ramieniu, ale wiedziała, że nie

187

może stracie panowania nad sobą, potrzebował jej siły i pewności siebie, niezależnie od tego, co ona sama odczuwała. - To koszmar, koszmar dla nas wszystkich. Ale musisz wierzyć, że ta sprawa dobrze się skończy. Grimes i ja robimy, co w naszej mocy. Nie pozwolimy im na żadne numery. Masz na to moje słowo.

- Embry - powiedziała, gdy podniósł słuchawkę. - Terry.

- Pani... Claire. - Wydawał się zadowolony z jej telefonu. - Jak idzie?

- Wszystko po staremu. Chcemy, żebyś do nas wrócił. Zapadło długie milczenie.

- Przekonaliście się, że to nie ja kablowałem.

- Nigdy cię o to nie posądzałam.

- Grimes też chce, żebym wrócił? Czy tylko ty?

- Tak, on też. Zdecydowanie.

- A nie będziecie zawsze trochę podejrzliwi? Może chcecie mnie sprawdzić na wykrywaczu kłamstw?

- A skąd możemy mieć pewność, że cię nie szkolono, jak go wykiwać? - odparła ze śmiechem.

31

Przed silnie strzeżonymi drzwiami sali sądowej nieopodal Grimesa i Embry'ego czekał Waldron. Gdy Claire przybyła za piętnaście dziewiąta rano, błyskawicznie się przy niej znalazł.

- Pani Chapman.

- Majorze - powiedziała uprzejmie.

- Czy jest pani gotowa zawrzeć z nami ugodę? Claire usiłowała ukryć zdumienie.

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- Chciałbym w to wierzyć. Polecono mi, bym przedłożył pani propozycję. Osobiście jestem przeciwny wszelkim układom; Chyba dobrze pani o tym wie. Chcę wnieść o wyrok śmierci i jestem głęboko przekonany, że uzyskałbym go przy obecny* nastawieniu. Ale poproszono mnie, bym zgłosił ten wniosek-

- Słuchamy.

188

J|

Dołączyli do nich Embry i Grimes.

- Jesteśmy gotowi ograniczyć się do oskarżenia o umyślne zabójstwo z artykułu sto dziewiętnaście.

- Ile ofiar? - zapytał Grimes.

- Jedna - odparł Waldron. Grimes uniósł brwi. - Nie osiemdziesiąt siedem. Ten sam tryb postępowania.

- Umyślne zabójstwo to piętnaście lat - wtrącił Embry.

- Na czym polega istota układu - ciągnął Waldron. - Nalegamy na absolutne utajnienie. Zobowiązanie, oczywiście, na piśmie. Jeżeli rząd Salwadoru dowie się o tym, wybuchnie spory międzynarodowy skandal. Sierżant Kubik nie będzie rozmawiał ani o incydencie w La Colina, ani o warunkach układu i wszelkich związanych z nim negocjacjach. Żadnych książek, artykułów w pismach, listów do

redaktora naczelnego. Najmniejszy rozgłos jest wykluczony. Nie wolno też wspominać o tym w prywatnych rozmowach z jakąkolwiek osobą.

Embry i Grimes skinęli głowami. Claire po prostu przyglądała się Waldronowi. Na jej twarzy nie malował się żaden wyraz.

- Wszyscy adwokaci i ich współpracownicy oraz cały personel oskarżający również będą zobligowani do podpisania zobowiązania o pełnej tajności - ciągnął Waldron. - Zrezygnujecie też z apelacji. Kubik zostanie dyscyplinarnie usunięty z armii, przypadną mu też wszelkie wynagrodzenia i zapomogi.

- Ile będzie musiał odsiedzieć? - zapytał Grimes.

- Pięć lat od daty rozprawy - wyjaśnił Waldron. - Resztę wyroku otrzyma w zawieszeniu. Zachowanie tajemnicy będzie częścią klauzuli o dobrym sprawowaniu. Jeżeli naruszy zobowiązanie o tajności, unieważniamy umowę i wraca do Leavenworth.

Grimes odwrócił się do Claire.

~ Nieźle, co - powiedział ponuro Waldron. - Pięć lat za obicie osiemdziesięciu siedmiu ludzi? Lepszego układu nie Uzyskacie za nic w świecie.

- Dlaczego tak ni z tego, ni z owego postanowiliście pójść na ugodę? - spytała Claire.

~ Bo to długi, żmudny i kosztowny proces, toteż uważamy, że dla wszystkich zainteresowanych najlepiej będzie dojść do p^orozumienia już teraz.

- Kiedy chce pan otrzymać odpowiedź?

189

- Zaraz.

- Zaraz? To niemożliwe. Muszę porozmawiać z mężem.

- Przywiozą go tu za parę minut. Ostrzegam, że z układu będą nici, z chwilą gdy Kubik zostanie postawiony w stan oskarżenia.

- Mamy jeszcze trzy tygodnie do rozprawy - rzekła Claire.

- Po co ten pośpiech?

- Niech mi pani da znać o swojej decyzji, zanim postawią go w stan oskarżenia. Co nastąpi za jakieś pięć minut.

Claire powiedziała Tomowi o umowie, kiedy zdejmowano mu kajdany na sali sądowej. Potrząsnął tylko przecząco głową.

- Dlaczego nie? - spytała Claire. - Zachowanie tajemnicy to nie taki wielki wyczyn. Nie puszczałeś pary z ust przez trzynaście lat. A pięć lat w Leavenworth - wiem, że każda odsiadka to ciężkie przeżycie, ale wygląda to bardzo atrakcyjnie, biorąc pod uwagę alternatywę.

- Claire, jestem niewinny - oświadczył Tom. - Nie mam zamiaru odsiadywać pięciu lat za zbrodnię, której nie popełniłem. A zresztą i tak bym nie przeżył Leavenworth. Zabiliby mnie. Jeżeli proponują układ, to znaczy, że się boją. Boją się tego, co możemy wyciągnąć na rozprawie. Co może się przedostać do publicznej wiadomości. Nie czujesz zapachu krwi?

- Jesteś niesamowicie odważny jak na człowieka, któremu grozi możliwość egzekucji. To ryzykowne, Tom. Straszliwie ryzykowne.

- Wszystko, co robiłem, było ryzykowne - odparł. Grimes wpatrywał się w Toma z niedowierzaniem.

- Czy się przesłyszałem, czy właśnie odrzuciłeś propozycję Waldrona? - wyszeptał do niego.

- Nie pójdę siedzieć za zbrodnię, której nie popełniłem

- odparł Tom teatralnym szeptem. Grimes odwrócił się do Claire.

- Nie zmusiłaś go, żeby na to poszedł?

- Nie mogłam go zmusić do przyjęcia umowy - odparła również szeptem.

- Oskarży cię później o nieskuteczną pomoc prawną - PO' wiedział z niesmakiem.

190

Claire podeszła do stołu oskarżenia i dotknęła Waldrona w ramię.

- Nie idziemy na to - rzekła.

- Kubik usłyszał warunki i nie podskoczył do góry z radości? - zapytał Waldron - Mówi pani poważnie?

- Opuśćcie te pięć lat i umowa stoi.

- Tego się nie przeskoczy.

- W takim razie spotykamy się na rozprawie. Waldron rzucił jej uśmiech gladiatora.

- Będzie pani żałować, że pani na to nie poszła.
- Bardzo możliwe.
- Niech mi pani wierzy. Nie ma pani pojęcia, co panią czeka.
- Ani pan - odparła.

CZEŚĆ CZWARTA

32

- Proszę wstać! - zawołał woźny sądowy.

Sędzia Farrell, okryty czarną togą, narzuconą na mundur, pojawił się w sali i wszedł na podium. Zasiadł za stołem na skórzanym krześle z wysokim oparciem.

- Proszę usiąść. Rozpoczynam przesłuchanie z artykułu trzydzieści dziewięć „a” - zadudnił do mikrofonu.

Waldron stał nadal.

- Ten sąd wojskowy został zwołany przez sekretarza do spraw armii na podstawie przepisu zwołującego numer szes-naście-dziewięćdziesiąt osiem - powiedział Waldron. W sądach wojskowych oskarżyciel pełni również rolę urzędnika sądowego.
- Stany Zjednoczone przeciwko sierżantowi pierwszej Masy Ronaldowi M. Kubikowi. Oskarżonemu zarzuca się naruszenie artykułu osiemdziesiątego piątego, dotyczącego dezercji, oraz artykułu sto osiemnastego - morderstwo z premedytacją osiemdziesięciu siedmiu osób. - I dalej czytał wykaz wstępnych materiałów.

Przed stołem sędziowskim siedziała protokolantka sądowa, ta sama blondynka w średnim wieku, która była obecna na ostatniej sesji sądu. Zajmowała miejsce przy małym stoliku, na uszach miała słuchawki. Przed jej oczyma błyskały światełka dyktafonu, szmaragdowozielone linie podnosiły się i opadały.

- Nazywam się Warren Farrell, jestem pułkownikiem armii Stanów Zjednoczonych - wyrecytował sędzia. - Okręgowy

195

sędzia wojskowy przydzielił mnie do prowadzenia tej sprawy. Moje kwalifikacje są zgodne z artykułem dwadzieścia sześć „a” wojskowego kodeksu karnego. Czy któraś ze stron chce sprawdzić kompetencje sędziego wojskowego? - Odniósł się do rzadko wykorzystywanego prawa, zgodnie z którym można podać w wątpliwość prawo sędziego do prowadzenia sprawy, a nawet wyłączyć go z postępowania. Podniósł się

Waldron.

- Nie, Wysoki Sądzie. Następnie wstała Claire.
- Tak, Wysoki Sądzie. Chcemy to sprawdzić.

Grimes uderzył się w czoło wielką dłonią. Dźwięk ten doszedł aż do stołu oskarżycieli, gdzie kapitan Hogan spojrział na Grimesa z wymuszonym uśmiechem. Współbrońca przez cały zeszły wieczór usiłował wybić to Claire z głowy, ale był nieugięty.

- W porządku, pani Chapman - powiedział sędzia Farrell nie dając po sobie poznać, że zepsuło mu to humor.
- Wysoki Sądzie - zapytała - czy Wysoki Sąd wie, dlaczego został wyznaczony do tej sprawy?

Farrell wysunął podbródek i przyjrzał się jej zamglonym oczyma. Pociągnął łyk kawy.

- Przypuszczam, że wyznaczono mnie ze względu na moje doświadczenie w sprawach, w których w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe.

Claire rozważała to przez chwilę, po czym postanowiła zrobić następny ruch.

- Czy Wysoki Sąd może podać do protokołu wszelkie rozmowy, które Wysoki Sąd prowadził z jakimkolwiek pracownikiem Wojskowego Biura Śledczego w związku z tą sprawą?

W oczach Farrella pojawił się niemal niezauważalny błysk. Ale nadal dotrzymywał jej pola.

- O ile dobrze pamiętam, pani adwokat, przeprowadziłem jedną czy dwie rozmowy o charakterze czysto administracyjnym.

\

- Rozumiem. A czy Wysoki Sąd może podać do protokołu: wszelkie rozmowy, jakie Wysoki Sąd ewentualnie przeprowadził; z którymś z członków personelu sekretarza do spraw armii lub szefa sztabu armii?

196

Było to interesujące pytanie i Claire zastanawiała się, jak dalece uczciwy okaże się Farrell. Czy będzie chciał zacierać za sobą ślady.

Lecz sędzia był na to za sprytny. Pociągnął kolejny łyk kawy i spojrział na niski sufit,

jakby usiłując przywołać wspomnienie z odległej, mglistej przeszłości.

- Cóż, pani adwokat, przypominam sobie tylko jedną rozmowę związaną z tą sprawą, z członkiem gabinetu szefa sztabu. Odbyła się ona przed paroma dniami.

- Czy Wysoki Sąd może podać do protokołu treść tej rozmowy?

Jego oczy nie miały najmniejszego wyrazu.

- Och, rozmawialiśmy ogólnie o sprawach harmonogramu i tym podobnych.

Ale dlaczego ktokolwiek z gabinetu generała Marksa miałby dzwonić do sędziego w sprawach harmonogramu? Nie miało to najmniejszego sensu.

- Z kim Wysoki Sąd rozmawiał?

- Z pułkownikiem Hernandezem.

- Co takiego?! - usłyszała z tyłu za sobą okrzyk Grimesa.

- Czy pułkownik Hernandez jest pańskim podwładnym, Wysoki Sądzie? - spytała Claire, starając się ukryć zdumienie.

- Nie, nie jest. - Cierpliwość sędziego wyraźnie się wyczerpywała.

- A czy kiedykolwiek wcześniej pułkownik Hernandez dzwonił do Wysokiego Sądu w sprawie harmonogramu jakiejś rozprawy?

- Nie wydaje mi się, nie - powiedział takim tonem, jakby chciał już skończyć z tym tematem.

- Nigdy nie rozmawiał z Wysokim Sądem na temat harmonogramu żadnej innej rozprawy przed sądem wojskowym?

- Jak już powiedziałem, żadnych innych rozmów na ten temat sobie nie przypominam.

- A czy Wysoki Sąd mógłby opowiedzieć nam dokładniej przebieg rozmowy z pułkownikiem Hernandezem?

Ale sędzia Farrell miał już po dziurki w nosie tego tematu.

- Pani adwokat, jestem człowiekiem zajęтым - rzekł szorstko. - Każdy dzień mam rozplanowany co do minuty. Codziennie rozmawiam z wieloma ludźmi na setki najrozmaitszych tematów. Niestety, nie zawsze pamiętam każde słowo. A teraz, czy

obrona bądź oskarżenie wnoszą o wyłączenie wojskowego sędziego z tej sprawy?
Podniósł się Waldron.

- Z całą pewnością nie, Wysoki Sądzie.

- Wysoki Sądzie, prosimy o krótką przerwę, podczas której obrona naradzi się, czy wnosić o wyłączenie - rzekła Claire.

- Ogłaszam dziesięciominutową przerwę - zakomunikował sędzia Farrell i uderzył młotkiem.

Gdy Claire siadała, Grimes chwycił ją za ramię.

- Chciałem ci zadać jedno proste pytanie. Czy zupełnie ci się popieprzyło w głowie, czy wypaliłaś za dużo trawki? Nie chcesz chyba naprawdę żądać jego wyłączenia, co? Bo nie możemy przedstawić żadnego powodu.

- Nie - przyznała. - To nieużyty gbur, ale nic na niego nie mamy.

- No dobrze, rozmawiał z Hernandezem. To rzeczywiście dziwne. Chcesz pograć na nerwach temu dupkowi?

- Grimes, chcę, żeby wiedział, że pilnie mu się przypatrujemy. Więc niech lepiej uważa i zachowuje się przyzwoicie.

Gdy sąd zebrał się ponownie, Claire oświadczyła:

- W obecnej chwili nie mamy powodu, by domagać się wyłączenia sędziego.

Sędzia Farrell stłumił uśmiech.

- Dobrze, w takim razie, oskarżony, proszę wstać.

Tom z wolna podniósł się na nogi. Pouczono go, co ma powiedzieć.

- Sierzancie Kubik, w jaki sposób chcecie być sądeni? Tom znał odpowiedź.

- Przez oficerski sąd wojskowy, Wysoki Sądzie. Członków ławy przysięgłych wybierał organ powołujący

sąd. Dobieranie członków ławy pod odpowiednim kątem, tak by uzyskać pożądany wyrok, jest bezprawne, choć wiadomo, że od czasu do czasu do tego dochodzi. Członkowie ławy przysięgłych muszą też głosować zgodnie ze swoim sumieniem, bez wskazówek z góry czy też wpływu dowództwa. Zazwyczaj członkowie są wyżsi rangą niż oskarżony. Jeżeli oskarżony jest podoficerem, ma prawo domagać się, by przynajmniej jedna trzecia składu ławy przysięgłych również składała się z podofi-

cerów, lecz Grimes namawiał Toma, by zdecydował się na samych oficerów, którzy są bardziej odpowiedzialni, godni zaufania i mają mniejszą skłonność do pochopnego działania. Tak w każdym razie powiedział mu Grimes.

- Kto będzie pełnomocnikiem oskarżonego? - zapytał sędzieja.
- Pani Chapman, pan Grimes i kapitan Embry, proszę Wysokiego Sądu.
- Sąd wyraża zgodę. Pozwany zostanie teraz postawiony w stan oskarżenia. Czy obrona domaga się, by odczytano oskarżonemu szczegółowy akt oskarżenia?
- Rezygnujemy z odczytania, Wysoki Sądzie.
- Sierzancie pierwszej klasy Kubik, teraz zapytam, czy przyznajecie się do winy, ale przedtem muszę was poinformować, że wszelkie wnioski o oddalenie czy inne ulgi prawne muszą być zgłoszone teraz.
- Wysoki Sądzie, obrona zgłasza szereg wniosków - rzekła Claire.

W oczach sędziego pojawił się błysk. Wnioski nie były zaskoczeniem, gdyż zażądał, by przygotowano je na trzy dni przed postawieniem Kubika w stan oskarżenia i przedstawiono sędziemu na przesłuchaniu jeszcze pod nieobecność ławy przysięgłych. Całe to postępowanie było formalnością, szczegółowo ustalonym rytuałem, tańcem kabuki.

- Sierzancie Kubik - powiedział sędzia - możecie usiąść. Tom powrócił na swoje miejsce, czyniąc zgrabny wojskowy

zwrot. Miał tylko raz przemawiać w sądzie i właśnie zakończył swoje wystąpienie.

I oto rozpoczął się taniec kabuki. Claire przedstawiała wnioski, jeden po drugim, a Waldron dokładał wszelkich starań, by zostały odrzucone. Było ich sporo. Wniosek o odwołanie całej rozprawy z powodu niewystarczających dowodów. Wniosek in limine o wyłączenie akt, dotyczących okresu służby Toma w Wietnamie. Tom upierał się, że zostały sfalszowane, obrona domagała się ich wyłączenia, ponieważ nie miały związku ze sprawą.

I tak dalej, i tak dalej. Sędzia Farrell bazgrał zawzięcie, Podczas gdy Claire przedstawiała apelacyjne dowody rzeczowe. Ciągnęło się to parę godzin.

Wreszcie Claire skończyła i głos zabrał sędzia Farrell:

- Odrzucam wnioski obrony, a także przedstawione na ich poparcie świadectwa i dowody. Odrzucam też dowody przedstawione przez oskarżenie. Ustalenia sądu co do faktów i wyciągnięte wnioski prawne zostaną dołączone do protokołu przed upoważnieniem.

Nie stanowiło to zaskoczenia, lecz Claire podniosła się, by zgłosić swój sprzeciw do protokołu.

- Zgłaszam sprzeciw wobec postanowienia sądu.

- Sprzeciw zostaje odrzucony. Następnie rozpatrzyłem wniosek obrony o dopuszczenie wyników badania poligrafem, przemawiających na korzyść oskarżonego, jak również zeznanie eksperta oraz dowody przedstawione przez oskarżenie. Odrzucam ten wniosek. Ustalenia sądu co do faktów i wyciągnięte wnioski prawne zostaną dołączone do protokołu przed upoważnieniem.

Była to poważna porażka, toteż Claire zerwała się na nogi.

- Zgłaszam sprzeciw wobec postanowienia Wysokiego Sądu.

- Sprzeciw zostaje odrzucony. I tak dalej. Jeden po drugim.

Każdy wniosek, tak zręcznie przedstawiony, tak przekonująco udowodniany, sędzia odrzucał. Za każdym razem Claire podskakiwała, niczym dziecinny ludzik na sprężynce, i zgłaszała swój sprzeciw do protokołu. Odrzucony. Uchylony.

- Czy obrona ma jeszcze jakieś wnioski? - zapytał sędzia Farrell z błyskiem w oku.

Grimes potrząsnął głową z chmurną miną. Tom patrzył przed siebie w niemym osłupieniu. Embry siedział sztywno, skonsternowany.

- Tak, Wysoki Sądzie - odparła Claire, podnosząc się ze znużeniem. - Obrona jeszcze raz podważa zamknięty charakter tej rozprawy. Nadal utrzymujemy, że oskarżony ma prawo do publicznego procesu, co gwarantuje mu Pierwsza i Szósta Poprawka, którą z całym szacunkiem...

- Nie - warknął sędzia Farrell.

- Słucham, Wysoki Sądzie?

- Już o tym wszystkim była mowa, więc dajmy sobie spokój-

- Wysoki Sądzie, obrona z całym szacunkiem utrzymuje, że taka rozprawa...

- Proszę usiąść. Powiedziałem już, że o tym nie ma mowy-Nie chcę tego znowu słuchać. - Ogorzała twarz sędziego

czerwieniła jeszcze mocniej. - Oskarżenie udowodniło już w sposób niepodważalny, że prawa oskarżonego nie zostaną narażone na szwank, jeżeli rozprawa odbędzie się in camera. W grę wchodzi tu ważne sprawy, dotyczące bezpieczeństwa narodowego, podlegające wojskowemu kodeksowi środków dowodowych - pięćset pięć. Wydałem postanowienia. Czy obrona zwracała uwagę na to, co mówił sąd?

- Wysoki Sądzie... - odezwała się Claire ze swego miejsca za stołem obrony.
- Chcę pani coś powiedzieć, pani Chapman. Głośno i wyraźnie. Nie będę tego więcej słuchał. A jeśli podniesie pani tę kwestię w obecności ławy przysięgłych, oskarżę panią o obrazę sądu.
- Tak jest, Wysoki Sądzie. Bo to jest obraza całego sądownictwa - wymruczała pod nosem do Grimesa.
- Mówiła pani coś? - warknął sędzia Farrell.
- Nie, Wysoki Sądzie.
- Dobrze. A teraz mówię śmiertelnie poważnie. Jeśli podniesie pani tę kwestię w obecności członków, to jest - ławy przysięgłych, bo zdaje się, że nie zna pani zbyt dobrze przepisów obowiązujących w systemie sądów wojskowych - sama pani pójdzie siedzieć do więzienia Quantico. Nie wiem, jak te sprawy przedstawiają się w Cambridge, pani profesor, ale w tych okolicach ostrzeżenie nie jest konieczne. I nie ma pani prawa apelacji. Czy pani mnie dobrze słyszy?

Claire podniosła się.

- Nie będzie pan mógł tego wyegzekwować. Jestem osobą cywilną i jako taka nie podlegam pańskiej jurysdykcji. A już z pewnością nie może mnie pan wtrącić do więzienia wojskowego.
- Chce się pani przekonać?

Claire i sędzia wpatrywali się w siebie przez kilka długich sekund. Grimes zasłonił oczy ręką i osunął się niżej na krześle.

- Dobrze. Czy jest pani gotowa zabrać głos w imieniu swego klienta?
- Tak, Wysoki Sądzie - rzekła Claire z wyraźną pogardą w głosie. - Jesteśmy gotowi
- powtórzyła, podnosząc się.
- Oskarżony, proszę wstać. Tom podniósł się na nogi.

- Wysoki Sądzie - powiedziała Claire - przez swoich pełnomocników sierżant pierwszej klasy Ronald M. Kubik oświadcza, że nie jest winien żadnemu ze stawianych mu zarzutów.

- Dobrze. Rozumiem głos obrony. Proszę usiąść.

Na powrót zajęli swoje miejsca. Claire ujęła Toma za rękę i mocno ją uścisnęła. Tom odwzajemnił uścisk.

- No dobrze, to już mamy z głowy - wyszeptała.

- Ciężko idzie, co? - szepnął w odpowiedzi.

- Gorzej, niż się spodziewałam. Ten sędzia nie odpuści ani trochę.

- Czy obrona jest gotowa do przesłuchania członków ławy przysięgłych?! - zawołał sędzia Farrell.

- Co takiego?

- Pytałem, czy jesteście przygotowani do przedstawienia członków ławy przysięgłych?

Claire odwróciła się do Grimesa, który był równie zdumiony jak ona.

- Ależ rozprawa miała się rozpocząć za trzy tygodnie! - wyrwało się Tomowi, zbyt głośno.

- Tak, Wysoki Sądzie - rzekł Waldron. - Jesteśmy gotowi. Claire poderwała się na nogi.

- Nie, Wysoki Sądzie, absolutnie nie jesteśmy do tego przygotowani. Byliśmy przekonani, że rozprawa rozpocznie się za trzy tygodnie. To proces o morderstwo, w którym może zapaść wyrok śmierci, zarzuty są niezwykle poważne, a obrona nie jest przygotowana do przesłuchania świadków. Jesteśmy w środku prac dochodzeniowych.

- Co to znaczy, że byliście „przekonani”? - odpalił Farrell, wpatrując się w nich zwężonymi oczyma.

Podniósł się Grimes.

- Powiedziano nam to, nieoficjalnie, w Wojskowym Biurze Śledczym, Wysoki Sądzie. - Claire nigdy jeszcze nie słyszała w jego głosie takiego niepokoju, takiego

lęku.

- No cóż, może macie taką umowę z Wojskowym Biurem Śledczym, ale ja jestem sędzią i to ja decyduję o wejściu sprawy na wokandę.

- Wysoki Sądzie - rzekła Claire. - Dziś rano odbyło się posiedzenie, na którym rozpatrywano nasze wnioski. Nie mogliśmy przygotować się do rozprawy, nie wiedząc, które z naszych dowodów Wysoki Sąd uzna. Postanowienia Wysokiego Sądu

202

dotyczące dopuszczalności bądź niedopuszczalności pewnych dowodów kształtują naszą linię postępowania. Nie mieliśmy jeszcze możliwości przesłuchania niektórych świadków. Co do innych, musimy przeprowadzić dalsze śledztwo, by potwierdzić ich zeznania lub im zaprzeczyć.

- Obrona miała mnóstwo czasu na przygotowanie - stwierdził sędzia Farrell z mrozącym chłodem.

Musiała użyć całego swego opanowania, by nie napaść na sędziego w najostrożniejszych słowach.

- Wysoki Sądzie, obrona nie postępowała opieszale. Opieraliśmy nasze działania na nieformalnej informacji, że między postawieniem pozwanego w stan oskarżenia a rozprawą upłynęły trzy tygodnie. Chcę też dodać, że kilkakrotnie usiłowaliśmy przesłuchać głównego świadka oskarżenia, szefa sztabu armii, który konsekwentnie odmawiał udzielenia odpowiedzi na nasze pytania. A zatem absolutnie nie jesteśmy przygotowani do obrony w procesie ani do przesłuchania świadków. Dlatego chcieliśmy prosić o miesiąc na przygotowanie się do rozprawy.

- Odrzucam prośbę - powiedział stanowczo sędzia Farrell. Podniósł się Waldron.

- Wysoki Sądzie, sztab Wojskowego Biura Śledczego poinformował nas, że generał William Marks postanowił stawić się na rozmowę z obroną - oznajmił.

Claire spojrzała na Grimesa. To grom z jasnego nieba. Podniosła się.

- W takim razie, Wysoki Sądzie, z całym szacunkiem prosimy o dwa tygodnie na przygotowanie się do przeprowadzenia tej rozmowy przed rozpoczęciem rozprawy.

- Odrzucam wniosek - rzekł sędzia Farrell.

- Wysoki Sądzie - wtrącił się Grimes - obrona zgodzi się na przyspieszoną rozprawę, jeżeli zostanie nam udzielona zwłoka. Pozwany został postawiony w stan oskarżenia,

tak że Przyspieszona rozprawa nie stanowi już kwestii. W tej chwili chodzi o to, by naszemu klientowi wytoczono sprawiedliwy Proces, a nie będzie on sprawiedliwy, jeśli obrona nie zdoła się Przygotować.

- Obrona powinna być przygotowana, a jeżeli nie jest, to JUŻ nie wina sądu. Proces w tej sprawie rozpoczyna się dzisiaj.

Grimes opadł na krzesło, osłupiały. Tom obrócił się ku niemu, mając oczy szeroko otwarte ze zdumienia.

203

- Czy on mówi poważnie? - wyszeptał.

- To sąd wojskowy - wymamrotał Grimes. - Mają prawo Tylko w sądzie wojskowym.

- Ale sukinsyn! - wyszeptał z niedowierzaniem Embry.

- Wysoki Sądzie - rzekła Claire, która nadal stała - jeszcze raz zgłaszam sprzeciw wobec rozpoczęcia rozprawy w dniu dzisiejszym.

- Sprzeciw zostaje zaprotokołowany i odrzucony. Czy oskarżenie jest przygotowane do przesłuchania członków?

- Jesteśmy gotowi, Wysoki Sądzie! - krzyknął Waldron.

- Wysoki Sądzie - rzekła Claire - wyjaśniliśmy już nasze stanowisko co do tego, czy jesteśmy przygotowani. Nie jesteśmy. Nie zdołaliśmy się przygotować, gdyż otrzymaliśmy zapewnienia, że ta rozprawa rozpocznie się dopiero za trzy tygodnie.

Farrell wysunął w jej kierunku serdelkowaty palec wskazujący.

- Pytałem, czy obrona jest przygotowana do przesłuchań?

- Jeżeli zmusi nas pan do dalszego postępowania - odparła cierpko Claire - przeprowadzimy przesłuchania wedle naszych najlepszych umiejętności.

- W porządku - powiedział Farrell. - Daję wam dwie godziny na przygotowanie pytań dla kandydatów na członków ławy przysięgłych. A ponieważ zbliża się godzina lunchu, sądzę, że to odpowiednia pora na zrobienie przerwy.

I uderzył młotkiem.

33

- Czy oskarżenie jest gotowe do złożenia wstępnego oświadczenia? - zapytał sędzia

Farrell.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - odparł, wstając, Waldron. Nastąpiło to po paru godzinach przesłuchań kandydatów

na członków ławy przysięgłych. Obie strony zakwestionowały kilka osób z przyczyn merytorycznych oraz zgłosiły dwa sprzeciwy kategoryczne, tak że na koniec o losie Toma miały zdecydować dwie kobiety i czterech mężczyzn. Przysięgły najstarszy rangą, podpułkownik, został przewodniczącym składu sędziowskiego, czyli starszym przysięgłym. Był to Murzyn o dość jasnej

204

cerze w okularach w stalowych oprawkach. Siedział pośrodku, w pierwszym rzędzie ławy przysięgłych. Najwyższy stopniem po nim zajmował miejsce po prawej ręce podpułkownika, jeszcze niższy rangą po jego lewej stronie, i tak dalej. Grupa ta nie wyróżniała się niczym szczególnym i śledziła rozprawę z wyteżoną uwagą. Każdy z członków miał dostęp do ściśle tajnych materiałów, każdy gwarantował zachowanie absolutnej tajemnicy.

* * *

Waldron rozpoczął swój wywód cicho, niemal śpiewnie. Claire spodziewała się, że zadudni oskarżycielsko, stentorowym głosem, Waldron jednakże był na to zbyt przebiegły.

- Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, w małej wiosce La Colina, niedaleko San Salvador, osiemdziesięciu siedmiu ludzi obudzono ze snu i zaszlachtowano niczym bydło, przeznaczone na rzeź.

Skupił na sobie całkowitą uwagę członków ławy przysięgłych. Niczego nie zapisywali - sędzia pouczył ich, że oświadczenia wstępne nie mają charakteru dowodowego, toteż nie powinni robić notatek. Patrzyli, jak Waldron z wolna zbliża się do ławy sędziowskiej i staje przed nią nieruchomo.

- Tych osiemdziesięciu siedmiu ludzi nie było żołnierzami. Nie walczyli. Nie buntowali się. Nie mieli nic wspólnego z potyczkami, do których dochodziło wówczas w kraju. W wiosce mieszkali mężczyźni, kobiety i dzieci - niewinni cywile. Owi niewinni cywile zginęli w masakrze, spowodowanej nie przez bojową frakcję, nie przez rządowe siły Salwadoru, nie przez buntowników czy powstańców. Wymordował ich jeden amerykański żołnierz. Tak, dobrze mnie usłyszeliście: jeden amerykański żołnierz. W pojedynkę. I to nie w ogniu bitwy. Nie przez przypadek. Ale dla przyjemności.

Claire spojrzała na Grimesa, który potrząsnął głową. Dawał jej znać, by nie podważała motywu. Nie teraz. Niech nie przyciąga do niego uwagi. Na to będzie pora później.

- Jak mogło do tego dojść? - Waldron pochylił głowę, jakby * głębokim zamyśleniu. Przygryzł górną wargę. - Kilka godzin *cześniejszy tajny pododdział amerykańskich sił specjalnych 2 oddziału dwudziestego siódmego otrzymał rozkaz, by okrążyć

205

wioskę i ustalić, czy informacje wywiadu, jakie otrzymało dowództwo, były prawdziwe - czy w wiosce ukrywają się antyrządowi rebelianci. W rzeczywistości nie było ani jednego. Informacja, jak to się często zdarza podczas wojny, okazała się błędna. - Wzruszył ramionami. - Oddział dwudziesty siódmy, pod kompetentnym dowództwem pułkownika Williama Marksa - obecnie szefa sztabu armii - ustalił to. Przygotował się do powrotu do bazy w Ilopango. Wtem, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ktoś zaczął strzelać. Z karabinu maszynowego M-sześćdziesiąt. Ktoś strzelał z tego karabinu do niewinnych wieśniaków.

Claire odwróciła się do Toma, by szepnąć mu coś do ucha, i zobaczyła, że po jego twarzy spływają łzy. Ujęła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Usłyszycie zeznania dwóch członków jednostki, pułkownika Jamesa Hernandeza, zastępcy dowódcy, oraz sierżanta sztabowego Henry'ego Abbotta, którzy widzieli tego człowieka. - Waldron obrócił się powoli i podszedł do stołu obrony. Wskazał prosto na Toma. - Sierżanta pierwszej klasy Ronalda M. Kubika. Widzieli, jak unosi swój karabin maszynowy, wycelowuje go w osiemdziesięciu siedmiu wieśniaków, którzy stali w czterech rzędach, i po kolei kładzie ich trupem. Widzieli, jak bezbronni chłopcy błagali o litość. Jak krzyczeli. I widzieli też, jak sierżant pierwszej klasy Kubik, kładąc trupem tych osiemdziesięciu siedmiu wieśniaków, uśmiechał się. - Waldron znów odwrócił się do ławy przysięgłych. Miał zdziwioną minę. - On się uśmiechał.

Tom potrząsnął głową. Nadal cicho płakał.

- Jak on może tak kłamać? - wyszeptał do Claire.

- Dowódca, generał William Marks, mimo wszelkich wysiłków, nie mógł powstrzymać tego okrucieństwa.

Członkowie ławy przysięgłych siedzieli nieruchomo. Patrzyli jak urzeczeni. Jedna z kobiet położyła sobie na ustach palec wskazujący. Protokółantka, znużona Murzynka w średni© wieku, w narzuconym na ramiona szalu w kwiecisty wzór, cicho stukała w

swoją maszynę.

- Dwaj członkowie jednostki oraz jej dowódca opowiedzą nam o tej straszliwej nocy. Ale nie poprzestaniemy tylk° na zeznaniach naocznych świadków. Mamy również niezbite dowody rzeczowe. Przedstawimy dowody balistyczne: P0'

206

cjski, którymi zabito owych cywilów, oraz łuski wystrzelone podczas tego szaleńczego wyczynu. Wykażemy też ponad wszelką wątpliwość, że pociski te pochodzą z osobistej broni sierżanta pierwszej klasy Kubika. Nie będzie żadnych wątpliwości, najmniejszej niejednoznaczności, cienia niepewności. Mamy naocznych świadków oraz dowody techniczne. Ale dysponujemy jeszcze innym materiałem. Po owym koszmarnym wydarzeniu członków oddziału dwudziestego siódmego wezwano do kwatery głównej sił specjalnych w Fort Bragg, by opowiedzieli o przebiegu całej akcji. Siedmiu żołnierzy złożyło zaprzysiężone oświadczenia. I cóż zrobił sierżant Kubik? Sierżanta Kubika przesłuchiowano dłuższy czas, ale odmówił złożenia zaprzysiężonego oświadczenia. A potem zorganizował ucieczkę z aresztu. Wymknął się. Zdezerterował z wojska. Przemierzył cały kraj. Stworzył sobie fałszywą tożsamość, posługując się zręcznie sfalszowanymi dokumentami. Przybrał fałszywe nazwisko, a nawet wymyślił sobie fałszywy życiorys. Następnie poddał się operacjom plastycznym, które zdecydowanie odmieniły jego wygląd. Na koniec sierżant pierwszej klasy Kubik, pod nazwiskiem Thomasa Chapmana, przeniósł się do Bostonu, gdzie mieszkał jako uciekinier pod fałszywym nazwiskiem, z nową twarzą. Przez trzynaście lat uciekał przed konsekwencjami swojej zbrodni. Dopiero przed paroma tygodniami doprowadziła nas do niego przypadkowo uzyskana informacja. Został wówczas aresztowany przez policję federalną. W ten sposób, panie i panowie, nie zachowuje się człowiek niewinny. Tak postępuje bardzo sprytny i wyrachowany szubrawiec, który wie, że grozi mu kara za popełnienie morderstwa z zimną krwią. Panie i panowie, obowiązują nas przepisy. Obowiązuje nas prawo. Nawet w czasie wojny - niektórzy twierdzą, że zwłaszcza w czasie wojny - naszym postępowaniem kieruje ścisły kodeks honorowy. Nie dokonujemy rzezi niewinnych cywilów dla obłudnej przyjemności. Tak może postępować tylko szaleniec. Zeznania, które usłyszycie w tym procesie, wstrząsną wami i wywołają w was przerażenie. Chcę, by was poruszyły - by wykazać, że nam, Amerykanom, nie wolno dopuścić się takich okropieństw. I byście uznali sierżanta pierwszej klasy Ronalda Kubika winnym morderstwa pierwszego stopnia. Tego wymaga sprawiedliwość. Cichym krokiem powrócił do swego stołu.

207

Zapadła długa, pełna przerażenia cisza. Sędzia Farrell odchrząknął.

- Czy obrona chce wygłosić oświadczenie wstępne, czy też chce je odłożyć.
- Chcę je odłożyć, Wysoki Sądzie.
- Dobrze. W takim razie robimy przerwę na weekend. Rozprawa zostanie odłożona do poniedziałku, kiedy zaczniemy przesłuchania świadków oskarżenia.

Claire opadła na krzesło zupełnie wyczerpana.

34

Na dwóch zatłuszczonych kartonowych pudłach po pizzy wały się puste puszki po koli. Był późny piątkowy wieczór. Między oświadczeniem wstępnym Waldrona a spotkaniem z generałem Marksem po sesji sądowej upłynęły długie godziny. Od przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego minął zaledwie tydzień, jednak wszyscy uwikłani w tę sprawę mieli wrażenie, jakby ciągnęła się już całe miesiące.

Grimes i Embry usadowili się w krzesłach, które zawsze zajmowali. Ray Devereaux sprawdzał, czy w pokoju nie ma aparatury podsłuchowej, przechodząc przez wszystkie częstotliwości za pomocą specjalnego wykrywacza, który wyglądem przypominał radio z długą anteną. Claire krążyła po bibliotece.

- A co by się stało, gdybyśmy w ogóle nie wspomnieli o generale? - zapytała. - Gdyby się nie pochwalił, że jest nietykalny? Kiedy oskarżenie miało nas o tym powiadomić?! - Grimes i Embry nie odzywali się. - Czy nie są zobowiązani do poinformowania obrony o każdorazowym przyznaniu immunitetu - ciągnęła - i do dostarczenia nam kopii przed postawieniem pozwanego w stan oskarżenia?
- W istocie - powiedział ze znużeniem Grimes - kodeks przewiduje, że „w odpowiednim czasie, poprzedzającym złożenie zeznań przez świadka” czy coś w tym rodzaju.
- Co znaczy, kiedy im się, kurczę, zechce.
- Zasadniczo tak.
- Czysto - oznajmił Devereaux. - Możesz mówić spokojnie-

208

- Pluskwy przedtem też jej w niczym nie przeszkadzały _ podkreślił Grimes.
- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy podnieść tej kwestii na rozprawie.

Embry z wolna potrząsnął głową, ale się nie odezwał.

- Claire - odezwał się Grimes - pozwól, że ci coś powiem. Gdy postanowiłaś sprawdzić kompetencje sędziego, gdy go brałaś w obroty, straszliwie go wkurzyłaś. Podważyłaś jego pozycję. Myślę, że przyszła pora, byś dała sobie lodu i odpuściła trochę facetowi. Przestań wyprowadzać go z równowagi.

- Nie mam zamiaru mu odpuszczać - odparła. - Proszę, w jakiej jesteśmy sytuacji, nie mamy świadków, którzy by potwierdzili wersję Toma, a jeśli poprosimy o odroczenie, Farrell roześmieje się nam w nos. Zaprzysiężone zeznania innych członków jednostki są podejrzenie podobne...

- Myślisz, że podyktowali im, co mają napisać? - zapytał Embry.

- Z pewnością.

- Jak możemy to wywęszyć?

- Jedyne sposoby - odparła - polega na wydobyciu zeznań ze świadków. Musimy się postarać, by nadal żyjący członkowie oddziału wyparli się zeznań, złożonych podczas przesłuchania trzynaście lat temu. Więc kogo tu mamy?

- Waldron wymienił dwu, którzy oświadczyli, że widzieli, jak Tom strzela ze swojego karabinu maszynowego - odezwał się Ray Devereaux. - To Hernandez i facet o nazwisku Henry Abbott. Z Hernandezem już rozmawialiście.

- To pupilek generała - rzekł Grimes. - W życiu się nie wycofa. Choć może uda mi się wpuścić go w maliny, zapędzić w kozie róg. Kto to jest Abbott?

- Sierżant sztabowy Henry Abbott odszedł z wojska w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. Pracuje w sektorze prywatnym. Dokładnie rzecz biorąc, wykonuje zlecenia związane z obronnością.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - powiedział Grimes.

- Jest rządowym łącznikiem w jednej z tych wielkich, potężnych korporacji obronnych. Co znaczy, że sprzedaje Pentagonowi. Coś mi się nie wydaje, żeby zmienił dla ciebie zaprotokołowane oświadczenie. Pentagon trzyma go na krótkiej smyczy.

209

- Znajduje się na liście świadków oskarżenia. Ale nie wiemy kiedy ma zeznawać.

- Przyjechał do Waszyngtonu - poinformował Devereaux jak zawsze przejawiając

znakomite wyczucie sytuacji. - Zatrzymał się w hotelu Madison.

- Porozmawiajmy z nim - rzekła Claire.

- Umówiłem was z tym facetem na śniadanie - oznajmił Devereaux. - Jutro o siódmej rano.

- Co takiego? - zdumiała się Claire. - Dzięki, że nas poinformowałeś.

- O siódmej? - jęknął Grimes.

- Właśnie to nakręciłem - odparł Devereaux. Odwrócił się do Grimesa. - Lubi wcześniej wstawać.

- Albo chce nam dać popalić - dorzucił Grimes. - Kogo poza tym mamy?

- Jeszcze dwóch - powiedział Devereaux. - Roberta Lentiniego i Marka Faheya. Faheya w końcu odnalazłem. Zajmuje się sprzedażą nieruchomości w Pepper Pike, w Ohio. Nie mam pojęcia, gdzie dokładnie leży ta cholerna dziura. Rozmawiałem z nim. Może i warto z tym gościem pogadać - trudno powiedzieć. Sprawia wrażenie rozgoryczonego swymi wojskowymi przeżyciami. Chyba nie był dziarskim wojakiem.

- O takiego faceta nam chodzi - ucieszyła się Claire.

- Pozostaje jeszcze Lentini - ciągnął Devereaux. - Tajemnicza postać. Poprosiłem o jego zdjęcie z okresu, gdy się zaciągnął, powinni mi je wygrzebać w ciągu paru dni, ale nic nam z tego nie przyjdzie. Oprócz tego nie mamy nic. Żadnych danych. Nie wiadomo, co się z nim w końcu stało. Sprawdziłem w Ośrodku Rezerwistów Armii Stanów Zjednoczonych, gdzie mają teczki wszystkich wojskowych, którzy odeszli do cywila. A także w dowództwie wojsk Stanów Zjednoczonych, w którym znajdują się dane wszystkich wojskowych w służbie czynnej-Guzik. Nie ma też żadnej wzmianki o jego śmierci.

- To niemożliwe - rzekła Claire. - Jeżeli żyje, musi znajdować się albo w wojsku, albo w cywilu. Nie może go nie być ani tu, ani tam. Sprawdź, czy nie zaszła jakaś głupia pomyłka, na przykład nie takie drugie imię albo błąd w nazwisku czy coś w tym rodzaju.

Devereaux obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Czy wyglądam na idiotę?

- Nie odpowiadaj na to pytanie - poradził Grimes.
- No dobra - podsumowała Claire. - Ray, potrzebuję wszystkiego, co tylko masz na Abbotta, i to już. Możecie jeszcze posiedzieć, panowie, jeżeli macie ochotę, ale jest druga w nocy i muszę się chociaż chwilkę zdrzemnąć, żebym jutro rano była przytomna na spotkaniu z Abbottem.

35

Słyszając lekkie puknięcie w klakson, Claire otworzyła frontowe drzwi. Podrdzewiały srebrzysty mercedes Grimesa stał na jej podjeździe. W sobotę o wpół do siódmej rano ulica Trzydziesta Trzecia była opustoszała. Wczesne poranne słońce rzucało przytłumiony blask. Ptaszek świergotał melodyjnie z regularnością metronomu. Claire bolała głowa i dudniło jej w skroniach. Jaskrawe światło raziło ją w oczy.

- Świeżutka jak poranek - powiedział sardonicznie Grimes.
- Czytałam materiały o Abbotcie prawie do czwartej rano. Muszę się napić kawy.
- Wpadniemy gdzieś po drodze.

W hallu recepcyjnym hotelu Madison dołączył do nich Ray Devereaux. Wręczył Claire mały telefon komórkowy firmy Motorola, porozmawiał z nią parę minut, po czym wyszedł na ulicę.

Spotkali się z Henrym Abbottem w hotelowej restauracji. Opalony, wyglądał na człowieka, któremu się dobrze powodzi, był też przystojny w sposób nieco złowieszczy. Srebrzyste włosy miał szesane z kwadratowego czoła do tyłu. Nosił okulary w złotej oprawce. Ubrany był w szary garnitur, białą koszulę, pod szyją zawiązał elegancki krawat z niebieskiego jedwabiu w drobny wzorek.

Gdy doszli do jego stolika, spojrzął na zegarek, wąskiego, złotego patka philippe'a.

- Macie dwadzieścia minut - oznajmił. Grimes przewrócił oczyma, ale się nie odezwał.
- Życzę panu dobrego dnia - rzekła Claire, kładąc przed sobą na stoliku telefon komórkowy. Kofeina i świeżo nałożona szminka sprawiły, że poczuła się mniej więcej jak człowiek. Przedstawiła siebie i Grimesa.

211

- Nie mam wam nic do powiedzenia - zastrzegł się. - Żadne prawo nie zmusza mnie do rozmowy z wojskowymi służbami śledczymi.

- W takim razie dlaczego zgodził się pan z nami spotkać?
- spytała Claire.
- Z ciekawości. Chciałem zobaczyć, jak pani wygląda. Czytałem o pani.
- No więc teraz już pan wie.
- Normalnie wygląda lepiej - powiedział Grimes przepraszającym tonem. - Ale dzisiaj spała tylko trzy godziny.
- Chcieliśmy zadać panu parę pytań - rzekła.
- A dlaczego niby mam z wami rozmawiać? Muszę dbać o swoją opinię.

No, myślę - przemknęło przez głowę Claire.

- Pańskie oświadczenie dla wydziału śledczego nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości - powiedziała. - Z pewnością podsunęli panu kopię, by odświeżyć pańską pamięć.
- I tak nie widziałem tego, co rzekomo zrobił Kubik.
- W zaprzysiężonym oświadczeniu twierdzi pan inaczej
- wtrącił się Grimes.
- Noo, taak - rzekł Abbott i pociągnął łyk kawy. Nadszedł kelner i ponalewał wszystkim do filiżanek. Claire z wdzięcznością upiła ze swojej. Kofeina podziałała natychmiast, przyspieszając bicie jej serca, wywołując kropelki potu na skroniach.
- Wiemy, jak to było naprawdę - zaczęła. - Wszystkie oświadczenia żołnierzy z jednostki dwudziestej siódmej są takie same. Co jest o wiele za sprytne. Ryzykuje pan, że w trakcie rozprawy zapłacze się pan we własne zeznanie, które wymuszono na panu trzynaście lat temu. Chyba pan tego nie chce.
- Nagrywacie to? - zapytał Abbott.
- Nie - odparła.

Lekko przykładał do ust białą lnianą serwetkę.

- Jeżeli, teoretycznie, zmienię swoje oświadczenie, oskarżą mnie, że kłamałem, zeznając w śledztwie pod przysięgą.

Więc o to chodziło.

- Nie mogą - odparła. - Nie może pan odpowiadać karnie przed sądem wojskowym,

skoro przeszedł pan do cywila.

- A kto tak powiedział?

- Sąd Najwyższy - poinformował go Grimes. - Dziesiątki

212

lat temu. Chyba nie chce pan być ostatnim facetem, który woli kłamać, niż współpracować, by wykryć prawdę.

- A jeśli na to nie pójdę? - Teraz badał różne możliwości, sprawdzając swoje pole manewru.

- To proste - odparła Claire. - Jeżeli złoży pan fałszywe zeznanie, będzie pan sądzony za krzywoprzysięstwo w federalnym sądzie rejonowym. Zgodnie z kodeksem karnym Stanów Zjednoczonych grozi panu kara do pięciu lat więzienia. A kiedy pan wyjdzie, może się pan pożegnać z tymi wszystkimi lukratywnymi zamówieniami rządowymi. Źródło natychmiast wyschnie.

- Zrozumcie - powiedział zdenerwowany Abbott - nie jestem dla was odpowiednim świadkiem. Nie widziałem, jak strzelał. Byłem po drugiej stronie tej cholernej wioski, gdzie obsługiwałem radio.

- A jednak zeznał pan, że widział, jak Kubik strzelał.

- Naprawdę jesteście tak pioruńsko naiwni, czy tylko udajecie?! - warknął.

- Co pan chciał przez to powiedzieć? - zapytała.

- Rozmawiamy nieoficjalnie?

- Jeżeli pan nalega.

- A więc nalegam. To wypowiedź nieoficjalna. Nie opowiadajcie mi, że nie wiecie, w jaki sposób działa system. System działa na korzyść takich facetów, jak pułkownik Marks - przepraszam, generał Marks, niech go szlag. System musi mieć kozła ofiarnego. Zaraz po powrocie z Fort Bragg Marks wezwał każdego z nas jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa i powiedział: „Przygotowuję oświadczenie i chcę się upewnić, że wszystkie fakty są zgodne z prawdziwym przebiegiem wydarzeń. Co zapamiętaliście z tej akcji?” Ja mu na to: „Niczego nie pamiętam, ani w tę, ani w tę”. Byłem dobrym żołnierzem. Słyszałem, co odpowiedzieć. Ale on chciał czegoś więcej. „Nie widzieliście, jak Kubik nagle podnosi broń i zaczyna strzelać?” „Nie, panie pułkowniku, nie widziałem”. Chodzi o to, że była noc, a ja znajdowałem się jakieś dwieście jardów dalej. Słyszałem, że ktoś strzela, ale jak, do diabła, miałem

poznać, kto to jest? „Na pewno nie widzieliście, sierżancie, jak Kubik nagle oszalał i zaczął strzelać? - powiada Marks. - Przypomnijcie sobie dobrze, sierżancie. Od tego zależy, czy pójdziecie do góry, czy dostaniecie kopa w dół. Kubik ma porywczy charakter. Jeżeli

213

porządnie pogrzebiecie w pamięci, na pewno stanie wam przed oczyma obraz Kubika, który nagle chwyta za broń i zaczyna strzelać". Nie urodziłem się wczoraj, więc odpowiadam: „Tak, panie pułkowniku, oczywiście, tak to się odbyło. Ma pani absolutną rację, tak właśnie się zachował". Tylko tyle było potrzeba.

Claire skinęła głową, jakby po prostu potwierdzał to, co już wiedziała.

- I chcę, żebyście wiedzieli, że na rozprawie wszystkiego się wyprę. Codziennie podpisuję jakąś umowę z Pentagonem. Kupują w mojej firmie sprzęt za miliardy dolarów. A oni nie lubią kapusiów ani zdrajców. Mam umówione spotkanie.
- Podniósł się. - Czy to prawda, co pisze „Post”?
- Nie czytałem dzisiaj jeszcze „Post” - odparł Grimes.
- O czym pan mówi?
- O pani - rzekł Abbott. - Naprawdę pani to zrobiła? Ale pewnie nie chce pani o tym mówić, co?
- A niech to szlag! - zaklęła. - „Post” dowiedział się, co robię w Waszyngtonie, tak?

Zrobił zdumioną minę.

- Czytała to pani, prawda? - otworzył z trzaskiem metalową teczkę, sięgnął do środka i wyjął starannie złożony egzemplarz „Washington Post”, który położył na stoliku przed Claire.

Ujrzała swą fotografię, małą, mieszczącą się w górnej połowie stronicy, a nagłówek - SKAZA NA PRZESZŁOŚCI UCZONEJ Z HA RYAROU'- sprawił, że krew uderzyła jej do głowy.

36

Claire paliła papierosa.

Annie tańczyła wokół kuchennego stołu, powtarzając rytmicznie: „Co? Co? Co?”

- Dziecinko, zostaw nas na chwilę same - poprosiła Jackie.

Claire zgasila papierosa. Wyjela nastepnego, po czym wyciagnela paczke w kierunku Jackie i ze zdumieniem zauwazyła, ze siostra przeczaco kręci głową.

Annie chwycila Claire za spódnice.

- Co czytasz? Powiedz mi. Powiedz mi. Ale Claire zaniemowila z osłupienia.

214

Annie pragnela, by matka poswiecila jej uwage, co malej dodawalo pewnosci siebie. Jednakze mama byla teraz oddalona od niej myslami o tysiace mil i niemal dwa dziesieciolecia.

Jej mama miala teraz dwadzieścia trzy lata. Byla studentka pierwszego roku prawa w Yale. Prawdopodobnie jedna z najzdolniejszych, ale wcale sie tak nie czula. Przewaznie chcialo jej sie plakac, co bardzo czesto robila. Przez wiekszosc wiosennego semestru latala samolotami na trasie Pittsburgh - La Guardia. Na lotnisku w Pittsburghu wynajmowala samochod i udawala sie do Franklin. Z La Guardia jechala autobusami do New Haven. Potem siadala przy szpitalnym lozku matki, ktora powoli umierala na raka watroby.

Miala dziesiatki usprawiedliwień. Rzadko bywala w New Haven w tym semestrze, drugim semestrze pierwszego roku. Nie mogla sie skupic. Powinna byla wziac urlop, ale nie zrobila tego. Czula sie przerazona. Nawet dla studenta, poswiecajacego sie wylacznie nauce, wydzial prawa stanowil potezne wyzwanie, a ona prawie nie zagladala do uniwersyteckiej biblioteki.

Zamierzala wykorzystac malo znany artykul, dotyczacy rewizji procesu, jedynie jako zrodlo inspiracji. Postepowanie cywilne niezbyt ja interesowalo. Chciala wlozyc jeszcze wiele pracy w szkic, ktory wręczyła profesorowi, ale musiala zdazyć na samolot. Wlasnie dostala telefon ze szpitala, ze jej matka umarla. Kazdy na jej miejscu poprosilby o urlop, lecz ona chciala zachowac pozory normalnosci.

Miala fatalnego pecha. Doszlo do parszywego zbiegu okolicznosci.

Jej profesor dosc dobrze pamietal ten artykul na temat rewizji procesu, ktory praktycznie przepisala pod wlasnym nazwiskiem. Jego autorem byl dawny student profesora, ktory z dumą przeslal przedruk swemu dawnemu wykładowcy.

Koszmaryny nefart.

Wezwal ja do swego gabinetu i zapytal, co to wszystko ma znaczc. Ani przez chwile nie probowala wypierac sie czy tez usprawiedliwiac. Byl to zgryzliwy i zgorzknialy czlowiek, niesklonny do poblazliwosci.

To oczywisty, nie budzący najmniejszych wątpliwości plagiat. Dziekan był bardziej wyrozumiały od profesora. Miała wtedy

215

ciężkie przejścia. Jej matka umierała. Powinna była ponm -

o urlop. A przynajmniej należało zwrócić się o przedE?

terminu. Zachowała się nieodpowiedzialnie, nie zaś nTeucS?

Oskarżenie puszczono w niepamięć. Pozwolono S zS

Gdzieś w głębi mieszkania uporczywie dzwonił telefon i, nikt nie ruszył się od kuchennego stołu, by go odebrać. Ci f po raz setny przeczytała artykuł. Zasadni/zo podawał fZl zgodnie z prawdą. Tu i ówdzie pominięto pewne s^eS? ale w sumie była to dobra, dziennikarska robota RepS

Znana prawniczka popełniła plagiat jako studentka wydziału prawa w Yale Annie kurczowo trzymała się rąbka jej spódnicy jakby w obawie, że matka ją zostawi y' J y

- Co teraz z tobą będzie? - spytała Jackie 1

- Nie mam pojęcia - rzekła ochryple. - Mogę stracić I

Ł0SkębXy PraWa- WłaŚC1We J6Stem Pra^ Pe-t ^

- Przecież ciągle trwa twoja kadencja

- Umowa nie obejmuje takich przypadków

- Były okoliczności łagodzące

- Mogę wysunąć taki argument. Harvard pewnie nawet go wysłucha. Ale jest bardziej prawdopodobniepo cichu poproszą mnie, żebym odeszła. Wiem? jak załatwić takie

Jac"ki?enpliedzS8ał C1C • prZyP°mniała * Ponurą mmą Jackie. Powiedział, że musisz troszczyć się o swoją karierę. Nie chcesz przecież zrujnować sobie życia C'

- Owszem - przytaknęła Claire. - Ostrzegał mnie. Ale takie groźby mnie nie powstrzymają

fonTprZSmnie! fi?*^ M ^^ °dWerać tele" tony. Przynajmniej kilkudziesięciu dziennikarzy z asencii

prasowej, gazety codziennej, radia i telewizji, z^dzwS!

216

by dowiedzieć się czegoś więcej na temat historii opisanej w „Post”. Claire albo odmawiała im wszystkim komentarza, albo nie chciała podejść do telefonu. Skontaktowało się i nią też kilku bliskich znajomych z Cambridge; byli to pełni niekłamanego zrozumienia, oddani przyjaciele. Abe Margolis, kolega z wydziału, choć nie należał do mimozowatych typów, z gniewem mówił o wtykaniu nosa w jej prywatne życie, które nie powinno obchodzić personelu „Post”. Mówił, co w tej sytuacji należy przedsięwziąć. Powiedział, że porozmawia z dziekanem wydziału prawa. Jego zdaniem, uda jej się z tego wybrnąć. Claire nastawiona była mniej optymistycznie.

* *

Tak czy owak, musiała wracać do roboty.

Grimes i Embry przesłuchiwali świadków, wydobywali z nich zeznania, ślęczeli nad transkrypcjami rozmów. Tego samego dnia późnym południem wszyscy zebrali się w jej bibliotece, by przeprowadzić rozmowę z Markiem Faheyem z Pepper Pike w Ohio. Dawny żołnierz służb specjalnych, obecnie pośrednik w handlu nieruchomościami. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

- Słyszałem, że Kubik wszystkich ich wymordował - z mikrofonu rozległ się donośny baryton Faheya.
- Ale pan tego nie widział - rzekła Claire.
- Nie. Ale wszyscy o tym potem mówili. Byli naprawdę przerażeni.
- Złożył pan oświadczenie w wydziale śledczym. Stwierdza pan w nim coś zupełnie innego.
- Tak, ale to bzdury - oznajmił Fahey. - Fałszywka. Sfabrykowane od początku do końca.

Grimes skinął głową, uśmiechnął się.

- Jak to? - spytała Claire.

Głos Faheya stał się jeszcze wyższy i głośniejszy.

- Sukinsyny wypisały to wszystko i kazały mi podpisać.
- Agent wydziału śledczego.

- Zgadza się.
- Czy pułkownik Marks przygotowywał pana do przesłuchania?

217

- Wszystkich przygotował. Wezwał nas wcześniej i p0, wiedział: „Chciałbym uzgodnić pewne fakty”.
- Dlaczego tak mu zależało, żeby to wszystko zrzucić na Kubika? - zapytał Embry.
- Trząśł się o swój tyłek.
- To znaczy, że Kubik tego nie zrobił? - dopytywała się Claire. Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.
- Mówiłem już, że nie widziałem, jak dokonywano tej krwawej jatki. Ale wszyscy mówili, że Szósty wydał rozkaz.
- Szósty? - zapytała Claire.
- Pułkownik - zero-sześć. On kazał Kubikowi to zrobić. A Kubik, pierdolony świr, skosił ich z przyjemnością.
- Ale Marksa tam nie było - powiedział Grimes.
- Wydał rozkaz przez radio polowe. Powiedział: „Otoczyliście tę bandę?” Hernandez, zastępca dowódcy, melduje: „Tak, mamy ich”. A on na to: „Wykończcie wszystkich”. Hernandez zaczął protestować: „Ale, panie pułkowniku...” Marks dalej swoje: „Wykończcie ich”. I ten świr Kubik | zrobił to z przyjemnością. Wiedząc, że wszyscy są niewinni. ,
- Tak panu powiedziano - poprawiła Claire. - Na własne oczy pan tego nie widział.
- Nie. Ale po co kumple mieliby mnie okłamywać?
- A czy nie jest możliwe - upierała się Claire - że już zaczęto zacierać ślady? Że kilku ludzi dokonało masakry i od razu postanowiono zrzucić to na Kubika?

Po długim milczeniu rozległ się głos Faheya:

- Według mnie wszystko jest możliwe.
- Jeżeli powołają pana na świadka - rzekła Claire - nie wolno panu mówić o tym, co pan słyszał o Kubiku. Ani też, co pan słyszał na temat Marksa. To wszystko pogłoski, które nie są dopuszczane jako dowody. Ale może pan zeznać, że Marks wezwał pana, by pana poinstruować, co ma pan mówić w śledztwie, i że wydział śledczy

przygotował pańskie oświadczenie.

Rozległ się krótki śmiech.

- Skąd pani przyszło do głowy, że w ogóle mam zamiar zeznawać?
- Czy ktoś rozmawiał z panem na temat składania zeznań? - zapytał Grimes.

218

- Taak, przyszło do mnie paru facetów z wojskowego wydziału śledczego i poprosili, żebym zeznawał. Powiedziałem im to, co i wam. Że nie mam zamiaru kłamać, bo lylarks chce obronić swój tyłek. Nawet gdyby był pieprzonym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Więc poinformowali mnie, że wykorzystają moje zaprzysiężone oświadczenie z osiemdziesiątego piątego roku, i poradzili, żebym lepiej przyszedł i zeznawał tak samo.

- Bo inaczej co? - odpowiedziała Claire.

- Bąkali coś o moim zasiłku jako weterana, takich tam pierdołach. Wiedziałem, że plotą głupstwa. Nie mogą mi tego odebrać. Powiedziałem im, żeby się odpieprzyli. Już im nie podlegam. Złożyłem fałszywe oświadczenie, więc czego jeszcze chcecie? Nie mam zamiaru tam iść i dopuścić się krzywoprzysięstwa.

- Brawo - rzekła Claire. - Ma pan rację, nic panu nie mogą zrobić.

- To już wszystko?

- Zgodziłby się pan zeznawać? - zapytał Grimes.

- Że okłamałem wydział śledczy? Czy wyście poszaleli?

- Aby mieć czystą przeszłość. Spokojne sumienie - odparł Grimes.

- Nie mam zamiaru zagłębiać się jeszcze raz w ten koszmar.

- Przyślemy panu bilet lotniczy na pierwszą klasę - zapewnił Grimes, uśmiechając się słabo do Claire i wzruszając ramionami.

- No, no, wycieczka pierwszą klasą do Quantico - powiedział Fahey. - A jaka jest druga nagroda? Opłacone wakacje w Leavenworth?

- Niech pan nas nie zmusza, żebyśmy przysłali panu urzędowe wezwanie - rzekła Claire.

- Sądy wojskowe nie mogą wzywać na świadka cywila - odpalił Fahey. - Niech mi pani nie wciska kitu.

- Nie mówię o sądach wojskowych. Mówię o wezwaniu przez adwokata oficjalnie działającego w Stanach Zjednoczonych.

Długie milczenie.

- A skąd państwo wiedzą, że będę z państwem współpracować, gdy się, powiedzmy, już tam znajdę?

219

- Podlega pan prawu - oświadczyła Claire. - Nie ma pan wyboru.

- No to róbcie, co do was należy.

Rozległo się kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

37

W środku nocy znowu zadzwonił telefon.

Gdy Claire obudziła się, serce waliło jej jak młotem, a w skroniach pulsowało.

Niech sobie dzwoni. Odbierze go automatyczna sekretarka.

Po pięciu dzwonekach sekretarka włączyła się, odtworzyła wiadomość wstępną i długi sygnał. Nastąpiła cisza, potem kliknięcie. Claire wyciągnęła rękę, pogmerała przy aparacie, w końcu zdołała wyłączyć dzwonek.

Serce stopniowo się uspokoiło. Wreszcie zasnęła.

Telefon milczał przez trzy godziny.

O piątej pięćdziesiąt sześć w poniedziałek rano obudziła się, spojrzała na cyfrowy budzik i zorientowała się, że musi wstawać i przygotować się do wyjścia do sądu. Potem uświadomiła sobie, że dzwoni telefon, gdzieś w oddali, w innym pokoju. Pamiętała, że w tym aparacie wyłączyła brzęczyk. Leżała w łóżku, z sercem znowu mocno bijącym, i czekała, aż telefon przełączy się na sekretarkę.

Tym razem na sekretarce odezwał się męski głos. Był młody, stanowczy i apodyktyczny.

- Claire Heller - powiedział. Czekala.

- Niech pani odbierze telefon, to ważne. Wyciągnęła rękę i ujęła słuchawkę.

- Tak?
- Mam dla pani wiadomość - usłyszała.
- Jaką wiadomość? - Usiadła powoli.
- Dotyczącą rozprawy.
- Kto mówi?
- Mam informacje na temat Marksa.
- Ale kto mówi?

Cisza. Czyżby się rozłączył?

Śk

- Lentini. Kojarzy pani moje nazwisko?

S

220

m

- Tak.
 - Muszę mieć gwarancję absolutnej dyskrecji i od razu panią uprzedzam, że nie będę zeznawał. Nie będę zeznawał przeciwko niemu.
 - Możemy się spotkać?
 - Nie w pani domu.
 - To gdzie?
 - I tylko z panią. Z żadnym z pozostałych adwokatów. Ani z pani prywatnym tajniakiem. Jeśli tylko kogoś zobaczę, zmywam się.
 - Skąd pan wie, że pracuję z dwoma adwokatami?
 - Znam parę osób.
 - I od nich wziął pan mój numer?
 - Możemy się spotkać tylko w nocy. Pracuję i niełatwo mi się wyrwać z miasta.
 - Spotkam się z panem, gdzie tylko będzie panu wygodnie.
 - Nie w mojej okolicy. Nie podejmę takiego ryzyka. Niech pani sobie to zapisze.
- Podał jej dokładne wskazówki.
- Tylko pani - przypomniał.

Annie siedziała już przy stole, ubrana w piżamę zakrywającą stopki. Zajadała czekoladowe ptysie, aż jej się uszy trzęsły. Claire, w eleganckim oliwkowym kostiumie z dzianiny, ucałowała ją i pospiesznie uścisnęła.

- Jak się ma moja dziecinka?
- Dobrze - wybełkotała, mając całkowicie zapchaną buzię.
- Będiesz malowała dzisiaj z Jackie?

Annie z zapalem skinęła głową, oczy jej zabłyśły, lecz żuła nadal. Claire zaparzyła duży dzban kawy.

- Wyciągniesz dzisiaj tatusia? - spytała Annie, gdy wreszcie udało jej się przełknąć.
- Robię, co mogę. Chyba jeszcze nie dzisiaj, kochanie.
- Będziemy się później razem bawić? Claire zawahała się.
- Postaram się ze wszystkich sił. - Potem dodała: - Tak, kochanie, pobawimy się, kiedy wrócę z pracy do domu. Będziemy robić, co tylko nam wpadnie do głowy. Ty, ja i Jackie albo tylko ty i ja, jeśli wolisz.

221

- Kto tu wyciera sobie buzię moim imieniem? - wydusiła z siebie Jackie, po omacku wsuwając się do kuchni. Oparła się o framugę i pomasowała czoło. - Jak się macie, psotnice.

Claire spojrzała na długi, czarny podkoszulek Jackie z napisem „Wdzięczni zmarli” oraz czarne spodnie od dresu Uniosła dłonie i strzeliła palcami z bitnikowskim wyrazem aprobaty.

- Niezły ciuch, kobieto.
- Na to dla mnie za wcześnie, Claire -jęknęła Jackie, patrząc, jak kawa gulgotce, po czym z sykiem wlewa się do dzbanka. - Muszę wprowadzić do organizmu trochę kofeiny.

Zadzwoił telefon.

- Tylko nie to - rzekła Claire. - Możesz odebrać?
- Nie - odparła Jackie. - Ledwo mówię. Sygnał rozległ się ponownie.
- O Boże! - jęknęła Claire i podniosła słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie.

- Claire, tu Winthrop.

Winthrop Englander, dziekan wydziału prawa na Harvardzie. Domyśliła się, o co mu może chodzić.

- Dzień dobry, Win - odezwała się.

- Claire, to nie jest dla mnie przyjemny telefon - oznajmił.

- Win...

- Czy ten artykuł jest zgodny z prawdą?

- W zasadzie tak.

- To stawia mnie w niezwykle trudnej sytuacji.

- Rozumiem. Mam na swoje wytłumaczenie tylko jedno: zdarzyło się to bardzo dawno. Postąpiłam bardzo niewłaściwie w momencie, kiedy właśnie umarła moja matka.

- Rozumiem.

- To niczego nie usprawiedliwia, Win, ale...

- Mimo wszystko sprawa będzie bardzo trudna, Claire. Zawsze byłaś cenionym członkiem wydziału, doskonałą wykładownicą, bardzo wartościowym nabytkiem dla wydziału prawa. - Zauważyła czas przeszły jego wypowiedzi. Chyba zaczerpnął ten fragment z mowy pożegnalnej adresowanej do przechodzącego na emeryturę profesora. Po tym popisie orator-skim delikwent powinien zostać nagrodzony złotym zegarkiem-

Chciała zadać mu pytanie: A gdybym opowiedziała ci o tym incydencie i nikt inny by się tego nie dowiedział, czy nadal

222

obstawalbyś przy swoich wzniosłych zasadach? Czy przypadłem nie „Washington Post” - a teraz pewnie i „The New York Times”, a także, dzięki agencjom prasowym, wszystkie inne gazety oraz środki przekazu wyostają twoje poczucie etyczne? Ale powiedziała tylko:

- Rozumiem.

- Odbędą się spotkania, przeprowadzimy konsultacje. Będę cię o wszystkim informował.

Przybyła do Quantico akurat na czas, by zobaczyć, jak biały mikrobus podjeżdża pod budynek, w którym mieści się silnie strzeżona sala sądowa. Z oddali widziała wychodzącego Toma, zakutego we wszystkie możliwe kajdany. Zaczęła się błyskawicznie zastanawiać: Czy chce, by ją zobaczył? Czy chce go uściskać? Wymiana zwykłych ludzkich serdeczności przed rozprawą i po niej przysparzała Claire coraz więcej bólu. Łatwiej traktować go jak jeszcze jednego klienta, z którym rzadko się widuje.

Ale on dojrzał ją pierwszy.

- Claire! - krzyknął ochryple.

Uśmiechnęła się, choć uśmiech był ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę dzisiejszego ranka. Po co obarczać Toma jeszcze dwoma setkami jej kłopotów?

- Claire - powiedział ponownie, wyciągając przed siebie skute ręce, jakby chciał pokazać jej kajdanki. Dziwny gest.

Podeszła bliżej. Jego oczy lśniły od łez. Zdumiona, przytuliła go. Nie mógł odwzajemnić uścisku, co przeszło bólem jej serce.

- Przedstawienie się zaczyna - rzekła ze sztuczną wesołością.

- Ale sukinsyny! - odezwał się stłumionym głosem. Oderwała się od niego, by spojrzeć mu w twarz. Płakał.

- Tom?

- Niech ich szlag trafi. Oglądałem dzisiaj CNN. Wiem o wszystkim.

- Och - westchnęła.

- Chcą mnie dorwać, to jedna sprawa. Teraz próbują zniszczyć ciebie. - Strażnicy stali obok, mierząc ich wrogim spojrzeniem, lecz zdążyli się nauczyć przynajmniej tyle, by nie Przeszkadzać.

223

- To prawda, Tom. Rzeczywiście tak zrobiłam.

- Guzik mnie to obchodzi. Przecież to przeszłość, twoje prywatne sprawy... - Teraz obie dłonie zacisnął w pięści i uderzał nimi w powietrze niczym spętany bokser. Zadzwięczały łańcuchy. - Niech ich szlag, Claire. Podejdz tu, proszę. Obejmiesz mnie? Te przeklęte kajdanki.

Objęła go, czuła jego ciepły policzek przy swoim.

- Chcę ci coś powiedzieć - rzekł bardzo cicho. - Wiem, przez co przechodzisz z mojego powodu. Jak ci usiłują zatruć życie. I jestem z tobą, tak jak ty jesteś ze mną. Zakuli mnie w te cholerne kajdany, siedzę zamknięty dzień i noc, ale dalej' jestem twoją opoką. Ani na chwilę nie przestaję o tobie myśleć. Cierpisz tak samo jak ja, może nawet bardziej. Nie masz czasu[zająć się Annie, jesteś odcięta od wszystkich twoich przyjaciół,;!; nie możesz opowiedzieć nikomu, co cię gnębi, może z wyjątkiem Jackie, prawda? A teraz ta historia. Wybrniemy z tego gnoju. Obiecuję ci to.

38

I

- Oskarżenie wzywa Franka La Pierre'a - ogłosił Waldron. { Prokurator rozpoczął przewód od przesłuchania agenta wy-

działu śledczego, który prowadził sprawę przeciw Ronaldowi Kubikowi. Woźny sądowy wprowadził Franka La Pierre'a na salę. Szedł powoli, szurając nogami, jakby dawno temu odniósł ranę. Ubrany był w tani ciemny garnitur, którego poły ciągle falowały, jakby nie mógł ich zapiąć na wydatnym brzuchu. Nosił okulary w rogowej oprawie, nadające mu sowi wygląd, miał ostro zakończony nos i małe usta z opadającymi kącikami. Rzednące włosy układały mu się na czole w szpic.

Waldron stał z rękoma założonymi do tyłu.

- Panie La Pierre, czy jest pan specjalnym agentem Wydziału Śledczego do spraw Kryminalnych?

- Tak jest - odparł La Pierre dudniącym barytonem, w którym dźwięczała pewność siebie.

- W istocie jest pan agentem wydziału śledczego, prowadzącym tę sprawę, zgadza się? - Jakby mógł znaleźć się na tej sali z jakiegokolwiek innego powodu.

224

- Tak jest.

- Panie La Pierre, od jak dawna jest pan agentem wydziału śledczego?

- Od ośmiu lat.

- I do jakiego biura został pan przydzielony?

- Do kwatery głównej Wydziału Śledczego do spraw Kryminalnych w Fort Belvoir.

- Czy jako agent tego wydziału ma pan jakąś określoną specjalność?

- Tak jest.

- Jakiego rodzaju jest to specjalność?
- Przesłuchania przeciw nietykalności cielesnej, zwłaszcza zabójstwa.
- Rozumiem. Panie La Pierre, nad iloma sprawami o morderstwo pracował pan podczas swojej dotychczasowej kariery zawodowej?
- Myślę, że nad mniej więcej czterdziestoma.
- Czterdziestoma? To sporo. - Poprosił, by La Pierre przedstawił swe kwalifikacje, dotychczasowy dorobek oraz zaangażowanie w sprawę Kubika. Była to relacja bardzo rzeczowa, miejscami nudna, lecz dogłębna.

Po lunchu przesłuchanie świadka podjęła Claire. Wyglądała na trochę zagubioną.

- Panie La Pierre, powiada pan, że dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w La Colina w Salwadorze zabito osiemdziesięciu siedmiu cywilów, zgadza się?
- Tak jest. - Pewność siebie La Pierre'a była niemal prowokująca.
- Czy może pan zidentyfikować dla celów oskarżenia te osiemdziesiąt siedem zmarłych osób?

La Pierre zawahał się.

- W jaki sposób miałbym je zidentyfikować?
- Na przykład, ilu było wśród nich mężczyzn? - Claire wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce, jakby ta myśl dopiero teraz przyszła jej do głowy.

Znowu zamilkł, rzucił przelotne spojrzenie Waldronowi, po czym spuścił wzrok.

- Tego nie wiem.
- A ile było kobiet?

225

- Nie sposób się tego dowiedzieć... - powiedział z zaniepokojeniem.
- W jakim wieku było tych osiemdziesiąt siedem ofiar?
- To się wydarzyło trzynaście lat temu...
- Proszę mi odpowiedzieć na to pytanie. W jakim wieku były ofiary?
- Nie wiem - odparł stanowczo.

- A gdzie zostały pochowane?
- Tego mogę się dowiedzieć...
- Kto je pochował?
- Wysoki Sądzie - gniewnie wtrącił się Waldron - obrona przyjęła zwodniczą linię przesłuchiwania, zupełnie niestosowną, niedopuszczalną...
- Podtrzymuję - powiedział bez śladu emocji sędzia Farrell. - Obrona, proszę przejść do następnej kwestii.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Panie La Pierre, czy dysponuje pan jakimiś fotografiami zwłok?
- Nie - odparł rozdrażniony.
- Nie? A świadectwa zgonu? Te dokumenty z pewnością pan ma.
- Nie.
- Nie? A protokoły sekcji zwłok? To pan musi mieć.
- Nie, ale...
- Panie La Pierre, czy może mi pan podać nazwisko chociaż jednej osoby, o której zabicie oskarżony jest mój klient?

La Pierre wpatrywał się w nią z jadem w oczach.

- Nie, nie mogę.
- Skoro nie może podać mi pan ani jednego nazwiska, wiem, że nie zdoła mi pan podać dwu, nie mówiąc już o dwudziestu dwu. A jednak oskarża pan sierżanta Kubika o zamordowanie osiemdziesięciu siedmiu ludzi, tak głosi pańskie zeznanie, prawda?

Ale miara dręczenia La Pierre'a już się przebrała. Naskoczył na Claire, dając wyraz najwyższemu, świętemu oburzeniu:

- Ronald Kubik zamordował osiemdziesięciu siedmiu niewinnych ludzi w...
- A jednak nie może pan zeznać, że widział pan zwłoki choćby jednej ofiary spośród osiemdziesięciu siedmiu, które mój klient rzekomo zamordował. Nie może pan, prawda?

- Ale...
- I nie widział pan protokołu sekcji zwłok ani jednej z ofiar, które rzekomo zabił mój klient?
- Nie, nie widziałem - odparł niemal z dumą.
- I nie czytał pan świadectwa zgonu ani jednej osoby, którą rzekomo zabił mój klient?
- Nie, nie czytałem.
- A zatem w sumie nie ma pan ani jednego dokumentu, z wyjątkiem - urwała dla większego efektu, unosząc brew - „zaprzysiężonych” oświadczeń, którymi szermuje oskarżenie. Nie ma pan żadnych innych dowodów, świadczących o tym, że dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w La Colina zabito osiemdziesiąt siedem osób. Zgadza się?
- Tak jest.
- Ani kim było tych osiemdziesiąt siedem osób.
- Tak.
- A więc musimy wierzyć panu na słowo?
- Mówię, opierając się na siedmiu identycznych, zaprzysiężonych oświadczeniach - wyjaśnił La Pierre.
- Ach, rozumiem. Siedem - uniosła po dwa palce każdej dłoni, układając je w kształt cudzysłowu - „zaprzysiężonych” oświadczeń. Które, jak pan słusznie podkreślił, są identyczne... Nie ma pan protokołów z sekcji zwłok. Nie ma pan świadectw zgonu. W sumie nie ma pan żadnych dowodów rzeczowych, czy tak?

Długie milczenie.

- Z wyjątkiem oświadczeń - nie.
- Panie La Pierre, mieliśmy okazję zapoznać się ze świadectwem służby każdego z członków dwudziestego siódmego oddziału, którzy złożyli przed panem oświadczenia. I wie pan co, śmieszna sprawa, ale w tych świadectwach nie znaleźliśmy najmniejszej wzmianki o misji w Salwadorze. Czyżbyśmy coś przeoczyli?

Teraz wrócił na swoje podwórko.

- Nie. Czasami ściśle tajne zadania nie są odnotowywane w świadectwach służby.
- A zatem niczego nie przeoczyliśmy?
- Wydaje mi się, że nie.
- W porządku. W żadnym z tych świadectw służby nie

227

wspomniano o desancie w Salwadorze w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, zgadza się?

- Chyba tak.
- Panie La Pierre, czy widział pan mój wniosek o udostępnienie obronie wszelkich tajnych dokumentów związanych ze sprawą?
- Nie, oskarżenie mi tego nie pokazało.
- Otóż, panie La Pierre, obrona złożyła wniosek o okazanie nam rozkazu wysłania tych osób do Salwadoru. O dziwo, niczego takiego nie otrzymaliśmy. Pomyślałam sobie, że to wina biurokracji, i tak dalej, papierki mogą się zgubić... Czy widział pan przypadkiem rozkaz odkomenderowania członków dwudziestego siódmego oddziału do Salwadoru w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku?
- Nie, nie widziałem.
- Nie widział pan nigdy takiego rozkazu na piśmie?
- Zgadza się.
- Najmniejszej wzmianki?
- No, nie - powiedział ostrożnie.
- To dla mnie wielka ulga - rzekła Claire - bo ja też nie widziałam. - Po sali przeszedł śmieszek. - Cieszę się, że nie jestem jedyną osobą, która padła ofiarą urzędolena Pentagonu. Przypuszczam, że udał się pan do sztabu nadzorczego, żeby uzyskać dane na temat tego konkretnego oddziału sił specjalnych.
- Wydaje mi się, że tak.
- A jednak nie widział pan żadnego rozkazu na piśmie, wysyłającego ich do Salwadoru.
- Zgadza się.

Odwróciła się nagle do świadka, jakby inna myśl przyszła jej właśnie do głowy.

- Czy próbował pan odnaleźć w archiwach kopie rozkazów służby czasowej, które każda jednostka wojskowa musi wypełnić, zanim zostanie dokądkolwiek wysłana?

- No, nie.

- Nie? A rozkaz wyjazdu? Czy próbował pan znaleźć w archiwach rozkaz wyjazdu dla oddziału dwudziestego siódmego w celu rzekomego wtargnięcia do Salwadoru w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku?

228

- Nie, ale...

- Wie pan, panie La Pierre, nie służę w wojsku...

- Nie domyśliłbym się - odparł stanowczo.

Widzowie wybuchnęli gromkim śmiechem. Claire śmiała się również z tego żarciku z samej siebie.

- I chociaż nie bardzo orientuję się w sprawach wojskowych, wydaje mi się - i proszę mnie poprawić, jeśli jestem w błędzie

- że jeżeli amerykański żołnierz udaje się dokądkolwiek w podróż, musi przedłożyć rozkaz wyjazdu. Mam rację?

- Tak mi się wydaje - powiedział La Pierre, wyraźnie znudzony.

- Tak się panu wydaje. Hm... A jednak nie znalazł pan żadnego rozkazu wyjazdu, dotyczącego tej rzekomej operacji w Salwadorze w czerwcu osiemdziesiątego piątego roku.

- Nie, ale...

- Więc nie ma żadnego potwierdzenia, że te osoby w ogóle dokądkolwiek się udały.

La Pierre kilkakrotnie otwierał usta, zanim udało mu się wydobyć z siebie:

- Ja...

- Zakładam, że czynił pan starania - przerwała Claire - by potwierdzić, że do tej operacji w ogóle doszło.

- Chyba nie zaprzecza pani, że do tego incydentu doszło!

- odpalił La Pierre, patrząc na nią zwięzonymi oczyma.

- Pozwoli pan, że zadam panu pytanie, panie La Pierre. Podejmował pan wysiłki w celu ustalenia, czy ta operacja w ogóle się odbyła, zgadza się?

- To oczywiste, że się odbyła...

- Oczywiście? Dla kogo? Dla pana i majora Waldrona z jednej strony? Czy też dla mnie, pana Grimesa i Ronalda Kubika z drugiej? Dla kogo jest to oczywiste?

- Operacja się odbyła - syknął La Pierre.

- Ale nie ma pan żadnych dokumentów na potwierdzenie tego, co? - Nie czekała na odpowiedź. - Panie La Pierre, jestem przekonana - i znowu proszę mnie poprawić, jeśli się mylę - że zanim rząd amerykański, w tym również wojsko, podejmie tajną operację, musi uzyskać dokument, upoważniający do przeprowadzenia tej tajnej operacji. Ściśle poufny rozkaz, podpisany osobiście przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zgadza się?

229

- Wydaje mi się, że owszem, tak.

- Wniosek prezydenta, upoważniający do przeprowadzenia tajnej operacji, nazywa się Decyzją Dyrektywną Bezpieczeństwa Narodowego - DDBN - zgadza się?

- No, tak.

- Która może być tajna?

- Owszem.

- Czasami decyzja dyrektywna ma wersję tajną i jawną, czy tak?

- Chyba tak.

- A ta operacja była tajna, prawda?

- Owszem, zgadza się.

- Więc musi istnieć decyzja dyrektywna, przypuszczalnie tajna, upoważniająca oddział dwudziesty siódmy do udania się z misją do Salwadoru w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

Usiłował obejść pułapkę.

- Nie mam pojęcia.

- Ale sam pan przed chwilą powiedział, że każda tajna akcja musi mieć

upoważnienie DDBN. A to była tajna akcja, sam pan tak stwierdził. Więc musi istnieć na nią DDBN, zgadza się?

- Chyba tak.

- A jednak nie otrzymał pan prezydenckiego wniosku, upoważniającego do przeprowadzenia tajnej operacji w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego, podpisanego przez prezydenta Stanów Zjednoczonych?

- Nie, nie otrzymałem.

- Na miłość boską, panie La Pierre, będąc głównym agentem śledczym w tej sprawie, nie sprawdził pan, czy operację tę uprawomocnił prezydent? Uważa pan, że to nie ma znaczenia?!

- W mojej pracy - stwierdził gromko - nie zajmuję się polityką zagraniczną. W mojej gestii znajdują się sprawy dotyczące naruszenia nietykalności cielesnej, w tym zabójstwa.

- Nie zajmuje się pan polityką zagraniczną - powtórzyła.

- Nie, nie zajmuję się.

- Panie La Pierre, gdyby dyplomowany pułkownik służb specjalnych, który obecnie jest szefem sztabu armii, przeprowadził w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego

230

roku nielegalną operację w Salwadorze, nie uznałby pan za stosowne, by poinformować go, jaki jest zakres jego obowiązków? Frank La Pierre spojrzał na sędziego.

- Nie wiem, jak mam na to odpowiedzieć - rzekł.

- Niech pan po prostu odpowie na pytanie - rzekł z niepokojem sędzia. - Ostrzegłby pan generała Marksa, że przekroczył swoje prawa?

- Z całą pewnością nie.

- A to dlaczego? - spytała Claire.

- Nie mam powodu przypuszczać, że była to operacja nielegalna.

- Bo „nie zajmuje się” pan polityką zagraniczną. Nie uważa pan, że jako czołowemu agentowi śledczemu w sprawie o masowe morderstwo, do którego rzekomo doszło w

obcym kraju podczas tajnej operacji, przydałoby się panu nieco wiedzy na temat polityki zagranicznej oraz reguł rządzących przeprowadzaniem tajnych operacji?

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Naprawdę? - spytała zdumiona Claire. - Więc nie chce się pan dowiedzieć, czy operacja służb amerykańskich od początku nie naruszała prawa obowiązującego w Stanach Zjednoczonych?!

- To nie moja sprawa.

- Podsumujmy zatem: nie może pan zidentyfikować ani jednej ofiary. W istocie nie wie pan, kto został zabity ani, w gruncie rzeczy, czy ktokolwiek został zabity. Tyle co do pierwszego zarzutu oskarżenia, w którym stwierdza się, że „pewna osoba o określonym nazwisku i wyglądzie nie żyje”. Tego nie wiemy. A po drugie, nie wiemy, czy ta operacja w ogóle się odbyła. Jeżeli się odbyła, nie mamy dowodu, że przeprowadzono ją za wiedzą i zgodą prezydenta. Nie wiemy nawet, czy którekolwiek z owych rzekomych zabójstw było bezprawne. Bo nie wiemy, co w tej operacji działo się zgodnie z prawem. Nie mamy pojęcia, jaki rozkaz wydał prezydent Stanów Zjednoczonych - zakładając, że do tej misji w ogóle doszło! Tyle co do drugiego punktu oskarżenia - że zabójstwo było bezprawne. - Z niesmakiem pokręciła głową. - Wysoki Sądzie, nie mam nic więcej do powiedzenia.

231

39

Tym razem telefon zadzwonił tuż przed czwartą. Podniosła słuchawkę i powiedziała: „Rób tak dalej. Wytropimy cię”, n0 czym przerwała połączenie.

Nim opuściła dom tego ranka, zadzwonił Devereaux.

- Federalni są już blisko - oświadczył.

- Blisko czego?

- Znalezienia faceta od tych tajemniczych telefonów. Dzwoni z którejś z płatnych budek, znajdujących się w Pentagonie.

- W Pentagonie?

- Taak - odparł Devereaux. - Kimkolwiek jest, nie chce dzwonić ze swojego gabinetu w Pentagonie. Żeby wejść do Pentagonu o tej porze nocy, trzeba być pracownikiem albo mieć przepustkę.

- Co zawęza grono podejrzanych do jakichś dwudziestu pięciu tysięcy - powiedziała cierpko.

* * *

Pierwszy dzień składania zeznań, ogólnie biorąc, wypadł nieźle dla obrony. Claire rozłożyła świadka oskarżenia na obie łopatki. Waldron próbował zrehabilitować agenta, przesłuchując go jeszcze raz, lecz zrobił to niedbale, a zatem i efekt osiągnął nienadzwyczajny.

Jednakże pod koniec drugiego dnia składania zeznań sprawy nagle przybrały niekorzystny obrót dla obrony.

Pułkownik James J. Hernandez zeznawał jako świadek oskarżenia i generalnie powtórzył zarzuty, które wysuwał uprzednio. Waldron wezwał go, by ustalić corpus delicti, dowody rzeczowe. Mogą to być przedmioty potwierdzające, że zostało dokonane przestępstwo, albo też ciało zamordowanej osoby. Ponieważ oskarżenie nie dysponowało fotografiami zabitych ani protokołami z sekcji zwłok, musiało przedstawić zeznanie naoczego świadka, że istotnie były tam zwłoki - co Hernandez uczynił sprawnie i gładko.

Aż do chwili tuż przed przerwą na lunch. Waldron pytaniami doprowadził Hernandeza do momentu, gdy w środku nocy jednostka wkroczyła do wioski. Hernandez zeznał, że szedł ramię w ramię z Kubikiem.

- I co wówczas zrobiliście? - zapytał Waldron, rzekomo od niechcienia.
- Chodziliśmy od chaty do chaty, wypędzając ludzi na zewnątrz. Budziliśmy ich, sprawdzaliśmy, czy w domkach nie ma broni, czy nie ukrywają się gdzieś partyzanci.
- Znaleźliście broń lub jakieś ślady partyzantów?
- Nie, nie znaleźliśmy.
- Używaliście broni, wypędzając wieśniaków z chat?
- Mierzyliśmy tylko do nich. Trzymaliśmy wycelowane w ludzi bagnety, strzelby, karabinki czy karabiny maszynowe, co tam mieliśmy ze sobą.
- Nie strzelaliście do nich, prawda?
- Nie musieliśmy. I tak się wystraszyli. Byli tam sami starcy, staruszki, matki z dziećmi na ręku i małe dzieciaki. Posłuchali nas od razu.
- Widzieliście, co robił wtedy sierżant Kubik?

- Tak, widziałem.

- A co robił?

Hernandez wyprostował się i obrócił ku ławie przysięgłych. Claire natężyła uwagę. Kiedy świadek odwracał się do ławy przysięgłych albo do sędziego, często miał zamiar powiedzieć coś, co jego zdaniem, powinno wzbudzić szczególne zainteresowanie.

- Robił... chore rzeczy.

- Użyłby pan słowa „sadystyczne”?

- Sprzeciw - natychmiast wypaliła Claire. - Z tego, co wiem, świadek nie jest psychiatrą ani specjalistą od zdrowia psychicznego. Nie ma kwalifikacji do stawiania diagnoz.

- Wysoki Sądzie - rzekł Waldron, wyraźnie zaniepokojony, że przerwała mu ustalony tok przesłuchania - świadkowi wolno określać czynności słowami, z jakimi jest obznajomiony.

- Odrzucam sprzeciw - rzekł Farrell.

- Proszę mówić dalej - ponaglał Waldron Hernandez. - Czy dokonywał rzeczy, które określiłby pan jako sadystyczne?

- Tak.

- Może nam pan o nich opowiedzieć?

- Na przykład jeden staruszek chciał uciec przez tylne okienko w chacie, a sierżant Kubik powiada: „Chcesz uciekać”

233

Powiedziałem, żebyś wyszedł frontowymi drzwiami". I pociął go.

- Pociął?

- Przeciął mu ścięgno Achillesa. Jednym ciachnięciem noża. „Teraz już w ogóle nie będziesz chodził" - powiedział.

Claire odwróciła się do Toma, który potrząsał głową, zaciskając wargi.

- Słyszałeś kiedyś coś podobnego? - wyszeptała. Dalej potrząsał głową.

- To wszystko jest wyssane z palca, Claire.

- A jak pan się zachował, gdy zobaczył pan, co robi sierżant Kubik?
- Powiedziałem mu, żeby przestał.
- I przestał?
- Nie. Powiedział, że jeśli komukolwiek o tym opowiem, zabije mnie.
- Zrobił jeszcze coś?
- Tak. To było takie potworne. - Hernandez sprawiał wrażenie człowieka silnie poruszonego. Claire pomyślała, że albo mówi prawdę, albo jest świetnym aktorem. - Ten chłopak - mógł mieć najwyżej dziesięć lat - rzucał w niego kamieniami. Wykrzykiwał jakieś świństwa. Więc Kubik przewrócił go na ziemię, wyjął nóż i pociął mu brzuch.
- Jak to „pociął”?
- Błyskawicznym ruchem wyciął mu na brzuchu nożem coś w kształcie litery Y. Dosłownie w mgnieniu oka. Niezbyt głęboko.
- W jakim celu?
- To było takie potworne. - Hernandez wykrzywił usta w jedną stronę. Na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia, jakby robiło mu się niedobrze. - Kiedy go pociął, wnętrzności chłopca wyszły na wierzch. Wyskoczyły mu kiszki-Wtedy ofiara umiera powoli i w męczarniach. Krzyknąłem, wrzasnąłem na Kubika, ale wyglądał, jakby mu to sprawiało przyjemność.
- Czy ten facet opowiadał już kiedyś coś podobnego? - wyszeptała Claire do Grimesa.

Grimes potrząsnął głową.

- Z niczym takim się nie zetknąłem.
- A w pierwszym oświadczeniu dla wydziału śledczego?

234

- Skądże. Myślisz, żebym o tym zapomniał?
- Musimy zgłosić sprzeciw.
- Poproś o sesję trzydzieści dziewięć „a”, bez obecności ławy przysięgłych.

Claire się podniosła.

- Wysoki Sądzie, po raz pierwszy o tym słyszymy. Jesteśmy zaskoczeni. Prosimy o sesję trzydzieści dziewięć „a”.

- Czy to doprawdy konieczne? - zapytał Farrell.

- Wysoki Sądzie, to przechodzi wszelkie pojęcie. Świadek wprowadza nowy materiał. Nie poruszał tego w zeznaniach nigdy przedtem - ani podczas przesłuchania przez wydział śledczy, ani przez prokuratora, ani przez nas...

- No dobrze - uciął Farrell. - Proszę członków o opuszczenie sali.

Wszyscy podnieśli się, kiedy woźny wyprowadzał członków ławy przysięgłych.

- Wysoki Sądzie - rzekła Claire, gdy ława przysięgłych opustoszała, a Hernandeza chwilowo zwolniono - tego świadka przesłuchiowano wiele razy na tę okoliczność. Zeznawał przed śledczymi agentami wojskowymi, przed oskarżycielami i przed nami. Nigdy nawet nie wspomniał o tych rzekomych przejawach sadyzmu mojego klienta. Jeżeli oskarżenie usiłuje nam wmówić, że świadek został zahipnotyzowany, chciałabym to teraz usłyszeć. Ponieważ ostatnio sądy niechętnie biorą pod uwagę wspomnienia wywołane hipnozą...

- Wysoki Sądzie - powiedział Waldron - to wszystko wydarzyło się trzynaście lat temu. Biorąc pod uwagę przerażający charakter czynów sierżanta Kubika, nie dziwnego, że świadek chciał o nich zapomnieć.

Claire spojrzała na Waldrona z najwyższym zdumieniem.

- Czy oskarżenie usiłuje zasugerować, że świadek nie pamiętał tych rzekomych czynów natychmiast po ich dokonaniu, gdy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku przesłuchiwał go wydział śledczy?! - warknęła. - Wysoki Sądzie, w świetle przedstawienia nam nowych zeznań prosimy o ponowne przesłuchanie tego świadka, jak również o czas na naradę 2 moim klientem i pozostałymi obrońcami.

- Przychylam się do wniosku - rzekł Farrell. - Rozprawę Wznowimy po lunchu, o czternastej.

Wychodząc, Waldron otarł się o Claire i rzucił od niechcienia:

235

- Widziałem pani nazwisko w gazecie.

Uniosła wzrok, lecz nim zdobyła się na odpowiedź, już go nie było.

Przesłuchiwali Jimmy'ego Hernandeza w małym pokoiku konferencyjnym.

Siedział, wyraźnie skrępowany, przy stole, rzucając niepewne spojrzenia spod spuszczonej powiek.

- Co to - zaczął Grimes - nagle wróciła nam pamięć? Hernandez popatrzył na niego spode łba, poruszył się niespokojnie na krześle.

- Poddano pana hipnozie? - zapytał Grimes. Jeszcze bardziej się nachmurzył. Przewrócił oczyma.

- Mowę panu odebrało? Ma pan nam coś do powiedzenia, o czym nie mówił pan wcześniej?

Hernandez milczał. Wskazującym palcem pocierał bliznę pod prawym okiem.

- Chcę pana o coś zapytać - ciągnął Grimes - od jak dawna znacie się z Marksem?

Hernandez zmarszczył brwi, wzruszył ramionami.

- Niech pan posłucha, pułkowniku. Mamy kopie pochwały i oświadczenia z czasów, gdy dostał pan pierwszą Brązową Gwiazdę pod koniec wojny w Wietnamie. Oświadczenie jednego z naocznych świadków, popierające udzielenie panu pochwały, podpisał niejaki William O. Marks. Czyli najwyraźniej znacie się dość długo. Ile akcji wspólnie odbyliście?

- Mnóstwo - odezwał się wreszcie Hernandez. - Wiele operacji.

- Mnóstwo - powtórzyła jak echo Claire. - Może pan p wiedzieć dokładniej?

Hernandez znowu wzruszył ramionami. Przesłuchanie pułkownika trwało ponad godzinę.

Claire, Embry i Grimes weszli do pokoju konferencyjnego gdzie siedział Tom. Strażnicy trzymali wartę przed drzwiami: Widząc adwokatów, Tom uniósł się na nogi.

236

- Za każdym razem wydaje mi się, że już niżej upaść nie jTiogą - powiedział. - A potem słyszę pukanie od strony dna.

- Rozumiem, że pan temu zaprzecza - rzekł Grimes, wręczając mu kartonowe pudełko z podwójnym cheeseburgerem i dużą torbę frytek.

- Pan chyba żartuje - rzekł Tom, biorąc jedzenie. Pospiesznie rozpakował burgera i żarłocznie odgryzł spory kęs.

- Nie żartuję. To poważne oskarżenia, niezależnie od tego, że pochodzą tylko od

jednego człowieka i nie ma na nie żadnych dowodów.

Tom żuł pospiesznie, potrząsając głową.

- Oczywiście, że zaprzeczam - powiedział przytłumionym głosem. - Zaprzeczam im wszystkim. Chyba nie pyta pan poważnie?

- Jak najpoważniej. Na tym polega moja praca, człowieku.

- Claire, ty chyba nie wierzysz w te bzdury? - odłożył burgera.

- Nie, nie wierzę - odparła. - Wprowadzono je w sposób bardzo podejrzany. Nie wierzę, że nagle stał się uczciwym człowiekiem.

- Nie o to pytam - rzekł Tom. - Mówię o sobie. Nie chodzi mi o te prawne kruczki. Nie możesz wierzyć, że jestem zdolny do takich rzeczy!

Poczuła ucisk w dołku.

- Nie, Tom - odparła. - Oczywiście, że nie. Terry, czy możesz wydobyć dla mnie kartę zdrowia Hernandeza?

- Pewnie - odparł Embry. - To znaczy, myślę, że tak.

- Ale po cichu, dobrze? Nie chcę, żeby Waldron się o tym dowiedział - domagałby się wykazania związku ze sprawą.

- Nie ma problemu. Ale czego szukasz?

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy to prawda, że wyniki badań psychiatrycznych mogą być ujawniane przed sądem wojskowym?

- Kobieto, wszystko może być ujawnione przed sądem wojskowym - wtrącił się Grimes. - Uważasz, że ta gnida w życiu widziała psychiatrę?

- Na pewno nie dobrowolnie. Ale może go zmuszono. Nie mam pojęcia. Na wszelki wypadek warto sprawdzić. Może znajdziemy jakąś interesującą informację o tym facecie.

- Co masz na myśli? - zapytał Tom.

237

- Jest w nim coś, czego nie rozumiem. Oczy Toma zwięzły się.

- Jak to?

- Czy po prostu chroni swojego szefa, czy chodzi tu jeszcze o coś więcej?

Tom potrząsnął głową.

- Chroni tyłek Marksa.

- Cóż, mam nadzieję, że się nie mylisz. Że niczego nie przepuściliśmy.

Posiedzenie podjęto po lunchu, członkowie zasiedli na ławie przysięgłych, a Hernandez stanął na miejscu dla świadków, by zostać ponownie przesłuchany. Nim Claire zadała mu pierwsze pytanie, krążyła przed nim przez parę sekund, starając się uderzyć we właściwą nutę.

- Panie Hernandez, gdy był pan przesłuchiwany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku przez wojskowy wydział śledczy...

- Sprzeciw! - zawołał Waldron. - Świadek jest pułkownikiem i ma pełne prawo do szacunku, przynależnemu tej randze. Proszę zwrócić uwagę obronie, by tytułowała go „pułkownikiem Hernandezem”.

- Doskonale, Wysoki Sądzie - rzekła Claire. - Pułkowniku Hernandez, gdy był pan przesłuchiwany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku przez wojskowy wydział śledczy, czy poproszono pana o podanie pełnego przebiegu wydarzeń w La Colina?

- Tak...

- Dziękuję. I zrobił pan to?

- Nie.

- Rozumiem - rzekła, posuwając się szybko naprzód. - Czy gdy składał pan to oświadczenie, zdawał pan sobie sprawę, że przysięgł pan mówić całą prawdę i nic prócz prawdy, tak panu dopomóż Bóg?

- Owszem - przyznał.

- Gdy zeznawał pan podczas przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego, również zdawał pan sobie sprawę, że przysięgł pan mówić całą prawdę, tak panu dopomóż Bóg?

- Tak.

238

- A zatem muszę przyznać, że jestem zdziwiona, pułkowniku, pamiętał pan o tym wszystkim, a potem świadomie i celowo nie zeznał o owych rzekomych wydarzeniach podczas przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego?

Pytanie to zbiło go z tropu. Musiał się przez chwilę zastanowić.

- No tak, ale jak już państwu wyjaśniałem...

- Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie. Pułkowniku, jeśli nie powiedział pan całej prawdy, składając oświadczenie pod przysięgą wydziałowi śledczemu, i nie powiedział pan też całej prawdy podczas przesłuchania z artykułu trzydziestego drugiego, kiedy to również zeznawał pan pod przysięgą - jakże możemy wierzyć w to, co mówi pan teraz?

- Mówię prawdę!

- Całą prawdę?

- Tak jest!

- Dlatego, że zeznaje pan pod przysięgą? Zawahał się.

- Bo mówię prawdę.

- Rozumiem. Dziękuję za wyjaśnienie tej sprawy członkom ławy przysięgłych. Teraz mówi pan całą prawdę, bo tak pan mówi. Dziękuję.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - krzyknął Waldron. - To dręczenie świadka.

- Proszę przejść do następnej kwestii, pani Chapman - napomniał ją Farrell.

- Pułkowniku Hernandez, czy powiedział pan o tym oskarżeniu przed rozprawą?

Hernandez znowu wyglądał na zbitego z tropu. Claire zaczynała go rozszyfrowywać.

- Nie - wykrztusił wreszcie.

- Pozwolę sobie przypomnieć panu, że zeznaje pan pod przysięgą.

- Wysoki Sądzie! - krzyknął znów Waldron.

- Powiedziałem „nie” - powtórzył Hernandez.

- Pułkowniku Hernandez, czy ktoś jeszcze widział opisane Przez pana wydarzenia - rozprucie brzucha młodemu chłopcu, i tak dalej?

- Tylko ja i Kubik.

- Nikt więcej nie może potwierdzić pańskiego zeznania?

239

- Chyba nie. Ale ja to widziałem.

- A zatem musimy polegać na tym, co zapamiętał pan] sprzed trzynastu lat - a właśnie się przekonaliśmy, że pańska pamięć jest mocno zawodna.

- Moja pamięć nie jest zawodna! - wybuchnął Hernandez. - Mówiłem już przedtem, że...

- Dziękuję, pułkowniku - przerwała Claire. Hernandez spojrzął żałośnie na Waldrona.

- Czy mogę nie odpowiedzieć na to pytanie? - zwrócił się do sędziego.

- To wystarczy - zadudnił Farrell.

- Pułkowniku - rzekła Claire - mam inne pytanie. Co dokładnie robił pan, gdy, jak pan powiada, sierżant Kubik popełniał te okrucieństwa?

- Wypędzałem ludzi z chat.

- To musiało pochłaniać całą pańską uwagę, czyż nie? Przecież nie wiedział pan, czy w którejś z opróżnianych przez pana chat nie kryją się powstańcy. Mam rację?

Hernandez znowu wyglądał na skonsternowanego. Oczy imi. się zwężyły.

II

- Widziałem, co robi Kubik.

II

- Naprawdę? Podsumujmy fakty. Widział pan, jak wydaje! rozkazy starcowi i jego rodzinie, widział pan, jak łapie starca, usiłującego wydostać się przez okno. Widział pan, jak przecinał mu ścięgno Achillesa. Widział pan i słyszał, jak naigrawa się ze I staruszka. Potem dostrzegł pan, jak młody chłopak rzuca w Ku-1 bika kamieniami. Następnie zobaczył pan, że Kubik powalił i chłopca na ziemię i przeciął mu brzuch. Sporo się pan napatrzył. |

- Nie mogłem nie patrzeć. Ludzie krzyczeli. |

- Gdy ich ranił czy przedtem? 1

- I przedtem, bo obawiali się tego, co może zrobić. 1

- Jak długo, pańskim zdaniem, to wszystko trwało?

- Może pięć minut. Może dziesięć.

- Dziesięć minut! Obserwował pan to wszystko przez dziesięć minut, jednocześnie wykonując wysoce niebezpieczne zadanie, wymagające pańskiej całkowitej uwagi - od którego, w istocie, nie powinien był pan odrywać wzroku, gdyż groziło to panu

śmiercią?

Hernandez wpatrywał się w nią z niemrawą wrogością. Sprawiał wrażenie pokonanego. Nie odpowiadał.

240

- Niewiarygodne - rzekła, potrząsając głową i powróciła do swego stołu.
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - krzyknął Waldron.
- Podtrzymuję.
- Wycofuję - powiedziała Claire, siadając. Tom wyciągnął rękę i uściśnął ją za ramię.
- Czy oskarżenie chce ponownie przesłuchać świadka?
- Tak, Wysoki Sądzie. - Waldron podniósł się i stanął naprzeciwko Hernandeza. - Panie pułkowniku, gdy wrócił pan z Salwadoru po zakończeniu misji, wojskowy wydział śledczy poddał pana długiemu i dokładnemu przesłuchaniu, czy tak?
- Tak jest - odparł Hernandez tonem człowieka marzącego o kropli wody, który wreszcie znalazł bijące źródło.
- Proszę mi opowiedzieć o tym śledztwie.
- Człowieku, ciągle skakali mi do gardła. Byli potwornie upierdliwi.
- Śledczy z wydziału do spraw kryminalnych?
- Właśnie. Robili te cyrki z dobrym gliną i złym gliną, chcieli zbadać mnie na poligrafie i sprawiali wrażenie, jakby chcieli powiesić nas obu, razem z Kubikiem. Pomyślałem sobie, że gdybym im powiedział o tych pokręconych rzeczach, które wyczyniał Kubik, uznaliby, że ja też brałem w tym udział. Albo zaczęliby mnie męczyć, dlaczego mu nie przeszkodziłem.
- No właśnie, dlaczego? - spytał logicznie Waldron.
- Takiemu zwariowanemu facetowi? Nie było mowy, żeby się do niego zbliżyć. Uczono nas, że należy trzymać się z dala od linii ognia, przechodziliśmy taki kurs samoobrony. Wiedziałem, że traci głowę, i nie miałem zamiaru wchodzić mu w drogę.
- Obawiał się pan, że to pana oskarżą o tę zbrodnię - podsunął Waldron.
- Zawsze biorą się za tego, który przeżył.

- Ale nie myślał pan tylko o tym, żeby ratować siebie, prawda?
- Doszedłem do wniosku, że jeśli to wyjdzie na jaw, jeszcze bardziej będą oczerniać wojsko. Nie chciałem tej historii wręczać jak na talerzu facetom z wydziału śledczego. Miałem nadzieję, że cała sprawa umrze śmiercią naturalną, wie pan, jak to bywa.

241

- A co z Kubikiem? - zapytał Waldron, jawnie naprowadzając świadka na należyty trop. - Nie bardzo go pan lubi?
- Sympatia nie ma tu nic do rzeczy. Nie byliśmy przyjaciółmi, fakt. Ale ćwiczyłem z nim, a nie dalej jak dwa miesiące wcześniej uratował mi życie. Odciągnął mnie, kiedy omal nie stąpnałem na minę w Nikaragui. Zobaczył drut wyzwalający wcześniej niż ja.
- Więc chciał pan pomniejszyć jego winy? Uznał pan, że to mu się należy? - spytał Waldron.
- Tak. Wtedy, podczas trzydziestego drugiego, pomyślałem, że mogę mieć kłopoty, jeśli to wyciągnę - fałszywe zeznania, czy jak to się tam nazywa. Poważnie się tym gryzłem. Ale w końcu uznałem, że tu należy powiedzieć prawdę.
- Dziękuję - powiedział Waldron, wyraźnie zadowolony.
- Czy obrona chce jeszcze dodatkowo przesłuchać świadka? - zapytał sędzia Farrell. Claire, opierając podbródek na skulonej dłoni, zastanawiała się przez chwilę.
- Tak, Wysoki Sądzie. - Podniosła się. - Pułkownikowi Hernandez, kocha pan wojsko, prawda?
- Tak jest - odparł bez wahania.
- Ile akcji odsłużył pan wspólnie z generałem Marksem?
- Kilka.
- Pięć okresów służby, zgadza się?
- Tak.
- Czy nie jest prawdą, że za każdym razem, gdy służył pan z generałem Marksem, był on pańskim bezpośrednim przełożonym, a nawet utrzymywaliście kontakty pozasłużbowe?

Hernandez zawahał się przez chwilę.

- Tak - odparł zwięźle.

- Poszedłby pan za generałem Marksem wszędzie, prawda? Milczał przez parę sekund, po czym obrzucił ją stalowym spojrzeniem.

- Robiłem to wiele razy i zrobiłbym ponownie. Generał lubi otaczać się ludźmi, którym może ufać, a ja wiem, że ufa mi, wiem też, że mogę ufać...

- Dziękuję, pułkowniku - rzekła Claire.

- Wysoki Sądzie - przerwał Waldron - do czego to ma prowadzić?

- Właśnie - rzekł sędzia - obrona zechce mnie oświecić.

- Stronniczość, Wysoki Sądzie.

- Dobrze - rzekł Farrell. - Proszę kontynuować.

- Pułkowniku, dlaczego nie możemy znaleźć ani jednego raportu, nawet tajnego, po akcji z dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w La Colina?

Hernandez rzucił jej spojrzenie zarazem władcze i nieprzytomne.

- Może niedokładnie pani szukała?

- Och, szukaliśmy wszędzie, pułkowniku - rzekła Claire.

- W istocie major Waldron zapewnił mnie - dał mi swoje słowo jako oficer, i co więcej, jako oficer przydzielony do tego sądu

- że żaden taki raport nie istnieje. Czy chce mi pan powiedzieć, że go pan nie sporządził?

- Zgadza się. Nie zrobiłem raportu.

- Czy wie pan o kimś innym, kto napisał raport po incydencie dwudziestego drugiego czerwca osiemdziesiątego piątego roku?

- Nie.

- Czy sporządzono jakieś sprawozdanie innego rodzaju na temat rzekomej masakry w La Colina dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku?

Milczał przez chwilę.

- Chyba dowódca sporządził raport, ale ja go nie widziałem.
- Dowódcą był generał Marks, wówczas pułkownik Marks?
- Tak.
- Dziękuję - rzekła z błyskiem w oku. - Nie mam więcej pytań.

40

Troje adwokatów siedziało przy stoliku w kawiarni w Ma-nassas.

- Wszystko do chrzanu - podsumował Grimes, wgrzyzając się w olbrzymi trójkąt ciasta kawowego, polanego bitą śmietaną. Właściciele kawiarni znali go i najwyraźniej lubili.
- Członkowie ławy przysięgłych połkną to, co im naopowiadał Hernandez - ukrywał fakty, by chronić kolegę, esprit de corps,

243

dbałość o dobre imię armii. Kurczę, nic nie wspomniał ty]f0 o Panu Bogu.

Claire sączyła czarną kawę i patrzyła ponuro na tabliczkę PALENIE WZBRONIONE, przyczepioną do ściany tuż nad ich stolikiem.

- Ale to kłamstwo - rzekła. Embry skinął głową i pociągnął łyk kawy.
- Uważasz, że facet wszystko to wymyślił, żeby ubarwić tę historię? Jak lukier na torcie? Czy też Waldron mu powiedział, żeby sobie nagle „przypomniał”?
- Waldron musiał mieć coś z tym wspólnego - wtrącił się Embry. - Hernandez miał słuszne powody - nie usiłował im wmawiać, że zapomniał.
- Może i tak - rzekł Grimes - ale przysięgli nie będą tak uważać.
- Więc mają nad nami przewagę jednego punktu.
- Uważasz, że powinnam była jeszcze raz go przesłuchać? Embry z zakłopotaniem potrząsnął głową. Grimes odezwał

się pierwszy.

- Może - powiedział wreszcie. - Sam nie wiem, co bym zrobił na twoim miejscu.

Skinęła głową.

- Miło, że tak mówisz. To było trudne wyzwanie. Rozprawa sądowa to psychodrama. I loteria.

Pojawiła się właścicielka - czy też żona właściciela - z dzbankiem kawy. Była to Murzynka w średnim wieku, o bujnym biuście, pachnąca potem i perfumami „Opium”. Położyła wolną rękę na ramieniu Grimesa.

- Dolać, przynieść cukru? Wyciągnął swój kubek.

- Dzięki, dziecino.

- Jeszcze komuś? - spytała. Embry i Claire potrząsnęli przecząco głowami. - Jak ci smakuje moje kawowe ciasto, skarbie? - spytała Grimesa.

- Tak samo jak ciasto mojej mamy, zanim ją aresztowali. Kobieta zaniemówiła na chwilę, skonfundowana. Grimes

zaśmiał się gromko.

- Ale nie jest takie słodkie jak ty - dodał.

- A niby skąd wiesz? - powiedziała z udawaną surowością i poszła dalej.

244

- Przynajmniej mamy Marka Faheya - rzekł Embry.

- Jeden świadek na ich dziesięciu - rzekła ponuro Claire. _ Dostał już wezwanie?

Embry skinął potwierdzająco.

- Oskarżenie zostało zawiadomione. Fahey będzie tu za trzy dni, gotów do składania zeznań.

- Ciekawe, w jaki kanał wpuści go oskarżyciel - powiedział Grimes, wpychając do ust kolejny, ogromny kęs kawowego ciasta.

- Co jest z tą transkrypcją? - spytała Claire.

- Pracuje nad nią pięć różnych fachmanek - odparł Embry. - Będzie to kosztowało furę pieniędzy.

- Muszę przeczytać zeznania Abbotta. Skończyliście już z nim? - spytała.

- Niewiele nam brakuje. Może koło północy będą gotowe. Zadzwoń. Te kobiety pracują na okrągło - dlatego to jest takie drogie.

Grimes uniósł wzrok. W zmarszczkach wokół jego ust zgromadziły się okruszki.

- Dalej dostajesz te upiorne telefony? Claire przytaknęła.
- Tak, ale jeśli odbiera je automatyczna sekretarka, odkłada słuchawkę. Zabawne, pewnie nie chce nam zostawić próbki głosu. Ray powiada, że FBI nie może go namierzyć - dzwoni z różnych central i jest na linii tylko przez parę sekund.
- Przystanie - zapewnił Grimes. - Wiadomo, o co mu chodzi. Chciał cię wytrącić z równowagi, ale mu nie wyszło.
- Macie coś przeciwko temu, że was zostawię? - zapytał Embry. - Muszę przejrzeć sporo badań balistycznych, wpadłem też na pewien pomysł.
- Powiedz jaki - rzekła Claire.
- Dopiero jak sprawdzę, czy ma ręce i nogi - odparł Embry, podnosząc się.

Gdy wyszedł, Claire opowiedziała Grimesowi o telefonie od Lentiniego.

- Kurczę blade! - wykrzyknął. - Więc jednak się objawił. Ten to dopiero musi być głęboko zakonspirowany.
- I chyba ma ku temu ważne powody.
- Chcę z tobą pojechać. Nic o nim nie wiemy, a ja nie lubię tajemnic.

245

- Sama potrafię się sobą zająć.

Grimes zastanawiał się nad tym przez moment.

- Mogę cię o coś zapytać? Spojrzała na niego.
- Czy to, co pisali w „Post”, wyszali sobie z palca?
- Nie - przyznała.

Z wolna skinął głową. Milczał chwilę.

- Kurczę, Claire - odezwał się wreszcie - wszyscy popełniamy błędy.
- Błędy? - Gorzko się uśmiechnęła.
- Każdy ma jakąś mroczną tajemnicę. Jakiś postępek, którego żałuje.

Nie odezwała się, bo głupio jej było mówić o tym z Grimesem, ale on mężnie brnął naprzód.

- Generał Marks uprzedził, że biorąc tę sprawę narażasz swoją karierę. Chyba to

miał na myśli, co?

- Chyba tak.

- Uważasz, że on albo któryś z jego ludzi wysłali łapsów, żeby to wygrzebali?

- Myślę, że to wyszło podczas sprawdzania mojej przeszłości przez FBI. Przysłużył mi się jeden z profesorów w Yale. - Podała jego nazwisko. Grimes znał je i tylko skinął głową. - Wystarczy, że ktoś z wydziału śledczego jest w bliskich stosunkach z generałem.

- To może być każdy ambitny lizus - stwierdził Grimes. - Chcesz wyciągnąć tę historię przed sądem, żeby wszczęli postępowanie?

- Po co? Żeby mi Farrell odmówił albo, co gorsza, nakazał śledztwo, które do niczego nie doprowadzi? Tu nie znajdzie się żadnych odcisków palców.

Na miejsce spotkania Robert Lentini wybrał restaurację na szczycie góry w paśmie Catocin, w Maryland, leżącym jakieś sześćdziesiąt mil na północny zachód od Waszyngtonu. Pierwszy znak prowadzący do górskiego schroniska, wypisany pseudogotykiem, znajdował się na trasie numer siedemdziesiąt, tuż przy zjeździe. Z dołu widziała restaurację, oświetloną, przycupniętą na szczycie góry niczym w alpejskim kurorcie narciarskim. Podjeżdżało się do niej długą wąską drogą, na której ledwie

246

mieściły się dwa samochody, zmierzające w przeciwnych kierunkach- Droga wiała się po zboczu pod tak stromym kątem, że silnik wynajętego samochodu rzęził, automatyczna skrzynia biegów zaś zmieniała je na coraz niższe.

Zatrzymała się na małym parkingu. Stały tam jedynie trzy samochody, a nie widać było innego miejsca do parkowania. Zrozumiała, dlaczego wybrał tę właśnie restaurację. Z pewnością nie chodziło mu o jej wygodę ani o krzykliwy pseudoalpejski wystrój, ani też, jak przypuszczała, o kuchnię. Był to natomiast doskonały punkt obserwacyjny. Stąd widziało się okolicę na całe mile, i to we wszystkich kierunkach.

Ciągle siedząc w samochodzie, sprawdziła ukryty magnetofon Uhera, który Ray przymocował jej w pasie. Przewód rozwijał się do przodu, przymocowany do boku biustonosza. Szybkim ruchem nastawiła włącznik, ukryty koło jej lewej piersi. Przygodnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że się podrapała. Przerzuciła papiery w skórzaney teczce, po czym, następnym nieznacznym ruchem, włączyła ukryty tam miniaturowy magnetofon rezerwowyy, schowany w paczce papierosów marlboro (nie należały niestety do gatunku tych, które zazwyczaj paliła, ale nie

chciała grymasić). Istniało, oczywiście, ryzyko, że spróbuje przekonać się, czy nie ma podsłuchu, ale była gotowa je podjąć.

Nie spodziewała się, że Lentini zechce zeznawać w sądzie.

Wyszła z samochodu, trzymając teczkę, i skierowała się do głównego wejścia. Wystrój wnętrza wytrącił ją z równowagi: podłoga wyłożona kocimi łbami, niski, belkowany sufit (belki nawet z oddali wyglądały na nieprawdziwe), sztucznie postarzały drewniany stół, kiczowata imitacja witraży, duży kominek na gaz, w którym trzaskające płomienie w środku upalnego lata lizały plastikowe kłody drewna. Znalazła stolik przy oknie, skąd rozpościerał się widok na dolinę, i czekała.

Wybiła dziewiąta, a ona nadal siedziała samotnie. Zamówiła colę.

Dwadzieścia po dziewiątej zaczęła się zastanawiać, czy Lentini w ogóle się pojawi. Obeszła prawie pustą restaurację i zorientowała się, że zajmowały ją głównie pary. Nikt nawet w przybliżeniu nie wyglądał na byłego żołnierza. Zagadnęła starszego kelnera, który powiedział jej, że żaden z gości nikogo

247

się nie spodziewa. Zadzwoiła do domu, Jackie powiedziała jej, że nie zostawiono dla niej wiadomości.

Za piętnaście dziesiąta postanowiła wyjść. Wykluczone, by pomyliła lokal. Trudno przypuszczać, by w tym odległym miasteczku w stanie Maryland urządzono jeszcze jedną restaurację w stylu szwajcarskiego schroniska. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że Lentini zmienił zdanie albo z jakiegoś powodu obleciał go strach.

Zostawiła parę dolarów za colę i wyszła na parking. Stały tam teraz dwa samochody. Ani śladu nikogo, kto choć w przybliżeniu mógłby przypominać Lentiniego.

Zaniepokojona, wsiadła do samochodu, włączyła silnik i wyjechała z parkingu, żywiąc ślad nadziei, że może spotka Lentiniego przy odjeździe. Ale nie. Wystrychnięto ją na dudka.

Jechała ostrożnie po wąskiej górskiej drodze. Było ciemno i obawiała się, że samochód, który mógłby nadjeżdżać z przeciwnej strony, wyskoczy z zakrętu i uderzy wprost w nią. Toteż gdy zbliżała się do pierwszego, wąziusieńkiego wirażu, zapaliła reflektory oraz nacisnęła hamulec, by zwolnić, ile się tylko da.

Pedał opadł na podłogę.

- Jezu! - krzyknęła, znowu naciskając hamulce i czując, że nie działają. Zakręt był coraz bliżej. Gwałtownie obróciła kierownicą, by nie wypaść z drogi i nie stoczyć się

w przepaść.

Samochód przyspieszył, pchany naturalną siłą ciężenia, a Cla-ire przekręciła kierownicę w lewo, potem w prawo, w miarę jak droga biegła przed nią i ku niej. Po raz ostatni spróbowała nacisnąć hamulce. Nic z tego. Nie działały.

Obracała kierownicą raz w jedną, raz w drugą stronę, lecz wóz i tak toczył się coraz szybciej ku zbocz. Podciągnęła do góry dźwignię hamulca ręcznego. Poszło łatwo, zbyt łatwo, dźwignia posuwała się zrywami w górę i w dół bez najmniejszego efektu.

- O Boże! - wykrzyknęła żałośnie. Utkwiła wzrok w rozciągającej się przed nią drodze. Samochód przechylał się na boki, drzewa migwały jej w oczach coraz szybciej. Nagle uświadomiła sobie, że w każdej chwili z przeciwnej strony może nadjechać inny wóz i na tę myśl serce podeszło jej do gardła.

- Nie! - wydarło jej się z piersi. - Nie! O Boże, nie! Oczy zamglone miała od łez, lecz ani na chwilę nie odrywała

wzroku od rozwijającej się przed nią w gwałtownym pędzie

248

szosy. Ze śmiertelnym zapamiętaniem trzymała się kierownicy. Samochód toczył się naprzód jak szalony, przyspieszając w obłąkańczym tempie - sześćdziesiąt i zaraz potem siedemdziesiąt mil na godzinę. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że jest widzem, spokojnie oglądającym tę przerażającą scenę w kinie, lecz uczucie dystansu zaraz minęło i krzyknęła, ile sił w płucach, skamieniała w fotelu, unieruchomiona, podczas gdy samochód toczył się w dół. Wyłączyła biegi, lecz nie na wiele się to zdało.

Czy powinnam wyłączyć zapłon? Nie, to zbyt ryzykowne, mogłabym zupełnie stracić panowanie nad kierownicą!

Kręciła w lewo, potem w prawo, znów w lewo i z powrotem w prawo, zależnie od tego, jak wiła się szosa. Drzewa i kamienie po obu stronach rozmazywały się w ciemną mgłę. Aż wtem ujrzała przed sobą zielonego wojskowego jeepa, stojącego na samym środku. Z tyłu miał przymocowane dwa duże kanistry z benzyną.

Nie ma mowy, żebym na niego nie wpadła!

Błyskawicznie zdecydowała, by skręcić kierownicę w lewo i zjechać gwałtownie na strome, krzaczaste pobocze. Gdy samochód wjechał w niskie krzewy, znacznie wyhamował, chrzęszcząc po skałach i gałęziach. Miała nadzieję, że tak właśnie się stanie, toteż zmusiła się, by zdjąć lewą rękę z kierownicy. Sięgnęła do drzwi, nie

mogła ich znaleźć, szukała po omacku, nie odważając się oderwać wzroku od wybojów. Szczęściem natrafiła na stalową płaszczyznę, chwyciła rączkę, pociągnęła i drzwi otworzyły się...

Z przerażenia zaparło jej dech w piersi, lecz pochyliła się w lewo, schowała głowę w ramiona i wytoczyła się na pobocze, uderzając głową w coś twardego między krzewami. W ustach czuła krew i metaliczny smak strachu. Mocno zacisnęła powieki, kark przeszył jej straszliwy spazm bólu, a potem usłyszała, jak samochód toczy się naprzód, zawracając z powrotem na szosę, i w coś uderza. Do jej uszu doszedł przeraźliwy chrzęst stali.

Skulona na poboczu, po części na pokrytej sosnowymi igiełkami miękkiej ziemi, po części na asfalcie, czując pulsowanie w głowie, otworzyła oczy. Spojrzawszy przed siebie, ujrzała, że jej samochód wpadł na jeepa, po czym rozległ się potężny, ogłuszający wybuch. Zamknęła oczy, lecz nawet przez zacisnięte powieki widziała oślepiający błysk światła, gdy zapaliła się

249

benzyna. Podniosła się na nogi, odwróciła i z krzykiem pobiegła w górę drogi.

Parę minut później, choć wydawało się, że minęły całe godziny, potykając się na krętej drodze, wśród nieprzeniknionych ciemności, uświadomiła sobie, że ma przecież telefon komórkowy.

i

CZEŚĆ PIĄTA

HI

ffl!

41

- Wprowadzam się do ciebie - powiedział Devereaux. - Masz tu więcej pokojów niż w jakimś cholernym Hiltonie, a tego motelu z karaluchami mam już po dziurki w nosie. I przyda ci się ochrona.

Claire leżała na kanapie w jednym z saloników. Grimes i Jackie doglądali jej, bardzo zaniepokojeni. Dochodziła pierwsza w nocy. Claire była porządnie poturbowana, zwłaszcza na lewym boku i biodrze, na które wypadła z samochodu, mocno ocierając się o kamienie. Miała też parę zadrapań, w tym jedno szczególnie długie i paskudne, ciągnące się od szyi do lewego policzka, za uchem. Dotkliwie odczuwała też dudnienie w głowie. Policja stanu Maryland przesłuchiwała ją ponad godzinę, lecz

Claire dobrze wiedziała, że nie przyniesie to najmniejszego rezultatu.

- Nie potrzebuję ochrony, Ray - rzekła słabo.

- Nie, wcale - odparł sardonicznie. - Absolutnie. Ktoś kasuje ci hamulce, żebyś wpadła na jeepa, załadowanego z tyłu dwoma napełnionymi do połowy kanistrami benzyny. Zaparkowany był akurat na twojej drodze, tak żebyś wyleciała w powietrze, ale w ogóle wszystko jest w porządeczku.

- Jeżeli zależy ci na mnie... - zaczęła Jackie. - Nie, nie mówmy o mnie. Jeżeli zależy ci na Annie, powinnaś przyjąć jego propozycję.

Claire wzruszyła ramionami, nie chcąc dyskutować na temat takiego sposobu myślenia.

253

- Więc ani na chwilę nie straciłaś przytomności? - spytał Devereaux.

- Nie.

- Nie miałaś wymiotów, zaburzeń wzroku, nic z tych rzeczy?

- Nie.

- Tęcza masz tej samej wielkości co zawsze. O ile się orientuję, nie doznałaś wstrząsu mózgu, ale tak naprawdę powinnaś się zgłosić na ostry dyżur, żeby ci zrobili tomografię.

- Więc jesteś też lekarzem? - zapytała Claire.

- Nie masz przypadkiem wrażenia, że tak naprawdę nie wiesz, co się z tobą dzieje?

- Nie bardziej niż zwykle - odparła.

- No dobrze. Słuchaj, Jackie - rzekł Devereaux - obudź ją za dwie godziny, upewnij się, czy jest całkowicie przytomna.

- Tym nie zwracaj sobie głowy - rzekła Claire. - Na pewno obudzi mnie ten koszmary telefon.

- Uważasz, że za tym wszystkim kryje się Lentini, czy też ktoś dla niepoznaki posługuje się jego nazwiskiem? - spytał Grimes.

- Co to za różnica? - powiedziała Claire.

- Istotna - odezwał się Devereaux. - Dowiedziałem się ze swojego źródła w

miejscowym urzędzie telefonicznym, że na tę randkę w Maryland umawiał cię ktoś z płatnego telefonu, znajdującego się na terenie Pentagonu. Wątpię więc, czy rzeczywiście był to Lentini. Jeżeli się chowa, ukrywa, nie dzwoniłby z samego brzucha bestii.

- Powinniśmy złożyć doniesienie policjantom z Quantico, żandarmerii wojskowej - zauważył Grimes.

- Po co? - spytała Claire. - Najpierw musimy zorientować się, kto mnie tak urządził, i udowodnić to. W tej chwili niczego nie mamy.

- Wiesz co? - Devereaux pochylił się nad nią. - Naprawdę nieprzeciętnie mnie wkurzasz. Skąd ci właściwie to do głowy przyszło, żeby umówić się na takie spotkanie i nie zabrać ze sobą mnie?!

- Nalegał, żebym przyjechała sama - rzekła słabo Claire.

- Zawsze tak robią - skomentował nachmurzony Devereaux. - Musisz bardziej dbać o swoje bezpieczeństwo. Mam dla ciebie wiadomość. - Odwrócił się do reszty. - Dla was wszystkich. Wiecie już o waszym handlarzu nieruchomościami z Pep-per Pike?

254

- Nasz świadek? Jak mu tam, Fahey? - zapytał Grimes. - Nie mów mi, że...

- Owszem. Dziś rano zginął w wypadku samochodowym. Claire poderwała się jak za naciśnięciem sprężyny. Głowę

jej rozsadzał ostry, szarpiący ból.

- O mój Boże!

- Ktokolwiek chciał go usunąć, był z kręgu tych samych ludzi, którzy chcieli usunąć ciebie - rzekł Devereaux. - Podobny modus vivendi.

- Operandi - poprawił Grimes.

- To chyba jest modus operandi w sprawie Kubika.

Telefon zadzwonił prawie o wpół do czwartej rano.

Claire przewróciła się na bok, przypomniała sobie, że jest cała obolała, i chwyciła słuchawkę, nim zdążyła się włączyć automatyczna sekretarka.

Nie czekała, aż usłyszy męski głos czy sapanie.

- Pudło, sukinsynu - powiedziała i cisnęła słuchawkę na aparat.

Obudziła się późno - dziesięć po dziewiątej. Rozprawa już trwała. Poczowała ukłucie bólu, a potem, gdy uświadomiła sobie, że zasnęła, ścisnęło ją w dołku.

- O Boże! - krzyknęła i wyskoczyła z łóżka.

Nie - przypomniała sobie. Dziś rano ma zeznawać zbroj-mistrz z Fort Bragg. Jako świadek oskarżenia będzie wypowiadał się na temat niezawodności komputerowego systemu rejestru broni, którym zawiadywał. Przesłuchiwać miał go Grimes. Zawsze dążyła do tego, by wysłuchać wszystkich zeznań, ale jeśli opuści tę część rozprawy, nie będzie tragedii. A musiała przede wszystkim dobrze się wyspać.

Devereaux i Jackie siedzieli przy kuchennym stole i rozmawiali. Annie, rozparta na kolanach detektywa, rysowała mazakiem w bloku. Claire poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy.

- Jak się masz, ślicznotko - powitał ją Ray.

Annie przyjrzała się mamie szeroko otwartymi oczyma, które szybko wypełniły się łzami. Po chwili zaczęła płakać.

255

42

Zadrapania na policzku udało jej się zamaskować całkiem niezłe za pomocą specjalnego sztyftu, lecz wokół lewego oka wypełnił duży, rażący, fioletowożółty siniak, którego nie mógł zakryć najgęstszy nawet podkład, chyba że nałożyłaby go grubo jak tynk.

Tom zauważył obrażenia Claire natychmiast, gdy tylko przyprowadzono go do stołu obrony. Szczęka mu opadła.

- Co ci się stało, do diabła? - zapytał, gdy już wrócił do siebie.

- Poślizgnęłam się i upadłam - rzekła. - Wiesz, jak to jest w obcym domu. Zdarza się.

Zdaje się, że niezbyt trafiło mu to do przekonania.

Sytuacja wyglądała tak, że zaczęli przegrywać. Mimo iż Claire wzięła Hernandeza i La Pierre'a w prawdziwie krzyżowy ogień pytań, obaj świadkowie spełnili zadanie wyznaczone im przez oskarżenie. Sąd przysięgłych bez wątpienia uwierzył nie tylko w to, że Tom powystrelał z karabinu maszynowego osiemdziesiąt siedmioro matek, dzieci i starców, lecz także i w to, że dopuścił się wobec nich czynów sadystycznych, które mogły się zrodzić tylko w chorym umyśle.

Podczas popołudniowego posiedzenia w trzecim dniu składania zeznań następny naoczny świadek, Henry Abbott, był gotów do przesłuchania. Claire, rozejrzawszy się po sali, dostrzegła Raya Devereaux, siedzącego wśród publiczności z rękami splecionymi na potężnym brzuszysku. Uśmiechnęła się na jego widok. Ubrany był w jeden ze swych „sądowych garniturów”, jak je nazywał, na wypadek gdyby musiał zeznawać. Wyraźnie czuł się nieswojo.

Claire z wolna podniosła się i podeszła do świadka. Henry Abbott miał na sobie granatowy garnitur, świeżą białą koszulę i krawat w srebrne paski. Wyglądał na człowieka odprężonego i pewnego siebie. Spojrzał na nią martwym wzrokiem. Nie biła od niego ani nienawiść, ani pogarda. Patrzył pogodnie gdzieś poprzez nią, jakby Claire była jedną z tych bezdomnych kobiet, trzymających cały majątek w torbach na zakupy. UprzejmosC wprost nie pozwalała ich zauważać.

- Panie Abbott - zaczęła - nazywam się Claire Chapman-Jestem głównym obrońcą oskarżonego.

Mrugnął i leciutko skinął głową.

256

- Panie Abbott, czy widział pan, jak oskarżony zastrzelił osiemdziesięciu siedmiu ludzi?

- Tak, widziałem.

Claire odwróciła nieco głowę, by członkowie ławy przysięgłych nie mogli widzieć jej twarzy, po czym ledwie dostrzegalnie uśmiechnęła się do Abbotta.

- A więc widział pan reakcje ofiar, trafionych pociskami?

- Tak.

- Czy może je pan opisać?

- Ich reakcje? Jedni krzyczeli i płakali, inni padali na ziemię i starali się osłonić głowy. Matki przykrywały dzieci swoimi ciałami.

Doskonale. Był dobrze przygotowany.

- Więc widział pan ich reakcje na wystrzeliwane do nich kule?

- Tak.

- Na przykład?

- Niektórych odrzucało do tyłu. Ich ciałami wstrząsały drgania, kurczyli się w dziwnych pozycjach.
- I jest pan przekonany, że to tylko oskarżony mógł wystrzelić te pociski?
- Tylko on strzelał.
- Ale czy może pan stanowczo stwierdzić, że pociski, które trafiły ofiary, pochodziły z broni oskarżonego?
- Jak już powiedziałem, tylko on strzelał.
- Ale nie widział pan pocisków padających z jego karabinu maszynowego?
- Nie widziałem lecących pocisków, jeśli to pani ma na myśli. Nie jestem supermanem.

Na ławie przysięgłych rozległy się chichoty. Abbott był niewzruszony. Przygotowano go gruntownie.

- Panie Abbott, ile pocisków znajduje się w taśmie naboju em-sześćdziesiąt?
- Sto.
- Jeśli chce się wystrzelać z karabinu maszynowego osiemdziesięciu siedmiu ludzi, sto naboju nie wystarczy, Prawda?
- Nie.
- Więc musiał pan wiedzieć, jak przeładowuje broń? Ale Abbott był dobrze poinstruowany.
- Miał dwie taśmy połączone ze sobą - powiedział bez-

257

namiętnie. - Nie musiał przeładowywać. - W jego oczach błysnęła iskierka triumfu.

- Panie Abbott, czy wasza jednostka wyposażona była w urządzenia do M-sześćdziesiątki, nakładane na lufy, zwane maskownicami?
- Tak.
- Dlaczego?
- Dlaczego mieliśmy je na wyposażeniu?
- Właśnie.

- Żeby zamaskować pozycję strzelca - odparł, unosząc jedną brew w udatnym wyrazie pogardy. - Czasami ukrycie stanowiska strzeleckiego ma zasadnicze znaczenie.

- A może mi pan powiedzieć, czy sierżant Kubik zainstalował maskownicę albo tłumik na swojej broni?

Abbott zawahał się. O tym szczególe mu nie wspomnieli.

- Chyba nie.

- Chyba nie? - powtórzyła jak echo Claire. - Czy odgłos karabinu maszynowego M-sześćdziesiąt nie jest przeraźliwie głośny?

- Owszem - przyznał niechętnie.

- No więc wszystko to jest bardzo oczywiste, zgadza się? Trudno się nie zorientować, czy M-sześćdziesiątka ma tłumik czy nie, prawda?

Wzruszył ramionami, wężąc pułapkę, którą, jak podejrzewał, przygotowywała dla niego.

- Może i tak.

- A więc zeznaje pan, że sierżant Kubik nie używał tłumika ani maskownicy, gdy wystrzeliwał pociski, które zabiły osiemdziesięciu siedmiu cywilów?

- Zgadza się.

Zgadywał? Jeżeli tak, udało mu się. Abbott był zbyt inteligentny albo zbyt dobrze przygotowany, żeby odejść od swej sfabrykowanej opowieści. Claire uznała, że przyszła pora, by uderzyć.

- Panie Abbott, jak rozległe interesy prowadzi pańska firma z ministerstwem obrony?

- Doprawdy nie wiem.

- Ależ z pewnością całkiem nieźle się pan w tym orientuje-

- Gdzieś tak na parę miliardów. I

- Parę miliardów dolarów - powiedziała, zadziwiona. - Za-

258

tern dobre stosunki z Pentagonem, a zwłaszcza z armią, mają bardzo istotne znaczenie dla pana i pańskiej firmy. Wzruszył ramionami.

- Często powtarzam, że klient ma zawsze rację.
- No, myślę. Czy negocjuje pan teraz jakąś umowę z Pentagonem?
- Tak.
- Na co?
- To tajna informacja.
- Znajdujemy się na sali sądowej, panie Abbott. Każdy tu obecny, łącznie z sędziami przysięgłymi i publicznością, ma prawo dostępu do tajnych dokumentów.
- Prowadzimy rozmowy z wojskiem na temat zakupu helikopterów bojowych nowej generacji.
- Dla pańskiej firmy byłoby to olbrzymie źródło dochodu.
- Owszem.
- A pan jest jednym z czołowych negocjatorów, zgadza się?
- Tak.
- A więc musi pan być nastawiony na współdziałanie z wojskiem?
- Czy to jest pytanie?
- Jak pan lubi powtarzać, klient ma zawsze rację. Wzruszył ramionami.
- Panie Abbott, czy pamięta pan rozmowę, którą przeprowadziliśmy przed czterema dniami w hotelu Madison?
- Tak.
- Spotkaliśmy się na śniadaniu, prawda?
- Owszem.
- Towarzyszył mi wtedy mój współbrońca, pan Grimes.
- Zgadza się.
- Jak długo trwała ta rozmowa?
- Nie przypominam sobie.
- Dwadzieścia sześć minut to odpowiedni czas?
- Możliwe. Nie mam pojęcia.

- Panie Abbott, czy podczas naszej rozmowy w hotelu Madison powiedział pan nam, że pułkownik Marks pouczył pana, jak ma pan zeznawać podczas przesłuchania przez agenta śledczego?

Teraz jego spojrzenie znowu straciło wszelki wyraz, patrzył na nią martwymi oczyma węża.

259

- Nie.

- Nie pamięta pan, że takie stwierdzenie padło z pańskich ust?

- Nigdy tego nie mówiłem.

- Nie mówił pan, że podpowiedziano panu, jak zeznawać na przesłuchaniu przez śledczego?

- Niczego takiego nie powiedziałem i nikt mnie nie instruował, jak mam zeznawać.

- Na pewno?

- Tak.

- Jest pan o tym całkowicie przekonany?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - krzyknął Waldron. - Na to pytanie świadek udzielił już odpowiedzi.

- Odrzucam sprzeciw - rzekł Farrell i pociągnął łyk pepsy, jakby oglądał szczególnie interesujący mecz w telewizji.

- Przypominam panu, panie Abbott, że zeznaje pan pod przysięgą. Czy nie oświadczał mi pan, że dowódca pouczył pana, jak ma pan zeznawać podczas przesłuchania przez wydział śledczy?

- Nigdy czegoś podobnego nie mówiłem, a dowódca niczego takiego nie zrobił.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, panie Abbott, że mogę stanąć na pańskim miejscu i zeznać, co pan wtedy twierdził?

- Wtedy będzie pani słowo przeciwko mojemu - rzekł szyderczo. - A pani nie jest zupełnie bezstronnym świadkiem, prawda?

Claire zauważyła, że kilku członków składu sędziowskiego przysłuchuje się tej wymianie zdań ze szczególnym zainteresowaniem. Starszy przysięgły, czyli przewodniczący ławy, Murzyn w okularach, zapamiętane robił notatki.

- Gdybym powiedziała, że właśnie tak pan wtedy twierdził, skłamałabym? - spytała.
- Owszem, tak.

- A gdybym powiedziała, że również zdaniem mojego współ-obroncy dokładnie tak pan wtedy twierdził, uznałby pan, że on również kłamie?

- Z całą pewnością.

- A gdybym powiedziała, że nagrywaliśmy tę rozmowę, też bym skłamała? - zapytała niedbałym tonem i odwróciła się do stołu obrony. W sali nastąpiło poruszenie. Claire widziała, jak Tomowi zabłyśły oczy. Robił, co mógł, żeby się nie uśmiechnąć-

Grimes wręczył jej stosik kartek. Widziała, że Abbott sztywnieje i zaciska obie ręce po bokach. Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Wysoki Sądzie - rzekła - czy mogę podejść do świadka?

- Może pani.

Wolnym krokiem przeszła do stołu oskarżenia, na którym położyła spięty klamrą plik papierów. Taki sam zaniósła na stół sędziowski. Kolejny egzemplarz wręczyła Abbottowi.

- Panie Abbott - powiedziała - oto dokładna transkrypcja pańskiej rozmowy z nami, potwierdzona przez mojego kolegę, pana Grimesa, oraz mojego detektywa, pana Devereaux. Została spisana z nagrania wykonanego przez pana Devereaux. - Nie chciała wdawać się w wyjaśnienia, że to Devereaux dostarczył jej nadajnik w atropie telefonu komórkowego i nagrał rozmowę, siedząc w samochodzie, zaparkowanym przed hotelem. - Proszę spojrzeć na stronę trzydziestą czwartą i zacząć czytać siedem linijek niżej oznaczony ustęp, zaczynający się od słów: „Nie widziałeś, jak Kubik nagle podnosi broń i zaczyna strzelać?” - mówi. - A ja na to: - „Nie, panie pułkowniku, nie widziałem”. Fragment kończy się na: „nie lubią kapusiów ani zdrajców”.

Twarz Abbotta pociemniała z wściekłości.

- Dziwka - mruknął pod nosem.

- Słucham? Co pan powiedział?

Abbott wpatrywał się w nią z dziką wściekłością. Na jego prawej skroni gwałtownie pulsowała żyłka.

- Rzucił pan przed chwilą pod moim adresem nieprzyzwoite słowo, panie Abbott?

Nagle Abbott cisnął transkrypcję na podłogę.

- Do diabła, to nie miało stanowić dowodu!
- I wtedy nie stanowiło - rzekła cicho Claire. - Ale to pan dopuścił się krzywoprzysięstwa, nie my, a na to nie możemy pozwolić.
- Wysoki Sądzie! - Waldron zerwał się na nogi.
- Zamykam rozprawę! - wybuchnął sędzia Farrell, uderzając młotkiem. - Członkowie ławy przysięgłych mogą opuścić salę.

43

- Naprawdę zgodziła się pani nie wciągać tej rozmowy do akt? - wysapał Farrell.

261

- Tak, Wysoki Sądzie, zgodziłam się. Wystrychnęłam go na dudka. Poprosiłam mojego detektywa o zrobienie nagrania żebyśmy mieli dokładne zeznanie na rozprawie.
- Czy pani detektyw potajemnie nagrywa wszystkie pani rozmowy ze świadkami?
- Wolałabym o tym nie mówić. Ale to legalne, Wysoki Sądzie.
- Dlaczego go pani nagrała?
- Przy całym szacunku dla pana i Wysokiego Sądu nie byłam pewna jego prawdomówności. Nie powinno się dopuszczać do tego, by świadek stawiał się na sali rozpraw i kłamał w żywe oczy Wysokiemu Sądowi, mnie i ławie przysięgłych.

Waldron, który podczas tej wymiany zdań nerwowo przemierzał salę, zatrzymał się nagle.

- Wysoki Sądzie, jest to niewątpliwe naruszenie zasady wzajemnego ujawniania materiałów. Prosiłiśmy o udostępnienie wszelkich zeznań świadków oskarżenia, jakimi dysponuje obrona. Dlaczego nie otrzymaliśmy tej transkrypcji? - mówił bardzo przymilnie.
- Nie nadawała się do okazania - zaripostowała Claire.
- To najoczywściej w świecie nie jest zeznanie świadka. Świadek nie przeczytał go, nie podpisał i nie złożył przysięgi, że mówi prawdę. Nie został zaprzysiężony.
- Ale, Wysoki Sądzie...

- Cóż, w tym wypadku przychyliam się do zdania obrony
- rzekł Farrell, wypijając do końca puszkę pepsi i odstawiając ją na podium z suchym trzaskiem. - Nie jest to naruszenie jawności.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie - rzekła Claire.
- Ale zamierzam przyznać oskarżeniu godzinę przerwy. Nie lubię takich niespodzianek. Chcę, by świadek przeczytał transkrypcję do końca. Nie zamierzam oskarżać go o krzywoprzysięstwo, by pomóc pani wybrnąć, pani Chapman. Ani panu, panie Waldron. Naprawdę. Panie Waldron, niech pan zaprowadzi tego swojego niewydarzonego świadka do pokoju, a ja przedłużę członkom ławy przysięgłych przerwę.
- Ależ, Wysoki Sądzie - zaprotestowała Claire - jeste-" w środku przesłuchania. Czy może pan nakazać oskarżeniu, by nie rozmawiało ze świadkiem?
- Nie, nie mogę.

262

- Ależ, Wysoki Sądzie... - wybełkotała w podnieceniu Claire.
- To wszystko - rzekł Farrell.
- Przeczytał pan zapis? - spytała Claire, gdy Henry Abbott powrócił na swoje miejsce świadka. Włosy miał świeżo przeczesane i chyba nawet zmienił koszulę.
- Tak, przeczytałem.
- Czy uważa pan, że to prawdziwe i dokładne odtworzenie naszej rozmowy z panem w hotelu Madison?
- Tak, na ile mogę się zorientować bez swoich notatek. Prawdopodobnie miał takie nawyki, że robił notatki z rozmowy podczas trwającego dwadzieścia sześć minut śniadania
- pomyślała Claire.
- Może pan wytłumaczyć sądowi, dlaczego kłamał pan pod przysięgą?
- Nie kłamałem - odparł Abbott.
- Doprawdy?! Czy mam poprosić protokolantkę, żeby odczytała pańskie zeznania, które złożył pan przed przerwą?
- To nie jest konieczne - powiedział. - Nie kłamałem pod przysięgą.

- Co takiego?! Chce pan, żeby przegrać panu taśmę?
- Mówiłem już, że nie kłamałem pod przysięgą. To was okłamałem.

Serce w Claire zamarło. Waldron najwyraźniej go podszkolił.

- Powiedziałem wam to, co moim zdaniem chcieliście usłyszeć - ciągnął. - Wyraźnie uderzyła wam do głowy teoria spiskowa, co mnie strasznie wkurzyło. Myśleliście, że w wojsku nikt nie mówi prawdy i szczerze powiedziawszy, uznałem to za obraźliwe. Postanowiłem więc powiedzieć coś nieoficjalnie

- daliście mi słowo honoru, że to zostanie między nami - i w ten sposób przywołać was do porządku. Nagadałem stek bzdur, ale kupiliście wszystko, bo to wam idealnie pasowało. - Uśmiechnął się do niej leciutko.

Tego wieczoru Claire spotkała się z Dennisem, znajomym Toma z CIA, w tym samym modnym barze, którego tak nie cierpiał.

Miał na sobie niebieską kurtkę z jaskrawożłotymi guzikami

263

z wzorem w kotwice, białą koszulę oraz czerwoniebieski rypсовy krawat.

- Muszę pani powiedzieć - zaczął Dennis - że mogę się już z panią więcej nie zobaczyć. Sytuacja staje się coraz bardziej niepokojąca.
- Mam pański numer. Zadzwoń tylko wtedy, jeśli będzie się działo coś ważnego.
- Ten numer został wyłączony.
- Przeprowadził się pan?
- Po prostu zmieniłem numer telefonu. Robię to regularnie.
- Dlaczego? Dostaje pan mnóstwo telefonów od miejscowych świrów? Mnie też zaczęli ostatnio nękać.

Zrobił zdumioną minę, lecz ciągnął dalej.

- Pracuje dla nas pewna starsza pani. Ma pamięć słonia.
- Czy w każdej agencji szpiegowskiej jest taka staruszka?
- Przypomniała sobie, że widziała notatkę o wpisie do akt. Mówiłem pani o niej. Znalazła ją w teczkach operacyjnych.
- Naprawdę?! - krzyknęła, lecz potem coś ją zaniepokoiło. - A skąd Agencja dostała

wewnętrzny dokument wojskowy?

Wzruszył ramionami.

- Zbieramy wszystko. Mamy dobrego znajomego w Dowó-; dztwie Strefy Południowej. Znalazł ją w Panamie, w sejfie \ pełnym tajnych dokumentów. Doszedł do wniosku, że to może nas zainteresować.

- Dobry znajomy, to znaczy, że jest waszą wtyczką? Dennis uniósł swe ciężkie, mefistofelesowskie brwi.

- Pani to powiedziała, nie ja. - Przesunął w jej kierunku fotokopię pojedynczej kartki.

Nie była to dobra fotokopia. Miała smugi, drobne rysy i była wyblakła od częstego kopiowania. Jednak dawało się ją odczytać. Szczęściem, generał miał wyraźny, choć drobny charakter pisma. Było tego nie więcej niż trzy linijki. Przeczytała je i uniosła wzrok.

- Powiada tu, że chłopci mieli broń, więc połączył się przez radio z Hernandezem i rozkazał swoim ludziom strzelać. - Spojrzała na niego, zdumiona. Dennis pił swojego burbona. - Nie ma tego w jego oświadczeniu dla wydziału śledczego. Nie rna tego w niczym oświadczeniu - rozmyślała na głos. - Nigdzie indziej ani on, ani nikt inny nawet nie wspomniął o broni. Am że Marks wydał rozkaz. I to Hernandezowi!

264

Dennis uśmiechnął się.

- Dlatego nigdy niczego nie zapisuję - powiedział.

Dziesięć minut później, gdy Dennis pożegnał się z Claire, nie zauważył wysokiej, potężnej postaci Raya Devereaux, który uniósł się zza swego stolika przy drzwiach i ruszył za nim.

44

Claire i Tom spotkali się w małym pokoju konferencyjnym, w obrębie ściśle strzeżonego zespołu sądowego. Pokazała mu fotokopię notatki generała Marksa, którą dał jej Dennis. Przeczytał ją, nie zdradzając najmniejszych emocji, po czym uniósł wzrok.

- Ładny kawałek - powiedział i uśmiechnął się.

- Ładny kawałek? - powtórzyła osłupiała Claire. - Tylko tyle możesz powiedzieć?!

Ładny kawałek? Ten skrawek papieru może właśnie wygrał dla nas sprawę!

Tom przekrzywił głowę i spytał ze zdziwieniem:

- Naprawdę tak uważasz?

- Nigdy nie wiadomo, co się stanie w tym sądowym cyrku. Ale teraz mamy dowód, że Marks dał Hernandezowi rozkaz, by zabić tych ludzi. To bardzo ważne. - Popatrzyła nań przez chwilę - Czy twoim zdaniem to możliwe, by Hernandez też strzelał?

Tom wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci już, że niczego nie widziałem. Słyszałem strzały, ale gdy tam dotarłem, zobaczyłem już tylko ciała.

- Ale widziałeś, że Hernandez trzyma swój karabin maszynowy tak, jakby przed chwilą z niego strzelał albo coś w tym rodzaju? Nie ukrywasz niczego przede mną, co?!

- Claire! - podniósł Tom głos. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! Mówiłem już, że niczego nie widziałem. Rozumiemy się?! Chcesz, żebym to jeszcze raz powtórzył? Niczego nie widziałem.

Wpatrywała się w niego, zaskoczona tym nagłym wybuchem gniewu. Co, na miłość boską, tak go rozwścieczyło?!

- Owszem, słucham - odparła krótko i wyszła z pokoju.

265

- Oskarżenie wzywa Fredencka W. Coultasa.

Coultas był ekspertem balistycznym oskarżenia, specjalistą od identyfikacji broni na skalę krajową.

Zebrani ujrzeli wysokiego, niezdarnego mężczyznę w tanim brązowym garniturze. Przeszedł przez środek, usadowił się w krześle dla świadków i został zaprzysiężony. Miał dużą, podłużną głowę, wysokie czoło, okolone źle dopasowanym tupetem - brązowym w odcieniu bobrowej skóry. Brązowe oczy, przypominające paciorki, patrzyły przez okulary w drucianej oprawce. Praktycznie nie widać było jego podbródka.

Członkowie ławy przysięgłych obrócili się ku niemu z ciekawością. Przez większość czasu nie zdradzali szczególnych emocji, ale ani razu Claire nie stwierdziła, by

wyglądali na znudzonych czy roztargnionych.

Coultas podał do protokołu swe referencje, a Waldron pomógł mu przedstawić je w jak najlepszym świetle. Frederick Coultas służył w FBI, w wydziale broni i narzędzi, wykładał też zasady identyfikacji broni w Akademii FBI w Quantico. Był absolwentem wojskowej szkoły rusznikarskiej w ośrodku prób broni w Aberdeen w stanie Maryland. Ukończył szkołę zbrojni-strzów, kurs instruktorski na temat broni palnej w Akademii Smith & Wesson. Dwanaście lat przepracował w sekcji identyfikacji broni FBI. Był specjalistą w zakresie wykrywania śladów na broni. I tak bez końca ciągnęły się te obezwładniające szczegóły. Waldron udowodnił swoją tezę, subtelnie waląc zgromadzonych po oczach: Frederick Coultas zna się na broni jak mało kto.

Rozpoczął metodyczne, zawsze trafiające w sedno, zadawanie pytań. Waldron był bezlitosny, w swym najlepszym stylu.

- Proszę nam opowiedzieć o odzyskanej amunicji - rzekł po jakimś czasie.
- Odzyskano trzydzieści dziewięć pocisków, kul i sto trzydzieści siedem łusek.
- Czy były w dobrym stanie?
- Tak.
- Czy ta liczba pocisków, trzydzieści dziewięć, zgadza się według pana z zeznaniem, że wystrzelono dwieście nabojów?
- Tak. Nawet jeżeli używa się wykrywacza metali na miejsc zbrodni, wiele przepada. Nic się na to nie poradzi.
- Czy znaleziono jeszcze coś?

266

- Tak. Sto siedem ogniwi, małych, ząbkowanych i karbowanych kawałków metalu, które łączą ze sobą naboje w taśmie amunicyjnej.
- Czy te ogniwa przydały się panu do ustalenia, której broni używano?

Coultas przycisnęła oprawkę okularów.

- Nie. Trudno jest przypisać ogniwa do konkretnej broni, choć przypuszczam, że teoretycznie jest to możliwe.
- Panie Coultas, czy w raporcie rządowym z Salwadoru podano, że z ciał ofiar wydobyto jakieś pociski?

- Nie, ale to o niczym nie świadczy. Nie można wydostać pocisków z karabinu maszynowego z ciał ofiar, gdyż przeważnie przez nie przechodzą.

Nieustępliwie, niczym wiertarka pneumatyczna, Waldron zadawał mu precyzyjne pytania na temat zasad przechowywania broni. Coultas był zadowolony ze sposobu, w jaki Salwadorczycy zebrali dowody i przesłali je do wojskowego wydziału śledczego. Zostały one oznakowane metalowym rysikiem i szczegółowo wymienione w formularzu dowodowym. Waldrona interesował każdy najmniejszy szczegół, nawet cecha u dołu każdego pocisku.

- A teraz proszę nam powiedzieć, czy te pociski i łuski zostały wystrzelone dokładnie z tej samej broni?

- Tak.

- Czy to była ta broń? - Waldron uniósł owinięty w plastik karabin maszynowy.

Coultas pochylał się, by mu się przyjrzeć. Teatralne zagrywy.

- Tak jest, z tej.

- Panie Coultas, proszę nam powiedzieć, w jaki sposób przypisuje pan poszczególny pocisk konkretnej broni?

Coultas rozsiadł się w krześle i ponownie przycisnął oprawkę okularów. Jego głos stał się wysoki, nosowy i nieznośnie pompatyczny.

- W lufie każdej broni wycina się spiralne bruzdy. Jest to tak zwane bruzdowanie. Sprawia ono, że pocisk skręca w określonym kierunku, wiruje szybko, dzięki czemu porusza się prędzej i z większą dokładnością. Spiralne bruzdowania w każdym typie broni mają określony wzorec. Pomiędzy bruzdami znajdują się wyższe powierzchnie, zwane polami gwintu lufy. Te bruzdy i pola odciskają się na pocisku, tworząc wyraźne oznakowania, które widać pod mikroskopem.

267

Musi być z niego niesłychanie upierdliwy instruktor - pomyślała Claire. Nic dziwnego, że laboratorium FBI zawsze ma kłopoty.

- A czy bruzdowanie na tej konkretnej broni pasuje do pocisku, który pan oglądał? - zapytał Waldron.

- Idealnie. Bruzdowanie tego akurat karabinu maszynowego nazywamy cztery-, „p”, systemem prawostronnym, w którym cztery pola i bruzdy skręcają w prawo.

Występuje tu też jeden zwój na dwanaście cali. Za pomocą mikroskopowego badania

porównawczego przekonałem się, że te pociski wykazują ślady takiego bruzdowania. Zauważyłem też, że jedno z pól gwintowych w tej lufie jest węższe niż pozostałe. To kolejna cecha wyróżniająca. Prążkowanie na tych pociskach, spowodowane przejściem przez lufę, jest identyczne z omawianą lufą. Znaczy to, że najwyraźniej wszystkie pochodzą z tej samej broni.

Farrell otworzył puszkę pepsi.

- A łuski naboju? - zapytał Waldron.

- Zbadałem wyrzucone łuski, uważnie przyglądając się odciskowi, jaki pozostawiła iglica na spłonce, znakom zrobionym na łusce przez komorę i część zamkową lufy.

- A zatem nie ma pan wątpliwości, że te pociski zostały wystrzelone ze zbadanego przez pana karabinu maszynowego?

- Absolutnie najmniejszych.

- Dziękuję panu bardzo, panie Coultas. Nie mam więcej pytań.

- Czy obrona chce przesłuchać świadka? - zapytał Farrell.

- Tak, Wysoki Sądzie - odparła Claire, podnosząc się. Przez parę sekund patrzyła na biegłego pytającego. - Panie Coultas, może nam pan powiedzieć, czy tą bronią posługiwał się sierżant Kubik?

- Nie - przyznał.

- Naprawdę? Dlaczego nie?

- Nie mam kompetencji do składania takich zeznań. O ile wiem, oskarżenie powołało już świadka z Fort Bragg, który opisał komputerowy system rejestracji broni i sposób, w jaki się go prowadzi. Ale to znajduje się poza zasięgiem moich kompetencji.

- A zatem nie ma pan pojęcia, czyja to była broń?

- Zgadza się.

268

- Panie Coultas, zeznał pan już, że te pociski raczej nie zostały wydobyte z ciał, mam rację?

- Zupełną.

- Więc nie wie pan, czy te pociski kogokolwiek zabiły?

- Nie.
- Nie wie pan.
- Nie. Dokładnie rzecz biorąc, leży to poza zasięgiem mojej wiedzy. Przypuszczam, że naoczni świadkowie...
- Dziękuję. Panie Coultas, czy na podstawie szczegółowego zbadania dowodów może powiedzieć pan sądowi, kiedy te pociski zostały wystrzelone?
- Właściwie nie.
- Nie? Naprawdę? Nie ma pan absolutnie żadnego pojęcia?
- Dołączone do nich dokumenty...
- Powiedziałam: na podstawie zbadanych dowodów. Czy zostały wystrzelone w wymienionym dniu, dwudziestego drugiego czerwca, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku?
- Naprawdę nie wiem.
- A może nam pan powiedzieć, czy zostały wystrzelone w tym tygodniu?
- Też nie.
- Ani w tym miesiącu?
- Nie.
- Ani nawet czy w tym roku?
- Nie, nie mogę.
- Ciekawe. Panie Coultas, czy może mi pan odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie? Gdy strzela pan z broni maszynowej przez dłuższy czas, co dzieje się z lufą?
- Rozgrzewa się.

Cichy śmieszek z ławy przysięgłych i chichoty wśród widzów.

- I co się wtedy robi? Używa się jej nadal?
- O, nie. Po wystrzeleniu pięciuset pocisków zmienia się lufę, by uniknąć przegrzania. Wyjmuje się ją i zastępuje inną.
- Nawet w polu?
- Tak, naturalnie. Karabiny maszynowe zazwyczaj wydaje się z dodatkową lufą.

Czasami dostaje się cały worek luf. Są wymienne. A poza tym ulegają zniszczeniu. Po jakimś czasie wyrzuca się je.

- Więc ten konkretny karabin maszynowy mógł zostać wydany z dwiema oddzielnymi lufami?

269

- Zgadza się.

W

- Ale mogło być ich więcej.

- Owszem.

Rzuciła Embry'emu spojrzenie spod oka. Jego oczy błyszczały, pewnie z dumy.

- Panie Coultas, czy lufy karabinów maszynowych mają numery serii, tak jak broń?

- Czasami. Zdarzało mi się to widzieć.

- A ta?

- Ta nie.

- Nie jest oznakowana?

- Nie.

- A zatem mógłby nam pan powiedzieć, czy ta konkretna lufa została wydana z tą konkretną bronią?

Coultas potrząsnął głową, z konsternacją pocierając cofnięty podbródek.

- Nie ma sposobu, żeby to stwierdzić.

- Ale wie pan, że łatwo je można wymienić?

- To wiem.

- Panie Coultas, zakładając, że rzeczywiście z tej lufy wystrzelono pociski, które pan tak starannie zbadał, czy istnieje możliwość, że ktoś mógłby zamienić lufy?

- Przypuszczam, że tak, owszem.

- Pan tak przypuszcza?

- To jest możliwe.

- Więc ktoś mógł wziąć tę broń z wybitym na niej tym konkretnym numerem serii i

włożyć do niej lufę, której użyto do wystrzelenia tych pocisków?

- Nie mogę tego wykluczyć.
- Więc to jest możliwe?
- Teoretycznie tak.
- Nie jest to trudne do wykonania?
- Nie, nie jest.
- Rzeczywiście, całkiem łatwo to zrobić, prawda, panie Coultas?
- Owszem - potwierdził. - To bardzo łatwa sprawa.
- Dziękuję, panie Coultas. Nie mam więcej pytań.

270

45

Nareszcie weekend. Trochę tak potrzebnego wypoczynku. Chciała się porządnie wyspać, ale nic z tego nie wyszło. Obudziwszy się przed siódmą, uświadomiła sobie, że telefon nie dzwonił w środku nocy. Postęp. Albo może mają wolne weekendy. Zrobiła sobie bardzo gorącą kąpiel w dużej porcelanowej wannie stojącej w łazience przyległej do apartamentu pana domu. Podłoga łazienki była wykładana małymi białoczarnymi ośmiokątnymi płytkami, jak w starych hotelach z tradycjami. Zanurzwszy się, Claire długo leżała w wannie. Miała zamiar popracować trochę w czasie kąpieli, może nad transkrypcją, ale wybiła to sobie z głowy. Potrzebowała odpoczynku. Jej rozgorączkowany umysł musiał trochę zwolnić. Powinna nabrać dystansu do tej sprawy. Zamknęła oczy i pozwoliła wszystkim sińcom i obrażeniom porządnie się wymoczyć. Pomyślała o Tomie, o tym, czyby nie odwiedzić go w więzieniu, ale wiedziała, że obecnie bardziej potrzebna jest Annie.

Włożyła dzinsy, bluzę i tenisówki, po czym zabrała córeczkę na śniadanie do Georgetown. Pojechały tylko we dwie, nie zawiadamiając Devereaux, który najprawdopodobniej jeszcze spał.

- Kiedy wrócimy do domu? - spytała Annie. Syropem z plastikowej butelki robiła wzorki na naleśniku.
- To znaczy do Bostonu?
- Tak. Chcę zobaczyć się z przyjaciółmi. Chcę się zobaczyć z Katie.

- Już niedługo, kochanie.
- Jak niedługo?
- Za parę tygodni. Może wcześniej.
- Z tatusiem?

Teraz znalazła się w kropce. Nie, chciała odpowiedzieć. Nie z tatusiem. Cyrk, jakim jest sąd tatusia, prawdopodobnie uzna go za winnego i skáže na dożywocie w Leavenworth, gdzie będą go mogły od czasu do czasu odwiedzać. Ich życie będzie rozdarte. To znaczy, jeśli mamie uda się uzyskać wyrok niższy od kary śmierci. Przez ten czas mama będzie toczyć zażarte walki, pisać i składać wnioski, jak któryś z tych na pół oszalałych wykładowców prawa więziennego, wniesie sprawę do

271

Wojskowego Kryminalnego Sądu Apelacyjnego, potem do coraz wyższych instancji, aż wreszcie do Sądu Najwyższego. Tymczasem dochody rodziny będą się kurczyć, gdyż na pewno wyrzucą ją z Harvardu. Spodziewała się tego każdego dnia. Prawdopodobnie w którymś momencie, gdy orzekać już będzie sąd cywilny, wyrok zostanie uchylony, nie da się go utrzymać, gdyż całe to oskarżenie jest ponurym żartem. Ale tatuś nie przeżyje więzienia, gdyż zbyt wielu ludzi chciałoby go widzieć w trumnie.

- Oczywiście, że z tatusiem - powiedziała i przetargała cudownie miękkie, błyszczące, kasztanowe włosy Annie. - A jak już zjesz naleśniki, może pójdziemy do zoo?

Annie wzruszyła ramionami, jakby ten pomysł jej nie zachwyił.

- Nie podoba ci się w zoo? - spytała Claire. Annie potrząsnęła głową. - Ciągłe jesteś na mnie zła.

- Nie, mam. Jestem na ciebie wściekła.

- Wiem.

- Wcale nie wiesz. Ciągłe powtarzasz, że wiesz, ale tak naprawdę zupełnie nie wiesz.

- Oczy jej błyszczały. - Powiedziałas, że będziesz częściej w domu, ale nigdy cię nie ma.

- Chciałaś, żebym się z tobą pobawiła wczoraj wieczorem, ale musiałam pracować z panem Grimesem, panem Embrym i wujkiem Rayem. Przecież wiesz.

- Dlaczego ciągle pracujesz?
- Bo przeciw tatusiowi toczy się sprawa w sądzie - odparła. - Chcą go zamknąć w więzieniu na bardzo, bardzo długo, a ja, razem z moimi przyjaciółmi, staram się temu zapobiec.
- Ale dlaczego to się tak ciągnie? Trudne pytanie.
- Bo ludzie, którzy chcą się go pozbyć, są bardzo źli, a czasami kłamią.
- Dlaczego?

Claire zastanawiała się nad tym dłuższą chwilę.

- Naprawdę nie mam pojęcia - odparła uczciwie.
- Więc nic nie znaleźliście na generała? - spytała Claire, gdy zebrali się wieczorem. Embry i Grimes siedzieli na tych samych krzesłach co zawsze. Devereaux stał i przechadzał się, bo lubił

272

górować nad ludźmi. Claire usadowiła się przy pięknym stole bibliotecznym, który był jednocześnie biurkiem. Odchylając się do tyłu na wysokim, obitym skórą fotelu dyrektorskim, wypuściła kłęb dymu. - Nie bił żony, nie cudzołożył, nie molestował dzieci, nic?

- Jest czysty jak łza - odparł Devereaux.
- Najszybciej awansujący generał w historii wojska. Harcerz, lubi zwierzęta, dobry sąsiad. Daje duże sumy na cele dobroczynne, działa w fundacji na rzecz solidarności społecznej i w amerykańskim stowarzyszeniu do walki z rakiem. Nie wypożycza nawet kaset pornograficznych.
- Nawet? - rzekła Claire. - To tak, jakby wszyscy inni pożyczali?
- Noo, ty nie - przyznał Devereaux. - To wiem.
- Dzięki. Miło wiedzieć, że nie wkraczasz w moje życie prywatne.
- A co z Robertem Lentinim? - zapytał Grimes. - Dalej jak kamień w wodę?
- Nawet zakładając, że nie stał za tą historią w górach Catoctin i że po prostu posłużyli się jego nazwiskiem, bo wiedzieli, że Claire połknie haczyk - nadal stoimy w miejscu. Facet rozpląnął się bez śladu. Chyba że wcale nie istniał.
- Wiemy, że istniał, bo mamy udokumentowaną jego służbę w wojsku - wtrącił się

Embry.

- No, może - przyznał Devereaux.

- A moja wtyczka z Agencji, Dennis? - zapytała Claire. Na twarz Devereaux wypełznął grymas uśmiechu.

- To ci się spodoba. Nasi muszkietierowie nie potrafią zauważyć ogona, nawet jeśli ma ponad sześć stóp i waży trzysta funtów. Podprowadziłem łysonia prosto do Chevy Chase, jego podmiejskiej rezydencji. Nazywa się Dennis T. Mackie. Nie mam pojęcia, rzecz jasna, na co ci się to może przydać. Chyba że masz książkę telefoniczną personelu Agencji. A teraz pozwolicie, że was opuszczę? Muszę się trochę przespać, by nie stracić urody.

- Czy mogę coś powiedzieć? - nieśmiało odezwał się Embry. - Wspaniale pani przesłuchiwała tego specjalistę od balistyki.

273

- Dzięki - odparła. - Ale bez twojej pomocy byłabym jak ślepe kocię. - Embry wzruszył ramionami. - Mówię poważnie

- przekonywała. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy ta sztuczka z lufami. Przecież ja nie mam zielonego pojęcia o broni.

- Ty ją podszkoliłeś? - zapytał Grimes. Embry obrzucił go czujnym spojrzeniem.

- Bystry z ciebie lalusz - pochwalił Grimes. Embry uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Dzięki.

- Nawet Coultas nie pamiętał o lufach - dodał Grimes.

- W to nie wierzę - rzekła Claire. - Nie ktoś taki jak Coultas. - Jest autorytetem balistycznym na krajową skalę i nie mógłby przeoczyć czegoś tak oczywistego.

- To nie było aż takie oczywiste - zaprotestował Embry.

- Dla takiego faceta jak Coultas, tak - odparła. - Z pewnością miał nadzieję, że go o to nie zapytamy.

- Dajcie spokój - powiedział Grimes - to neutralny ekspert. Nie stoi po niczyjej stronie. Waldron pewnie go poinstruował, żeby nie poruszać tej kwestii, jeżeli nie zostanie zapytany wprost, ani w najmniejszej mierze na nią nie naprowadzać.

- Czy jest coś jeszcze? - zapytał po chwili Embry. - Bo chciałbym trochę popracować

nad materiałami o generale Marksie. Może uda mi się coś z tego wydobyć. Prawdę mówiąc, chętnie poszedłbym do domu i trochę się zdrzemnął.

- Idź spokojnie, Terry - rzekła. - Dziękuję, że przyszedłeś.
- Zrobić ci drinka? - zapytał Grimes, gdy Embry już sobie poszedł.
- Nie, nie mam ochoty. Ale w każdym razie dziękuję.
- Wyglądasz na zmęczoną.
- Ostatnio ciągle czuję się zmęczona.
- No to ja też będę się zbierał. - Podniósł się, zgarnął swoje papiery i włożył je do teczki. Stając koło jej biurka, zapytał:
- Czy mogę powiedzieć ci coś osobistego?
- Taak? - rzekła ostrożnie.
- Ja tylko... chodzi mi o to, że jesteś rozrywany prawnikiem i podziwiałem cię już od dawna. Bardzo mi pochlebiło, że zechciałaś mnie wynająć.

Z uśmiechem skinęła głową.

- Miałaś świetne rekomendacje.
- Te durnoty nic nie znaczą. Chociaż trząśłem się jak

274

barani ogon, kiedy po raz pierwszy przyszedłaś do mojego biura, przez cały czas uważałem, że biorąc tę sprawę, robisz jakąś komedię. Chcesz stanąć przed straszliwie rygorystycznym sądem wojskowym, nie mając pojęcia o prawie wojskowym. Ale wiesz co?

- Co?
- Teraz już rozumiałem. Wiem, dlaczego jesteś takim wziętym prawnikiem. Po prostu wszystko, co robisz, wychodzi ci pioruńsko dobrze.

Łzy napłynęły jej do oczu. Zrobiło się późno, czuła się wykończona i była emocjonalnym wrakiem. Uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. Wstała i podeszła do niego.

- Grimes... Charlie... Charles, do diabła z tym. - Objęła go mocno i stali tak przez długą chwilę.

Telefon znowu zadzwonił, o wpół do trzeciej w poniedziałek rano. Szukała go po omacku, wreszcie znalazła słuchawkę.

- Pomyśl, komu naprawdę zależy, żeby go zamknąć - powiedział elektronicznie zmieniony głos.

- Dzięki - rzekła Claire. - Już prawie cię mamy, ty dupku.

46

- Generał ma dzisiaj zeznawać? - zapytał Devereaux. Claire siedziała na przednim siedzeniu samochodu, który

wynajął detektyw. Lincoln town car był jeszcze większy i bardziej luksusowy niż wóz, którym jeździł w Bostonie. Elegancką skórą obito wszystko, co się tylko dało.

- Najwyraźniej. - Z roztargnieniem sączyła kawę z jednorazowego kubka.

- A więc będzie siedział w swoim generalskim kostiumie z czterema gwiazdkami, sałatką owocową na piersi i mówił, że zrobił to sierżant Kubik! I jego zdanie ma wpłynąć na opinię ławy przysięgłych? Chociaż nawet nie było go tam na miejscu?!

- Taka jest teoria Waldrona, całkiem niegłupia.

- A ty co masz zamiar zrobić? - Wjechał do Quantico przez tylną bramę i pomachał strażnikowi, który już ich rozpoznawał.

275

- Będę szukać słabych punktów - powiedziała - i wbijać w nie nóż.

Devereaux przypatrywał się jej przez chwilę, po czym z powrotem skierował wzrok na drogę. Uśmiechnął się krzywo.

- Dlaczego mam uczucie, że wbijesz go nawet wtedy, gdy nie znajdziesz słabizny? Miałaś dziś w nocy telefon koło pół do trzeciej?

Skinęła głową.

- Chłopcy z Biura Federalnego coś znaleźli?

- Nie. Ja. Widzisz, do Pentagonu są tylko dwa wejścia, otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę: Mail i River. Postanowiłem obstać Mail. Jakies dwadzieścia po drugiej w nocy - dziesięć minut wcześniej, nim dostałaś telefon - zgadnij, kto wkroczył do Pentagonu z błyszczącym wzrokiem i wyprężonym ogonem?

- Nie mam pojęcia.

- Dzielny żołnierz. Pułkownik James Hernandez. To on dzwonił. On pewnie kryje się za tym „wypadkiem” samochodowym w Maryland. Fajny facet, co?!

Waldron przesłuchiwał generała w sposób zwięzły, profesjonalny i pełen szacunku. Zeznawanie ciągnęło się przez prawie całe przedpołudnie, po czym sąd ogłosił przerwę na wczesny lunch.

Gdy Claire, Grimes i Embry wrócili na salę, zauważyli, że stół oskarżenia jest pusty. Wzbudziło to ich zdziwienie, gdyż Waldron i Hogan byli punktualnymi ludźmi, którzy lubili konferować ze sobą na długo przed przyjściem sędziego Far-rella.

Obaj oskarżyciele powrócili na moment przed wznowieniem rozprawy, rozmawiając ze sobą po cichu z wyraźnym podnieceniem. Waldronowi towarzyszył agent z wydziału śledczego, którego Claire widywała od czasu do czasu, lecz nie pamiętała jego nazwiska.

- Co się dzieje? - wyszeptał Tom, chwytając ją za ramię. Potrząsnęła głową.

- Coś się tu szykuje - mruknął pod nosem Grimes. - Waldron wygląda jak kot, który zeżarł kanarka.

276

* * *

Claire przedstawiła się generałowi z nadzwyczajną uprzejmością, pokazując sędziom przysięgłym, jak bardzo szanuje wysoką rangę generała Williama Marksa, choć zazwyczaj byłaby raczej skłonna pomniejszać jej wagę.

Inny adwokat mógłby potraktować generała jak jeszcze jednego świadka, milcząco przekazując członkom ławy przysięgłych: ten świadek nie różni się od innych i proszę o tym nie zapominać. I byłoby to postępowanie zupełnie na miejscu.

Ale zauważyła, że gdy generał obecny jest na sali, sędziowie przysięgli starają się zachowywać jak najlepiej. Siedzą wyprostowani, powstrzymują się od obgryzania ołówków, nie podpierają się rękami i nie wykonują żadnych drobnych gestów świadczących o braku uwagi czy znudzeniu. Spostrzegła, że nawet sędzia Farrell nie przyniósł ze sobą puszek pepsi. A zatem kręciła się wokół niego w lansadach, wiedząc, że za parę sekund potraktuje go z całym lekceważeniem, na które w istocie zasługuje.

- Panie generale - powiedziała, gdy skończono już z nudnymi czynnościami wstępnymi - czy to prawda, że w zamian za zgodę na dzisiejsze składanie zeznań przyznano panu nietykalność?

- Tak, to prawda. - Z jego tonu była szczerść i pewność siebie. Miał srebrne włosy, orli nos i w wyjściowym mundurze prezentował się olśniewająco.
- Są dwa rodzaje nietykalności, panie generale. Jedna obejmuje tylko pańskie zeznanie tu, w sądzie. Druga dotyczy wydarzeń, co do których pan zeznaje - zwłaszcza wypadków w Salwadorze w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Jaki rodzaj nietykalności panu przyznano?
- Ten drugi. Immunitet ugodowy - powiedział, skinąwszy głową.
- Z jakiego powodu, panie generale?
- Wojna to grząska sprawa, pani mecenas. Pomyłki są nieuchronne, a często odpowiedzialnością za nie obciąża się dowódcę.
- Doprawdy? A czy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku byliśmy z Salwadorem w stanie wojny, panie generale?

277

Przerwał jej sędzia Farrell.

E

- Pani adwokat, nie mam zamiaru sankcjonować tonu, którym zwraca się pani do generała. Nie podoba mi się ten brak szacunku.

Claire pochyliła głowę na znak zgody - jeszcze nie pora na kłótnie.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Panie generale, kiedy użył pan słowa „wojna”, chciał pan powiedzieć, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku uczestniczyliśmy w konflikcie zbrojnym? Nie odniosłam wówczas wrażenia, że Kongres wypowiedział wojnę Salwadorowi.

Na twarzy generała pojawił się wymuszony uśmiech.

- Za każdym razem, gdy oddział wojska, w tym również sił specjalnych, prowadzi operacje z dala od bazy macierzystej przeciw potencjalnie wrogiej sile, działamy w stanie wojny.
- Aha - odparła. - Teraz rozumiem. To bardzo rozsądne. A czy zgadza się pan z poglądem, że dowódca jest odpowiedzialny za czyny swoich podwładnych?
- To nie jest tylko pogląd. To zasada działania armii.
- Więc nie ma pan do tego żadnych zastrzeżeń? Uśmiechnął się z rozbawieniem.
- Nie, nie mam, jak to pani ujęła, żadnych zastrzeżeń co do zasady, zgodnie z którą

działała armia.

- Więc jako dowódca oddziału dwudziestego siódmego jest pan ostatecznie odpowiedzialny za wszystkie postęпки pańskich podwładnych?
- Tak, istotnie - powiedział, energicznie kiwając głową.
- Nawet za postęпки, na które nie miałem żadnego wpływu.
- Dziękuję panu, generale...
- ...dlatego właśnie przyznano mi nietykalność, by rozpatrzyć tragiczne uczynki pani klienta.
- Dziękuję, panie generale. Oddział dwudziesty siódmy został wysłany do Salwadoru, by dokonać represji za obrzucenie bombami Zona Rosa, zgadza się?

Ponury uśmiech.

- Nie, pani mecenas, to nie jest zgodne z prawdą. Zostaliśmy tam wysłani, by odnaleźć morderców, tak zwanych miejskich partyzantów, którzy zabili czterech żołnierzy piechoty morskiej
- nie po to, żeby się mścić.
- Dziękuję za to rozróżnienie, panie generale. A czy mam

278

rację twierdząc, że przy okazji tej misji chciał pan załatwić pewną sprawę osobistą?

- Absolutnie nie.
- Czyżby? Nie był pan bliskim przyjacielem jednego z żołnierzy zabitych dziewiętnastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, podpułkownika Arlena Rossa ze zwiadu piechoty morskiej?
- I w tym miejscu muszę dokonać następnego ważnego rozróżnienia - powiedział całkiem rozsądnie. - W istocie byłem znajomym Arlena Rossa...
- Nie, panie generale - przerwała. - Nie „znajomym”. Przyjacielem.

Generał wzruszył ramionami.

- Jak pani sobie życzy. Przyjacielem. Nie będę się spierał. Podpułkownik Ross był, niestety, jedną z ofiar zamachu bombowego w Zona Rosa. Ale proszę nie popełnić błędu, pani mecenas. Znalazłem się tam na polecenie prezydenta Stanów

Zjednoczonych. W żadnym razie nie wykorzystałbym potęgi sił specjalnych armii Stanów Zjednoczonych do dokonywania własnej, prywatnej wendety.

- Absolutnie niczego podobnego nie sugerowałam, panie generale - rzekła Claire, udając zdumienie. - Powiedziałam tylko, że był pan osobiście zainteresowany tą misją, jak każdy, komu by parę dni wcześniej buntownicy antyrządowi zabili bliskiego przyjaciela.

Ale generał był na to zbyt przebiegły. Nie darmo awansował tak wysoko i z taką szybkością.

- Przemawiają przez panią żywe emocje - rzekł szorstko - ale ja działałam na rozkaz mojego dowództwa, a nie jak żądny krwi mafioso.

Nigdy nie trać panowania nad świadkiem - przypomniała sobie Claire, a tak właśnie wyglądała sytuacja. Ten kierunek przesłuchania najwyraźniej wiedzie na manowce.

- Panie generale - powiedziała - gdy przed przesłuchaniem odbyliśmy rozmowę w pańskim gabinecie w Pentagonie, ostrzegł mnie pan, bym nie prowadziła tej sprawy, bo może to zaszkodzić mojej karierze.

Generał Marks przyglądał się jej przez parę sekund nie-odgadnionym spojrzeniem. Był dobrze przygotowany. Wiedział o potajemnym nagraniu rozmowy z Henrym Abbottem.

279

p "Sb

cd B

43

43

•co

>>

I

p

CS

-*1

cd

-o

3 /

&

^P '?'

cd O

ag

P J*

>>.P/ C3 3 w S

c*"L/2 -i* ct* cd

q N *->

L3

, C3 \$?

.« « e

CB li -° H "O ^P >i t-* co L ^ P

cti ^ co

c.^ b 5 L

O —

o

cd -O

|a

CD

co

p

cu

cd

* J *

*j "3

N

•a

C8

/ .i

•O . L

B o1'*

3 -N n

.^ 3 "-

co "a 5

ej U- U

n -b 'N

O O s

cd

CL)

O 1)

cd

cd

"O

Cu &

05 cd

cd

I /

I

3 cd 60 >. cu

c, ^ & o & L

L > n

Cu 73 .9, cB .. 73

& o 43

73 60

'P |-, g N

cd

P 'é? JO

cd

B

cd S

ej •N

'O

N 73

CB -3 O CD

L1

Cu

vco ""^ cd "" -° V"7

g^bL

O OJ o Cu

% -f3 B

3

•S -O

cd

N P

8

c* 'cs5

13 N

s

^

p

(W)

CD

B cd

•§:L!

o

•-* li co ^j

2 Cu Cu<

P-S

fc. .3

CD* ">

w .5

CD

'Nj 73 'O

kco

P N

JO N

P

^ _ <L> cd

CD

•B JSi

c-> >> 72.

LD.:C: -O r>,,

« -R-*

.CD CU? 3 ^

|n -2 « ^ cd ~j •O N^S

.J>.J> P/

O _

S-S •1 L

CW C8 L B

-S cd."

c^-2>2

N

ca J*

CD

'i? P

co N

P

•c« '3 jh P,,-

>> P L 60 CD

•i ii "5; cd -~j o^.ff" B

s>6^

-O B

e s

CD"0

3 3

|3 05

-B -O cd .

CDj

N B co _

15 73

S

CD

B

(50

b" p

^ CD ^

O P B -^

43

N

.a^

CD

CO

CD •N

CD N

1*3

co ^>

cd ^ N >^

« -O

O "O Cd J

d .P/ 3 TJ

•N CD

bo CB P &

S °

Cu,,

•s

00

d>

^ cd

cd

.1

'3&&U!

=1

CD

CD

JU

|S t?ctc o P -irf g >

.« «. bo *3 P W 3 -P/ N cd co O

~>> S N

CD^-io

^ B

r <<

co B

6 Ki

cd -o

fi CD

L>>

^ CD-

N' -^ cd JL L Tj O 'G

°<L"

g 8 S ^

B 3 ""

O CD CD

cd ^ o

» p s

cdJ B

CB

CB Si Cu

cd

P

CD

3

JS cb --B n

- Cu 3 4? CB _ S N

- cd CB 00

-L CB CDJ."~,

3

CB

C9--CD B >> P JO

-f^^

o-« 5 ^ 3

•3 P, « co'5 S '^ Cu <d .CB g, fe U N _

A_t ._- P -Sf §

c c K -3

Cu >> * t†

0

I CB N cd

P

N

r p

N

CD

-O

I I

o

bo N

-U 3 CD

3 CB

iS o

g^p -.

^^B

CB -B Cu W

P/-a*

co CD

• -TT3 S " ° _c? CD ca "S-N

pŁ.

Cu c/

3 B

s.l

CD cS C, ^

B 3

B O

;N

B

cd'

CN-

SÓ-cS

"O 3

co

•2^3

O CB

CB

cB -l*

_ • °* >>

p • _ >. >>

^8 5 f

CS^{-g}

'O CS 1—(

p

5

CO CD

L5 CD

n -a

>> s

JO CB

B

p

O,

p

60

s

CD

•NP

S

O CL?

S, P c

§0 bo L

>> CD

N N

3

Sio "O

Li JO

p

73

CD

CD • N

CB -i"

3

s

p

JO

O

>>•

3 N • cd 73

* §•;

B 3 ^ »

3 • B JO CD

tr1 "° 'R

P 3

CD O.

CD

I

N -B „

jj> cd

' /

p t*

>i N JO CD

c* ^3 -^ -2

^?§.

I /

|s.S

O cd <_ ; cd --i

"^cs

o 5 ^ p

B |=> Cu S

-S cD

5C 0i

05

& 'R

|f

P 60

CD

U

/ /

N 73 CD

"? P

Cu N

CD

73

B . cd

5

CD

&JS

CLfc P

co

60 CD

J3 O

' /

*CD

CB

CD JL

Cu S3 ""73 CS CD

B co → CD M CS

1—1 Cu

JO

3

'O

cd

I

B C.

CD

N

cd

N

O .CD

33 Ki 73

'>?-> co

!> CD

Cu^i

3 li

CD

i:§

f/3

OJ

!gu^.-"

B<73 P

73 P

/

^ co O S

I rrt

co ;> CD SS •TO

•«i3

/

c co Cu ii O CD

h "P

N 73 CD

CD

•Si.a p^ f p •S

CD

3 -^."cd

cb '<yj^

S^-B P

B cd ii

•-1 -*—> ii /

3 cd B

J -B

'i

3 g

ĆD P 60 CD

'Ć?

S 73 o

3 CB

a

N

^P

s

.L >>

73 N

O cd

L-^ O 73

O

'5 &

00 ^O

co

S^-S

.cd '3

CD

n » ^

2 0

CD -« JO é?

co CJ

Cu 3 0 P

co C

0 s

S|b

o L>•-

60-^ &

CD .CD . _

JO

p

'-1 CD^

cd

CD

B > ",

>?| *

B g CL

S" -

w ^-S P •^1 co CB -Ji •2 'B ^ Jś J< Cd o es .52 Cu-o 73 c

^ c N co __

3 CD O

CS

CD J«< -, CD

73 CB 73-a

-P/

co N S

co 'B cd Cu

ri _ . C^ n rt^ c^ 3

0>

c*

pp ^ -^ 73

•N S^ .S I '

L\ \$ 3 " §

~ " « 3 ~ ~ 3^

cd^-c;

CB JO

P

!^r?

p k S p .2

e

B CS Cu

-5 ^ 1

O CB

S CD

B P ^ B P -^ JO

S ^ iK ulV CD ^ u

o3 "O

«-, CD I

N CD 73

u" §

e

CD

co OJ

s

cd 73

cd B

-O

cd

CD 3

O

-O 5 1-

-° -S 3

cd 72 s

N o 3 i> 3 3

CLV 60 O

O O c*

CD

N CD 73

3 CB

e

CD

ST

→ P B-g[^]

O 3 •co B O B li 73 J«J N

•O

CS

p

5

3

s

co

PN

1>

CD

cd[^]TiJ ~ N

CB

C,

73 I 3

CD

O [^]co O

73

[^]B [^]

CS [^]co CB N CD

N 3 li 73

/

/

CD

s

!;? iS

CS •!-•

3 ~ • _ <ao

c N N _

o M7 ~ c,

B B 3 73

e s °

-2 73 -o / s CS .^ CD

fc -?'K -3 3 B 3 B

73 P 60 CD

CB

p

s

•S ^

N CD

3 co tt o 73 B >j. cd'. ii

CD

cd G

CS

11 73

J^

CB B B

j> O

^

73

2

CD

~> CD

>,.CS

CS' O

/ / CD

"O

CB

"- r' 'co S W CD

'I*

^f|

cf«

Cuu_

^s

cs 'N

N

s-s

N S 73 B

vco S>

u -o :

c 72

O O,

CB

CD C^.

CB CD

S 5

Cu S

JO o^ CD^

_l'.

co ii 3

— Cu CD

" J3

o p

Cu

3 S B

p

es N O

CD

2

CD

B

CD 60

cu> _," '§•§

°-|

CD J>

73 W

O

73

co

/

P O

_T-B l> 4? -B

S/^^2 g

S

S^P

.3 JO

CB

li

cd

\9 w

• P/B

CD co <*3 3

• 2 &

O -o

CS

B ,,cd O

CD <u

s

cd o c*

o p

60

O 00

- Owszem - odpowiedział wreszcie. - Całkiem poważnie obawiałem się, że przedsięwzięła pani jakąś samoniszczycielską akcję, że zachowuje się pani jak kamikadze, bo klientem jest pani mąż.

No więc wreszcie to wyszło. Członkowie ławy przysięgłych bez wątpienia wiedzieli już, że Tom jest jej mężem. Lecz teraz fakt ten, w całej swej złożoności i dwuznaczności, został przedstawiony oficjalnie.

- Obawiałem się - ciągnął - że jeśli wda się pani w tę sprawę bez znajomości wszystkich faktów, wyjdzie pani na osobę w najwyższym stopniu nieroztropną. Jest pani, w końcu, żoną człowieka oskarżonego o morderstwo. Nie może pani zdobyć się na całkowity obiektywizm. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Mam córkę w pani wieku. To chyba naturalne, że okazałem pani ojcowską troskę.

- To bardzo miło z pańskiej strony, generale - rzekła bez śladu ironii. - Doceniam pańską troskliwość i uprzejmość.

- W tym momencie zdecydowała się zadać śmiertelny cios.

- Panie generale Marks, jak daleko stał pan od mojego klienta, kiedy rzekomo strzelał on do cywilów?

- Nie było mnie tam - rzekł. - Oddziałem dowodził mój zastępca, major James Hernandez. Wydawałem rozkazy przez radio.

- Major James Hernandez, który nadal jest pańskim zastępcą, czy tak?

- Tak jest.

- Panie generale, mojemu klientowi zarzuca się zabójstwo osiemdziesięciu siedmiu ludzi. Wydaje mi się, że zamordowanie osiemdziesięciu siedmiu ludzi trwa dość długo, czy mam rację?

- Niestety, nie - odparł generał. - Z przykrością muszę panią poinformować, że można tego dokonać w zdumiewająco krótkim czasie.

- W istocie?

- Naprawdę byłaby pani zdziwiona - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Sierżant Kubik wystrzelił dwieście naboju. Karabin maszynowy M-sześćdziesiąt strzela z prędkością pięciuset pięćdziesięciu pocisków na minutę. A zatem wystrzelenie dwustu naboju nie trwa dłużej niż dwadzieścia sekund, pani mecenas.

Normalnie odpowiedź generała powinna być dla Claire druzgocąca. Ale wiedziała,

dokąd zmierza.

280

i - Dwadzieścia sekund - rozmyślała na głos. ; - Może trochę dłużej.

- Myślałam, że w taśmie jest tylko sto nabożów - udawała, że nie zna sprawy.

- To prawda - odparł generał - ale najwyraźniej połączył ze sobą dwa pasy, wykorzystując technikę, której nauczył się od dowódcy oddziału w Wietnamie. W ten sposób druga taśma wchodzi gładko.

- A co się dzieje, jeżeli taśma nabożowa się skręci?

- Broń się zatnie.

Claire skinęła głową i zaczęła przechadzać się przed barierką dla świadków, zastanawiając się na głos.

- Więc gdyby któryś z pańskich ludzi chwycił taśmę nabożową Kubika, jego broń zacięłaby się i nie mógłby strzelać.

- Jeżeli ktoś zbliżyłby się na tyle, by pochwycić taśmę.

- I nikt nie mógł tego zrobić?

- Pyta pani poważnie? Do człowieka strzelającego z karabinu maszynowego?

- Żaden z pańskich ludzi nie mógł podkraść się do niego tych parę kroków i wyrwać mu broni? Albo przekręcić taśmy tak, żeby broń się zacięła?

- Ten człowiek trzymał w rękach M-sześćdziesiątkę, pani mecenas. Powiedziano mi, że rozglądał się na wszystkie strony i z pewnością wyczułby, gdyby ktoś zaczął się do niego zbliżać.

- Ale pańscy ludzie też chyba mieli broń, generale.

- Istotnie.

- Jaką bronią dysponowali?

- Mieli czterdziestki piątki. I na pewno nie poszliby z nimi przeciw facetowi, który strzela z karabinu maszynowego M-sześćdziesiąt. Wykosiłby ich szybciej, niż oni unieszkodliwiliby jego.

- Czy wydał pan rozkaz, by zaprzestał strzelać? | - Tak. Przez majora Hernandeza.

- I co?

- Hernandez powiedział: „Odbiło mu, nie możemy go powstrzymać”.

Milczała przez chwilę. Był inteligentny i dobrze przygotowany. I wiedziała, że ten sposób przesłuchiwania do niczego jej nie doprowadzi. Marks będzie dalej dowodził, że nie mógł powstrzymać Kubika, a jego pewności siebie nic nie zachwieje.

281

lf

r-1 *W

p-'tń

o*

s

53

s

o

a

s-s

o b-o |

-^ rL «5

P-to

* 2.

o -o

STB

SI

-d

^ o *

.SA -SI

y, sj

"Cl ""

1

A

%

.fi

o

W 53

53

?*a

ci

p-

.*>.§

^ ° s-s

fi •-53 1:

O- U

!a <

o-'

Ci

%

-o to.

» »

S . _

ci s

Ci -&

N

W

.P O

pi

s 9,

2 .ss

o L Po-J

C5

(3

O

- s

a %

* a

5-fi.o

S fi,-0

O 'L1 53

p- 2 s

^^

I

. 53 *

s-fi-^ .a &>

O o

DC

to •ST

03

SI

% ?3

O ei

&•-

u

.- 53 J3

1-3 to

•6

- •-" -O 3 ss L< P u p.

!*.

03 03 ••-

fi,*1 o

sil

-fi fi % | c3 <3 53

" 5" ^! fi

S 3 r3 -o S o ,P o

fi T5

03

b ^

o si

P, O

3 S"-0 3 5^ v. A 5*

L ^;. ^

O 60 U

V-, *• -N

fi Si <*

--S

1

CS '

a

1

GD

O

e fi

o -* p, u u

"3 "5

o

SI

o

o

a

a

o p-

a^

§1

a •«

SI , CS

"^3

o

a ^ .c ' .« ^ 'a

O H " fi

2?

fi <a -

lii

2?'.3? «

,0 ^D -S

"N 1

O

52 a -

'-31 S"-0

-o

. a

S3 O

P-

t

^a

o fi

53 c

3 a'

3 o

^^

O "

a 5

3 >-. u tn

a a s s

SI

o

s

a

S3 S!

60 C

SI

o

c4

a a

ś p \

> ^ a - ^ • -

P, "A c ?

O -O

O •

I SI

si

p-^-5

2 S " P"

O o

o ~

00 L-

<a s3

SI L)

o | -.

e4

-o

O

0 > 1

4? .5

^ JS

t3 -O

« ffi CK fi ^

fi o

3. -fi -fi A

^|33 4&

^

_a

-< SI

aL

§ a

53 uj (O P<

•M -rl

↳

fi <A O 'SI >-• -P

-S '5 .»

s ^5

| S

-o

5

55

(O ')

fi

•s

.5^ 55

V-* c-*

-fi

O

00 S-fi p, fi fi

tu c^*

fi "N

O -O

"-1 ^3,

a-s

fi p.

o

U

55

O

SI

_ fi

>-> (U

ioO

45

o

en O fi-

03

•< 1

(U |

|a

o

%&

s

\

"Si n

•s

\

o

fi

53 fi

O

fi o o

u

SS JD U 53

si <*

p-

53

53

U

3 e v

3 fi 1

,< -SI ^ p

,&& p-

\

S <

Cu ny

U

I

L>

!^ fi !

CS ^

tu _si

ty: f-3

tu •—*

53 Ci tU

53

-O

^|>

9 %

| O

ty) ^j 53 '5

-o

o

.L 53 a fi 00 ^

53

p-

^ N

> o -s .a

|j cos ^

fi oo-C w .fi <u > -c

tu

5 1 I

l

I

\ ^_^

00

o

a

1 1

CU

14

4> "f

•a 411

p 55

la

• SI

o ;

o • ^

| 5T P-P

S ci

ii?

^2

O 53

55

fi O

\

O

Vt/J 53

O O

^

\

fi O

% ^ •'" •L ^'a^t

55 T3 5

fi fi -d vi s

fi -° ^r S

fi-P 55 o S

!o

. fi,

ta

*!0%**

55

a -s 1-. j ca J

|5 S O. jj BB

tU

ii _ 53 1/1 2? P-i

a ^

03 tU

P- Cu

s

53

.3 tU

<u

%

% a p-a

P* N t3

o

i

o

p- s

SI

55

tU

g P-fi-P

03 "« ^S

_4J O

I %

O

O *

^ ty)

03 53 K

' P-

r* 55 13 1

tu

. U^i 3.V, P-13 . *S ^

m ca a 3

< 53

o ~

p-

(UJ 53

•35 "->

S^

1'^ -O (

(UJ

53

w

N O

x/>

<0 fi\ '5 P

03 V-

fi

(U

o

Cu O,

oy fi

53

a

o

-fi ryi .

P S (U C3 60 3

(U "N P-

t °

a (

53

tu

O

| S'8 -

fi fi v^ t3

p< ? .0 ^

•p'^4

to 55 fi

O O

tu (U

p L

P 53

tU

_ SI

^? fi >|

SI ^3 tu

u -c -fi

^ O 03.

o

^"

"O (U

'5

5 _4J

« p.

P- ?

55 03

03 >4 U-1 P 53 * ^ 'fi

^ p -d S fi"1

ru O

fi"

'1

P-

\

tu-'

P -5? ?T

B05°o

•^ <*!} p-

si K |

N 53

(U 03

a.^

tu

00

53

Ci ^ L

a -^s

fi

p 53

to'L o -* O

03

OJJ

, SI fi

| to %

5-60 L •%

O to -fi

o

50

(U

•0.^4f

c/l

UJ .S

55 «

SI ^

03

O

ś u .-u a

?, P fi

P- --4 ab 53 rfi

O

U ^

a N &

O -cj <U

to a -"

o

a p-1

SI

u

03

-O

"o l

^

^•S

I-

60 55 ^

^••—' c?

s ? .a

to. *s,, o

u

U3 <U

O

9 fi

o o

Cu fJ

c*

SOS

a 00 .

>-. <u o

ci

• SI fi

ci Q

w --O

S °

(U

o

u

60 O tU -CS

O

"Sb ^

a-fij0 -> ^ a

* SI -12

! * L

P c

5"3 * a^^

a -p 55

•5 60^2

^ ° ??

?fii

I

53J I

fi w

a \

03 tU . 'jS '§ 'fi 9, 53 *0 ' '

tu *-j t3 fi -to P

« a a

60 fi P>-»

P 53 -O

.. oJJ

l

fi^'

(U- H

T3i 03

-O B -o fi S

^?i&

w to

tyj

O ^>

07 p 53J to

03

-o

a

53 • fi

u

o

55 U

to

l-

i p->

u

!.*',L=,

-^ fi t/) O -fi op P —

fi-fi

fi

o ^>

SI

oJJ^

i 03 U

ra »-* fi

a -2 to,, fi fi 00

s fi » p-

^ fi s p S S |> 1 u

fi V^ <.*

5 " ? p o 2 %

•^ a - j-

P 5 o en

60 fi o -O ?-. «2 .i- to

.§1

O •9. to

. 5^ to fi, ,

a .°A

.a,-fi?

to o

u

to- a

c« •< ,

fis

u "S ^b | o

to .;

fi 5

o 1

%|

s

p-f

53

to

tu -o

a^-g 53J fi

p.>i

(U

|fi -P

03 fi

.3 \

a &

l>j to fi1 'ty) |^ CU

|fi

53J s

3

... a-^fi^s

>; 'P p. " u

3S« U-S

fi P~ b3 P

P Z. -r> v2 *5

|J -O fi |

" a - y_

U P 'p? _, r-•?7^!S fi fi 53

? ^-to"^^

53

!!

to

O

55 fi tu -to O |»

^ to 53 U cl, 5 |^ >* ••"

S^

c/l

S

l

- Panie generale, pańskim zdaniem, miałby pan prawo, jak oficer, rozkazać swoim ludziom, by zastrzelili sierżanta Kubik' jeżeli w istocie, jak pan twierdzi, mordował niewinnych ludzi?

- W zasadzie tak - odparł Marks. - Wojskowy kodek sprawiedliwości pozwala na użycie broni, by uchronić własne życie lub życie innego człowieka.

Claire zadrżała wewnątrz. General podał właściwą odpowiedź. Wykluczył tym samym linię przesłuchiwania, która sobie przygotowała, by wykazać, że nie dopełnił swoich obowiązków jako oficer i dowódca - co przynajmniej podważyłoby jego wiarygodność. A zatem spróbowała ponownie, powracając do pytania, czy można było zabić Kubika. Pytając świadka o owego fikcyjnego sierżanta Kubika, którego stworzyło oskarżenie, nie myślała o nim jako o Tomie.

- Generale, czyż nie jest prawdą, że każdy z pańskich ludzi mógłby odczekać na moment, gdy oczy sierżanta Kubika skierowane były na któryś z jego cywilnych celów, a wtedy po prostu wymierzyć w niego z colta czterdziestki piątki i wypalić?

Generał odetchnął głośno.

- Pani mecenas, nie wiem, czy kiedykolwiek strzelała pani z broni palnej... czy w ogóle miała pani w ręce broń, a z pewnością nigdy nie walczyła pani na wojnie...

- Wysoki Sądzie, zgłaszam wniosek o przerwanie odpowiedzi świadka jako nie mającej związku ze sprawą - wtrąciła Claire.

- Obawiam się, że obrona sama sprowokowała świadka swoim teoretycznym pytaniem - rzekł sędzia Farrell. - Proszę kontynuować, panie generale.

- Dziękuję - odparł generał Marks. - Pani mecenas, przypuszczam, że siedząc w swoim wygodnym gabinecie na Harvardzie trzynaście lat po fakcie, może pani wysunąć taki argument. Ale kiedy dowodzi pani dziesięcioosobowym oddziałem w warunkach wojennych, sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Istnieje ryzyko, które się podejmuje, oraz takie, jakiego się nie podejmuje. Może pani podjęłaby słuszniejszą decyzję. Ja P^o wziąłem najlepszą, na jaką mogłem się zdobyć. - Pochylił głowę-- W Salwadorze straciliśmy wielu Amerykanów ze względu na cele, które mój naczelny dowódca, prezydent Stanów Zjednoczonych, uważał za strategiczne. Tajne operacje nie są przedstawiane jednoznacznie. Ale istnieje różnica między ceną, jaką płaci się za wykonanie tajnej misji, a tym, co zr

282

ten potwór. Robi mi się słabo na myśl o tym, co zaszło w wiosce. Uważam to za ohydne i jako wojskowy, i jako człowiek.

Claire zdała sobie sprawę, że dawno nie przeprowadziła tak złego przesłuchania, i to nie dlatego, że nie była dobrze przygotowana. Widziała, jak poruszeni byli sędziowie przysięgli. Generał Marks był rewelacyjnym świadkiem i doskonale przysposobionym. Nie powinna być tym zaskoczona.

Ale to jeszcze nie koniec.

- Panie generale, przed paroma minutami wspomniał pan o nie uzbrojonych bojownikach. Ale czy istnieje możliwość, że sierżant Kubik mógł uznać ich za prawdziwych partyzantów?

- Nie - odparł stanowczo.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, byli nie umundurowani. Spokojnie ustawili się w rzędzie, nie czyniąc żadnych wrogich czy gwałtownych ruchów. I nie mieli broni.

- Ale czy sierżant nie mógł być pomyśleć, że mają broń?

Wiedziała, że tym pytaniem zbije generała z tropu. Wskazywało ono na nową teorię obrony - że Tom strzelał, gdyż ujrzał broń. Claire przez cały czas utrzymywała przecież, że całe oskarżenie zostało sfabrykowane, strzelał bowiem ktoś inny. Widziała, że generał zawahał się i spojrzał ukradkiem na Waldrona. Zręcznie przesunęła się na bok, ustawiając się na linii wzroku Marksa.

Generał powrócił jednak do zwykłego, pewnego siebie tonu.

- Nie - odparł wreszcie. - Nie było tam żadnej broni.

- Skąd pan ma tę pewność?

- Ponieważ kazałem przeszukać ciała zamordowanych mojemu zastępcy, który nie znalazł żadnej broni.

- A więc dzięki obiektywnym działaniom, już po całym wydarzeniu, dowiedział się pan, że na miejscu nie było broni. Ale w trakcie akcji, generale, miał pan jakiś powód, by wierzyć, że wieśniacy mieli broń?

~ Najmniejszego.

~ Pańscy ludzie nie widzieli żadnej broni.

~ Zgadza się.

~ Nie widzieli niczego, nawet błysku metalu, czegoś, co Mogłoby im nasunąć myśl, że wieśniacy byli uzbrojeni?

~ Niczego takiego nie było.

~ Nie widzieli też broni, wymierzonej w sierżanta Kubika czy w któregokolwiek z pańskich ludzi?

283

- Odpowiedź zawarta jest w pytaniu, Wysoki Sądzie! - krzyknął Waldron.

- Podtrzymuję. Obrona, proszę przejść do następnej kwestii.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. Chciałam tylko uzyskać absolutną pewność, że jesteśmy zgodni co do faktów. Panie generale, rankiem dwudziestego drugiego czerwca tyśiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku napisał pan notatkę

służbową, zgadza się?

- Jak najbardziej.
- Czy to nie jest niezwykle?
- Niby dlaczego?
- Czyż zazwyczaj nie sporządza się raportu z akcji?
- Tak jest. Ale to nie była zwyczajna akcja. Jeden z moich ludzi wykosił całą wioskę pełną niewinnych cywilów.
- W istocie nie uzbrojonych cywilów.
- Już to podkreślałem, pani mecenas.
- Więc dlaczego sporządził pan notatkę służbową? Do czego to było potrzebne?
- Bo chciałem, żeby to wydarzenie znalazło się w aktach. Byłem pewien, że sierżant Kubik stanie za to przed sądem, i chciałem rozpocząć gromadzenie dokumentacji.
- Ma pan na myśli tworzenie dokumentacji.
- Wysoki Sądzie! - krzyknął Waldron.
- Powiedziałem: gromadzenie dokumentacji - powtórzył generał.
- Panie generale, czy ma pan kopię notatki, którą sporządził pan owego ranka?
- Niestety, nie. Gdzieś zaginęła.
- Jak to możliwe? Uśmiechnął się.
- Papiery wiecznie się gubią, pani mecenas, zwłaszcza w czasie wojny. Niech mi pani wierzy, że chciałbym ją mieć. Nawet generałowie padają ofiarą rozbudowanej i czasami ociążalej maszyny biurokratycznej.

Odwzajemniła uśmiech.

- Panie generale, czy w notatce, którą sporządził pan tego ranka, stwierdził pan, że wieśniacy mieli broń i dlatego kazał pan do nich strzelać?
- Absolutnie nie - odparł Marks z płonąącym wzrokiem.

284

- Niczego takiego pan nie napisał?

- Nie, ponieważ nie tak przedstawiała się sytuacja. Nikomu nie rozkazywałem zabijać tych cywilów, a cywile nie mieli broni.

- Dziękuję, panie generale. - Cofnęła się do stołu obrony, gdzie Embry wręczył jej kilka arkuszy papieru. Lekkim krokiem podeszła do stołu oskarżenia, położyła jeden arkusik przed Waldronem, drugi wręczyła sędziemu Farrelowi. - Wysoki Sądzie, czy mogę pokazać świadkowi dokument, oznaczony jako dowód obrony „c”, by potwierdził jego prawdziwość?

- Może pani - powiedział Farrell, patrząc ze zmieszaniem na leżący przed nim dokument.

Podawała papier generałowi.

- Panie generale Marks, czy rozpoznaje pan ten formularz? Generał nie odpowiedział. Wyglądało na to, że po raz pierwszy stracił zimną krew. Twarz mu zbieleła.

!\$ - Czy to pański podpis, generale?

!A Milczenie.

1 - Czy to pański charakter pisma?

W sali sądowej panowała absolutna, niezmacona cisza, lecz Claire czuła, że rozpętało się piekło. Waldron skrobał zawzięcie notatkę, którą pokazywał Hoganowi. Kątem oka ujrzała poruszenie z tyłu sali i uświadomiła sobie, że prawnik generała, Jerome Fine, przekazuje mu gestem jakiś sygnał.

- Możemy zrobić przerwę, jeśli pan sobie życzy - rzekła łagodnie Claire. - Możemy odroczyć sprawę. Mam tu na miejscu biegłego grafologa. Możemy poprosić pana o przepisanie tego dokumentu i od razu zanalizować tekst. - Blefowała, nie miała pod ręką żadnego biegłego grafologa. - Chyba wie pan, że to pańskie pismo. Chciałam panu przypomnieć, że pańska nietykalność nie obejmuje kłamstwa składanego pod przysięgą, krzywoprzysięstwa ani fałszywego zaprzysiężenia.

- Tak - odparł wreszcie, patrząc na nią z nienawiścią. Ale w głosie nie słyhać było wzburzenia. - Sądzę, że to mój charakter pisma.

- Wysoki Sądzie - rzekła, odwracając się uprzejmie w kierunku Farrella - teraz chciałabym poddać dowód obrony „c” badaniu autentyczności. Proszę też o udostępnienie go ławie przysięgłych.

- Uwzględniam dowód - rzekł Farrell. - Słowa „podać

badaniu autentyczności" zostaną skreślone z protokołu. Obrona od razu może wręczyć dowód ławie przysięgłych.

Podala sześć kopii dokumentu starszemu ławy przysięgłych, który zatrzymał jeden egzemplarz dla siebie, a resztę rozdał pozostałym członkom.

- Proszę odczytać dokument sądowi - rzekła, zwracając się do generała.

Zawahał się i odwrócił do sędziego.

- Czy muszę to zrobić? - spytał, zaniepokojony.

- Obawiam się, że tak - odparł Farrell.

Marks zacisnął usta w wąską kreskę, po czym odwrócił się do Claire i rzucił jej mordercze spojrzenie. Założywszy okulary, zaczął czytać:

- We wczesnych godzinach rannych dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku major James Hernandez poinformował mnie, że uzbrojeni wieśniacy z La Colina, w Salwadorze, przejawiają najwyraźniej wrogie zamiary wobec oddziału dwudziestego siódmego. — Odchrząknął. Na policzki wystąpił mu silny rumieniec. - Z powodu obecności uzbrojonego wroga nakazałem otwarcie ognia. Moje rozkazy zostały wykonane, wobec czego osiemdziesięciu siedmiu napastników zostało skutecznie zlikwidowanych. Oddział wycofał się z pola walki i powrócił do Ilopango. Podpisano, pułkownik William O. Marks, dowódca, oddział dwudziesty siódmy, Ilopango, Salwador. — Podniósł wzrok, oczy płonęły mu gniewem.

- Panie generale - rzekła Claire - czy każde słowo z przeczytanego przed chwilą dokumentu jest zgodne z tym, co pamięta pan z dnia dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku? Czy też chciałby pan coś zmienić?

Przez parę sekund wpatrywali się w siebie z wściekłością. Następnie generał Marks zwrócił się do sędziego.

- Wysoki Sądzie - powiedział energicznie - zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym porozmawiać z moim adwokatem.

- Wysoki Sądzie - rzekł Waldron - wnosimy o przerwę, by świadek mógł naradzić się ze swoim adwokatem.

- Członkowie pozwolą? - rzekł Farrell.

Gdy woźny wyprowadził członków ławy przysięgłych, w sali wybuchła burza głosów.

286

47

- Wysoki Sądzie - powiedział Waldron - jako osoba urzędowa domagam się, by obrona podała do protokołu, od jak dawna dysponuje tą notatką i w jaki sposób ją uzyskała.

- Nie, Wysoki Sądzie - rzekła Claire, ubiegając odpowiedź Farrella. - Nie muszę tego robić i nie mam takiego zamiaru. Oskarżenie nie jest upoważnione do uprzedniego zapoznawania się ze sposobem, w jaki przesłuchuję świadka. Notatkę umieściłam w wykazie dokumentów, o których udostępnienie prosiłam - wymieniliśmy ją dokładnie z nazwy! - oskarżenie zaś praktycznie zaprzeczyło na piśmie, jakoby ona w ogóle istniała! Otrzymałam ją po ich pisemnej negatywnej odpowiedzi. Ten dokument to fotokopia z teczek operacyjnych Centralnej Agencji Wywiadowczej, wyraźnie oznakowana, z zachowaniem wszelkich formalności i tylko tyle mam zamiar powiedzieć.

- Agencja - wyjąkał Waldron, patrząc na Claire. Ciekawe, co go tak zdumiało?

Farrella najwyraźniej zaskoczyła cała ta historia, gwałtowna odmiana toku sprawy, widok generała z czterema gwiazdkami, który kłamie pod przysięgą w obecności tylu osób zgromadzonych na sali sądowej. Wszystko, cokolwiek sędzia zgłosił do protokołu, zostanie teraz wzięte pod lupę. Musi więc postępować bardzo ostrożnie, z czego nagle doskonale zdał sobie sprawę. Otworzył puszkę pepsi i pociągnął długi, głęboki łyk.

- Oskarżenie - rzekł Farrell - to jest wasz świadek i do was należało znalezienie tego dokumentu, tak że w tej sytuacji nie mam zamiaru wam pomagać.

Tymczasem Jerome Fine, adwokat generała, podszedł do miejsca dla świadków, przysunął krzesło tuż do krzesła generała, po czym zaczęli naradzać się szeptem.

- Panie generale - powiedziała Claire, zbliżając się do nich. - Czy to pański adwokat?

Marks wydawał się lekko rozbawiony.

- Owszem.

- A jak się nazywa?

- Jerome R. Fine. Jest naczelnym obrońcą wojskowym.

- Hmm. To ciekawe, panie generale, że pański adwokat siedzi tuż obok pana. Czyżby miał pan coś do ukrycia?

Uśmiechnął się.

287

- Absolutnie nic - odparł z cichym chichotem.

- Panie generale, czy przed dzisiejszym pojawieniem się w sądzie przejrzał pan oświadczenie, które złożył pan w Kongresie, kiedy to zatwierdzono pańską nominację na stanowisko szefa sztabu armii?

Marks zawahał się na okamgnienie.

- Tak.

- Doradził to panu adwokat, prawda?

- Pani Chapman - rzekł ze wzburzeniem generał - nie muszę pani opowiadać, o czym rozmawiam ze swoim adwokatem.

- Obawiam się, że niestety musi pan. - Rzuciła okiem na Jerome'a Fine'a, który wyglądał nieswojo. - Widzi pan, możemy wezwać pana Fine'a do składania zeznań tuż po panu. Nic z tego, o czym panowie rozmawiają, nie jest objęte tajemnicą zawodową, bo pan Fine pracuje dla Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nie dla pana.

Generał spojrział na prawnika, który lekko skinął głową.

- A zatem może odpowie pan na moje pytanie, generale. Czy pański prawnik poradził panu, by przejrzał pan oświadczenie złożone w Kongresie?

Milczenie. Prawnik znowu skinął głową.

- Owszem, radził.

- Panie generale, czy powiedział pan swemu adwokatowi, że notatka służbowa, którą napisał pan po wydarzeniu w La Colina, została, o ile panu wiadomo, zniszczona, i że nie pamięta pan jej treści?

Marks znowu zwrócił się do sędziego Farrella.

- Czy muszę odpowiadać na to pytanie, Wysoki Sądzie?

- Tak, musi pan - odparł Farrell.

- Owszem, powiedziałem mu to - rzekł Marks - ale tak właśnie mi się wydawało...

- Dziękuję - przerwała Claire. - Generale, czy opowiadał pan swojej żonie o rzekomej masakrze w La Colina?
- Mojej żonie? - Z niedowierzaniem odwrócił się do sędziego. - Wysoki Sądzie, chyba nie muszę odpowiadać na pytania, dotyczące mojego prywatnego życia, prawda?
- Owszem, generale, musi pan - odparł sędzia monotonnym głosem.
- Nie rozmawiamy z żoną o takich rzeczach! - zaprotestował ostro Marks, podnosząc głos o parę decybeli.

288

- Naprawdę? To znaczy jakich?
- O tajnych akcjach...
- A incydent w La Colina był tajną akcją?
- Niech pani nie przekręca moich słów! - warknął Marks.
- Ta masakra to najpotworniejsza tragedia, jaka wydarzyła się w czasie mojej...
- Chce nam pan powiedzieć, że pańska żona nic nie wie o tej najpotworniejszej tragedii?

Zawahał się.

- Czy żonę też pan okłamywał?
- Nigdy nikogo nie okłamywałem na temat La Coliny - zadudnił Marks.
- Doprawdy? Ale kłamał pan w Kongresie, zgadza się? Faktem jest, że gdy w Senacie zapytano pana o ten incydent podczas zatwierdzania pana na stanowisko, podał pan wersję krańcowo różną od opisu w notatce służbowej, którą pan sporządził. Kłamał pan przed Kongresem, mam rację?
- Nie będę tego wysłuchiwał! - krzyknął Marks. - Poświęciłem ponad trzydzieści lat życia służbie Konstytucji Stanów Zjednoczonych i narodowi tego kraju...
- Panie generale - rzekł jego adwokat, łapiąc go za ramię.
- Ale kłamał pan przed Kongresem, panie generale, zgadza się? - upierała się Claire.
- Nie muszę wysłuchiwać jakichś pomówień od kogoś takiego jak pani! - krzyknął Marks, unosząc się z krzesła. Twarz miał purpurową. - Przekracza pani swoje

uprawnienia!

- Panie generale, proszę - rzekł jego adwokat, ciągnąc Marksa za rękę, by z powrotem usadzić go na krześle.
- Co to znaczy - ktoś taki jak ja? - spytała Claire ze słabym uśmiechem. - Adwokatka, wykonująca swoją pracę? Broniąca klienta, fałszywie oskarżonego o zbrodnie, których nie popełnił? W których mógł pan maczać palce jako współuczestnik...
- Sprzeciw! - krzyknął Waldron.
- To świństwo! - krzyknął Marks.
- Proszę przejść do następnej kwestii - zdecydował sędzia Farrell.
- Panie generale - powiedziała Claire dźwięcznym głosem
- kłamał pan przed Kongresem, zgadza się? Zapadła chwila ciszy.

289

Adwokat generała przykrył usta ręką i wyszeptał coś do swego klienta. Generał Marks, odzyskawszy panowanie nad sobą, uniósł wzrok i powiedział z satysfakcją:

- Zasięgnąwszy porady mego adwokata, odmawiam odpowiedzi na to pytanie.
 - Chwileczkę - rzekła Claire. - Powołuje się pan na Piątą Poprawkę?
 - Tak.
 - A w związku z czym, jeśli wolno zapytać?
 - W związku z moim zeznaniem - odparł Marks zrównoważonym głosem. - Mój prawnik właśnie uświadomił mnie, że mogłem się dopuścić krzywoprzysięstwa. - Odwrócił się do sędziego Farrella. - Wysoki Sądzie, nie widziałem tego dokumentu od trzynastu lat. Opowiedziałem tutaj to, co zapamiętałem z tej notatki. I, szczerze mówiąc, wpadłem w pułapkę.
 - Wysoki Sądzie - rzekła Claire - wnoszę o odrzucenie bezpośredniego zeznania tego świadka, gdyż jesteśmy pozbawieni możliwości przesłuchania go, co gwarantuje Szósta Poprawka.
- Farrell spojrział z ukosa na generała, po czym z niedowierzaniem potrząsnął głową.
- Przychylam się do wniosku obrony. Bezpośrednie zeznanie świadka zostaje odrzucone.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. W tej sytuacji obrona wnosi o uznanie całej rozprawy za nieważną z prawnego punktu widzenia, gdyż nie można odwołać zeznania świadka. Dzwonek zadzwonił i tego się nie da cofnąć.

- Odrzucam wniosek - warknął sędzia Farrell z czerwoną, nachmurzoną twarzą.

- W takim razie, Wysoki Sądzie, wnosimy, by pouczył pan członków ławy przysięgłych, że szef sztabu armii nie jest już świadkiem w tym sądzie i że nie mogą brać pod uwagę jego zeznań. Proszę też, by Wysoki Sąd poinformował przysięgłych że pan, sędzia wojskowy, uważa, że szef sztabu mógł dopuścić się krzywoprzysięstwa i że przysięgli powinni zapomnieć o jego zeznaniach, jak również, że sędzia wojskowy pouczył szefa sztabu o jego prawach przeciw samooskarżeniu z artykułu trzydziestego pierwszego wojskowego kodeksu karnego oraz że szef sztabu postanowił, że nie będzie składał dalszych zeznań przed tym sądem wojskowym.

290

- Zgoda - powiedział sędzia Farrell. Wiedział, że nie ma wielkiego wyboru. - Przychylam się do wniosków obrony. Udzielę członkom ławy przysięgłych odpowiednich pouczeń. A panu, generale, dziękujemy, wyrażając jednocześnie nasze najgłębsze przeprosiny.

Claire patrzyła z niedowierzaniem, jak generał podnosi się, poprawia mundur i wychodzi w towarzystwie adwokata, który idzie pół kroku za nim.

- Hm, Wysoki Sądzie - powiedział Waldron - skoro znajdujemy się na rozprawie z artykułu trzydzieści dziewięć „a”, chciałbym przedstawić następny środek dowodowy, dowód oskarżenia-cztery, do identyfikacji. Jest to nagranie głosu oskarżonego, który rozmawiał przez taktyczną radiostację połową dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku na temat wydarzeń, za które teraz jest sądzony, oraz dokładny zapis tej rozmowy.

Claire spojrzała na Grimesa, potem na Embry'ego i Toma. Wszyscy byli równie zdumieni jak ona.

- Wysoki Sądzie, nie mogę w to uwierzyć! - rzekła.

- I anielska cierpliwość się kończy - westchnął Farrell. - Co to, Dzień Niespodzianek Dowodowych? Dzień Sędziowskiego Wrzodu Żołądka? Czy oskarżenie ma taśmę tu, na miejscu?

- Tak, Wysoki Sądzie. - Wręczył sędziemu czarną kasetę wraz z małym odtwarzaczem.

- No to posłuchajmy.
- Przebój za przebojem - skomentował głośno Grimes.

Dźwięk z taśmy brzmiał tak, jakby został wzmocniony, a wszystkie zakłócenia usunięte, toteż głos Toma dobiegał z krystaliczną czystością.

A głos należał do Toma, co do tego nie mogło być najmniejszych wątpliwości.

- To nie do wiary. Kurwa, po prostu nie do wiary. To znaczy, miałem już tak dosyć tych chłopów, którzy łgali nam w żywe oczy, że wiecie co? Wziąłem swoją M-sześćdziesiątkę i rozwalilem ich. To było coś fantastycznego. Absolutnie fantastycznego.

Zapadła cisza, po czym sędzia wyłączył magnetofon.

- To nie ja - powiedział po cichu Tom do Claire.

291

- Skąd to się wzięło? - zapytał sędzia Farrell.
- Nagrania dokonała Wojskowa Agencja Wywiadowcza, Wysoki Sądzie - wyjaśnił Waldron. - Sekcja nasłuchu radiowego. Kopię dostarczyła Centralna Agencja Wywiadowcza po przeszukaniu archiwów nasłuchów.
- Kiedy oskarżenie to otrzymało?
- Dopiero dzisiaj, Wysoki Sądzie. W porze lunchu.
- Od jak dawna oskarżenie wiedziało o jej istnieniu? - zapytał Farrell.
- Dostałem telefon dzisiaj rano, ale nie uwierzyłem w to, dopóki nie przesłuchałem taśmy podczas lunchu.
- Co my tu mamy, CIA kontra DIA? - powiedział Farrell. - Cywilni tajniacy przeciw wojskowym tajnikom?
- Rozmowę usłyszała sekcja przechwytywania sygnałów ze sto dwudziestego trzeciego batalionu łączności w Salwadorze, dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku - wyjaśnił Waldron. - Ich odbiorniki komunikacyjne automatycznie przesuwają się między określonymi zakresami częstotliwości: czterysta i pięćset megaherców. Rozmowa oskarżonego nie była szyfrowana, mówił przez taktyczną radiostację polową o zasięgu do dwudziestu mil.

Myśli kłębiły się w głowie Claire. Niespodziewana notatka i zaraz po tym

niespodziewana taśma! To nie mógł być zbieg okoliczności. O co w tym wszystkim chodzi? - Odwróciła się do Toma. - Nigdy nie wypowiedziałeś tych słów? - wyszeptała. Czuła ucisk w dołku.

- Claire, to nie ja - zapewnił.

- Ale głos jest twój.

- To nie ja - powtórzył. Podniosła się.

- Wysoki Sądzie - rzekła głośno i z naciskiem - ta rozprawa jest pełna zasadzek. Prosilimy o tę taśmę w wykazie środków dowodowych i powinniśmy ją otrzymać już dawno temu.

- Wysoki Sądzie - powiedział Waldron - obrona słyszała, jak mówiłem, że taśmę otrzymaliśmy dziś, w porze lunchu.

- Nie chodzi o to - rzekła cierpko - kiedy otrzymało ją oskarżenie. Ważne jest, kiedy otrzymał ją rząd Stanów Zjednoczonych. Zwracaliśmy się o to w wykazie środków dowodowych, a obowiązkiem oskarżenia jest zwrócenie się do rządu

292

i ustalenie, czy jakikolwiek organ rządowy ma związane ze sprawą informacje. Zaplanowałam linię obrony, opierając się na udostępnionych przez rząd materiałach, a teraz, w połowie rozprawy, otrzymujemy bardzo stronniczy dowód, którego nawet nie możemy zbadać. To skandal!

- Wysoki Sądzie - rzekł Waldron - jak obrona doskonale się orientuje, takie rzeczy się zdarzają. Dowody wypływają za pięć dwunasta - tak jak to się stało z notatką służbową.

- Cóż, to prawda, pani obrończyni, przed chwilą wykręciliście taki sam numer.

- To, co myśmy „wykręcili”, Wysoki Sądzie, polegało na poprawieniu nieprawidłowego postępowania oskarżenia. Szczęściem udało się nam, dzięki naszym źródłom, wydobyć dokument, który oskarżenie powinno nam dostarczyć już dawno temu. Teraz stosują tę samą sztuczkę. „Nagle” znajdują „przypadkiem” kluczowy dowód i próbują wprowadzić go do rozprawy tak późno w nadziei, że nasi specjaliści nie zdołają go zbadać. Jeżeli Wojskowa Agencja Wywiadowcza zrobiła to nagranie przed trzynastoma laty, dlaczego tak późno ujrzało ono światło dzienne?

- Wysoki Sądzie - rzekł Waldron - przecież istnieje możliwość, że ta rozprawa skłoniła kogoś w rządzie do przeczesania starych akt w poszukiwaniu dokumentów, które w innym wypadku uznano by za zaginione.

- Nie mogę uwierzyć, że chwytają się takich sztuczek - powiedział Tom głośno, z oburzeniem. Potem podniósł głos jeszcze wyżej: - Sprawdź tę taśmę, Claire. To nie ja!

- Sierzancie - napomniał Farrell - proszę się powstrzymać od zabierania głosu. Obrona powinna przypilnować, by jej klient zachowywał się należycie. Nie pozwolę na dalsze takie wybuchy. A teraz zakładam, że obrona wniesie o odroczenie.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Prosimy o miesiąc przerwy w rozprawie w celu pełnego, gruntownego zbadania dowodu.

- To cholerna fałszywka! - krzyknął Tom, podnosząc się.

- Sierzancie! - zagrział Farrell. - Mówiłem, żebyście się nie odzywali. Powiedziano wam, że macie prawo uczestniczyć w tej rozprawie. Jeżeli jednak będziecie zakłócać przebieg procesu, załatwię, żebyście oglądali postępowanie przez wewnętrzną telewizję, słyszycie?! Nie będziecie tu dłużej siedzieć i przeszkadzać mi w prowadzeniu sprawy, zrozumiano?!

293

- To nie ja! - krzyknął Tom. - Wszystko ukartowane! To nie mój głos!

- Żandarmeria, zabierzcie stąd tego człowieka! - ryknął Farrell. Strażnicy więzienni natychmiast otoczyli Toma, powalili go na ziemię i skuli kajdankami.

- Chcą mnie zrobić! - krzyknął Tom.

- Wyprowadzić go natychmiast!

Strażnicy pociągnęli Toma za łokieć i zabrali go.

- No dobrze - odezwał się Farrell do Claire, gdy w sali wreszcie zapanowała cisza. - Ma pani czterdzieści osiem godzin.

48

Późnym wieczorem Claire i Jackie siedziały przy kuchennym stole, pałac i popijając. Taśmę wysłano już do Boulder w Colorado, gdzie miała ją zbadać jedna z najlepszych na świecie sądowych analityczek nagrań głosowych. Przeprowadziła ona już wiele ekspertyz, związanych z identyfikacją głosu. Była specjalistką zatrudnioną przez wojsko, nieraz współpracowała też z Waldronem. Praktycznie znajdowała się na etacie w Pentagonie i jej opinii nikt nie ośmieliłby się podać w wątpliwość.

- Oczywiście on wszystkiemu zaprzecza - rzekła ostrożnie Jackie. - Zaprzecza

każdemu faktowi w tej sprawie, Claire. To znaczy, twierdzi, że to nie jego broń, tak?

- Taak, cóż, bo to pewnie nie jest jego broń! - rzuciła wściekle Claire. - Albo zamienili lufę!

- Pewnie, że mogli to zrobić. Ci faceci mogą wyczyniać wszystko, co im się żywnie podoba. Ale czy tak naprawdę, gdzieś w głębi duszy, nie uważasz, że to jednak jego broń?! Że z niej strzelał?! Pułkownik Marks mógł mu wydać rozkaz przez radio albo nie, ale może Tom rzeczywiście to zrobił?!

Dolała whisky do szklaneczek.

- Nie, wcale tak nie uważam.

Jackie pociągnęła spory łyk szkockiej i wstrząsnęła się.

- Claire, jeżeli mężczyzna oszukuje cię w sprawie całego swego życia, dlaczego nie miałby cię zwodzić co do jednego,

294

potwornego wydarzenia? Trzydzieści lat poświęcił na to, by uniknąć jego konsekwencji.

Claire pokręciła głową. Zmogło ją znużenie. Jej oczy spłynęły łzami, a jedna z nich rozprysnęła się na stole.

- Muszę z nim porozmawiać. Zadzwoił telefon.

- Dopiero północ - rzekła Jackie. - Za wcześnie na sapacza. Claire podniosła słuchawkę, spodziewając się Grimesa lub

Embry'ego.

- Pani profesor Heller? - odezwał się głęboki kobiecy głos. - Mówi Leonore Eitel, z Boulder.

- Tak?

- Mam nadzieję, że pora nie jest zbyt późna. Prosiła pani, żeby zadzwonić, jak będę miała pierwsze rezultaty.

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Serce biło jej tak mocno, że ledwo słyszała głos kobiety.

- Obawiam się... cóż, wyniki nie są chyba takie, jakich by pani sobie życzyła.

- To on, czy tak? - spytała Claire zduszonym głosem.
- Chcę, by wiedziała pani dokładnie, jakie badania przeprowadziłam. Posługiwałam się naprawdę skomplikowanym systemem z Kay Elemetrics, komputerowym zestawem badania mowy. Jest to model cztery tysiące trzysta „b”. Na nim zanalizowałam materiał pod względem głosowym i spektrograficznym, po czym porównałam rezultaty z próbkami, które pani mąż podał mi przez telefon.
- To on, czy tak?
- Sprawdziłam takie elementy, jak częstotliwość na osi pionowej i, w domenie czasowej, trajektorię struktury formantów, połączeń spółgłosek i samogłosek. Wysokość tonu, która odbija oscylację dźwięczności akustycznej i jest przedstawiona na spektrogramach w formie pionowych prążkowań...
- Do diabła, czy to głos Toma?!
- Tak - odparła cicho specjalistka. - Sprawdziłam dwadzieścia dwa różne słowa, które doskonale pasowały w dziewiętnastu wypadkach, opartych na szeregu struktur formantowych.
- Jaką ma pani pewność?
- Powiedziałabym, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ale nie skończyłam wszystkich testów i muszę jeszcze coś sprawdzić.

295

Ósma rano następnego ranka. W długim, sterylnym pokoju konferencyjnym w więzieniu, w jedynym pomieszczeniu, gdzie nie było kamery.

- A teraz powiedz mi prawdę - zaczęła. ") Skrzywił się.
- Daj spokój, Claire...
- Nie. Powiedz mi prawdę. Ty to mówiłeś?
- Oczywiście, że nie. Następnego dnia po masakrze nie byliśmy w polu, wróciliśmy na kwatery. I nigdy nie nosiłem radia - to nie do mnie należało. - Uśmiechnął się i ujął jej ręce między swoje dłonie. - Daj spokój, kochanie.
- To twój głos. JB
- Jakoś go podrobili. JH
- Tego się nie da podrobić, Tom. To twój głos. |^|

- Ale niczego takiego nie wygadywałem.

^^M

- A teraz mówisz prawdę?

^H Zabrał ręce.

^^M

- Mówię prawdę - powiedział cicho.

w^M

W jego wzroku kryła się uraza.

I

- Mój Boże, uważasz, że ja to zrobiłem, co? Przekabacili cię, c tak? Namęcili ci w głowie - mojej własnej żonie!

\

- Daj spokój, Tom! - krzyknęła. - Sama nie wiem, co ! myśleć! A co z bronią?

I

- Znów to samo? Przecież udowodniłaś, jak łatwo mogli...

- Nieważne, co wtedy mówiłam i robiłam. Zapomnij o sądowych sztuczkach. Bądź ze mną zupełnie szczery.

- Wykazałaś, jak można podmienić lufę.

- Nie próbuj ze mną prawniczych wybiegów. Zabiłeś tych ludzi?

- Claire...

- Kazano ci to zrobić? Dlatego wszyscy zacierają ślady, żeby ochronić generała?

- Claire...

- Jeżeli kazano ci to zrobić - to żadne usprawiedliwienie, ale możemy szukać okoliczności łagodzących i...

- Naprawdę myślisz, że wymordowałem osiemdziesięciu siedmiu ludzi?

Spojrzała na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Daj mi słowo, że to nie ty jesteś na tej taśmie.

i 296

I

Długo się w nią wpatrywał, w jego wzroku malowała się zarazem uraza i wściekłość.

- Nie jestem potworem, Claire - rzekł wreszcie. Rozległo się głośne pukanie do drzwi. Gdy je otworzyła,

ujrzała zadyszanego Embry'ego, który trzymał w ręce arkusik papieru.

- Co tu masz? - spytała Claire.

- Parę dni temu pytałaś o kartę zdrowia Hernandeza - wy-sapał Embry. - Poprosiłem kumpla, żeby się rozejrzył. Była w przychodni w Pentagonie, tak jak się spodziewałem. Przekłamała ją.

- Masz tam wynik badania psychiatrycznego?

- Nie - odparł Embry. - Coś lepszego. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który przeszedł w głośny śmiech. - Coś o wiele, o wiele lepszego.

. Sądowa specjalistka od nagrań magnetofonowych, Leonore Eitel, była filigranową, lecz godnie wyglądającą kobietą, tak szczupłą, że aż drobniutką. W całej jej postaci wzrok przykuwały ogromne, okrągłe okulary w czarnej oprawie. Miała na sobie doskonale skrojony kostium w kolorze gołębiej szarości.

- Czy mogłaby pani stanąć przed krzesłem dla świadków, unieść prawą dłoń i odwrócić się twarzą do mnie - odezwał się Waldron. - Strony i sędzia zebrali się na specjalnym przesłuchaniu dowodowym, na posiedzeniu z artykułu trzydzieści dziewięć „a”. - Czy przysięga pani, że dowody, jakie przedstawi pani w sprawie, w której odbywa się to przesłuchanie, będą prawdą, całą prawdą i niczym, tylko prawdą, tak pani dopomóż Bóg?

- Przysięgam.

Claire poprosiła zatem Leonore Eitel o przedstawienie swej kariery zawodowej i osiągnięć, które były rozliczne i imponujące. Następnie Eitel zaprezentowała rezultaty swych badań: głos na taśmie rzeczywiście należał do RONALDA M. KUBIKA, występującego też pod nazwiskiem THOMASA CHAPMANA.

- A co jeszcze może nam pani opowiedzieć o tym nagraniu, pani Eitel? - spytała Claire.

- A więc zacznę od tego, że przy użyciu analizatora widmowego wykryłam na nagraniu sześćdziesięciocyklowy szum.

297

- A jakie to ma znaczenie?

- To dźwięk, który wydaje moc przewodowa. Znaczy to, że głos został nagrany na magnetofonie elektrycznym, włączonym do sieci, nie zaś działającym na baterie.

- A czy szum ten nie mógł pochodzić z magnetofonu używanego przez korpus łączności, czyli personel, który nagrał tę rozmowę z radia?

- Nie. Gdyby głos mówiącego nadawany był przez radio polowe, a potem nagrany z

niego, nie wychwyciłabym tego szumu. Mogę dokładnie zademonstrować, o co mi chodzi.

- Dziękuję, ale na razie przejdźmy do następnej kwestii. Czy ten szum mógł być wziąć się ze skopiowania oryginału?

- Nie. Zaraz wyjaśnię...

- Za chwilę. Co jeszcze pani zaobserwowała?

- Szerokość pasma różni się od tego, jakiego można by się spodziewać w wypadku nagrania głosu z radia. Zakres głosu i charakterystyczne cechy mikrofonu są wyraźnie odmienne, w kategoriach reakcji częstotliwości, od tych, które obserwuje się przy transmisji radiowej.

- Czy to wszystko?

- O nie. Brakuje pewnych rzeczy, które powinny się tu znaleźć.

- Na przykład?

- Na przykład modulowania mikrofonu w radiu polowym, wciśnięcia przycisku niezbędnego przy nadawaniu czy odbiorze. Tego dźwięku brakowało.

- Zauważyła pani coś jeszcze?

- Znajdowały się tam artefakty cyfrowe, które nie powinny wystąpić na taśmie analogowej. To prawdziwy sygnał ostrzegawczy. W górnych częstotliwościach zaobserwowałam kształty w formie odwróconej litery V, niezrozumiałe krótkie impulsy, oddzielone od siebie o pół cala. Tych cech akustycznych nie wiąże się ani z mową, ani z magnetofonem analogowym, lecz z komputerem.

- Z komputerem?

- Tak jest.

- Więc co pani chce nam przez to powiedzieć?

- Że tę taśmę zmontowano na komputerze, przy użyciu edytora umożliwiającego łączenie słów i zwrotów. Powiedziałabym, że mówca w istocie wypowiedział wszystkie te słowa, ale w innej kolejności. Może podczas przesłuchania czy rozmowy-

298

Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że ta taśma została

spreparowana. Bardzo, bardzo zręcznie - to naprawdę piękna robota - niemniej nie jest autentyczna. W sali zawrzało. Farrell uderzył młotkiem.

- Spokój! - ryknął. - Natychmiast proszę się uspokoić! Oskarzenie?!

Oczy Waldrona płonęły gniewem i wstydem. Podniósł w górę obie ręce, wyciągając dłonie.

- Wysoki Sądzie - rzekł - nie mieliśmy pojęcia, że ta taśma została podrobiona, zgłosiliśmy ją w dobrej wierze i teraz wycofujemy ją...

- Waszym obowiązkiem - zadudnił Farrell - było upewnić się co do jej autentyczności, nim podrzuciliście ją do tej sali.

- Wysoki Sądzie, nikt nie jest bardziej zdumiony od nas - zaprotestował Waldron. - Mieliśmy wszelkie prawo wierzyć...

- Oskarzenie, proszę usiąść! Jestem przerażony. Ostrzegalem, że nie może być najmniejszych uchybień w postępowaniu prokuratorskim, tymczasem generał kłamie przed sądem, a potem zasłania się Piątą Poprawką jak jakiś handlarz narkotykami. Teraz zgłasza pan tę taśmę i nie prosi nawet o odroczenie, by sprawdzić jej autentyczność. Nie daje mi pan wyboru. Pani Chapman, czy wnosi pani o uniewinnienie swego klienta ze wszystkich zarzutów?

Claire, momentalnie oniemiała, wpatrzyła się w sędziego. Z wolna podniosła się na nogi.

- Mm, tak, Wysoki Sądzie, wnoszę o uniewinnienie.

- Sąd przychyła się do wniosku - rzekł Farrell. - Uznaję sierżanta pierwszej klasy Kubika za niewinnego. Uwalniam go od wszelkich oskarżeń i zarzutów. - Z całej siły huknął młotkiem. - Zlecam oskarżeniu opracowanie wyników procesu, po którym oskarżony wróci do więzienia w celu załatwienia formalności, związanych z wyjściem na wolność. Odraczam rozprawę. - I jeszcze raz huknąwszy młotkiem, wstał.

* * *

Czas praktycznie się zatrzymał.

Wokół panował zamęt, lecz wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Głosy były ciche i przytłumione. Patrzyła na rozgrywające się sceny jak przez przydymione szkła. Ubranie

miała przesiąknięte potem. Poruszała się powoli, niczym pod wodą. Objęła Toma, potem Grimesa, na końcu Devereaux. Uśmiechnęła się, zaśmiała, potem rozplakała. Devereaux nieomal zmiażdżył ją w potężnym uścisku, po czym potrząsnął ręką Toma. Ten również szlochał. Zażenowany, rozpostartą dłonią usiłował ukryć zalaną łzami twarz przed ciekawskimi oczyma. Gdy Claire ponownie obejmowała Toma, ujrzała Waldrona, który przebiegł obok jak burza, przystanął, po czym zawrócił do niej. Stał i czekał, gdy Tom poklepywał ją po plecach, powtarzając:

- Uratowałeś mi życie, Claire. Uratowałeś mi życie. Czuję się dziwnie: ulżyło jej, oczywiście, była śmiertelnie

zmęczona, lecz, co dziwne, lekko przygnębiona i nie wiadomo dlaczego, spięta.

- Pani adwokat - powiedział ostro Waldron. Wyciągnął rękę, lecz nie towarzyszył temu uśmiech. - Moje gratulacje.

Uwolniła się z uścisku Toma, podała Waldronowi dłoń.

- Dziękuję - rzekła. Udawała serdeczność. - Zrobił pan wspaniałą robotę. Prócz tych niespodziewanych dowodów, co, pragnę wierzyć, nie było pańską winą.

- Nie było. Mogę mówić do pani po imieniu? Wzruszyła ramionami.

- Byłaś groźną przeciwniczką, Claire, i mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał stawać przeciwko tobie.

- Uwierz mi, że ja również wolałabym nie występować przeciw tobie. Zamieńmy słówko na osobności.

Waldron zawahał się, zdumiony.

- Oczywiście.

Znaleźli ustronny kącik w sali, gdzie mogli porozmawiać bez przeszkód.

- Chyba nie wierzysz, że to ja sprokurowałem tę podrobioną taśmę - rzekł Waldron.

Unikała jego wzroku.

- Ujmijmy to w ten sposób - rzekła. - Nie sędzę, że to był akurat twój pomysł, by porozmieszczać pluskwy w domu, który wynajęłam, ale nie wzdragałbyś się przed wykorzystaniem wszelkich dostępnych ci informacji, co? - Twarz Waldrona stała się maską, obojętną i nie wyrażającą żadnych emocji. Oczy mu się zwężyły. - Uważam po prostu, że stoi za tobą mnóstwo ludzi, którym zależało na twoim suk-

cesie. Na przykład generał Marks. - Przesłała mu karmelkowy uśmiech. Na jego orlej

twarzy błysnął gniew.

- Taśmę dostałem - oznajmił. - Wierz mi, że nigdy bym jej nie zgłosił, gdybym miał najlżejsze podejrzenie, że to fałszywka. A nawiasem mówiąc - słyszałaś, że się zabił?

- Kto?

- Generał Marks. Przed dwiema godzinami. Strzelił sobie w głowę ze służbowego rewolweru. Ubrany w mundur galowy. W swoim gabinecie w Pentagonie.

Poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy.

- Co takiego?

- Wiedział, że ten proces zwichnął mu karierę i że oskarżą go o przestępstwa kryminalne - powiedział Waldron. - Nie chciał skończyć w ten sposób.

- Szkoda, że nie widział, jak Tom został uniewinniony - rzekła Claire.

- To nie on zdecydował o postawieniu twojego męża przed sądem wojskowym.

- A więc kto?

- Oficjalnie sekretarz do spraw armii - tylko on przewyższał pozycją Marksa. Nigdy za nim nie przepadał. Ale założę się, że to inni namówili sekretarza, żeby zwołać sąd wojskowy. Rywale generała. Przekonamy się, o kogo chodzi, gdy poznamy następcę Marksa na stanowisku szefa sztabu armii. Miał kilku potężnych wrogów.

- A zatem jego wrogowie dążyli do rozprawy przed sądem wojskowym - rzekła Claire, wpatrując się w przestrzeń. - Wystarczyło im, by nawet w ograniczonym kręgu osób ujawniono, że generał Marks prawdopodobnie wydał rozkaz wymordowania całej wioski, choć nie wiedział - nie będąc na miejscu - że wieśniacy są niewinni. Straszliwa pomyłka. A jego wrogowie zdawali też sobie sprawę, że choć zniszczył notatkę, podczas rozprawy przed sądem wojskowym wyjdzie i to, że złożył fałszywe oświadczenie przed Kongresem. Przez trzynaście lat kłamał na temat masakry. Mieli pewność, że odkryją jego potworne zbrodnie. - Teraz patrzyła wprost na Waldrona. - A przy tym wszystkim, rozprawa przed sądem wojskowym miała być tajna, ukryta przed opinią publiczną, tylko do wiadomości wojskowych obserwatorów.

301

- Bo gdyby rozniosły się pogłoski, że armia amerykańska wymordowała osiemdziesięciu siedmiu cywilów i ukrywała to przez trzynaście lat, reperkusje światowe byłyby nieobliczalne.

Skinęła głową.

- A teraz wszystko zaczyna układać się w logiczną całość. - Wręczyła mu arkusz papieru.

- Co to? - spytał Waldron, spoglądając na kartkę. - To jakiś opis medyczny... O co chodzi?

- Przeczytaj - powiedziała.

- To dotyczy Hernandeza... Co? Idzie o jakąś ranę oka czy coś w tym rodzaju?

- Widziałeś tę bliznę pod jego okiem? Został ranny w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. W La Colina.

- No dobrze - odparł Waldron, nadal zbity z tropu. - Opatrzono mu skaleczenie w izbie chorych w Fort Bragg...

- Tuż po masakrze. Masz tu oświadczenie okulisty i chirurga.

- Oparzenie i skaleczenie tkanki miękkiej poniżej i z boku prawego oka nie dochodzące do linii powieki... - czytał Waldron. - Dlaczego to takie ważne? Został ranny w La Colina. No i co z tego?

- W swoim zaprzysiężonym oświadczeniu stwierdził, że w wiosce nie wystrzelił ani razu - rzekła Claire. - Teraz przeczytaj, co tu napisał chirurg wojskowy. Zanotował dokładnie to, co mu powiedział Hernandez. Skontaktowaliśmy się z chirurgiem, który jest gotów to potwierdzić.

Waldron uważnie przeczytał sprawozdanie i po chwili uniósł wzrok. Oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

- Hernandez został trafiony tuż pod prawym okiem rozżarzoną do czerwoności łuską, gdy wystrzeliwał ponad dwieście pocisków ze swego M-sześćdziesiąt. Lufa mogła być przegrzana albo zbyt gwałtownie nią machnął... Cholerny świat. Twój mąż rzeczywiście jest niewinny.

Claire przytaknęła.

- Boże mój - westchnął Waldron. Gestem przywołał do siebie Hogana. - Skontaktuj się z wydziałem śledczym! - zawołał. - Będą musieli kogoś posadzić. - Odwrócił się z powrotem do Claire. - Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

- Złapcie po prostu faceta, który to zrobił - powiedziała i wróciła do Toma.

* * *

Wyszli z sali sądowej zupełnie oszołomieni. Rozpoczęło się lato i słońce świeciło oślepiająco. Oboje zamrugali niczym sowy. Tom nadal był w kajdanach, lecz tak działa więziennictwo wojskowe. Usiedli na stopniach budynku, w pobliżu białego mikrobusu. Strażnicy stanęli w dyskretnej odległości. Tom znowu płakał.

Podszedł do nich Grimes.

- Cóż, mili państwo - rzekł cicho. - Chyba pora się pożegnać.

Claire i Tom podnieśli się. Claire otoczyła Grimesa ramionami i przyciągnęła do siebie. Potem mocno go przytuliła, jak tonący mógłby ścisnąć człowieka, który uratował mu życie.

- Będę za tobą tęsknić - szepnęła. - Dziękuję.

- Zaraz zaraz - odparł Grimes. - To ja ci powinienem podziękować. Dorwałem w końcu tych drani. - Zauważył, że Claire płacze, i dodał: - Nie wzruszaj się tak. Niedługo dostaniesz mój rachunek. Wtedy rzeczywiście będziesz miała powód do płaczu. - I zachichotał w wyjątkowy, charakterystyczny dla siebie sposób.

Gdy Waldron powrócił z niezbędnym dokumentem, sprawozdaniem z wyniku rozprawy, wsiadła wraz z Tomem do białego mikrobusu i pojechali do więzienia. Przez następną godzinę miotali się w labiryncie biurokratycznych procedur. Przygotowano nakaz zwolnienia. Toma odprowadzono do celi, by spakował swoje rzeczy. Posłano go do izby chorych, by zabrał kartę zdrowia, potem do pomieszczenia, w którym znajdowała się poczta, gdzie miał wypełnić formularz o zmianie adresu - przyziemne sprawy, które trzeba było załatwić - a potem do naczelnika działu kontroli, któremu wręczył formularz zwolnienia. Claire siedziała w pomieszczeniu dla odwiedzających i czekała. Usiłowała myśleć jasno, lecz w głowie nadal miała mętlik. Potem przyprowadzono Toma. Zabrano mu więzienny uniform, rzeczy, których używał w więzieniu, a w zamian wręczono cywilne ubranie - w tym elegancki, świeżo wyprasowany garnitur, który Jackie przywiozła z Cambridge.

Za jakąś godzinę wyłonił się Tom, już wolny. Prezentował się doskonale w ciemnym garniturze od Armaniego, do którego zawiązał zielony krawat.

303

Wyszli razem, trzymając się za ręce. Czuła na twarzy ciepło słonecznych promieni. W powietrzu unosił się słodki, ciężki zapach świeżo skoszonej trawy.

- Hej, kochanie - powiedział.

- Hej! - Odwróciła twarz i pocałowała go.
- Uratowałeś mi życie - powiedział cicho i z żarem.
- Ach, drobnostka - uśmiechnęła się. - I powiem ci jeszcze coś. To nawet lepsze niż uniewinnienie. Mamy dowód, że strzelał Hernandez. - Wytłumaczyła mu wszystko.

Przez chwilę nie bardzo rozumiał. Potem twarz mu się rozjaśniła.

- Waldron na pewno będzie chciał to schować głęboko pod sukno.

Potrząsnęła głową.

- Już się skontaktował z wydziałem śledczym. Sprowadzą Hernandeza na przesłuchanie, ale przypuszczam, że za pół roku wyląduje w Leavenworth.
- Albo wcześniej, jeżeli sprawę będzie prowadził Farrell. Kocham cię.

Pochylił się nad nią i znowu ją pocałował, tym razem namiętnie.

- Znowu będziemy rodziną. Uścisnęła mu rękę.
- Mamy trochę pakowania - rzekła. - No i musimy to uczcić. Po raz pierwszy błysnęła jej nadzieja, że w końcu jednak

powrócą do normalnego życia.

49

- Komu jeszcze paelli? - zawołał Tom, spoglądając na gości, którzy gęsto obsiedli stół. Potrząsnął dużą srebrną chochlą nad ogromną porcelanową misą, wypełnioną po brzegi homarami, małżami, mięczakami, krewetkami i nieprzeliczoną ilością innych owoców morza, wymieszanych z kawałkami kurczaka, ryżem, cebulą, czosnkiem i tuzinem innych składników. Przyrządzał najsmaczniejszą, najdelikatniej przyprawioną paellę, jaką Claire kiedykolwiek próbowała. Ze wszystkich specjałów swojej kuchni tę najchętniej podawał gościom.

304

Wokół ich stołu w Cambridge zgromadzili się Ray Devereaux i jego dorywcza przyjaciółka, główny handlowiec Toma, przystojny Jeff Rosenthal o urodzie południowca i jego ostatnia spódniczka, najbliższy przyjaciel Claire z wydziału prawa, Abe Margolis, siwobrody, przysadzisty, koło sześćdziesiątki, wraz z żoną; bliska przyjaciółka Claire Jennifer Evans, bardzo szczupła, mocno opalona, czterdziestoparoletnia, której proste, ciemne włosy obcięte były na pazia, na wzór fryzury gwiazdy filmu niemego Louise Brooks. Była bez towarzysza, gdyż właśnie

przechodziła kolejny, częsty u niej napad androfobii. Obok Claire przycupnęła Jackie, która wyglądała na zmęczoną, markotną, nie dzielającą ogólnego, radosnego nastroju. Annie siedziała na kolanach Toma, który śpiewał jej do ucha. Kawalki przyprawionej szafranem paelli, które spadły na białą marynarską sukienkę dziewczynki, upstrzyły ją żółtymi plamami. Mimo to mała wyglądała prześlicznie i aż boleśnie krucho.

- Ja już dziękuję - odezwał się Ray. - Zjadłem cztery porcje.

- Ja jeszcze poproszę - rzekł Jeff, sięgając po chochlę, by samemu się obsłużyć.

Zebrali się tu, by uroczyście świętować powrót Toma z podróży w interesach na Wyspy Kanaryjskie. Wyprawa trwała długo, lecz była owocna, otwierała bowiem perspektywę olbrzymich inwestycji kapitałowych. Nikt nie podważał wiarygodności tej opowieści.

- Chcesz się przerzucić na czerwone? - spytała Claire żonę Abego Margolisa, Julię, postawną i nadal jeszcze bardzo piękną brunetkę pod sześćdziesiątkę, która właśnie kończyła kieliszek białego wina. - Czy ciągle jeszcze mordujesz się z tym? - Niedostrzegalnie mrugnęła do Toma.

- Nalej mi - rzekła Julia, wyciągając kieliszek. - Nic nie szkodzi, jeśli się pomieszają. Najwyżej wyjdzie różowe. - Claire, której już mocno szumiało w głowie, nałapała niepewną ręką. - Ale do kieliszka, jeśli można prosić - rzekła Julia Margolis.

- Ja też trochę tego pokosztuję - rzekł Devereaux. - To chablis?

- Merlot - odparła Claire. - Dość podobne w smaku.

- Dla mnie wino to wino - stwierdził Devereaux. - Albo ma plastikowy korek, albo trzeba je otwierać korkociągiem.

305

Tom huśtał Annie na kolanach, śpiewając improwizowaną piosenkę:

- Moja panienczko, podaj mi ciasteczko...

- Nie! - pisnęła szczęśliwa Annie. - To nie tak. Moja Julijan-ko, klęknij na kolanko!

- Moja panienczko, ja ci dam ciasteczko - śpiewał Tom dzwięcznym, miłym barytonem.

- Nie - aż zaskrzeczała z zachwytu. - Wcale nie znasz słów. Podrzucił ją wysoko do góry.

- Tak cię kocham, Annie-Banannie! - powiedział z uczuciem.
- Hej, Tom! - zawołała Jen Evans. - Ominęła cię wielka frajda. W czasie twojej nieobecności uroczyście otwarto kolejną nową restaurację w południowej dzielnicy.
- Jeszcze jedną? - jęknął Jeff Rosenthal. - Pamiętacie, jak południowa dzielnica przypominała Dziki Zachód? A teraz nie można przejść Columbus Avenue, nie potykając się o krzaki rukwi.
- Ależ rukiew nie rośnie w krzakach - zaprotestowała żarliwie jego ostatnia miłość, oszałamiająco piękna i równie głupia blondynka Candy.

- Naprawdę? - powiedział Jeff. Po jego twarzy przebiegł cień zażenowania. Wyraźnie znajdował się w końcowym stadium zafascynowania Candy. - W każdym razie jakiś chwast. Z tych, co to Włosi wykopują ze swoich kwietników, pakują w worki jutowe i wysyłają do Ameryki, skręcając się ze śmiechu, że dajemy się na to nabierać.

Candy potrząsnęła głową z oczami okrągłymi ze zdziwienia.

- Ależ to nie jest chwast, Jeff! - wykrzyknęła. - Sprzedają to w supermarketach. Sama widziałam.

Jackie, milcząca i zatopiona w myślach, przewróciła oczami.

- W tej restauracji panuje taki zgiełk - ciągnęła Jen - że praktycznie trzeba by nosić mufki na uszach - wiecie, to, co nakładają pracownicy lotnisk, żeby nie ogłuchnąć od huku odrzutowców. Nie podają też wody ani chleba, jeśli się specjalnie o to nie poprosi. Jakby od tego zbankrutowali.

- Weź mnie pod boczki - śpiewał Tom - pocałuj mnie w oczki...
- Nie, nie - zapiszczała podekscytowana Annie. - To nie tak idzie.
- Rany, a co myślicie o historii z tym generałem, który

306

palnął sobie w łeb? - spytał Abe Margolis. Wszystkie gazety na pierwszych stronach zamieściły wiadomość o samobójstwie generała Williama Marksa. - Generał jak mu tam. Założę się, że jeszcze nie wiemy, o co tam naprawdę chodziło. Za jakiś ; czas okaże się, że groził mu poważny proces o molestowanie seksualne czy coś w tym rodzaju.

- Może go szantażowano - rzucił Jeff Rosenthal.

- Boże, mężczyźni w mundurach coś w sobie mają - wy-; głosila namiętnym głosem hoża Julia Margolis, po czym uśmie-' chnęła się lubieżnie. - I nie mogą utrzymać tego w portkach.

Na moment Claire podchwyciła spojrzenie Toma. Devereaux i wpatrywał się w swą porcję paelli, z której została mu jeszcze ; połowa. Przez chwilę przy stole zaległa cisza.

- Napiłabym się wody sodowej - rzekła Claire, podnosząc się. - Jeszcze ktoś ma ochotę?

Kilka rąk uniosło się do góry. Claire poszła do kuchni. Tom , zszedł z kolan Annie, która zaraz dokądś pobiegła.

- Pomogę ci przynieść szklanki - zaproponował, idąc za i żoną.

Objął ją w talii, gdy stała przy lodówce, wyjmując kobaltowo-niebieskie butelki piekielnie drogiej, walijskiej wody mineralnej.

- Hej, kochanie - powiedział.

- Hej! - Uniosła twarz i pocałowała go. - Wiesz, Abe powiedział, że jednak chyba Harvard mnie zatrzyma - odezwała się po chwili. - Dziekan Englander mówił mi, że walczył o mnie jak lew i wygrał.

- Jasne, Englander zawsze tak mówi. Jest dobrym dyplomatą. Zadzwoił telefon. Żadne z nich się nie ruszyło, by go

odebrać.

Ale Jackie wstała od stołu w jadalni i podniosła słuchawkę telefonu, wiszącego na ścianie przy wejściu do kuchni.

- Oczywiście - rzekła do mikrofonu. - To do ciebie, Claire. Dzwoni Terry Embry.

- Terry Embry? - zdziwiła się. Tom wzruszył ramionami, biorąc od niej kobaltowoniebieskie butelki z wodą.

Ujęła słuchawkę.

- Terry?

- Rany, przepraszam, że przeszkadzam, ee... ci, Claire. Sądząc z odgłosów, urządzenie przyjęcie. Naprawdę mi głupio...

- Nic nie szkodzi, Terry. Co się stało?

- Dostałem materiały, o które mnie prosiłaś, wyciągi i całą resztę. Prześlę ci je przez Federal Express.

- Do mojego biura, dobrze? - Podała adres. - I wielkie dzięki.

- Wiesz, Hernandez przepadł jak kamień w wodę. Chcą go przesłuchać, ale ślad po nim zaginął.

- Znajdzie się - powiedziała.

Odwiesiła słuchawkę i zaczęła ustawiać szklanki do wody mineralnej.

Connie, sekretarka Claire, zastukała do drzwi gabinetu, po czym uchyliła je.

- Czy mogę przynieść pocztę i informacje? - spytała, wsuwając głowę.

Claire uniosła wzrok znad artykułu na temat przepisów prawnych, o którego przeczytanie prosiła ją studentka. Oderwawszy się od lektury, uśmiechnęła się z roztargnieniem i skinęła głową.

- Mamy całą masę zaległych spraw - rzekła Connie, siadając obok Claire. - Naprawdę jesteśmy ugotowane - stwierdziła, kładąc przed nią stos korespondencji. - Myślę, że gdybyśmy poświęciły na to z godzinę rano i godzinę po południu, uporałybyśmy się z pocztą i telefonami, powiedzmy do... gdzieś tak do początków przyszłego roku. - Potrząsnęła głową.

Claire zauważyła dużą, białą, kartonową kopertę z wydrukowanym na niej niebiesko-pomarańczowym logo Federal Express.

- To dla mnie?

- Tak, właśnie przyszło. - Connie podała jej przesyłkę. Nadawcą był Terry Embry. Claire otworzyła kopertę i wytrząsnęła jej zawartość.

Zaczerpnęła głęboko oddechu.

- Connie - rzekła - może jednak teraz to nie jest najlepsza pora.

Connie przyjrzała się jej dziwnie.

- Dobrze - powiedziała. - Daj mi znać, kiedy będziesz

chciała się tym wszystkim zająć. - Wyszła powoli, jeszcze raz obrzucając Claire spojrzeniem, nim zamknęła za sobą drzwi.

Claire wzięła do ręki małą, czarno-białą fotografię i wpatrzyła się w nią bacznie. Przedstawiała młodego żołnierza z czasów, gdy zaciągał się do służby. Młodzieniec miał ciemne oczy i kręcone włosy w tym samym kolorze. Przeczytała nazwisko: LENTINI, ROBERT.

Mniej więcej przed tygodniem Ray Devereaux zgłosił prośbę do Wojskowego Archiwum Danych Osobowych o odnalezienie tej fotografii. Potem, na życzenie Claire, Embry postarał się o przysłanie zdjęcia.

Wiedziała, gdzie spotkała Lentiniego, choć od młodych lat znacznie wyłysiał.

Robert Lentini został agentem operacyjnym CIA o nazwisku Dennis T. Mackie.

Jej wtyczka. Zrzucił poprzednią tożsamość niczym grze-chotnik.

Może zawsze nazywał się Dennis T. Mackie. Może był agentem CIA, zanim jeszcze wstąpił do oddziału dwudziestego siódmego i stał się Robertem Lentinim. Takie rzeczy się zdarzają. Zdarzają się też rzeczy jeszcze dziwniejsze. CIA wkręca swoich ludzi wszędzie, gdzie się tylko da.

Jej źródło.

Człowiek, który „jakimś sposobem” wydobył notatkę służbową generała Marksa, skutecznie niszcząc jego karierę.

Zaczynała rozumieć. Wyciągnęła mały, kwadratowy papierek, kwit przesyłkowy, dołączony do spreparowanego nagrania. Na nagłówku widniał napis: CIA.

Nabazgrane inicjały układały się w litery DTM.

DTM to był, musiał być, Dennis T. Mackie.

Jej wtyczka.

Człowiek, który „jakimś sposobem” wydobył taśmę z nagraniem Toma, rozmawiającego przez radiostację polową w Salwadorze i dostarczył ją wywiadowi wojskowemu. Taśma nie dość, że była podrobiona, to jeszcze w taki sposób, by dało się to udowodnić. Nabrało się na nią oskarżenie, lecz ekspert obrony zdołał wykazać, że to fałszywka. Dzięki tak sprokurowanemu dowodowi rozprawa zakończyła się i Tom wyszedł na wolność.

Claire zrobiło się słabo. Kwas żołądkowy, słonawy i żrący, podszedł jej do gardła.

Gdy w zamyśleniu przebiegała palcami po wnętrzu koperty, zorientowała się, że jest tam coś jeszcze, spięty zszywką plik papierów. Wyciągnęła go.

Poprosiła Embry'ego, by przysłał jej fotokopię z książki widzeń więzienia Quantico za ostatnich kilka tygodni. Do tej książki muszą wpisać się wszyscy odwiedzający.

Już po paru sekundach w kolumnie NAZWISKO ODWIEDZAJĄCEGO odnalazła podpis Dennisa T. Mackiego („Reprezentującego siebie" napisał); potem natrafiła na niego jeszcze dwukrotnie. Dennis T. Mackie trzy razy odwiedził Toma podczas ostatnich dwu tygodni jego uwięzienia.

Może tu kryje się wyjaśnienie.

Zadzwoiła do Jackie z prośbą, by natychmiast zabrała do siebie Annie i przenocowała ją.

Potem zatelefonowała do Raya Devereauxa i poprosiła go o radę.

A następnie, z walącym sercem, pojechała do domu, tak szybko, jak się tylko dało.

Tom już tam był.

W powietrzu unosił się aromat czosnku, smakowity i zachęcający.

- Domyślałam się, że na obiad nie będzie resztek paelli - próbowała zażartować Claire, odstawiając teczkę i zdejmując zakiet.
- Makaron z sosem z mięczaków - powiedział. Podszedł i pocałował ją. - To, co najbardziej lubisz. Możesz już jeść? Umieram z głodu.
- No to siadajmy. - Claire uśmiechnęła się. Nie miała apetytu. W żołądku czuła małą, twardą kulkę.
- Gdzie jest moja laleczka? - zapytał, nakładając makaron i sałatę.
- Chciała przenocować u Jackie.
- Bardzo się do niej przywiązała przez ten czas, co? - Wbił widelec w makaron. - Przepraszam. Mogę zacząć pierwszy?
- Oczywiście.
- A ty nic nie będziesz jadła? Obracała w palcach serwetkę.
- Tom, musimy porozmawiać.

- Uhu - odparł z ustami pełnymi makaronu. Przeżuł i prze-

310

łknął. - Niezbyt zachęcający początek. - Uśmiechnął się, popił wody, włożył do ust następną, sporą porcję makaronu, okręconego wokół widelca.

- Kto to jest Lentini?

Tom przestał na chwilę żuć, po czym znowu zabrał się do jedzenia.

- Kolega z oddziału - wyjaśnił, przełknąwszy.

- Jak się naprawdę nazywa? Lentini czy Mackie?

Tom pociągnął długi łyk wody mineralnej. Przypatrywał się Claire przeciągłym spojrzeniem znad krawędzi szklanki. Odstawił ją.

- Co to za przesłuchanie, Claire? Proces już się skończył.

- Nie dla mnie. Jeszcze nie - odparła bardzo cicho. Z wolna potrząsnęła głową.

- Kochasz mnie, Tom? - zapytała ledwo słyszalnym głosem, prawie szeptem.

- Przecież wiesz, że tak.

- Więc teraz powiedz mi prawdę.

Skinął głową i zaczął, ze smutnym uśmiechem:

- Lentini - w istocie nazywa się Mackie, ale zawsze znałem go pod nazwiskiem Lentiniego - naprawdę jest facetem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Pracował w tajemnicy dla Agencji, odkąd był w oddziale. W każdym razie powiedział mi, że Agencja uważa - uważała Marksa za prawdziwego wroga, biurokratycznego trutnia, toteż za wszelką cenę chcieli podważyć jego kandydaturę na szefa Kolegium Szefów Sztabów. Ale tak naprawdę sędzę, że w przypadku Lentiniego to sprawa osobista. Pogardzał Marksem tak samo jak ja.

- To dlatego podsunął Waldronowi spreparowaną taśmę? Żeby wykiwać oskarżyciela, wykazać, że cały akt oskarżenia to kupa makulatury?

- A co to teraz za różnica? - Tom znowu nabrał na widelec kolejną porcję makaronu.

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Chciałabym wiedzieć. To był twój pomysł czy jego? Żując, potrząsnęła głową.

- Claire, nie widziałem tego faceta całe lata. Dokładnie trzynaście - powiedział, gdy

przełknął.

Claire osłupiała.

311

- Mam kopie zapisów w księdze odwiedzin - rzekła. - Tu pod ręką. Był u ciebie trzy razy.

Obrzucił ją kpiarskim spojrzeniem, po czym na jego twarzy pojawił się nowy wyraz. Uświadomił sobie, że Claire wie. Powoli odłożył nóż i widelec. Westchnął ciężko, z głębi serca.

- Claire - powiedział ze znużeniem. - Claire, Claire, Claire. To się zdarzyło tak dawno temu.

- Zabiłeś tych ludzi - wyszeptwała. Spojrzał na nią z namysłem.

- Marks chyba nie wiedział, że chłopci nie mieli broni i nie współdziałali z partyzantami, ale tak się wkurzył, kiedy w Zona Rosa zabili mu kumpla, Arlena Rossa, że padło mu na umysł. Później, kiedy o całej historii dowiedzieli się w Fort Bragg i potrzebowali kozła ofiarnego, Marks absolutnie nie miał zamiaru wziąć winy na siebie ani wskazać palcem na swego zastępcę. Mimo że sam dał mu rozkaz otwarcia ognia. Uświadomiłem sobie, że przecież prędzej uwierzą słowu majora niż mojemu, a Marks był oczywiście po stronie swego zastępcy. Bo chcieli wszystko zrzucić na mnie. I tak, oczywiście, zrobili. Od tamtej pory Hernandez i Marks szantażowali się wzajemnie. Towarzysze zbrodni, jeśli można się tak wyrazić.

- Ale ty też strzelałeś, prawda? - rzekła Claire. - Pomagałeś Hernandezowi wymordować tych ludzi.

Tomowi zwilgotniały oczy.

- Marks wiedział, że może na mnie liczyć. Cały oddział odmówił, z wyjątkiem mnie i, oczywiście, Hernandeza.

Wyciągnął rękę i przykrył nią jej dłoń. Była ciepła i wilgotna. Nagle wyszarpnęła rękę, jakby się sparzyła. Poczowała, że żołądek wywraca się jej na drugą stronę. W jednej chwili ogarnęło ją straszliwe zmęczenie.

- Zrobiłeś to - powiedziała. - Pomogłeś Hernandezowi zabić osiemdziesięciu siedmiu ludzi.

- Powinnaś to zobaczyć we właściwym świetle, Claire. Ci wieśniacy nabijali się z nas. W ogóle nie chcieli iść nam na rękę. Musiałem ich trochę pocisnąć.

- Torturowałeś ich.

- Kilku. Sami mnie do tego zmusili. Ale nie mogłem dać im w kość, a potem tak ich zostawić, żeby donieśli o naruszeniu praw człowieka, rozumiesz? Tak się nie robi. Trzeba po sobie posprzątać. Nie miałem wyboru.

312

Przeniknęło ją przeraźliwe zimno. Skrzyżowała ramiona na piersi, osłoniła się rękami. Zadrżała.

- Marks wiedział, że może na mnie liczyć - odezwał się znowu Tom tonem lekkiej pogawędki. - Wiesz, zanim wysłali mnie do Wietnamu, zostałem poddany wielu badaniom. I doszli do wniosku, że jestem - jak oni to określili? - „moralnie nie zrównoważony”. Co oznaczało, że jestem właśnie takim facetem, jakiego potrzebowali. Do plutonów egzekucyjnych, a potem oddziału dwudziestego siódmego. Potrafiłem zabijać bez najmniejszego poczucia winy czy wyrzutów sumienia.

Wpatrywała się w niego osłupiała. Pokój zdawał się powoli obracać.

- Rząd potrzebował takich ludzi jak ja - wyjaśnił. - I zawsze mu będą potrzebni. Wyrobnicy, wykonujący czarną robotę, której inni nie chcą tknąć. A potem, jak już z tobą skończą, powiadają: „Och, jesteśmy wstrząśnięci, wstrząśnięci tym, co zrobiłeś. Proszę bardzo, resztę życia spędzisz w Leavenworth”. Takie jest ich podziękowanie. Robię, co mi każą, a kiedy już mnie nie potrzebują, nagle okazuję się kryminalistą.

Claire skinęła głową.

- Nie bardzo rozumiem, Tom - powiedziała. - Biegły od balistyki stwierdził na podstawie dowodów, że strzelał tylko jeden człowiek. Wszystkie pociski wyszły z tej samej lufy.

- Wszystkie pociski, które zbadał. Mówiłem ci, że to nie były moje pociski.

Musiała to poukładać sobie w głowie, choć czuła w niej mętlik.

- Nie rozumiem. Wzruszył ramionami.

- Uprzątnąłem pole. Zawsze lubię sprzątać po sobie. Zawsze też używałem własnej amunicji - niemieckich naboju trzysta ósemek. Są to pociski z pełnym płaszczem, stalowe łuski. Łatwo je pozbierać magnetycznym prętem. Nie tak, jak to standardowe mosiężne gówno Hernandezy, którego magnes nie przyciąga. Obszedłem całą okolicę bardzo uważnie, zebrałem wszystkie pociski i łuski. Nie lubię rozrzucać wizytówek.

Znowu skinęła głową. Z trudem przełknęła. Podniosła się od stołu, zaczęła iść w stronę telefonu.

313

- Co chcesz zrobić, Claire? - zapytał. On też wstał i podszedł do niej. Uśmiechnął się. - Przecież wiesz, że z tym już koniec. Pamiętasz? Uniewinniono mnie.

Znowu skinęła głową.

- Oczywiście - odparła uprzejmie. W żołądku gotowało się jej jak w kotle. Czuła gwałtowne mdłości. Podniosła słuchawkę, nacisnęła siedmiocyfrowy numer.

- To sprawa między tobą i mną, Claire - odezwał się. W jego głosie zabrzmiała szorstka nuta. - Jesteś moim prawnikiem. Obowiązuje cię tajemnica zawodowa.

Usłyszała sygnał w słuchawce.

- To już zostało zakończone, Claire. Pamiętasz przepis? Nie można narażać człowieka na ryzyko podwójnego procesu w sprawie kryminalnej. Nie mogą mnie znowu postawić przed sądem.

Znowu sygnał. Gdzie się podziewa Devereaux?

- Nie rób tego, Claire. - Wyciągnął rękę i przycisnął wideł na górze aparatu, by przerwać połączenie.

Ostrożnie odłożyła słuchawkę. Rozejrzała się po kuchni, tak pięknie urządzonej. Tak przytulnej. Ileż śniadań zjedli tu razem, ona, Tom i Annie? Ileż razy Tom przygotowywał kolację dla swej żony i pasierbicy? I przez cały czas było to starannie podtrzymywane kłamstwo. Dawał jej takie poczucie bezpieczeństwa, choć w rzeczywistości i ona, i jej córka przez cały czas mieszkały z niebezpiecznym, chorym człowiekiem.

- Powinieneś się zgłosić na policję, Tom - wyszeptała.

- Nic z tego, Claire. Znowu sięgnęła po telefon.

Przysunął się bliżej, odgradzając ją swym ciałem od telefonu.

- Mówię poważnie, dziecinko. Nie rób tego. Pomyśl, ile razem przeszliśmy. Ile mamy ze sobą wspólnego, ty i ja.

Z wolna wysunęła rękę.

- Jesteś chory, Tom - powiedziała bardzo cicho.

- Stanowimy rodzinę - odparł. - Ty, ja i Annie. Stanowimy rodzinę.

Claire przytaknęła, w głowie jej się kręciło i jeszcze raz podniosła słuchawkę.

- Mówię poważnie, Claire. Zostaw ten telefon. Pomyśl o Annie. Nie masz powodu tego robić, Claire. Znowu możemy być rodziną.

314

Potrząsnęła głową, łzy zalewały jej oczy. gdy słuchała sygnału telefonu.

Nagłym ruchem wyrwał jej aparat z ręki, aż straciła równowagę. Powalił ją na ziemię, nacisnął widełki, zabrał słuchawkę i położył ją na wgłębieniu.

- Potrzebuję cię, Claire! - krzyknął nagle. Rozciągnięta na kuchennej podłodze. Podniosła ku niemu

wzrok i ujrzała wypieki na jego twarzy- Skrzywiła się. Łzy spływały jej po policzkach. Sięgnęła dobeszeni żakietu, który wisiał na oparciu jednego z kuchenny[^] krzesel, i wyciągnęła telefon komórkowy. Otworzyła go, wyo[^]nęła małą antenkę.

- Claire, dziecinko - prosił. Oczy m'[^] smutne, na twarzy malował się wyraz udręki. - Nie powiłem był tego robić. Przepraszam. Po prostu chcę, żebyś mme posłuchała.

Nacisnęła kilka cyfr, po czym uświad⁰ihła sobie, że go nie włączyła.

- Kochanie - powiedział, pochylając się nad nią. Wyszarpnął jej z rąk telefon, który z trzaskiem potoczy^{} sję p0} wyłożonej terakotą podłodze. - Posłuchaj. Znowu możemy być rodziną. Zapomnij o przeszłości. Wyrzuć ją z patmęci. Pomyśl o Annie.

Rozszlochana, z zamglonym łzami *zrc>kiem, rzuciła się na podłogę i chwyciła telefon komórko*)- Znowu do niej do-skoczył i wykopał go z jej dłoni.

Poczuła przeszywający ból w ręce. Z trudem podniosła się na nogi i potykając się, ruszyła w kierunku drzwi, ale zastąpił jej drogę.

- Zrozum, Claire, że jeśli mnie do tego zmusisz, po prostu znowu zniknę. Zrobiłem to już raz, mog? "robić drugi. Dobrze o tym wiesz. - Głos miał spokojny, r0?sądny, opanowany. W ten sposób uspokajał ją, gdy chodziło o domowe kłopoty, którymi sam się zajmował: cieknąca toaleta, spalona żarówka, mysz buszująca w kuchni.

- Pomyśl o Annie. Zastanów się, co Wzie dla niej najlepsze.

- Puść mnie - rzekła. - Ty skurwysyn.

- Wiem, że zrobisz to, co należy. Nigdy, przenigdy nie skrzywdziłbym mojej małej

laleczki, jeżeli nie tyłoby to absolutnie konieczne. Nigdy. Ale chcę, żebyś pamiętała o wszystkim na świecie, co jest ci drogie - o twojej siostrze, o córce... Nigdy nie będziesz miała pewności. Zniknę i nawet mnie nie rozpoznasz, ale ani ty, ani twoja siostra i córka nigdy VK będziecie bezpieczne.

315

Wpatrywała się w niego z przerażeniem, wiedząc, że nie są to czcze pogroźki, że naprawdę może tak postąpić. Że rzeczywiście odbierze jej najdroższą rzecz na świecie, jeśli poczuje się do tego zmuszony. Bo nie jest zdolny do odczuwania winy ani wyrzutów sumienia. Zrobi to bez trudu. Znowu zadrżała.

- Taka wieczna niepewność to szczególny rodzaj piekła

- rzekł. - Nie zniesiesz takiej udręki. Możesz mi wierzyć. Zadzwoił dzwonek u drzwi, dwa uderzenia gongu zabrzmiały w pustym domu niczym kuranty. Przecisnęła się obok Toma i pobiegła otworzyć.

Z tyłu słyszała szelest jego spodni, gdy biegł za nią. Dopiero uchylając drzwi, zdała sobie sprawę, jak mocno wali jej serce.

W potężnej dłoni Devereaux pistolet wyglądał niczym dziecinna zabaweczka.

- Nie mówiłem ci, żebyś zablokowała numer identyfikacyjny swojego telefonu? - powiedział Devereaux, opuszczając broń.

- Telefon dzwoni, a potem ktoś odkłada słuchawkę, patrzę, a to twój numer. Nienawidzę, jak ktoś się łączy i odkłada słuchawkę. Co się stało?

- Wszystko w porządku - odparł Tom. - Nic szczególnego się nie dzieje.

Devereaux spojrzał pytająco na Claire.

- Co jest, Claire?

Claire spoglądała na niego z rozpaczą w oczach.

- Ray - szepnęła błagalnie.

Wtem, gdzieś z tyłu za Devereaux, rozległa się seria strzałów

- raz-dwa-trzy-cztery, a gors jego białej koszuli pokrył się plamami krwi. Claire krzyknęła. Tom jakby przykurczył się, oczy miał czujne. Devereaux jęknął, chwycił się za ogromny brzuch, po czym pochylił się do przodu i upadł na podłogę. Z jego płuc popłynął głośny szum wydychanego powietrza niczym pełen udręki jęk.

Z krzykiem rzuciła się na podłogę obok niego, objęła go za głowę. Widziała, że żyje, ale osłabł z bólu. Z gorsu jego koszuli wąskim strumyczkiem ciekła krew.

Teraz ujrzała, że przez frontowe drzwi wchodzi pułkownik James Hernandez, dzierżąc spory pistolet. Hernandez ubrany był w dżinsy i bluzę.

- Hej, Ronny, stary kumplu! - zawołał Hernandez. - Jak za dawnych, dobrych czasów, co?!

316

Tom odprężył się.

- Odpieprz się z tymi dawnymi czasami - rzekł. - Musiałeś puszczać farbę o tym psie, dupku?! I o tych torturach?!

Hernandez wszedł do hallu.

- Daj spokój, stary - rzekł. - Wiedziałeś, że spreparowana taśma Lentiniego zrobi z prokuratora głupka i sprawa się zakończy. Nie miałeś się czym przejmować. Po prostu nie chciałem, żeby położyli łapę na mnie. I takie dostaję podziękowanie? Przecież uratowałem ci życie. - Uniósł lewą dłoń, a Tom przybił piątkę.

- Tak jak ja uratowałem tobie w Nikaragui, Jimmy - powiedział Tom z uśmiechem.

Claire uniosła wzrok, przypatrując się im z niedowierzaniem.

- Jimmy, zajmij się tym tłustym gnojkiem. Wyczyść te brudy. Mamy z Claire parę spraw do omówienia. Potem lepiej się stąd zabieraj. Mnóstwo ludzi cię szuka. - Otoczył ramieniem Hernandesa. - W tej sztuczce z jeepem w Maryland omal nie zginęła moja żona. To było głupie. Potrzebowałem jej.

- To nie moja sprawa - zaprotestował Hernandez. - Może jakichś innych facetów ze służb specjalnych, ale nie...

Nagły ruch. Błysk światła z broni Devereaux, gdy jego ręka nagle się poruszyła, a w głowie Hernandesa eksplodowała kula. Hernandez opadł na ziemię, bez wątpienia martwy.

Tom obrócił się, przestraszony hukiem wystrzałów, a gdy zobaczył, co się stało, rzucił się ku zmarłemu koledze.

W tym momencie Claire poczuła, że dźga ją coś zimnego i twardego. Zorientowała się, że to Devereaux wciska jej pistolet do prawej ręki.

Tom dojrzał broń w jej dłoni. Z niesmakiem potrząsnął głową.

- Przykro mi, Claire - powiedział. Głos miał matowy, sarkastyczny. - Nikt ci już teraz nie pomoże.

Zawahała się, spojrzała na niego jak przez mgłę. Poruszyła ustami, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Uniosła pistolet, podnosząc się jednocześnie na nogi. Ledwo zdołała uchwycić spust. Przytrzymując broń obiema rękami, wymierzyła go w pierś Toma.

Nagle Tom wyciągnął rękę, chwycił pistolet Hernandeza,

317

uniósł go i wycelował w Claire. Uśmiechał się słodko. Znowu miał twarz tego cudownego człowieka, którego kochała.

- Przecież nie chcesz zrobić mi nic złego - powiedział. Zadrzała. Widziała przed sobą tylko rozmazane kontury. Jego uśmiech z wolna zanikał. Powrócił do swej dawnej osobowości - nowej osobowości?

- Nie wiesz, jak się z tym obchodzić - rzekł.

- Przekonamy się - odparła.

Przypatrywał się jej z napięciem, po czym nacisnął spust.

Rozległo się kliknięcie.

Wyczytała z jego oczu, że już się zorientował - w broni nie było nabojów, Hernandez wystrzelał cztery ostatnie pociski. Rzucił broń na podłogę hallu, wyraźnie rozglądając się za czymś, czego mógłby użyć w zamian.

- Nie ruszaj się ani krokiem, Tom! - ostrzegła.

- Nie strzelisz do mnie - wycedził, ciągle błędząc wzrokiem po hallu. - Jesteś prawnikiem. Działasz w obrębie tego systemu. Przestrzegasz zasad. - Jego ciało znowu się sprężyło. - Wiem, że postąpisz właściwie. Ze względu na Annie.

Dostrzegła, że w jego wężowych oczach błysnęła iskierka. Pobiegszy za jego spojrzeniem zrozumiała, że dostrzegł mały marmurowy posążek na stoliku w hallu, i gdy rzucił się ku niemu, wciągnęła powietrze, po czym głośno je wypuściła. Zadrzała.

- Masz rację - oświadczyła i nacisnęła spust. Broń odrzuciła ją do tyłu, o mały włos nie wypadła jej z dłoni. Jaskrawy krążek krwi pojawił się na jego koszuli, pośrodku

klatki piersiowej. Opadł na podłogę i wydał z siebie straszliwy, niski, zwierzęcy dźwięk. Wycelowała znowu i wystrzeliła. Kula rozprysnęła mu się w piersi. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem i Claire zorientowała się, że Tom nie żyje.

Najpierw zaczęły trząść się jej ręce, potem ramiona, a po chwili przez ciało przeszły gwałtowne drgania.

Rozpaczliwy szloch dławił jej gardło. Bez żenady dawała upust łzom, opanowało ją niepowstrzymane łkanie, rozdzierając piersi gwałtownym spazmem.

Spostrzegła, że klęczy w kałuży krwi Toma, sączącej się z ran w jego piersi. Jasnoszara spódnica ciemniała w miarę powiek" szania się plamy.

Dochodzące z oddali zawodzenie syren stawało się coraz

318

głośniejsze. Poczula siarczany powiew prochu, potem zapach krwi, cierpki i metaliczny. Płacząc, myślała o Annie, nie mniej ufnej niż ona. Jej życie już nigdy nie będzie takie samo, mimo to, właśnie w tym momencie, po raz pierwszy, przyszło do niej uspokojenie.